NAJWIĘKSZY MISTRZ POWIEŚCI PRZYGODOWYCH ŚWIATA

Cykl
Z archiwów
NUMA

NOWY BESTSELLER

CLIVE CUSSLER

GRAHAM BROWN

AMBER

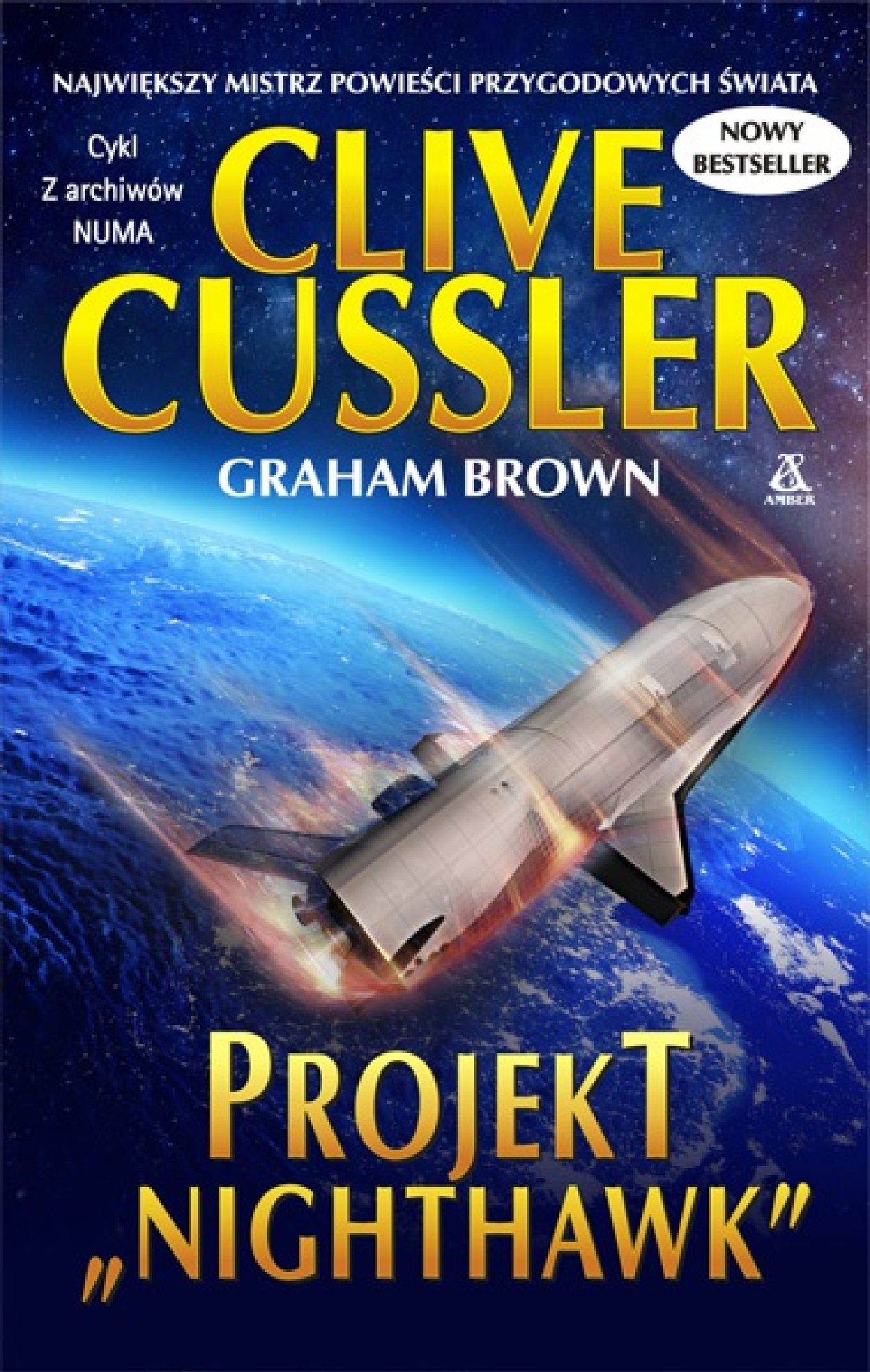

PROJEKT „NIGHTHAWK"

Clive Cussler
Graham Brown

Projekt „Nighthawk”

Przekład: Jacek Złotnicki, Maciej Pintara
Tytuł oryginału: From the NUMA Files: Nighthawk

Cykl: NUMA - Tom 14

Spis treści

Prolog: Zarzewie
Rozdział 1.
Rozdział 2.
Rozdział 3.
Rozdział 4.
Rozdział 5.
Rozdział 6.
Rozdział 7.
Rozdział 8.
Rozdział 9.
Rozdział 10.
Rozdział 11.
Rozdział 12.
Rozdział 13.
Rozdział 14.
Rozdział 15.
Rozdział 16.
Rozdział 17.
Rozdział 18.
Rozdział 19.
Rozdział 20.
Rozdział 21.
Rozdział 22.
Rozdział 23.
Rozdział 24.

Rozdział 25.
Rozdział 26.
Rozdział 27.
Rozdział 28.
Rozdział 29.
Rozdział 30.
Rozdział 31.
Rozdział 32.
Rozdział 33.
Rozdział 34.
Rozdział 35.
Rozdział 36.
Rozdział 37.
Rozdział 38.
Rozdział 39.
Rozdział 40.
Rozdział 41.
Rozdział 42.
Rozdział 43.
Rozdział 44.
Rozdział 45.
Rozdział 46.
Rozdział 47.
Rozdział 48.
Rozdział 49.
Rozdział 50.
Rozdział 51.
Rozdział 52.
Rozdział 53.
Rozdział 54.

Rozdział 55.
Rozdział 56.
Rozdział 57.
Rozdział 58.
Rozdział 59.
Rozdział 60.
Rozdział 61.
Rozdział 62.
Rozdział 63.
Rozdział 64.
Rozdział 65.
Rozdział 66.
Rozdział 67.
Rozdział 68.
Rozdział 69.

BOHATEROWIE

HISZPAŃSKA EKSPEDYCJA Z 1525 ROKU

Diego Alvarado - hiszpański żołnierz, przywódca ekspedycji do Ameryki Południowej, współczesny Francisco Pizarrowi, a zarazem jego konkurent.

Costa - hiszpański arystokrata i finansista, sponsor ekspedycji Alvarada.

NUMA - NARODOWA AGENCJA BADAŃ MORSKICH I PODWODNYCH

Rudi Gunn - wicedyrektor NUMA.

Kurt Austin - szef Zespołu Specjalnego NUMA, światowej klasy nurek i ekspert ratownictwa morskiego, były pracownik CIA.

Joe Zavala - prawa ręka Kurta, wybitny inżynier mechanik, znakomity pilot śmigłowca i bokser amator.

Hiram Yaeger - informatyczny geniusz zatrudniony na stałe w NUMA, posiadacz wielu patentów w dziedzinie projektowania systemów komputerowych.

Priya Kashmir - asystentka Hirama Yaegera, początkowo zatrudniona w jednym z zespołów operacyjnych NUMA. Na skutek wypadku samochodowego utraciła władzę w nogach i dołączyła do działu informatycznego.

Paul Trout - najwyższy pracownik Zespołu Specjalnego, ma dwa metry i trzy centymetry wzrostu i doktorat z oceanologii. Spokojny i zrównoważony. Mąż Gamay.

Gamay Trout - żona Paula, magister biologii morskiej, miłośniczka fitnessu, znakomity nurek i wyśmienity strzelec wyborowy.

Ed Callahan - kapitan należącego do NUMA statku „Catalina”.

NSA - AGENCJA BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO

Steve Gowdy - kierownik sekcji projektów pozaatmosferycznych Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, szef programu „Nighthawk”.

Emma Townsend - astrofizyk, wcześniej zatrudniona w NASA, od początku

związana z programem „Nighthawk”. Współpracownicy nadali jej przezwisko Huraganowa Emma.

Hurns - agent operacyjny NSA.

Rodriguez - agent operacyjny NSA.

SIŁY POWIETRZNE ARMII STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Frank Hansen, pułkownik - dowódca 9. Eskadry Operacji Kosmicznych, stacjonującej w Bazie Sił Powietrznych USA Vandenberg w Kalifornii.

FEDERACJA ROSYJSKA

Konstantin Dawidow - wysoki funkcjonariusz FSB, służby będącej następcą KGB, odpowiedzialny przed Kremlem za „pozyskiwanie technologii”.

Siergiej Borozdin, kontradmirał - stary przyjaciel Dawidowa, dowódca 1. Floty Ratowniczej rosyjskiej marynarki wojennej na Pacyfiku.

Wiktor Nowaricz - dowódca okrętu podwodnego TK-17 typu Tajfun.

Jurij Timonowski, major - pierwszy pilot i dowódca Blackjacka Dwa.

CHIŃSKA REPUBLIKA LUDOWA

Zhang, generał - urzędnik wysokiego szczebla w Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego.

Daiyu (Czarna Perła) - agentka specjalna Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, jedno z „nienarodzonych dzieci”.

Jian - współpracownik Daiyu, także jedno z „nienarodzonych dzieci”.

Li Ying - oficer łącznikowy, Pekin.

Wu, porucznik - pracownik operacyjny Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego.

Sokolnik - kryptonim anonimowego osobnika, mającego związek z programem „Nighthawk”.

M/S „REUNION"

Buck Kamphausen - kapitan M/s „Reunion”.

PERU

Urco - archeolog badający pochodzenie i losy ludu Chachapoya.

Vargas - jeden z ochotniczych współpracowników Urco.
Reyes - kolejny z ochotniczych współpracowników Urco.

WASZYNGTON

Collin Kane - saper, ekspert od unieszkodliwiania bomb.

PROLOG: Zarzewie
Ameryka Południowa, styczeń 1525

Oszczep trafił Diega Alvaradę prosto w pierś. Impet uderzenia zwalił go z nóg, ale grot nie zdołał przebić mocnej kastylijskiej zbroi, którą wiózł ze sobą szmat drogi z dalekiej Hiszpanii.

Przeturlał się, przyklęknął na jedno kolano i wycelował kuszę. Spostrzegł ruch pomiędzy drzewami i zwolnił cięciwę. Bełt zniknął w zaroślach, zza których dobył się okrzyk bólu.

– Drzewa po prawej! - krzyknął do swoich ludzi.

Gruchnęła nierówna salwa z kilku wielkokalibrowych muszkietów, zwanych arkebuzami. Nad wąską ścieżką uniosła się chmura niebieskawego dymu. Kule przeorały zarośla, tnąc gałązki i bujne listowie.

W odpowiedzi spadł na nich deszcz strzał. Dwaj ludzie Alvarada osunęli się na ziemię, a on sam poczuł bolesne ukąszenie w łydkę, gdzie utkwiła strzała z obsydianowym grotem.

– Otoczyli nas! - zawołał jeden z podkomendnych.

– Trzymać szereg! - rozkazał Alvarado, a sam, zamiast się wycofać, pokuśtykał do przodu, ignorując ból. Ponownie załadował broń.

Podczas wędrówki po pogórzu, zwabieni wygodną ścieżką, dali się wciągnąć w pułapkę i zostali zaatakowani z dwóch stron. Inni na ich miejscu być może rozpierzchliby się w obliczu zagrożenia, ale oddział Alvarada składał się z byłych żołnierzy. Ci zaś stanęli murem i nie marnowali cennej amunicji. Kilku dobyło mieczy, a pozostali czekali niewzruszenie z bronią gotową do strzału.

Tubylcy zebrali siły do kolejnego szturmu. Wypadli spomiędzy drzew z przeraźliwym wrzaskiem. Kiedy znaleźli się na odkrytym terenie, raził ich grom. Powietrze zadrgało od eksplozji czarnoprochowych ładunków drugiej salwy Hiszpanów.

Połowa wojowników legła bez życia, pozostali zawrócili i umykali w popłochu. Tylko dwaj atakowali dalej. Poprzez chmurę dymu ruszyli prosto na Alvarada. W ich ciemnych, czerwonawych twarzach jaskrawą bielą lśniły

oczy, podkreślone smugami wojennego malunku.

Pierwszy padł jak ścięty, trafiony z kuszy przez Alvarada, ale drugi znalazł się już dość blisko, by zadać pchnięcie oszczepem. Szpic prymitywnej broni ześliznął się po zaoblonym napierśniku srebrzystej zbroi. Odporny na takie ciosy Alvarado bez obaw rzucił się z wyciągniętymi rękami na napastnika. Chwycił wojownika i naparłszy całym ciężarem ciała, zbił go z nóg.

Upadając, przygniótł tubylca do ziemi i dobił ciosem sztyletu.

Zanim zdążył podnieść wzrok, reszta napastników już uciekła.

– Załadujcie broń! - krzyknął do swoich ludzi. - Niebawem znów zaatakują.

W czasie, gdy jego towarzysze pracowicie upychali proch i kule w lufach arkebuzów, Alvarado zajął się swoją łydką. Zagłębił w ciele czubek sztyletu i wyciągnął strzałę. Popatrzył na nią, po czym odrzucił precz. Nic nowego. A przecież mówiono mu, że ci „ludzie chmur" różnią się od Inków i pozostałych okolicznych szczepów. Bez wątpienia byli dzielnymi wojownikami, ale nie mieli lepszej broni od innych tubylców. Jedynym ich atutem była przewaga liczebna.

Alvarado polał ranę winem z małej butelki. Szczypało, ale pomogło uśmierzyć ból i, na co liczył, powinno wypłukać wszelką truciznę. Potem owinął łydkę tkaniną i patrzył, jak materiał nasiąka krwią, poczynając od środka, aż cały opatrunek przybrał szkarłatną barwę.

– Musimy odstąpić - powiedział, z trudem stając na nogach.

– Jak daleko się cofniemy? - spytał jeden z mężczyzn.

– Aż do wioski - odparł Alvarado. - Wracamy.

Nie padł żaden głos sprzeciwu. Wyglądało na to, że ludzie poczuli ulgę, gdy usłyszeli rozkaz odwrotu.

Sformowali szyk i ruszyli w drogę. Alvarado pokonał pieszo pierwszy kilometr, ale ciężka zbroja i ból zranionej nogi uniemożliwiły mu dalszy marsz. Jeden z towarzyszy podtrzymał go, inny podprowadził silnego, jucznego konia, który niósł ich zapasy. Rozpięto rzemienie, juki spadły na ziemię. Podsadzony przez swych ludzi Alvarado znalazł się na grzbiecie zwierzęcia. Przywarł do niego mocno i cały zastęp podjął na nowo szybki marsz. Schodzili w dolinę do obozowiska.

Po kilku godzinach Alvarado wraz z towarzyszami dotarli do wioski, którą opuścili tamtego ranka. Ponieważ zapadła już noc, przywitały ich ogniska rozniecone przez pozostałych w obozie żołnierzy.

Wielmoża o nazwisku Costa pomógł Alvaradzie zsunąć się z końskiego

grzbietu.

– Co się stało? - spytał. Pobladł na widok rany.

Costa należał do średniej warstwy arystokracji. Zgodził się sfinansować wyprawę w zamian za jedną trzecią spodziewanych skarbów. Z nieznanych nikomu powodów sam zdecydował się wziąć w niej udział. Być może szukał przygody, choć bardziej prawdopodobne wydawało się to, że wolał osobiście wszystkiego dopilnować, by nie dać się okpić przy podziale zysków. Jak dotąd nie było z niego żadnego pożytku, zajmował się głównie narzekaniem.

– Zostaliśmy oszukani - powiedział Alvarado. - Ci „ludzie chmur" wcale nie są przyjaźnie nastawieni. Prędzej wszystkich nas pozabijają, niż się do nas przyłączą, nawet jeśli miałoby to dla nich oznaczać dalsze uzależnienie od innych plemion.

– A Francisco? - spytał Costa. - Są tu jego znaki. Był tutaj. Mówił, że znajdziemy tu sprzymierzeńców.

Alvarado wiedział wszystko o znakach Pizarra. Przyszły konkwistador pozostawił znaki na kilku drzewach wzdłuż szlaku, aby Alvarado wraz ze zbrojnymi posiłkami mógł go dogonić i wesprzeć jego przednią straż.

Wiedział też, że Pizarro zamierzał podburzyć część lokalnych plemion przeciwko tym, którzy sprawowali władzę. Sposób okazał się skuteczny w innych miejscach, ale nie tutaj.

– Musiało mu się coś przytrafić - uznał Alvarado. - Albo został zabity, albo...

Nie musiał kończyć. Ani on, ani Costa nie darzyli Pizarra zaufaniem. Ciągle tylko gadał o złocie, którego jak dotąd nikt nie widział, i obiecywał bogactwa, które wciąż pozostawały nieodkryte. Mały człowiek z wielkimi marzeniami. Gubernator dwukrotnie odrzucił jego prośby o sfinansowanie ekspedycji, więc w desperacji zwrócił się o pomoc do Costy i swojego rywala, Alvarada.

Alvarado nie lubił Pizarra i nie ufał mu, ale potrafił go zrozumieć. Byli do siebie podobni, jak wyciosani z jednego kawałka drewna. Łączyło ich niskie pochodzenie i żądza sławy, dla której przybyli tu z Hiszpanii. Jednak zaledwie kilka miesięcy temu byli zaprzysięgłymi wrogami, więc całkiem możliwe, że Pizarro poszedł na współpracę z Alvaradem i Costą tylko po to, by przywieść ich do zguby.

– Natychmiast ruszamy na wybrzeże - powiedział Alvarado.

Widać było, że Costa nie jest zachwycony tym rozkazem.

– Coś nie tak, przyjacielu?

– Nie - zaprzeczył Costa. - Chodzi o to, że...

– No dalej, wykrztuś to z siebie.

– Kilku naszych ludzi zachorowało - powiedział Costa z wahaniem. - Mają gorączkę. To może być ospa.

Alvarado nie spodziewał się tak druzgocącej wieści.

– Chcę ich zobaczyć.

Costa zaprowadził go do największej z chat, która mogła być uprzednio miejscem zgromadzeń mieszkańców całej wioski. Mroczne wnętrze oświetlało płonące pośrodku ognisko, z którego dym ulatywał otworem w dachu. Kilku żołnierzy Alvarada leżało na gołej ziemi wokół ognia. Ich pozy zdradzały różne stadia cierpienia.

– Kiedy to się zaczęło?

– Wkrótce po tym, jak wyruszyłeś na poszukiwanie Pizarra.

W migotliwym świetle Alvarado przykląkł przy jednym z chorych. To był bardzo młody żołnierz, nieledwie chłopiec. Leżał na wznak z zamkniętymi oczami i twarzą skierowaną ku krytemu strzechą sklepieniu. Jego koszula przesiąkła potem, a na twarzy, szyi i piersi widać było niewielkie, czerwone plamy. Miał tak wysoką temperaturę, że biło od niego gorąco jak od otwartego ognia.

– To ospa - Alvarado potwierdził diagnozę Costy. - Ilu na nią zapadło?

– Ośmiu zostało złożonych chorobą. Trzej inni są w nieco lepszym stanie, ale ledwie trzymają się na nogach. Na pewno nie zdołają przejść szesnastu kilometrów, dzielących nas od wybrzeża.

Jedenastu chorych, kilku rannych i dwaj zabici. Alvaradzie zostało zaledwie dwudziestu ludzi zdolnych do walki.

– Musimy ich tu zostawić.

– Ależ Diego...

– Są zbyt chorzy, by iść, i ważą zbyt dużo, by ich nieść - stwierdził twardo Alvarado. - Jest nas bardzo mało. Naliczyłem dokoła trzydzieści chat. Każda mogła pomieścić liczną rodzinę. Przed przybyciem Pizarra mieszkało tu co najmniej dwustu ludzi. Nawet jeśli połowa z nich to kobiety i dzieci, nie zdołamy im się przeciwstawić. W dodatku mieszkańcy mogli ściągnąć do pomocy sąsiadów z okolicznych wiosek.

Słysząc tę ponurą kalkulację, Costa jeszcze bardziej spochmurniał.

– Może Francisco zawróci i przyjdzie nam z pomocą.

– Jest już za późno, by liczyć na jakąkolwiek pomoc. - Alvarado rozwiał jego nadzieje. - Ty i pozostali musicie ruszać natychmiast, póki jest jeszcze na to

czas.

– Ja i pozostali? - powtórzył Costa z niedowierzaniem. - Chyba nie zamierzasz tu zostać?

Alvarado otarł dłonią czoło, pokryte perlistym potem. Być może przyczyną był upał albo rana w nodze, ale podejrzewał, że to początek choroby, która dopadła jego ludzi.

– Tylko spowalniałbym marsz. Zbierz ludzi i wracajcie na statek. Odbijcie wraz z odpływem, a kiedy już oddalicie się od brzegu, płyńcie kursem północnym, który zaprowadzi was z powrotem do Panamy.

Costa przez chwilę patrzył mu w twarz, po czym nagle odwrócił się w kierunku wyjścia.

Alvarado chwycił go za przegub, ściskając tak mocno, jakby chciał połamać mu kości.

– Wypłać mojej rodzinie to, co jesteś mi winien. W przeciwnym razie będę cię dręczył zza grobu do końca życia.

Costa skwapliwie kiwnął głową. Być może była to jedyna obietnica w jego życiu, którą naprawdę bałby się złamać.

Po odejściu Costy z większością ludzi Alvarado poczuł, że ogarnia go gorączka. Sam uzbroił się w dwa arkebuzy i kuszę. Tym, którzy mogli utrzymać broń, rozdał nabite pistolety i po kilka łyków rumu.

Całą noc płonęły ogniska, gęsty dym snuł się nisko po ziemi, a oni czuwali i czekali. Wydawało się, że będą tak czekać w nieskończoność. Wreszcie pojawili się tubylcy.

Alvarado obserwował ich przez szparę w słomianej ścianie chaty. Poczekał, aż podejdą, i strzelił. Celował w najbliższą grupę napastników.

Błysk i huk wystrzału wystraszył ich, ale wkrótce nadeszli nowi z innych kierunków. Wbiegali między chaty ze wszystkich stron.

Padły strzały z pistoletów, kilku krajowców zastygło na ziemi, ale reszta hordy przebiegła po ciałach swoich pobratymców, a inni przebili się przez cienkie ściany i dołączyli do szturmu.

Alvarado wypalił z drugiego arkebuza, zabijając kolejnych dwóch tubylców. Trzeciego trzasnął dymiącą lufą swojej broni, ale chwilę później został powalony na ziemię.

Wypuścił bełt z kuszy w ciżbę napastników i wyciągnął sztylet, a wtedy ostrze kamiennego topora spadło mu na nadgarstek, pozbawiając go dłoni.

Wrzasnął z bólu i instynktownie chwycił drugą ręką krwawiący kikut, ale

pchnięcie oszczepem w plecy sparaliżowało go. Został unieruchomiony tam, gdzie leżał. Nie mógł nawet wydobyć z siebie głosu.

Leżący bezradnie na ziemi Alvarado przyglądał się, jak tubylcy masakrują jego chorych i umierających towarzyszy. Rąbali ich i dźgali bez litości. Szał mordowania trwał kilka minut; krew, pot i ślina tryskały na wszystkie strony.

Po wszystkim napastnicy odeszli, uznawszy Alvarada za martwego. Gasnącym wzrokiem widział, jak ciągnęli ze sobą do lasu kilku jeszcze żywych Hiszpanów. Nie dane mu było dowiedzieć się, co się z nimi stało.

Niewidzialne mikroby przenoszące ospę i odrę rozprzestrzeniały się z każdym oddechem, każdą strużką krwi i śliny. Rdzenni mieszkańcy Nowego Świata nigdy wcześniej się z nimi nie zetknęli. Nie mieli żadnej odporności na te zarazki, byli więc bezbronni wobec niewidzialnego wroga.

Już po tygodniu prawie wszyscy wojownicy uczestniczący w ataku zachorują lub będą walczyć ze śmiercią. Miesiąc później zaraza ogarnie całą wioskę. Do końca roku choroba dotrze do setek innych siedlisk, a po dziesięciu latach spustoszy cały region.

Niepowstrzymana epidemia ospy unicestwi imperium Inków i utoruje drogę hiszpańskiej konkwiście. Ostatecznie uśmierci ponad dziewięćdziesiąt procent rodowitej ludności Ameryki Południowej. Cały kontynent zostanie podbity niewidzialną bronią.

1.
Baza Sił Powietrznych USA Vandenberg, Kalifornia, czasy współczesne

Steve Gowdy siedział w wygodnym fotelu na górnym poziomie pogrążonej w półmroku sali operacyjnej bazy Vandenberg. Wyposażenie przypominało centra kontroli lotów kosmicznych NASA w Houston i na przylądku Canaveral, z tym że pomieszczenie było mniejsze, a jego obsługę, zamiast cywilów, stanowił wyłącznie personel wojskowy.

Gowdy dobiegał pięćdziesiątki. Miał na sobie szarą koszulkę polo i luźne, czarne spodnie, a cienka warstwa rzadkich ciemnoblond włosów nie była w stanie ukryć łysiejącej skóry głowy. Wyglądał jak golfista, szykujący się do pokonania osiemnastu dołków w lokalnym klubie country, turysta na jednodniowej wycieczce albo znudzony dyrektor średniego szczebla podczas ciągnącej się w nieskończoność nasiadówki. Tylko liczne drobne zmarszczki wokół przymrużonych oczu i mimowolne bębnienie palców po podłokietniku zdradzały jego wzmożoną uwagę.

Gowdy przyjechał do Vandenberg nie po to, aby zwiedzać bazę czy podziwiać najnowocześniejszą technologię, lecz w celu nadzorowania ostatniej fazy ściśle tajnej operacji, o której wiedziało zaledwie czterdziestu ludzi na całej kuli ziemskiej.

Projekt nosił kryptonim „Rubinowy śnieg”, co samo w sobie nie oznaczało niczego konkretnego, ale miało poetycki wydźwięk, który podobał się Gowdy'emu. Chodziło o samolot, sfinansowany przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego, którego użytkownikiem i dysponentem miały być Siły Powietrzne oraz członkowie Departamentu Obrony.

Gowdy napomniał się w duchu, że w tym przypadku użycie słowa „samolot” było nie na miejscu. Nighthawk był hybrydowym pojazdem latającym, połączeniem samolotu oraz statku kosmicznego, najnowszym przedstawicielem długiego szeregu konstrukcji pochodzących od wahadłowców. Najbardziej zaawansowania machina latająca, jaka

kiedykolwiek wzbiła się w przestworza, właśnie wracała na Ziemię po trzyletnim locie orbitalnym.

Potężny sztorm formujący się nad Pacyfikiem zmusił NSA do przyspieszenia wejścia w atmosferę o cały tydzień, ale poza tą drobnostką wszystko szło zgodnie z planem.

Gowdy obserwował procedurę powrotną w wysokiej rozdzielczości na ogromnych ekranach, tworzących przednią ścianę pomieszczenia. Na jednym z nich pojawiały się liczby i symbole, o których nie wiedział kompletnie nic ponad to, że wszystkie wyświetlały się na zielono.

Drugi ekran przedstawiał układ współrzędnych z naniesioną linią, opadającą ostro w dół od lewego górnego rogu, która mniej więcej pośrodku przechodziła do poziomu, a potem znów opadała ku prawej krawędzi. Na wykresie oznaczonym jako „Nighthawk - profil zniżania" była odwzorowana wysokość, prędkość i odległość samolotu. Jednak Gowdy skupiał uwagę na środkowym ekranie, na którym był wyświetlony satelitarny obraz obszaru Pacyfiku oraz zachodniego wybrzeża obu amerykańskich kontynentów.

Ikony reprezentujące Nighthawka oraz linia oznaczająca jego kurs wyróżniały się jaskrawymi kolorami. Ponieważ pojazd krążył po specyficznej orbicie okołobiegunowej, ścieżka powrotnego wejścia w atmosferę rozpoczynała się nad Antarktyką i biegła na ukos nad powierzchnią globu. Przechodziła nad Nową Zelandią, w odległości niecałych stu sześćdziesięciu kilometrów od jej wschodniego brzegu, następnie wiodła nad Wyspami Cooka i Tahiti. Omijała od południa Hawaje, a dalej jej przedłużenie prowadziło ku Vandenberg i pustynnym wyżynom Kalifornii. Do celu pozostawało jeszcze kilka tysięcy kilometrów, ale wobec prędkości lotu wynoszącej ponad osiem tysięcy kilometrów na godzinę przyziemienie miało nastąpić już za niecałe czterdzieści minut.

– Pojazd minął Max Q - rozbrzmiał echem anonimowy głos, dobiegający z systemu nagłaśniającego, potocznie nazywanego węzłem. - Osłona termiczna szczelna. Temperatura spada.

Max Q - ten termin Gowdy akurat znał. Był to punkt krytyczny, w którym naprężenia spowodowane czynnikami aerodynamicznymi w locie atmosferycznym osiągają maksymalną wartość, a najdrobniejsza wada lub uszkodzenie konstrukcji może doprowadzić do zniszczenia i utraty pojazdu.

Niepokój Gowdy'ego zelżał odrobinę po meldunku o minięciu Max Q. Nadal istniało wiele niebezpieczeństw, z których każde groziło katastrofą, ale

największa przeszkoda została już pokonana.

Gowdy spojrzał na środkowy poziom przypominającego amfiteatr pomieszczenia, gdzie znajdowało się stanowisko kierownika lotu. Zajmował je pułkownik pilot Frank Hansen, weteran sił powietrznych o stalowym spojrzeniu, mający za sobą trzydzieści lat służby, były wytrawny pilot myśliwski i doświadczalny, który w swoim czasie przeżył jedną kraksę i dwukrotne katapultowanie, a obecnie dowodził 9. Eskadrą Operacji Kosmicznych.

Hansen odwrócił się, pochwycił jego spojrzenie i kiwnął głową. Na razie wszystko idzie jak z płatka.

Spośród wszystkich kontrolerów, specjalistów od systemów oraz ekspertów zgromadzonych w pomieszczeniu, tylko on jeden, nie licząc Gowdy'ego, zdawał sobie sprawę z ogromu podjętego ryzyka i, jak słusznie przypuszczał Gowdy, jego także zżerały nerwy.

Hansen nacisnął włącznik interkomu. Z głośników popłynęły jego spokojne słowa:

– Meldować aktualny stan systemów.

Siedzący na najniższym poziomie pomieszczenia operatorzy przystąpili do działania. Każdy zajmował się jednym systemem: sterowaniem, telemetrią, napędem i tak dalej. Podobnie jak w przypadku widzów siedzących w kinie w pierwszym rzędzie, obserwowanie głównego ekranu z ich stanowisk groziłoby nadwerężeniem mięśni karku, jednak wszelkie niezbędne informacje były wyświetlane na ustawionych tuż przed nimi monitorach, dlatego nie odrywali od nich wzroku aż do chwili wykonania zadania.

Gowdy odchylił się na oparcie fotela i nie przestawał bębnić palcami, słuchając kolejnych meldunków płynących z węzła.

– Telemetria: sprawna.

– Elektryka: sprawna.

– Urządzenia sterownicze: sprawne.

I tak dalej, jeden po drugim męski lub żeński głos potwierdzał prawidłowe działanie systemów, aż wreszcie zgłosili się wszyscy operatorzy, z wyjątkiem jednego.

Nastąpiła irytująca przerwa w meldunkach. Hansen odczekał chwilę, po czym nacisnął przełącznik nadawania.

– Sterowanie, podaj aktualny stan.

Nie było odpowiedzi.

– Sterowanie?

Zapadła martwa cisza. Gowdy już nie bębnił palcami po pulpicie. Podczas żadnej z wielu symulacji nic takiego się nie zdarzyło, nie występowały nawet kilkusekundowe opóźnienia. Zerwał się z fotela i popatrzył w dół nad barierką na stanowisko operatora sterowania.

Młody, krótko ostrzyżony lotnik z szaleńczą prędkością przebierał placami po klawiaturze, przełączając kolejne ekrany.

– Sterowanie! - zawołał Hansen. - Melduj natychmiast!

– Sterowanie jest sprawne - odpowiedział wreszcie operator - ale występuje opóźnienie sygnału odpowiedzi.

Nighthawk był pojazdem bezpilotowym, sterowanym zdalnie z Vandenberg, dlatego system został skonfigurowany tak, aby przed wykonaniem manewru przesyłał zwrotnie każdą otrzymaną instrukcję do ośrodka kontroli lotu, podobnie jak pilot samolotu, który w celu weryfikacji powtarza polecenia kontroli ruchu powietrznego.

Gowdy klepnął swój przycisk interkomu i połączył się bezpośrednio z Hansenem z pominięciem węzła.

– Co jest grane? Co to ma znaczyć?

– Przyczyną opóźnienia sygnału odpowiedzi może być cokolwiek - odparł Hansen z wyćwiczonym spokojem w głosie. - Może to wskazywać na problemy w przetwarzaniu poleceń, jakiś błąd po naszej stronie, a nawet...

Nie dokończył, bo odezwał się operator telemetrii.

– Telemetria: alarm żółty. Okresowe zaniki sygnału.

Na ekranie z rzędami liczb dwa pola błyskały kolorem żółtym, a po chwili trzecie zaczęło migać na czerwono.

– Wykryto odchylenie kursowe - zameldował operator śledzenia. - Dwa stopnie na południe i rośnie... Pięć stopni na południe i rośnie...

Gowdy poczuł gwałtowny ucisk w gardle. Ponownie połączył się z Hansenem.

– Co się dzieje?!

Hansen był zbyt zajęty, by odpowiedzieć, więc Gowdy znów spojrzał na ekran. Linia przedstawiająca kurs Nighthawka uległa zakrzywieniu, a jej przedłużenie nie celowało już w Kalifornię, lecz w jakiś punkt w Ameryce Środkowej.

– Jedenaście stopni na południe i nadal rośnie - kontynuował operator śledzenia. - Redukcja prędkości, wstrzymanie zniżania. Lot poziomy,

wysokość dwadzieścia osiem tysięcy metrów.

Gowdy nie wierzył własnym oczom. Zamiast zniżać się zgodnie z planem, Nighthawk wyrównał na dwudziestu ośmiu tysiącach i w efekcie wytracił prędkość. W tej fazie lotu statek zachowywał się jak szybowiec, dlatego konieczne było utrzymywanie właściwego profilu zniżania. W przeciwnym razie, na skutek utraty prędkości, nie zdoła dolecieć do Kalifornii.

Gowdy poczuł drżenie nóg. Jedną ręką chwycił się barierki, a drugą wsadził do kieszeni, przebierając palcami w poszukiwaniu klucza.

– Ponowić komendy kierunkowe - rzucił krótko Hansen.

– Brak reakcji - odpowiedział operator.

– Zrestartować program sterujący.

– Restart w toku... Oczekiwanie na uruchomienie.

Gowdy zszedł po schodach na poziom Hansena i stanął przy swoim stanowisku. Pocił się jak mysz, drżały mu ręce, a palce zacisnęły się na kluczu, którego miał nadzieję nigdy nie użyć.

Dlaczego nagle wszystko się popsuło? Dziesięć lat badań naukowych i trzy lata w kosmosie. To niemożliwe, żeby całe przedsięwzięcie na sam koniec wzięło w łeb.

– Dwadzieścia jeden stopni na południe - powiedział operator sterowania. - Wysokość dwadzieścia osiem tysięcy, prędkość zmalała do sześciu i pół tysiąca.

– Co się dzieje?! - Gowdy wrzasnął do Hansena, nie bawiąc się w interkomy i zachowywanie pozorów spokoju.

– Utraciliśmy kontrolę.

– To widzę - warknął Gowdy. - Dlaczego?

– Przyczyna nieznana - odparł Hansen. - Wykonuje prawy zwrot o stałym promieniu. Być może uszkodzeniu uległo skrzydło lub statecznik pionowy. To jednak nie tłumaczy problemów z telemetrią i opóźnienia sygnału odpowiedzi.

Gowdy obracał w palcach klucz trzymany w kieszeni. To on odpowiadał za przerwanie operacji w przypadku zagrożenia, to było jego zadanie. Jeśli zrobi to zbyt wcześnie, przed wyczerpaniem wszelkich możliwości, popełni błąd, jeśli się jednak spóźni... może dojść do niewyobrażalnej katastrofy.

Zrobił krok w przód. Już nie zważał na to, że narusza przestrzeń osobistą Hansena.

– Ustaw to piekielne ustrojstwo z powrotem na kursie.

Hansen naparł na niego, niemal popychając go na fotel. Panowie od początku szczerze się nie znosili. Hansen uważał, że ktoś nieznający się na fizyce i astronautyce w ogóle nie powinien uczestniczyć w programie. Z kolei Gowdy zarzucał pułkownikowi arogancję i ciągłe podważanie swojego autorytetu. Góra zmusiła ich do współpracy, więc jakoś to ciągnęli, aż do teraz.

– Otrzymujemy niepełne dane z transpondera - zameldował operator telemetrii. - Tracimy sygnał.

– Zrestartować transponder - rozkazał Hansen. - Jeśli padnie transponder, nie będziemy znali pozycji Nighthawka. Jest poza zasięgiem radaru pierwotnego.

Gowdy siedział bez ruchu. Czuł dziwne odrętwienie w całym ciele i jak w transie przysłuchiwał się nerwowej wymianie zdań. Zasięg radaru nie miał żadnego znaczenia. Nighthawk został skonstruowany zgodnie z najbardziej zaawansowaną technologią stealth. W odróżnieniu od innych statków kosmicznych był całkiem czarny, a więc niewidoczny dla teleskopów, ponadto jego powłokę wykonano z najnowocześniejszego materiału, całkowicie pochłaniającego fale radiowe w paśmie wykorzystywanym przez radary.

Podniósł wzrok. Pojazd zmierzał teraz ku wybrzeżu Ameryki Południowej z prędkością pięciu i pół tysiąca kilometrów na godzinę. Zataczał coraz łagodniejszy łuk, prędkość nadal spadała. Półprzezroczyste, pomarańczowe koło na mapie, oznaczające przewidywany obszar przyziemienia, z każdą sekundą miało coraz mniejszą średnicę, wciąż przesuwało się na południe i znajdowało się już poza terytorium Stanów Zjednoczonych.

Wobec takiego rozwoju sytuacji Gowdy musiał zrobić to, co do niego należało. Dalsza zwłoka byłaby bezcelowa.

Wyciągnął z kieszeni czerwony klucz i włożył go do otworu w pulpicie. Po jego obróceniu część pulpitu tuż nad nim otworzyła się i spod spodu wysunął się niewielki panel, który wypełnił powstałe puste miejsce. Panel był oznaczony schodzącymi się pod kątem czarno-żółtymi liniami. Z jego środka sterczał czerwony przycisk, zabezpieczony od góry metalowymi sztabkami przed przypadkowym naciśnięciem.

Gowdy popatrzył na ekran. Otrzymywali teraz nieprawidłowe dane dotyczące pozycji Nighthawka, tak jakby znajdował się jednocześnie w kilku miejscach. Echa błyskały tu i tam, ale generalnie pojazd zachowywał kurs południowy, zmierzając ku wyspom Galapagos i leżącemu za nimi wybrzeżu

Ekwadoru.

– Restart systemu sterowania zakończony - zameldował operator.

– I co?! - spytał nerwowo Hansen.

– Brak reakcji.

– Wystarczy - szepnął Gowdy. Przekręcił klucz w prawo. Czerwony przycisk się zaświecił.

– System autodestrukcji uzbrojony - rozległ się syntetyczny, komputerowy głos.

Gowdy puścił klucz i sięgnął do przycisku.

Silna dłoń zacisnęła mu się na nadgarstku, powstrzymując jego ruch.

Obok niego stał Hansen.

– Oszalałeś?! - warknął pułkownik.

– Zszedł z kursu - odparł Gowdy. - Nie możemy dopuścić, by spadł na zaludniony obszar. Zbyt wielkie ryzyko, że wydarzy się najgorsze.

Hansen nie puszczał ręki Gowdy'ego.

– Najgorsze już się wydarzyło w momencie, w którym sprowadziliśmy Nighthawka wraz z jego ładunkiem z powrotem w atmosferę. Zniszczenie go w tej chwili będzie miało katastrofalne skutki.

Oszołomiony Gowdy zamrugał oczami. Czuł zamęt w głowie. Rzeczywiście niczego nie rozumiał. Nie bez powodu Hansen od samego początku wytykał mu brak jakiegokolwiek przygotowania naukowego.

Nagle Nighthawk zniknął z ekranu, podobnie jak linia na wykresie profilu zniżania. Wszystkie liczby, wyświetlające się na ekranie po lewej, zastygły i zaczęły migać na czerwono.

– Brak danych telemetrycznych - zameldował inny operator obojętnym głosem. - Utrata kontaktu z Nighthawkiem.

Szmer przeszedł po pomieszczeniu. Zabrzmiało to jak strach. Gowdy gapił się w ekran z nadzieją, że linia oznaczająca kurs pojawi się na nowo. Nie odezwał się ani słowem aż do chwili, gdy ostatnia z wielu prób przywrócenia łączności z Nighthawkiem zakończyła się porażką.

Nagle na ekranie pojawiła się nowa liczba, a jej wartość zaczęła szybko maleć.

– Co to? - spytał Gowdy.

– Czas do zetknięcia się z ziemią - powiedział Hansen z ponurą szczerością. - Maksymalny czas utrzymywania się w powietrzu do osiągnięcia wysokości zero.

Licznik bił nieubłaganie, z minut zrobiły się sekundy, aż wreszcie zastygł na wartości 0:00:00.

– Co teraz? - W głosie Gowdy'ego słychać było bezradność.

– Dajcie mi bezpośredni obraz satelitarny - rozkazał Hansen. - Szeroki kąt, południowy Pacyfik i zachodni brzeg Ameryki Południowej.

Operatorzy bez pytania zastosowali się do rozkazu. Na ekranie, jeden po drugim, pojawiały się obrazy z satelitów. Gowdy zapatrzył się na przepełnioną spokojem scenerię. Chmury unosiły się nad Pacyfikiem. Zachodnie wybrzeże Ameryki Południowej ostro odcinało się od błękitnych wód oceanu. Tropikalny niż nad obszarem Pacyfiku wirował majestatycznie jak kręcąca się w zwolnionym tempie karuzela.

Panował całkowity spokój.

– Czego szukasz? - spytał Gowdy.

Groźny pułkownik lotnictwa zwrócił twarz w stronę gryzipiórka z NSA, którego obecność musiał znosić od tak dawna, po czym zaczerpnął głęboko powietrza i wypuścił je z płuc. Wyglądało to raczej na westchnienie ulgi niż objaw zdenerwowania.

– W razie braku łączności z ziemią Nighthawk przechodzi w autonomiczny tryb sterowania. Po określeniu aktualnej pozycji i skalkulowaniu, że dotarcie do Vandenberg jest niemożliwe, statek uruchamia awaryjne procedury zniżania, zwalnia do odpowiedniej prędkości, a następnie bezpiecznie ląduje... na spadochronie.

– Skąd ta pewność, że już nie uległ zniszczeniu? - zaatakował Gowdy, próbując ratować swój nadszarpnięty autorytet. - Skąd wiesz, że system automatycznego lądowania nie zawiódł tak samo jak cała reszta?

– Bo nadal jeszcze żyjemy - odparł Hansen.

Trwało to chwilę, ale wreszcie do Gowdy'ego zaczęła docierać powaga sytuacji. Spojrzał jeszcze raz na bezpośredni obraz satelitarny, na którym nie widać było niczego niepokojącego.

– Ile mamy czasu?

Hansen wykonał szybkie obliczenie w pamięci.

– Siedem dni - oznajmił. - Mniej, jeśli doszło do uszkodzenia ogniw paliwowych, paneli słonecznych lub akumulatorów.

Gowdy popatrzył na rozciągający się na ekranie rozległy przestwór południowego Pacyfiku. Siedem dni na przetrząśnięcie tego obszaru to jak szukanie igły w stogu siana na czas. Siedem dni na znalezienie i rozbrojenie

tykającej bomby, która może ruszyć z posad bryłę świata.

2.
Kohala Point, Hawaje

Kurt Austin siedział okrakiem na desce surfingowej, unoszącej się na ciepłych wodach Pacyfiku niecały kilometr od latarni morskiej Kohala na Wielkiej Wyspie, w archipelagu Hawajów. Kołysał się w stałym rytmie na falach, a tropikalne słońce przyjemnie prażyło jego opaloną skórę. Napiąwszy mięśnie, ze spokojem obserwował trzymetrową falę, której wyniosły grzbiet zaczynał załamywać się na przybrzeżnej płyciźnie.

Na szczycie fali pojawiła się sunąca od lewej smuga białej piany, która zdawała się ścigać unoszącego się na wodzie surfera, ale on nadal płynął z niezmienną prędkością, po czym zawrócił w kierunku plaży i przyspieszył, a wypiętrzony grzywacz załamał się tuż za jego plecami.

Potężna masa wody uderzyła w magmowe skały na południowym krańcu plaży z hukiem gromu, akcentując rytm jedynej w swoim rodzaju morskiej symfonii.

– Mógłbym słuchać tej muzyki bez końca - wyrwało się Kurtowi.

– To dlatego, że jesteś *kaikane* - powiedział z hawajskim akcentem płynący obok surfer. - To znaczy „zrodzony z morza”.

Kurt zerknął w prawo, na dosiadającego krótkiej deski, atletycznie zbudowanego Hawajczyka, którego ramiona i plecy pokrywał polinezyjski tatuaż, niemal identyczny z motywem wymalowanym na desce. Sympatyczna, okolona czarnymi lokami twarz mężczyzny promieniowała ciepłym uśmiechem. Nazywał się Ika, ale wszyscy mówili na niego Ike.

– Chyba masz rację - przyznał Kurt, odwzajemniając jego uśmiech.

Trzydziestoparoletni Kurt Austin dorastał na północno-zachodnim wybrzeżu Pacyfiku, gdzie większość wolnego czasu poświęcał żeglowaniu, łowieniu ryb i pływaniu. Już jako nastolatek nauczył się nurkować, gdy pracował w prowadzonym przez ojca przedsiębiorstwie ratownictwa okrętowego. Spędził szmat czasu pod wodą, początkowo w firmie ojca, potem służąc w marynarce, a następnie w specjalnej jednostce CIA, zajmującej się

wydobywaniem wraków i podmorskimi pracami technicznymi.

Po odejściu z CIA zatrudnił się w NUMA, Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych, rządowej organizacji, której zadaniem była eksploracja i ochrona mórz i oceanów.

O dziwo, wraz z rozwojem jego kariery najnowsze zdobycze techniki coraz bardziej odgradzały go od wody. Schodzenie pod powierzchnię w samych kąpielówkach zmieniło się w nurkowanie w mokrym, a następnie w suchym skafandrze. Te z kolei zostały zastąpione przez stosowane na dużych głębokościach skafandry ciśnieniowe, w których był zamknięty jak podmorski astronauta. A teraz coraz częściej korzystał z pojazdów podwodnych, zarówno z bezzałogowych robotów, zdalnie sterowanych z powierzchni, jak i z miniaturowych łodzi podwodnych, które ze względu na utrzymywane w nich stałe ciśnienie i temperaturę można było pilotować w samych szortach i T-shircie. Dlatego też, po zakończeniu prac nad projektem prowadzonym na wyspie Oahu, postanowił powrócić do bliższego kontaktu z wodą i znów poczuć rytm morza.

Hawaje nieodmiennie kojarzą się z surfingiem. Krótki trening wystarczył, by Kurt zaczął łapać coraz większe i szybsze fale w nieustannym dążeniu do perfekcji.

Po kilku tygodniach radził sobie niemal równie dobrze jak miejscowi trenerzy, z którymi szybko się zaprzyjaźnił. Opalony na brąz mógłby uchodzić za rodowitego Hawajczyka, gdyby nie grzywa przedwcześnie posiwiałych włosów.

– Rytm morza się zmienia. - Ike obejrzał się za siebie. - Czujesz to?

Kurt skinął potakująco głową.

– Fale są szybsze i napływają w krótszych odstępach czasu.

Gdzieś w oddali szalał sztorm. Wciąż pozostawał poza linią horyzontu, ale zaczynał nabierać mocy cyklonu, pchając przed sobą coraz większe fale.

– Niedługo morze zacznie szaleć i będą nici z surfowania - stwierdził Ike.

– A więc korzystajmy, póki czas - odrzekł Kurt.

Położył się płasko na desce i szybko powiosłował w kierunku strefy łamania fal.

Ike zrobił to samo. Płynęli w stronę brzegu, zwiększając tempo i odległość między sobą. Potężne wały wodne przelewały się pod nimi. W pewnej chwili Kurt wyczuł, że zbliża się prawdziwy gigant, największa fala tego dnia.

Chciał właśnie takiej fali, niosącej ze sobą w równym stopniu

niebezpieczeństwo i moc. Szybciej powiosłował rękami, a kiedy czoło fali podsadziło się pod deskę, przyklęknął na jedno kolano. Z idealnym wyczuciem czasu stanął na obu nogach i wystartował, nabierając prędkości w momencie, gdy grzbiet fali zaczął zawijać się tuż za nim.

Ike śmigał przed nim, zostawiając za sobą pienisty ślad, jakby jego deska napędzana była silnikiem rakietowym. Na twarzy Kurta pojawił się szeroki uśmiech. Przepełniało go niezwykłe poczucie bezpośredniego połączenia ze źródłem ogromnej mocy, tkwiącym w głębinach oceanu.

Pomknął nieco w prawo w poprzek wodnego zbocza, trzymając się tuż przed zawiniętym szczytem fali, który zaczynał już formować wielką rurę za jego plecami. Opuścił rękę i wsunął palce do wody, opadając lekko do tyłu, i po chwili znalazł się w przezroczystym błękitnym tunelu, utworzonym z tafli płynnego szkła.

Fala ryczała jak żywa istota, próbująca pochwycić go jak Scylla albo Charybda, ale zanim to nastąpiło, Kurt wyrwał się z jej objęć i wypadł na otwartą przestrzeń.

Ujrzał przed sobą Ikea i jeszcze jednego surfera, który złapał tę samą falę. Manewrowali trochę zbyt blisko siebie i Ike był zmuszony odpuścić. Zrobił ostry zwrot i uniknął kolizji, ale drugi surfer przegrał z prędkością i mocą załamującego się grzywacza i wpadł do wody.

Kurt skręcił, by go ominąć, a wtedy morze zaskoczyło ich wszystkich, bo fala wypiętrzyła się nagle i runęła na całą trójkę.

Jeszcze przed chwilą cieszyli się jazdą tuż przed zawijającym się grzbietem grzywacza, a teraz cały front fali załamał się jednocześnie. Góra wody zwaliła się Kurtowi na ramiona, strąciła go z deski i wtłoczyła pod powierzchnię.

Zanurzył się głęboko i uderzył o piaszczyste dno. Rozciął sobie ramię o jakiś odłamek magmowej skały i poczuł krótkie szarpnięcie za nogę. To zerwała się smycz, czyli umocowana przy kostce linka łącząca go z deską.

Ogromna fala przyciskała go do piasku, ale Kurt, doświadczony nurek, nie dał się ponieść panice. Zaczekał na powrotny prąd przyboju, który zabrał ze sobą wirujące wokół niego drobinki osadu. Kiedy woda zrobiła się dość przejrzysta, by dostrzec docierające z góry światło, odbił się mocno stopami od dna.

Wypłynął na powierzchnię i natychmiast rozejrzał się dokoła. Kolejna fala wznosiła się nad nim jak góra, a jego deska, ciśnięta na płytką wodę, sunęła ku plaży. Ike także wylądował na płyciźnie, ale już wciągnął się z powrotem

na deskę i wiosłował rękami jak szalony w kierunku otwartego morza.

Kurt natychmiast pojął przyczynę - nigdzie nie było widać trzeciego surfera. Poszedł pod wodę i nie wypłynął.

Kurt zaczerpnął głęboko powietrza i zanurkował prosto pod nacierającą na niego falę. Poczuł gwałtowny napór przypływu, który pochwycił go, ale zaraz wypuścił, nie zdoławszy zamknąć go w swym uścisku. Słyszał głuchy pomruk załamującej się nad nim fali i usiłował przebić wzrokiem chmurę piasku, która nagle wystrzeliła w jego kierunku.

W mroku przed sobą dostrzegł niewyraźne mignięcie żółci i czerwieni, przygaszone odcieniem wody i zamazane ułomnością ludzkiego wzroku, niedostosowanego do tego środowiska. Odepchnął się mocno do przodu skoordynowanym ruchem nóg i ramion, by po chwili dotknąć krawędzi deski surfingowej, zaklinowanej na dobre w skalnej szczelinie. Przesunąwszy po niej dłońmi, natrafił na smycz, chwycił ją i przyciągnął nieprzytomnego surfera do siebie, po czym zerwał zapinany na rzep pasek z jego nogi.

Pojawił się prąd powrotny. Nadchodziła kolejna fala. Kurt przycisnął do siebie bezwładne ciało, ponownie odbił się od dna i wynurzył na powierzchnię.

Nadal mocno trzymał przytopionego surfera i popłynął w kierunku brzegu. Kolejna fala załamała się tuż za nimi, pchając ich naprzód w bryzgach wody i piany. Kiedy znaleźli się na płyciźnie, kilku innych surferów ruszyło im na pomoc. Chwycili poszkodowanego za nogi i ramiona i wyciągnęli na plażę.

Obok Kurta pojawił się Ike, postawił go na nogi i wyprowadził z wody na piasek.

– Co z nim? W porządku? - wysapał Kurt. Wsparł ręce na biodrach i dyszał ciężko, starając się napełnić płuca ożywczym tlenem.

Podtopiony surfer leżał na boku kilka metrów dalej, kaszląc i wypluwając wodę. Jeden z towarzyszących mu mężczyzn pokiwał twierdząco głową.

Ike wyszczerzył zęby w uśmiechu i podsunął Kurtowi pod nos postrzępiony koniec jego smyczy.

– Popatrz, zerwałeś smycz. Teraz jesteś prawdziwym surferem wielkich fal. - Zaśmiał się z własnego dowcipu i wymierzył Kurtowi przyjacielskiego kuksańca.

– Wolałbym, aby ta jazda skończyła się inaczej - odrzekł Kurt. - Co się stało z tą falą? Wydawało się, że wszystko idzie doskonale i nagle...

Ike wzruszył ramionami.

– Widzisz, bracie, każda fala jest inna. Na tym polega ten sport. *Moana* pozwoli ci się bawić ze sobą, ale od czasu do czasu powie ci: Jestem groźna. Jestem nieprzewidywalna. Pewnego dnia pochwycę cię w objęcia. To będzie chwila prawdy, kiedy przekonasz się, że nie sposób mnie okiełznać. Znajdziesz się na mojej łasce i to ja zdecyduję, czy uwięzić cię w głębinach, czy wypuścić na wolność.

Kurtowi spodobało się to poetyckie wyjaśnienie, więc nie silił się na równie górnolotną odpowiedź, tylko popatrzył na morze i z szacunkiem skinął mu głową. Fale wciąż rosły, nadchodził sztorm. *Moana* już nie pozwoli im na zabawę tego dnia.

Z zadumy wyrwał go jakiś okrzyk. Ktoś krzyczał głośno:

– Kurt Austin!

W tonie wołającego wyraźnie pobrzmiewała oficjalna nuta, co zdecydowanie nie pasowało do plaży, pełnej lokalnego kolorytu.

Kurt podniósł wzrok i ujrzał idącego od drogi mężczyznę w czarnych spodniach, eleganckich pantoflach i białej koszuli z kołnierzykiem zapinanym na guziki. Przybysz miał wąskie ramiona i biodra, szedł sztywno, jakby połknął kij i najwyraźniej nie przyjechał tu, żeby się poopalać. Jego biały SUV stał zaparkowany na skraju drogi.

– Kurt! - zawołał mężczyzna, podchodząc bliżej.

– Na twoim miejscu bym nie odpowiadał. - Ike nachylił się do przyjaciela. - Facet wygląda mi na gliniarza w cywilnych łachach.

– Chciałbym, żeby tak było - westchnął Kurt. Na pierwszy rzut oka rozpoznał w przybyszu urzędnika administracji państwowej. Być może pewnym ułatwieniem było to, że tego akurat znał osobiście. - Rudi Gunn. - Wyciągnął dłoń do zastępcy dyrektora NUMA. - Nie wiedziałem, że jesteś na wyspie. Zaprosiłbym cię na plażę, żebyś też sobie trochę posurfował.

– Przyjechałem kilka godzin temu - wyjaśnił Rudi, ściskając mu prawicę. - Zresztą byłem świadkiem wypadku, jaki wydarzył się tu przed chwilą, musiałbym więc uznać takie zaproszenie za próbę pozbycia się mnie w celu przejęcia mojego stanowiska.

– Żeby całymi dniami tonąć w stosach papierów? Dziękuję, to nie dla mnie. Co cię sprowadza?

– Próbowałem się z tobą skontaktować - odrzekł Rudi. - Masz pewnie z dziesięć wiadomości na telefonie.

– Telefon i surfowanie nie idą ze sobą w parze - powiedział Kurt. - To gdzie

się pali?

– A kto mówi, że gdzieś się pali?

Kurt zmierzył go sceptycznym spojrzeniem.

– No dobra - skapitulował Rudi. - Zdaje się, że mamy jakiś pożar, inaczej nie wysłaliby mnie, żebym cię ściągnął, ale nie wiem, o co konkretnie chodzi. Miałem szczęście, że boy z twojego hotelu widział, jak taszczyłeś deskę w tę stronę.

– A to gnojek, właśnie stracił swój napiwek - burknął Kurt.

– Wierz mi, aż nadto wystarczy mu to, co dostał ode mnie - zapewnił go Rudi.

Kurt wiedział, że czas się zbierać. Popatrzył na surfera, którego wyciągnął z topieli. Młody chłopak uśmiechał się teraz szeroko i podziękował mu gestem *shaka:* ruchem nadgarstka z wyprostowanym kciukiem i małym palcem.

Kurt pozdrowił go w ten sam sposób i zwrócił się do Ikea:

– Jak widać, nie tylko morze jest nieprzewidywalne. Okazało się, że czeka na mnie jakaś pilna robota.

Włożył czarny T-shirt i chwycił plecak, który wziął ze sobą na plażę. Idąc wraz z Rudim do samochodu, zadał oczywiste pytanie:

– Czy teraz, kiedy już nikt nas nie słyszy, możesz powiedzieć, o co chodzi?

Gunn pokręcił przecząco głową.

– Powiem tylko to, co zawsze, że kluczowym czynnikiem jest czas.

Kurt zorientował się, że Rudi wie więcej, ale w NUMA nikt nie mógł mu dorównać w trzymaniu języka za zębami. Najwyraźniej ukończenie West Point z pierwszą lokatą wiązało się z narzuceniem sobie bezwzględnej samodyscypliny.

– Ale chyba dasz mi chwilę na prysznic i zmianę ciuchów?

Gunn ponownie pokręcił głową.

– Widzę, że jednak nie zrozumiałeś.

3.

Rudi zajechał na regionalne lotnisko Upolu na północnym krańcu wyspy. Lśniący turkusowy gulfstream czekał na płycie postojowej z uruchomionymi silnikami. Samolot, w którym Kurt rozpoznał model o powiększonym zasięgu, był własnością NUMA.

Ledwie Kurt i Rudi zajęli miejsca, maszyna była gotowa do odlotu. Chwilę później pędzili z rykiem silników po pasie startowym. Po długim rozbiegu gulfstream zaczął się wznosić, skręcając w kierunku wschodnim.

Podczas nabierania wysokości Kurt wyglądał przez okno. W oddali ujrzał ciemne chmury tropikalnego niżu, z powodu którego powstawały fale bijące o brzeg. Uchylił wyimaginowanego kapelusza potężnemu sztormowi, po czym spojrzał z uwagą na Rudiego.

Spośród wszystkich pracowników NUMA Rudi stanowił największą zagadkę. Choć zbliżał się już do pięćdziesiątki, nie stracił nic ze swego zaangażowania i precyzji, które były jego znakiem firmowym. Żywiołowy, a zarazem dyskretny, nawet w żartach i podczas zabawy nie tracił czujności. Jego umysł zawsze pracował na wysokich obrotach. Nawet teraz, w milczeniu zastanawiając się nad tematem czekającej ich rozmowy, Kurt wyczuwał, że Rudi planuje, koordynuje i przegrupowuje w myślach siły i środki. Był geniuszem logistyki i miał niezwykły dar organizowania każdego przedsięwzięcia w najskuteczniejszy z możliwych sposobów.

Kurt nie chciał mu przeszkadzać. Odezwał się dopiero po dwudziestu minutach obustronnego milczenia.

– Kiedy pojawi się stewardesa? Mam ochotę się napić.

– Przecież wiesz, że na pokładach samolotów NUMA spożywanie alkoholu zostało zakazane.

Kurt zachichotał w duchu. Legalista w każdym calu, jak zawsze.

– Miałem na myśli wodę mineralną albo, jeszcze lepiej, butelkę zimnej coli.

– Ach tak, przepraszam - zmitygował się Rudi. - Proszę, częstuj się. - Wskazał

lodówkę.

Kurt rozpiął pas i podszedł do miniaturowej chłodziarki. Otworzył drzwiczki i wyłowił z wnętrza dwie butelki z tylnego rzędu, gdzie powinny być najzimniejsze. Szkło, nie plastik, pomyślał. Dostrzegł na etykiecie nadruk wykonany drobną czcionką. Napis składał się z hiszpańskich słów, co mogło sugerować, że pokładowe zapasy odnawiano za południową granicą. Obróciwszy butelkę w dłoni, Kurt znalazł adres rozlewni. Kiwnął niezauważalnie głową i zamknął lodówkę.

Wrócił na miejsce, otworzył obie butelki i jedną podsunął Rudiemu.

– Musimy pogadać - powiedział. - Długi rozbieg i powolne wznoszenie to znak, że paliwa zatankowaliśmy pod korek. Z naszego kursu wynika, że nie lecimy na Oahu ani do Los Angeles, a twoja zmięta koszula świadczy, że musiałeś spędzić sporo czasu na pokładzie tego samolotu. Przypuszczam, że jedynym celem twojej podróży było znalezienie mnie i ściągnięcie w to samo miejsce, z którego wyruszyłeś. Teraz pytanie: dokąd lecimy? Ameryka Południowa?

Podczas przemowy Kurta Rudi nalewał sobie colę do szklanki.

– Mówisz Ameryka Południowa? - upewnił się. - Tak sobie wydedukowałeś?

– Owszem.

– To spory kawałek lądu - odparł Rudi z szerokim uśmiechem. - Mógłbyś postarać się o większą dokładność?

Przez chwilę Kurt udawał głęboki namysł, choć dobrze wiedział, co zamierza powiedzieć.

– Ekwador.

Brwi Rudiego wygięły się do góry w wyrazie zdumienia.

– A dokładnie Guayaquil - dodał Kurt.

Teraz Gunn osłupiał do reszty.

– Z całym szacunkiem dla wielkiego Johnny'ego Carsona, ale jego Carnac mógłby ci buty czyścić.

– No, może niezupełnie. - Kurt uśmiechnął się i wskazał na butelkę po coli. - Została napełniona w Quito. Ale to miasto leży w głębi lądu. Największym portem Ekwadoru jest Guayaquil, a my przecież będziemy pracować gdzieś na morzu.

– No cóż - powiedział Gunn. - Chyba nadal jestem pod wrażeniem.

Zadzwonił czerwony telefon z boku jego fotela. Rudi odebrał i słuchał przez chwilę w milczeniu.

– Jesteśmy gotowi - powiedział wreszcie. - Połączcie ich.

– Kto będzie prowadził odprawę, jeśli nie ty? - zdziwił się Kurt.

– Kolega z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

– Czyli od teraz pracuję dla NSA? - spytał Kurt. Zdarzało mu się wcześniej świadczyć dla nich usługi.

– Nie tylko ty - odrzekł Gunn. - Wszystkie statki NUMA i wszyscy pracownicy w promieniu ośmiu tysięcy kilometrów.

Teraz Kurt uniósł brwi ze zdumienia. Przyczyną tego stanu rzeczy mogło być tylko jedno.

– Ani chybi coś zgubili.

Gunn nie potwierdził ani nie zaprzeczył.

– Lepiej niech sami to wyjaśnią.

Płaski monitor wiszący na poprzecznej ściance kabiny ożył. Pojawił się na nim fragment sali konferencyjnej ze stołem prezydialnym, za którym siedzieli dwaj mężczyźni - oficer lotnictwa z licznymi baretkami na niebieskiej kurtce mundurowej oraz cywil w koszuli i krawacie.

Pierwszy odezwał się cywil.

– Dzień dobry. Nazywam się Steve Gowdy i kieruję sekcją projektów pozaatmosferycznych Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

– Jakich projektów? - spytał Kurt.

– Pozaatmosferycznych, czyli w wielkim skrócie takich, które są prowadzone powyżej stratosfery. Chodzi między innymi o nasze satelity oraz orbitery promów kosmicznych.

Kurt kiwnął głową na znak, że rozumie, a Gowdy pochylił się do kamery jak prezenter telewizyjnych wiadomości.

– Zanim zacznę, muszę uświadomić wam, że chodzi o projekt najwyższej wagi, a co za tym idzie, objęty klauzulą najściślejszej tajemnicy.

– Jak niemal wszystko, co robicie w NSA. - Kurt pozwolił sobie na lekką kpinę, bo już wcześniej słyszał podobne zastrzeżenia, po czym dodał: - Przyjąłem do wiadomości.

Gunn uśmiechnął się, ale Gowdy najwyraźniej nie był w nastroju do żartów.

– Niestety, w ostatniej fazie realizacji projektu sprawy wymknęły się spod kontroli - ciągnął Gowdy. - Konkretnie chodzi o eksperymentalny statek kosmiczny podczas procedury wejścia w atmosferę nad południowym Pacyfikiem.

Kurt słyszał co nieco o operacjach kosmicznych prowadzonych przez NSA.

– X-37 - powiedział, nawiązując do głośnego samolotu kosmicznego NSA, który został umieszczony na orbicie za pomocą rakiety i wrócił na Ziemię lotem ślizgowym, podobnie jak prom kosmiczny.

– Nie - zaprzeczył Gowdy. - Pojazd nazywa się Nighthawk. Jego oficjalne oznaczenie kodowe to VXA-01. Jest pierwszym egzemplarzem tego typu. W pewnym sensie X-37B był jego prototypem, który służył jako latające stanowisko testowe do badania określonych rozwiązań technicznych. Nowy pojazd jest dwa razy większy od X-37 i ma dużo większe możliwości.

– Robi wrażenie - stwierdził Kurt. - Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Nawet jednej pogłoski.

– Nie chwaliliśmy się naszą pracą - przyznał Gowdy. - Otoczone aurą tajemniczości loty X-37 skutecznie zajmowały uwagę opinii publicznej i stanowiły pożywkę dla teorii spiskowych. My tymczasem zbudowaliśmy Nighthawka i posłaliśmy go w przestrzeń kosmiczną na ponad trzy lata. Niestety, podczas wejścia w atmosferę zszedł z kursu i przestał reagować na komendy.

– A teraz martwimy się, że Klingoni ubiegną nas w praktycznym zastosowaniu technologii warp, czy tak? - spytał Kurt.

Gowdy siedział przez chwilę w całkowitym milczeniu, zanim udzielił odpowiedzi.

– Napęd warp nie istnieje - oznajmił ze śmiertelną powagą - ale Nighthawk jest najbardziej zaawansowanym statkiem powietrznym, jaki został kiedykolwiek zbudowany. Do jego skonstruowania użyto materiałów, wyprzedzających o dwie generacje to, co wykorzystują europejskie, chińskie i rosyjskie agencje kosmiczne. Użyłem określenia statek powietrzny, bo wyglądem przypomina samolot, ale poza wszelką wątpliwością jest to statek kosmiczny. Może manewrować na orbicie, prowadzić działania autonomiczne oraz wykonywać zadania, jakie w przypadku promów kosmicznych pozostawały w sferze marzeń. Co prawda nie ma napędu warp, ale jest wyposażony w rewolucyjny jonowy system napędowy, który może być wykorzystywany do podróżowania z Ziemi na Księżyc i skróci czas lotu na Marsa o połowę.

Kurt kiwnął głową.

– A teraz chcecie, żebyśmy go dla was poszukali.

– Wejdziecie w skład zespołu odpowiedzialnego za określony sektor strefy poszukiwań. W pobliżu będą pracować siły morskie z Pearl i San Diego.

Słuchając Gowdy ego, Rudi Gunn otworzył neseser, wyciągnął z niego skoroszyt i podał Kurtowi.

Kurt kantem dłoni rozciął zabezpieczającą go wytłaczaną banderolę. Wewnątrz znajdowały się informacje dotyczące Nighthawka: trajektoria lotu, sekwencje czasowe i mapa.

– Jak widzicie - kontynuował Gowdy - kontakt urwał się gdzieś w połowie drogi między Polinezją Francuską a wybrzeżem Ameryki Południowej. Na podstawie ostatnich danych telemetrycznych oraz prędkości i wysokości lotu pojazdu uważamy, że spadł gdzieś na wschód od wysp Galapagos.

Kurt wpatrywał się w zdjęcie satelitarne z naniesionymi czerwonymi liniami, które zakreślały rozszerzający się stożek prawdopodobieństwa z wierzchołkiem tuż na wschód od Galapagos. Jego krawędzie tworzyły pochyloną literę V, z ramionami celującymi w Ekwador i Peru. Obszar był podzielony na sekcje z wyliczonym prawdopodobieństwem miejsca upadku pojazdu.

– Czy Nighthawk ma awaryjny nadajnik lokalizacyjny? - spytał Kurt.

– Tak - odparł Gowdy - ale nie odbieramy żadnego sygnału.

– Wobec tego będziemy szukać szczątków - zawyrokował Kurt.

– Nie - zaprzeczył stanowczo Gowdy.

Kurt spojrzał na niego z niemym pytaniem.

– Mamy powody przypuszczać, że Nighthawk nie został uszkodzony podczas lądowania - powiedział Gowdy, po czym przeszedł do opisu działania systemu autonomicznego lądowania oraz procesu przejmowania kontroli nad lotem przez wewnętrzne komputery po utracie kontaktu z bazą Vandenberg. Trzykrotnie użył zwrotu „jesteśmy przekonani”, za to nie wyjaśnił, dlaczego akurat system autonomicznego lądowania miał być sprawny, podczas gdy wszystko inne zawiodło.

Kurt nie zamierzał tego dociekać. Zamiast tego spytał:

– Jakimi środkami będziemy prowadzić poszukiwania?

W tym momencie inicjatywę przejął Rudi Gunn.

– Wszelkimi, jakie mamy w dyspozycji. W pobliżu znajdują się trzy statki należące do NUMA. Jeden płynie pełną parą z Chile, a dwa z Zatoki Meksykańskiej, przez Kanał Panamski.

Kolejna kartka papieru wylądowała przed nosem Kurta. Była to lista jednostek pływających.

– Paul i Gamay Trout są już na pokładzie „Cataliny” - ciągnął Gunn.

Wymienił dwoje najbardziej zaufanych członków Zespołu Specjalnego NUMA. - Prowadzili badania z zakresu ekologii u wybrzeży Chile. Dotarcie do obszaru poszukiwań zajmie im piętnaście godzin.

– Szczęśliwy traf - stwierdził Kurt.

Rudi przytaknął kiwnięciem głowy.

– „Jonestown" i „Condor" przeprawią się przez kanał i dołączą trzydzieści sześć godzin później.

– Trzydzieści sześć godzin to dość optymistyczne założenie - stropił się Kurt, zerkając na pozycję obu statków. - Trzydzieści godzin zajmie sam rejs po otwartych wodach, a Kanał Panamski o tej porze roku wygląda jak autostrada w godzinach szczytu. Czas oczekiwania na przeprawę dochodzi do dwóch dni.

– Otrzymają absolutne pierwszeństwo - zapewnił Rudi. - Odkąd NUMA przed kilku laty zapobiegła zburzeniu kanału, przyznano nam status najwyższego uprzywilejowania.

– Racja. - Kurt przypomniał sobie, że słyszał o tej akcji od samego Dirka Pitta. Osobisty udział szefa NUMA w udaremnieniu dzieła zniszczenia zaowocował korzyścią dla nich wszystkich.

– NUMA będzie kierować poszukiwaniami w południowych i wschodnich sektorach patrolowych - wtrącił się Gowdy. - Za trzy dni na miejsce dotrze flotylla ze 131. Eskadry Ratowniczej US Navy z San Diego z zadaniem przeszukania zachodniej połowy strefy, podczas gdy jednostki Floty Pacyfiku będą operowały na zachodnim krańcu obszaru poszukiwań.

Kurt przejrzał otrzymaną listę. Poza dwoma pomocniczymi jednostkami pływającymi były na niej wyłącznie okręty - niszczyciele i fregaty.

– Po co nam tyle bojowych okrętów?

– To niezamierzony efekt logistyczny - odparł Gowdy. - Ten region Pacyfiku znajduje się z dala od naszych baz. Siedem tysięcy kilometrów od Pearl Harbor i prawie pięć tysięcy kilometrów od San Diego. To były najbliższe i najszybsze jednostki dysponujące sprzętem do wykrywania celów podwodnych. Dodatkowe okręty ratownicze są w drodze, ale nie mogły nadążyć za nimi i zostały w tyle. Ponadto samoloty P-3 Orion i P-8A oblatują wzdłuż i wszerz całą strefę, zrzucając boje sonarowe i inne autonomiczne urządzenia, mające wesprzeć poszukiwania.

Niby miało to ręce i nogi, ale całość sprawiała wrażenie pełnej paniki akcji.

– To potężna flota - zauważył Kurt. - Czy jesteś pewien, że to najlepszy sposób postępowania?

– Co masz na myśli?

Kurt zamknął skoroszyt i wyprostował się na krześle.

– Zdawało mi się, że zależy nam na dyskrecji. Posyłając kilkanaście amerykańskich okrętów i rój samolotów w okolice wysp Galapagos, odkrywamy swoje karty. Żółwie gotowe sobie pomyśleć, że to inwazja.

Widoczny na ekranie Gowdy pokiwał głową z uznaniem.

– Moglibyśmy wydać oświadczenie, że NUMA prowadzi badania naukowe - zasugerował Kurt. - Wystarczy dać to do prasy, a nikt nie będzie sobie zawracał głowy faktem, że kilka dodatkowych jednostek badawczych zmierza do tego rejonu. A kiedy już dotrą na miejsce, możemy wypuścić śmigłowce i łodzie zwiadowcze i rozpocząć poszukiwania na całego, bez zwracania niczyjej uwagi.

– Niegłupi pomysł - przyznał Gowdy. - Tyle że chińskie i rosyjskie służby wywiadowcze już zwietrzyły trop. Parę godzin po zniknięciu Nighthawka zauważyliśmy zmiany kursów kilku jednostek należących do tych krajów. Śledzimy je. Jak sądzisz, dokąd płyną?

– W kierunku wysp Galapagos.

– Właśnie - potwierdził Gowdy. - W sam środek naszego obszaru poszukiwań.

To mogło oznaczać kłopoty.

– Spróbują się wtrącić?

Gowdy wzruszył ramionami.

– Dałem sobie spokój z dociekaniem, co zamierzają nasi chińscy i rosyjscy przyjaciele. Cokolwiek by to było, moje zadanie polega na tym, by ich powstrzymać. A mając na względzie awanturę na Ukrainie i niepokoje na Morzu Południowochińskim, nie wykluczam żadnej możliwości. Gdybyś wiedział, jak bardzo pragną nam dorównać, sam byś doszedł do identycznego wniosku. Według naszej wiedzy, zapóźnienie technologiczne Rosjan jest tak poważne, że grozi im wypadnięcie z obiegu. Chińczycy trzymają się nieco lepiej, bo mają prawdziwą armię naukowców i więcej szpiegów niż liści na drzewie, ale brakuje im inwencji, dlatego są mniej więcej o dziesięć lat za nami. W dodatku oba te kraje wolą rozwijać się poprzez kradzież cudzych dokonań, zamiast pracować nad własnymi pomysłami, więc możesz sobie wyobrazić, jak oblizują się na widok tak łakomego kąska.

Kurt wiedział doskonale, o co chodzi.

– Nie bez powodu ich prom kosmiczny „Buran” jest tak podobny do naszych

wahadłowców, a bombowiec Tu-160, w kodzie NATO oznaczony jako Blackjack, jest niemal nie do odróżnienia od B-l.

– Dokładnie tak - przytaknął Gowdy. - W zasadzie, trudno ich winić. W ich sytuacji robiłbym to samo. Ale my nie jesteśmy w ich sytuacji, dlatego w żadnym wypadku nie wolno nam dopuścić, aby ten pojazd wpadł w ich łapy.

– A jeśli znajdą go przed nami? - spytał Kurt, zastanawiając się, czy Gowdy bierze pod uwagę otwarty konflikt zbrojny.

– W żadnym wypadku - powtórzył Gowdy.

Słowa były stanowcze i nie pozostawiały poła do dyskusji, a Gowdy wypowiedział je bez mrugnięcia okiem. Siłą rzeczy pociągało to za sobą oczywiste pytanie:

– Jeśli tak, to czy najlepszym wyjściem z sytuacji nie byłoby jego zniszczenie? - spytał Kurt, odkładając skoroszyt. - Jedyne, co mogliby wówczas znaleźć, to jakieś strzępy kadłuba.

Gowdy zrobił udręczoną minę.

– Zakładam, że pojazd wyposażony jest w mechanizm samodestrukcji - ciągnął Kurt. - Rozwalmy go na kawałki i pozbądźmy się kłopotu.

– Próbowaliśmy - wychrypiał Gowdy. - Polecenie samozniszczenia nie dotarło do Nighthawka. Z danych telemetrycznych wynika, że utrata kontaktu nastąpiła tuż przed wysłaniem komendy.

– Kwestia ułamków sekundy - dodał Rudi Gunn.

Gowdy potwierdził jego słowa skinieniem głowy.

– Iloma statkami dysponują Rosjanie i Chińczycy? - spytał Kurt, wracając do tematu.

– Naliczyliśmy dziewięć jednostek rosyjskich, w tym kilka okrętów wojennych, oraz dwanaście chińskich, wszystkie wojenne. Między innymi niedawno zwodowany lotniskowiec.

– Trzydzieści jednostek z trzech różnych krajów - zauważył Kurt. - Wszystkie zawzięcie szukają tego samego na dość ograniczonym obszarze. Co złego może się wydarzyć?

– Wszystko i nic - burknął Gowdy. - Ścigamy się z czasem. Z każdym dniem zagrożenie wzrasta.

W głosie Gowdy'ego było coś, co zwróciło uwagę Kurta, podobnie jak milczenie oficera lotnictwa, który jak dotąd nie odezwał się ani słowem.

– Mamy najbliżej - włączył się Gunn. - NUMA znajdzie się na miejscu na dzień lub dwa przed innymi. Założę się o butelkę tequili Don Julio, że zdołamy

zlokalizować Nighthawka szybciej niż nasza marynarka, nie mówiąc o Rosjanach lub Chińczykach.

Gowdy pokiwał głową z zadowoleniem.

– Przyjmuję zakład i dorzucam pudełko kubańskich cygar, jeśli zdołacie go namierzyć przed przybyciem naszych przeciwników.

Kurt słuchał, nie przestając myśleć. Z trzema statkami, z których dwa miały dotrzeć na miejsce dopiero dzień po nim, raczej trudno było liczyć na odniesienie sukcesu. Z drugiej strony, niemal całe życie spędził na znajdowaniu wyjścia z pozornie przegranych sytuacji. Kiedy patrzył na mapę, przyszedł mu do głowy pewien pomysł, który mógł znacząco zwiększyć jego szanse, a zarazem pokrzyżować szyki Rosjanom i Chińczykom.

Podniósł głowę z szelmowskim uśmiechem na twarzy.

– W takim razie niech ktoś zadzwoni do Fidela i powie mu, żeby już zaczął wybierać najlepsze liście tytoniu z plantacji na wyspie, bo znajdę wam waszą zgubę i zrobię to, zanim na horyzoncie pojawią się jakiekolwiek obce bandery.

Gowdy zmierzył go obojętnym spojrzeniem. Najwyraźniej uznał zapewnienie Kurta za czcze przechwałki. Ale Kurt miał asa w rękawie. A nawet więcej: asa i słonia.

4.
Pekin, Chiny

Konstantin Dawidow jechał na tylnym siedzeniu amerykańskiej limuzyny zatłoczoną chińską ulicą jak wąwozem utworzonym z wysokościowych biurowców, zbudowanych z brazylijskiej stali, koreańskiego szkła i cementu importowanego z Australii.

Tłumy ludzi przemieszczały się po chodnikach. Całe armie grupowały się przed przejściami dla pieszych na każdym skrzyżowaniu, stając naprzeciw siebie jak wrogie hufce. Przy każdej zmianie świateł piechurzy ruszali z impetem ku sobie, ale zaraz mieszali się, przenikali i mijali bez żadnych incydentów, zmierzając do setek tylko sobie znanych miejsc.

Sklepy i uliczne stoiska dostarczały im żywność sprowadzaną z terenów wiejskich. Robotnicy rozkopywali ulice, by położyć nowe rurociągi. Miały zaspokoić nieustannie rosnące zapotrzebowanie miasta na wodę i gaz ziemny. Smog wydobywający się z rur wydechowych i kominów opalanych węglem elektrowni zanieczyszczał powietrze i przyćmiewał promienie południowego słońca.

– Jak wy to wytrzymujecie? - mruknął pod nosem Dawidow.

Siedzący obok niego Chińczyk usłyszał to i zrobił stosownie urażoną minę. Kapitan Li Ying, oficer łącznikowy Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, miał na sobie mundur koloru zielonego groszku ze złotymi gwiazdkami na pagonach i skąpym paskiem baretek na piersi.

– To jest globalizacja - powiedział Ying. - Motor napędzający chińską gospodarkę.

Dawidow skrzywił się z obrzydzeniem. Z tego, co się orientował, globalizacja i ponadnarodowe powiązania gospodarcze to nic innego jak przebiegająca w zwolnionym tempie katastrofa, zaraza infekująca powoli poszczególne komórki światowego organizmu. Wszystko, wszędzie, cały czas. Bodajże tak brzmiało motto zachodzących zmian. On sam tęsknił za czasami, kiedy świat wydawał się prostszy.

– W ciągu jednego pokolenia Chiny przekształciły się z prowincjonalnego kraju w światową potęgę gospodarczą. Jesteśmy bardzo dumni z naszych osiągnięć.

– Duma kroczy przed upadkiem - powiedział sentencjonalnie Dawidow.

To odczucie było obce jego rozmówcy. Zresztą, trudno się dziwić. Ling nie miał powodów do zmartwień. W wieku dwudziestu ośmiu lat był kapitanem armii państwa rozwijającego się w zawrotnym tempie. Tak jak jego kraj, Ling był zuchwały i arogancki, miał całe życie przed sobą, a jego myśli nie były obciążone dziesiątkami lat pracy, która mogła prowadzić donikąd.

– Przynajmniej się rozwijamy - rzucił Ling. - Tymczasem Rosja od lat boryka się z recesją.

Dawidow nie mógł temu zaprzeczyć. Przed czterdziestoma laty przybył do Pekinu z grupą oficjalnych przedstawicieli Związku Radzieckiego. Na ulicach nie widać było samochodów, telefony należały do rzadkości, a hotel, w którym się zatrzymali, urągał nawet moskiewskim standardom, które w owym czasie były porażająco niskie.

Chińczycy kupowali wtedy rosyjskie myśliwce i kutry patrolowe za pożyczone ruble. Pustelnicze imperium Mao trzymało się tylko dzięki rosyjskiej ropie, węglowi i zastrzykom finansowym, a teraz... Pierwszy lepszy oficerek niskiego szczebla pozwala sobie na impertynencje wobec wysłannika rosyjskiego rządu.

Limuzyna zatrzymała się przed nowoczesną, kanciastą budowlą. Ściany z szarego cementu pocięte były wąskimi, poziomymi pasami szkła. Budynek robił przytłaczające wrażenie. Przywodził na myśl średniowieczny zamek ze szczelinami w ścianach dla łuczników.

Żołnierz w białych rękawiczkach podszedł do samochodu i otworzył drzwiczki. Stał na baczność wyprężony jak struna, kiedy na zewnątrz wysiadł Ling, a za nim Dawidow.

– Proszę tędy. - Ling wskazał kierunek.

– Znam drogę - odparł Dawidow. - Zostań przy samochodzie.

– Że co?

– Zaraz wracam. Możesz nawet nie wyłączać silnika - powiedział Dawidow i zerknął w górę na brunatne niebo. - Przyczynisz się do swojej ukochanej globalizacji.

Chwilę później Dawidow kroczył korytarzem w budynku ministerstwa, stukając obcasami po gładkiej, granitowej posadzce. Wprowadzono go do sali

konferencyjnej. Człowiek, z którym miał się spotkać, już na niego czekał.

– Tutaj możesz mówić bez obaw - powiedział z naciskiem generał Zhang z chińskiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego.

– Dziękuję, że o to zadbałeś - odparł Dawidow. Był pewien, że pomieszczenie jest na podsłuchu. Nieważne. Nie zamierzał ujawniać generałowi niczego ponad to, co i tak Chińczyk już wiedział. - Mamy informacje o amerykańskim kosmolocie - oznajmił. - Potwierdzenie.

– To wszystko? - spytał niecierpliwie Zhang. - Co się stało? Amerykanie odzyskali kontrolę?

– Próbowali - powiedział Dawidow. - Jednak nasz nadajnik był bliżej i miał większą moc. Nadpisaliśmy ich sygnały. Niestety, trudno ustalić dalszy przebieg wypadków.

– Trudno ustalić? - Zhang skrzyżował ręce na piersiach. - Czy Nighthawk doleciał do Kalifornii, czy nie?

Dawidow uśmiechnął się z lekka.

– Wiesz równie dobrze jak ja, Zhang, że pojazd nie dotarł do bazy. Naszej ekipie nie udało się jednak namierzyć jego ostatecznej lokalizacji.

Stali naprzeciw siebie w milczeniu. Z jednej strony wysoki, szczupły Rosjanin, a z drugiej jego niższy, mocniej zbudowany rozmówca.

Dawidow był urodzonym jeźdźcem, którego przodkowie przemierzali konno zamarzniętą tundrę. Miał długie, gibkie kończyny i przedkładał szybkość i skrytość działania nad brutalną siłę. Dżygit w każdym calu.

Niższy, przysadzisty Zhang o muskularnym ciele, grubym karku i mocarnych rękach, sprawiał wrażenie siłacza, potrafiącego kruszyć mury. Był jak buldog, poruszający się z gracją czołgu i powoli, lecz nieubłaganie, obracający w proch i pył wszystko, co stanie mu na drodze.

Żaden nie był lepszy czy gorszy od drugiego, ale różnili się od siebie tak bardzo, jakby stanowili swoje przeciwieństwo. Wspólnie tworzyli zabójczą mieszankę, która w każdej chwili groziła zapłonem. Wystarczyła jedna iskra.

– Myślisz, że w to uwierzę? - spytał Zhang z wyuczoną groźbą w głosie.

Dawidow usiadł.

– Chyba nie. Ale taka jest prawda. Wasze okręty, rozstawione w tym rejonie, próbowały śledzić lot Nighthawka. Wiesz przecież, że on jest niewidoczny dla radarów.

– Przecież musicie mieć jakieś dane. - Zhang nieco złagodniał, próbując wycisnąć cokolwiek z Rosjanina. - Choćby przypuszczenia co do jego losu.

– Może i tak. - Dawidow wzruszył ramionami. - Nawet jeśli mamy coś więcej, to ci z Moskwy nie uznali za stosowne podzielić się tym ze mną.

– Więc po co przyjechałeś?

– Żeby poinformować cię o zakończeniu naszej współpracy.

Tym razem Zhang sprawiał wrażenie autentycznie zaskoczonego. Punkt dla kawaleryjskiej zręczności.

– Operacja zakończyła się porażką - dodał Dawidow. - Obustronne wysiłki spełzły na niczym. Dlatego przysłano mnie tu, aby oficjalnie rozwiązać nasze wspólne przedsięwzięcie.

– Przecież nie musimy od razu zrywać współpracy - powiedział Zhang. - Porozmawiajmy, spróbujmy wyjaśnić sobie sporne kwestie. Może zjemy razem kolację?

– Z przyjemnością przyjąłbym zaproszenie, gdyby nie to, że kiedy my tu sobie rozmawiamy, wasze jednostki ratownicze pędzą z maksymalną prędkością na miejsce prawdopodobnego upadku Nighthawka.

– Nie wiem, o czym mówisz - zaperzył się Zhang.

– To spytaj szefa sztabu marynarki.

Zhang zesztywniał.

– Chyba masz rację. Na tym etapie praca zespołowa nie jest już nam do niczego potrzebna.

– Wiedziałem o tym od początku - oznajmił Dawidow. - Przynajmniej nie będziemy spierać się o podział łupów.

Zhang zebrał ze stołu jakieś papiery i schował je do teczki. Prawdę mówiąc, był zadowolony. Zrzuciwszy pęta współpracy, jego ludzie będą mogli natychmiast wziąć się do roboty, bez potrzeby chowania się w cieniu rosyjskiego niedźwiedzia.

– A więc każdy kraj działa na własną rękę - upewnił się. - Domyślam się, że posłaliście swoje okręty na poszukiwanie wraku.

– Oczywiście.

– My też - przyznał Zhang. - Mam tylko nadzieję, że nie dojdzie do żadnego konfliktu.

– Nie przypuszczam. - Dawidow wstał i wyprostował się na całą wysokość. - Zanim wasza flota dotrze na południowoamerykańskie wody, Nighthawk będzie już w drodze do Moskwy w wielkiej skrzyni, przewiązanej czerwoną wstążką.

Zhang potraktował te przechwałki drwiącym uśmiechem. Nacisnął

przełącznik interkomu i wydał dyspozycje sekretarce:

– Towarzysz Dawidow nas opuszcza. Proszę zarezerwować miejsce w pierwszej klasie na najbliższy lot China Air do Moskwy.

Dawidow skłonił się w podzięce i ruszył do drzwi. Obaj dobrze wiedzieli, że nie wybierał się do Moskwy.

5.
Centrala NUMA, Waszyngton

Przed wyjściem do domu Hiram Yaeger przeszedł się po klimatyzowanej serwerowni na jedenastym piętrze budynku, będącego siedzibą NUMA. Robił taki obchód codziennie, czując się jak kapitan dokonujący inspekcji swojego statku. W rzeczywistości był to nawyk z początków ery komputerowej, kiedy urządzenia te były dużo bardziej zawodne niż dziś.

W początkach swej kariery zawodowej Yaeger zajmował się kontrolowaniem i regulacją ogromnych taśmowych pamięci masowych oraz ręcznie sprawdzał stan połączeń między modułami. W owych czasach szukanie „robali" nie odnosiło się do zwalczania wirusów komputerowych, lecz do autentycznych owadów, które miały zwyczaj zagnieżdżania się w ciepłych, mrocznych zakamarkach i powodowały zwarcia obwodów elektrycznych, co skutkowało utratą przesyłanych danych.

Dziś przetwarzanie danych na maszynach typu mainframe, uzależnionych od tysięcy połączeń kablowych, należało do słusznie minionej przeszłości. Komputery kontrolują się same, komunikują się między sobą za pomocą Wi-Fi i sprawdzają oraz weryfikują swoje działanie zgodnie z predefiniowanymi parametrami. W praktyce Yaeger mógł się upewnić jedynie co do tego, czy ktoś nie wyłączył systemu, wyciągając wtyczkę z gniazdka elektrycznego.

Mimo to nie zrezygnował z codziennych inspekcji.

Upewniwszy się, że wszystko działa jak należy, skierował się do wyjścia.

– Dobrej nocy, Max - pożegnał się z komputerem.

– Różnica między nocą a dniem dla mnie nie istnieje - odparła maszyna. - W przeciwieństwie do ciebie, ja pracuję dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Hiram sam zaprojektował Max i pozostałe komputery w supernowoczesnym ośrodku obliczeniowym NUMA. Wiele lat przedtem, zanim Siri zaczęła mówić, Yaeger wyposażył Max w możliwość interaktywnej komunikacji głosowej. Dziś już nie pamiętał, dlaczego zdecydował się dodać jej także poczucie humoru.

– Nikt nie lubi pyskatych komputerów - powiedział, wkładając lekką kurtkę i poprawiając okulary na nosie.

– Nie posiadam pyska - odcięła się Max. - Mimo to rozumiem intencję twojej wypowiedzi. Do twojej wiadomości: masz gościa, czeka w sekretariacie. Karta użyta w czytniku należy do Priyi Kashmir.

– Dzięki, Max. Do jutra.

Hiram poszedł do sekretariatu. Śmiał się w duchu, że udało mu się zabić klina Max, żegnając się z nią w sposób, do którego nie zdołała się przyczepić. Małe zwycięstwo człowieka nad maszyną.

Przeszedł przez drzwi, za którymi czekała na niego drobna kobieta na wózku inwalidzkim.

Priya Kashmir była nową asystentką Yaegera. Urodziła się na południu Indii, dorastała w Londynie i ukończyła MIT z czołową lokatą na roku. Pracowała w jednym z zespołów operacyjnych NUMA do czasu samochodowego karambolu, z którego wyszła sparaliżowana od pasa w dół.

Agencja wywiązała się z obowiązków pracodawcy zawartych w umowie, zapłaciła za leczenie i zaproponowała jej szeroki wachlarz stanowisk, łącznie z powrotem do działań w terenie. W tym ostatnim przypadku zapewniono ją, że zostaną dla niej stworzone odpowiednie warunki do pracy. Ona jednak zdecydowała się obrać inną ścieżkę kariery zawodowej i poprosiła o przeniesienie do działu informatycznego.

– Dobry wieczór - powitała go z promiennym uśmiechem. - Jak się pan ma, panie Yaeger?

W jej brytyjskiej angielszczyźnie z wyraźnym indyjskim akcentem pobrzmiewała na dokładkę leciutka nuta jankeskiego zaśpiewu rodem z Bostonu.

– Prosiłem, żebyś nie zwracała się do mnie w ten sposób. To sprawia, że czuję się staro.

– Dlatego, że pańskim ojcem był pan Yaeger?

– On był moim dziadkiem.

Roześmiała się, odsunęła z twarzy kosmyk mahoniowych włosów i wręczyła mu małą karteczkę.

– Otrzymałam to przed chwilą.

Hiram spojrzał na karteluszek, pokryty zamaszystym, odręcznym pismem, ocierającym się o kaligrafię.

– Twoje zapiski na karkach samoprzylepnych powinny trafić do muzeum

sztuki.

– Chciałam zająć czymś ręce, gdy czekałam kilka minut na windę.

Hiram przeczytał wiadomość. Jej treść była dużo prostsza niż pismo. Nadawcą był Kurt Austin.

– „Poderwij Dumbo do lotu - czytał na głos Hiram. - Użyj jego wielkich uszu i znajdź mi miejsce wodowania. I to szybko. W przeciwnym razie Rudi Gunn będzie musiał się wykosztować na butelkę don julio i pudełko ręcznie zwijanych, kubańskich cygar".

Wyraz zdumienia zagościł na twarzy Yaegera.

– Dziwne.

Priya odniosła to samo wrażenie.

– Z początku nic nie rozumiałam z gadaniny Kurta - powiedziała. - Zresztą nadał nie rozumiem, ale on upierał się, że będziesz wiedział, o co chodzi. Przypuszczam, że to jakiś rodzaj szyfru.

Hiram westchnął, zdjął kurtkę i zarzucił ją na oparcie krzesła.

– W pewnym sensie. W języku Kurta znaczy to: zarwij nockę i spraw, by stał się cud.

– Naprawdę? A co oznacza słowo Dumbo? Czy to ten latający słoń z kreskówki Disneya?

– Dynamiczny Układ Monitorująco-Badawczy - odparł Hiram. - Dodaliśmy „O" dla zgrywy. Chodzi o szereg wysokoczułych podwodnych stanowisk nasłuchowych, które NUMA zainstalowała pod powierzchnią Pacyfiku. Mamy kilkaset stacji zbiorczych i pięć tysięcy zakotwiczonych boi. Służą monitorowaniu aktywności sejsmicznej.

– Fal P i fal S - uzupełniła Priya.

Hiram przytaknął.

– Za pomocą DUMBO potrafimy wykryć potężne trzęsienie ziemi i wskazać epicentrum dużo wcześniej niż istniejąca sieć monitoringu tsunami, ponadto jesteśmy w stanie rejestrować najsłabsze ruchy tektoniczne. Trzęsienia ziemi na dużych głębokościach, które nie obudziłyby osoby mającej bardzo lekki sen, drzemiącej obok szafki z chińską porcelaną. Dzięki temu wiemy coraz więcej o geologii głębinowej. Potrafimy nawet przewidzieć potężne wstrząsy na podstawie wzmożonego występowania albo braku najlżejszych drgań.

Priya pokiwała głową, ale wciąż wyglądała na zdezorientowaną.

– Co to ma wspólnego z jego zadaniem i dlaczego chce, żeby DUMBO latał?

– Te bzdury o lataniu to cały Kurt - wyjaśnił Hiram. - Myśli, że jest

dowcipny. Ostrzegam cię, nie śmiej się z jego kawałów. To go tylko zachęci i będziesz musiała słuchać ich bez końca. Ale sam pomysł jest pierwszorzędny, jak zwykle.

W tym miejscu Hiram opowiedział jej o zaginionym Nighthawku i gorączkowych przygotowaniach do wielkiej morskiej operacji poszukiwawczej. Na koniec wyjaśnił, jaką rolę może w tym wszystkim odegrać projekt DUMBO.

– Kurt chce, abyśmy odsłuchali taśmy. Przypuszcza, że czujniki sejsmiczne mogły zarejestrować moment katastrofy. Jeśli tak, to metodą triangulacji moglibyśmy wyznaczyć pozycję Nighthawka i zaoszczędzić wszystkim długotrwałego przeczesywania głębin południowego Pacyfiku.

Priya uśmiechnęła się, a jej oczy rozbłysły światłem.

– Genialne! Jeśli się uda. Czy detektory sejsmiczne naprawdę są takie czułe?

Hiram nie odpowiedział wprost.

– Sieć jest dużo bardziej czuła, niż zakładaliśmy. Po jej uruchomieniu szybko okazało się, że rejestrowane są także inne dźwięki pochodzące z oceanu. Odgłosy głębinowych prac górniczych na Tajwanie, wybuchy torped i pocisków artyleryjskich na poligonach całego Pacyfiku, a nawet ostatnie, rozpaczliwe jęki tonących statków. Idąc na dno, łamią się i pękają, czemu towarzyszą stłumione eksplozje, kiedy z kadłubów wydostaje się uwięzione w nich powietrze. Tylko przez pierwsze sześć miesięcy zdołaliśmy ustalić dokładną pozycję dziewięciu zaginionych jednostek. Ale Nighthawk jest dużo mniejszy od przeciętnego, pełnomorskiego statku.

– Lepsze to niż nic - skomentowała z uśmiechem Priya.

– Właśnie. Nie będzie to łatwe, zwłaszcza że mamy bardzo mało czasu.

Podjechała bliżej swoim wózkiem.

– Czy mogę jakoś pomóc?

– Na początku musimy ściągnąć wszystkie zarejestrowane dane - powiedział Hiram. - Następnie opiszemy każde nagranie i rozpoczniemy żmudny proces eliminowania odgłosów tła, ruchów magmy i drgań sejsmicznych, do których wykrywania przeznaczone są te sensory, a także wszystkiego, co nie pochodzi z wyznaczonego obszaru. Potem musimy rozpoznać i usunąć zakłócenia generowane przez przepływające statki oraz mające pochodzenie biologiczne, takie jak pieśni wielorybów czy odgłosy ławic tuńczyków, i co najmniej setkę innych, nieistotnych dla nas form podwodnych wibracji.

Nagle światła w sekretariacie pojaśniały, a stojący w kącie elektryczny

dzbanek z kawą włączył się sam i zaczął szumieć.

– Tak naprawdę to ja będę musiała wykonać wymienione przez niego czynności - zakomunikowała Max przez głośniki. - Zdaje się, że wszyscy troje będziemy mieli pracowitą noc.

Priya się roześmiała.

– Słowo daję, ona czasem za tobą tęskni.

Hiram wyczuł złośliwą satysfakcję w głosie maszyny. Mógłby przysiąc, że czegoś takiego jej nie zaimplementował.

– Znowu podsłuchujesz, Max. To kolejny brzydki nawyk.

– Wszystko w imię wydajności - odparła Max. - Dostęp do danych sejsmicznych uzyskany. Ściąganie rozpoczęte. Aha, przekaż, proszę, Kurtowi, że cygara zwijane maszynowo w niczym nie ustępują, a wręcz przewyższają te, które zwijane są ręcznie.

– Czyżbyś paliła, Max? - spytała ze śmiechem Priya. - To dopiero paskudny nawyk.

– Nie - zaprzeczyła Max. - Powtarzam jedynie potwierdzony fakt.

Hiram zachichotał.

– Jesteś ekspertem w wielu dziedzinach, ale w kwestii cygar i trunków zaufałbym raczej Kurtowi.

– Doskonale - powiedziała Max. - Rozpoczynam analizę akustyczną.

Hiram podszedł do dzbanka i napełnił dwie filiżanki. Kiedy Max zakończy czynności wstępne, Priya i on będą musieli dokonać ostatecznego wyboru częstotliwości, jakie mają pozostać na nagraniach. Na razie nie mieli nic do roboty.

– Z cukrem i śmietanką? - spytał.

– Poproszę dwie kostki - odpowiedziała Priya. - I dziękuję ci.

Hiram wrzucił kostkę cukru do ciemnego płynu. Wpadła z leciutkim pluskiem, prawie bezdźwięcznie. Spodziewał się, że podobnie wyglądało lądowanie w morzu opadającego na spadochronie Nighthawka, z tym że gdyby chcieć zachować proporcje, należałoby wrzucić kostkę cukru do basenu o rozmiarach olimpijskich. Szanse, że to usłyszą, nawet z wykorzystaniem sieci detektorów, oszacował na dziesięć procent.

Wrzucił drugą kostkę, zamieszał kawę i przyglądał się, jak mały biały prostopadłościan rozpuszcza się i znika. Dobrze, że Nighthawk tego nie potrafił.

6.
Guayaquil, Ekwador

Po wylądowaniu w Guayaquil Kurt zameldował się w hotelu i pozwolił sobie na szybki prysznic oraz zmienił ubranie. Odświeżony pojechał taksówką do dużego magazynu, znajdującego się na peryferiach ruchliwego portu morskiego.

Minął wartownika przy bramie, wszedł do wielkiej hali i szybkim krokiem udał się do części zajmowanej przez NUMA. Tam, pomiędzy wysokimi ścianami z ustawionych jeden na drugim kontenerów, ujrzał stojak z głębinowymi skafandrami nurkowymi, szereg przypominających kształtem torpedy nadajników sonaru, dwa małe roboty podwodne ROV oraz kilka stelaży z osadzonymi na nich kamerami wraz z oświetleniem.

W samym środku tej zbieraniny, jak szalony naukowiec pośród stworzonych przez siebie istot, tkwił Joe Zavala.

Był sporo niższy od Kurta, miał ciemne, krótko przystrzyżone włosy, wystające kości policzkowe i głęboko osadzone, brązowe oczy, zwykle łagodne i zamyślone, a czasem rzucające gromy. Poruszał się w tym bałaganie z kocią zręcznością, dzierżąc w dłoni podkładkę z wykazem sprzętu. Choć ani razu nie oderwał wzroku od listy, na nic nie nadepnął ani nie uderzył głową o zwisające chwytaki, wystające stateczniki czy mosiężne śruby napędowe.

Joe pracował w NUMA od lat i od dawna przyjaźnił się z Kurtem. Trenował amatorsko boks, był najbardziej towarzyskim członkiem Zespołu Specjalnego i zdeklarowanym kawalerem. Wykorzystał swe genialne zdolności techniczne do zbudowania dla NUMA wielu najbardziej skomplikowanych, nowoczesnych pojazdów podwodnych.

– Wyglądasz jak przysłowiowe dziecko w sklepie z zabawkami - odezwał się Kurt, informując Joe'go o swojej obecności.

– W przysłowiu jest mowa o sklepie ze słodyczami, przyjacielu.

– Wprowadziłem korektę, stosowną do sytuacji - odparł Kurt. - Wygląda na to, że Rudi ma sporą siłę przebicia. Skąd on wytrzasnął cały ten sprzęt? Poza

skafandrami, nie widziałem czegoś podobnego na oczy.

– Nie miałeś szans - potwierdził Joe. - Roboty należały do firmy zajmującej się podwodnymi odwiertami. Boje sonarowe pozyskaliśmy z demobilu marynarki wojennej Ekwadoru, nie mam zielonego pojęcia, czy w ogóle działają. Natomiast stelaże do kamer służyły ekipie producenckiej filmu *Megalodon kontra gigantyczna kałamarnica.*

– To zapewne arcydzieło, o ile w ogóle zostało nakręcone - zauważył Kurt.

– Nic mi o tym nie wiadomo - stwierdził Joe.

Kurt spoważniał.

– Rudi mówił, że wynajął flotyllę kutrów rybackich, mającą wesprzeć jednostki marynarki wojennej. Domyślam się, że to dla nich jest ten sprzęt?

Joe kiwnął głową.

– A ja mam dwanaście godzin, aby to wszystko sprawdzić, przygotować do działania i im dostarczyć. Podobno lecą tu już nasi ludzie do obsługi tych urządzeń, w przeciwnym razie musiałbym jeszcze przeprowadzić szkolenie.

– Im większa liczba jednostek, tym szybciej przetrząśniemy obszar poszukiwań - zauważył Kurt. - Ale będziemy potrzebowali czegoś więcej niż flotylla kutrów rybackich.

Joe odhaczył kolejną pozycję na liście i odłożył podkładkę.

– Masz coś konkretnego na myśli?

– Słyszałeś o projekcie DUMBO?

– Wielkie uszy oceanu - odparł Joe. - Sądzisz, że mogły usłyszeć spadającego Nighthawka?

– Podobno detektory mogą usłyszeć szpilkę wpadającą do morza. W tym przypadku chodzi o wartą pięćdziesiąt miliardów dolarów szpilkę, która przyleciała z kosmosu.

– To brzmi jak scenariusz kolejnego kiepskiego filmu - stwierdził Joe.

Kurt się roześmiał.

– Moim zdaniem, jeśli Nighthawk dość solidnie prasnął o wodę, system mógł to zarejestrować. A nawet jeśli opadał na spadochronie i potem zatonął, to chyba mógł przynajmniej częściowo ulec implozji pod wpływem ciśnienia. Poszycie środkowej części kadłuba, okrywające przedział towarowy, ogniwa paliwowe i jednostkę sterującą, tworzy jakby rdzeń, zdolny wytrzymać tysiąc atmosfer. Może zamierzali go kiedyś wysłać na Wenus. Ale są w nim chyba jakieś inne miejsca, które mogłyby pęknąć. Na przykład puste przestrzenie w skrzydłach i ogonie albo komory podwozia.

– Masz rację - pochwalił go Joe. - Poza tym część osłony termicznej nagrzewa się do temperatury powyżej tysiąca stopni na krótko przed lądowaniem. Podczas kontaktu z wodą powinien powstać łatwy do zidentyfikowania syk i kawitacja.

– O tym nie pomyślałem - przyznał Kurt. - To dlatego ty jesteś szefem od konstruowania i naprawiania urządzeń.

– Kto odsłuchuje taśmy?

– Hiram wraz z Max. Powiedziałem mu, żeby się z tobą kontaktował, gdyby potrzebował dodatkowych informacji.

– Ze mną? - zdziwił się Joe. - Dlaczego? A co ty zamierzasz robić?

– Mam się spotkać z ekspertem z NSA, którego przydzielono nam do pomocy.

– Będzie robił za przyzwoitkę?

– Na to wygląda.

Joe znów uniósł listę do oczu.

– Cóż, to nas spowolni co najmniej o jakieś pięćdziesiąt procent. Jak ten gość się nazywa?

– Emily Townsend - odpowiedział Kurt.

Joe uniósł brwi.

– Dziwne imię dla faceta. Musieli się z niego mocno nabijać w szkole.

Kurt się roześmiał.

– Z informacji, które otrzymałem, nie wynika, aby ktokolwiek nabijał się z pani Townsend. W NSA mówią o niej Huraganowa Emma.

– Wiesz, co to oznacza - burknął Joe. - Zostaliśmy na nią skazani, bo uznali nas za niegrzeczne dzieci, albo to ona jest niegrzecznym dzieckiem i marynarka nie życzyła sobie jej obecności na żadnym ze swych okrętów.

– Ma wiedzę, dzięki której z otwartymi ramionami przyjęliby ją do NASA - powiedział Kurt. - Zaraz po studiach praca u Rockwella przy projektowaniu napędów odrzutowych. Trzy lata w Jet Propulsion Laboratory, a ostatnie pięć w NSA. Jest wybitnym ekspertem w swojej dziedzinie.

– Ekspert, dobre sobie - prychnął Joe. - Podnoszę wcześniejszą prognozę opóźnienia do dziewięćdziesięciu procent.

Kurt zerknął na zegarek.

– Postaram się ją oczarować i zamiast zawalidrogi stanie się sojusznikiem. Przy odrobinie szczęścia i dobrego wina wszystko pójdzie po naszej myśli. Zaufaj mi.

– Widzę, że jesteś w doskonałym nastroju - powiedział Joe. - Nic tak nie rozgrzewa krwi jak wyzwanie.

– Zwłaszcza, jeśli kto inny będzie odwalał czarną robotę, a ja muszę tylko oczarować atrakcyjną kobietę.

– Powodzenia - rzucił Joe i wrócił do inwentaryzacji sprzętu. Na koniec dodał: - Ale miej się na baczności. Bywają góry lodowe, których nie sposób roztopić.

* * *

Kurt opuścił magazyn i wyszedł za bramę, nie zdając sobie sprawy, że ktoś go obserwuje. Wysoko, na jednym z dźwigów do przeładunku kontenerów, stali dwaj mężczyźni i przyglądali mu się, przy czym jeden z nich używał lornetki.

Właśnie oderwał ją od twarzy. Odsłoniły się ciemne oczy i prawie nic ponadto. Nos i usta zakrywała maseczka filtrująca w rodzaju tych stosowanych przez sportowców podczas treningu w rejonach o dużym zanieczyszczeniu powietrza.

– Kiedy przyjechali? - spytał głosem stłumionym przez maseczkę.

– Sześć godzin po zniknięciu Nighthawka - poinformował go jego towarzysz. - Zdążyli już zgromadzić wyposażenie i wynająć kutry do pomocy w poszukiwaniach.

Zamaskowany przyglądał się temu, co działo się poniżej, jak szachowy mistrz pionkom na szachownicy. Cichy świst dobywał się z jego płuc, choć chronił je, oddychając przefiltrowanym powietrzem.

– Amerykanie zareagowali szybciej, niż przypuszczałem.

– Przecież życzyłeś sobie, żeby się tu pojawili.

– Oczywiście, ale mogą narobić nam kłopotów, jeśli dowiedzą się zbyt wiele w zbyt krótkim czasie.

– Możemy ich spowolnić - podsunął drugi mężczyzna. - Zniszczyć część sprzętu, zastraszyć właścicieli kutrów, żeby musieli poszukać sobie nowych.

Po chwili zastanowienia zamaskowany pokręcił przecząco głową.

– Nie o takie spowolnienie nam chodzi. Właściwie to powinniśmy ich zdopingować, zamiast powstrzymywać. To byłoby korzystniejsze dla naszych planów. Masz jeszcze kontakt z Chińczykami?

– Tak.

– Powiadom ich o obecności Amerykanów i zasugeruj, że tamci mogą wiedzieć coś ważnego. Zwróć uwagę Chińczyków na rodzaj i ilość sprzętu, jaki zgromadzili. Chińscy agenci sami znajdą sposób, jak się ich stąd pozbyć.

– A jeśli Chińczycy ich zabiją? Co wtedy będzie?

– Amerykanie przyślą zapasową ekipę i wyścig zacznie się od nowa.

7.

Emma Townsend siedziała w przytulnej loży, skrytej w zakamarkach czterogwiazdkowej restauracji El Caracol, którą Kurt zaproponował jako miejsce spotkania.

Wbrew obawom Joe'go, w jej wyglądzie nie było nic, co mogłoby świadczyć o chłodnym czy wręcz lodowatym usposobieniu. Przeciwnie, pierwsze, co przychodziło na myśl na jej widok, to ciepło, jakim zdawała się emanować. Kasztanowe proste włosy opadały jej do ramion, połyskując miedzianym blaskiem w dyskretnym oświetleniu. Miała łagodne oczy barwy orzecha z zielonkawymi plamkami, duże pełne usta i skórę dotkniętą słońcem na tyle mocno, by uwydatnić garstkę piegów, które sprawiały, że wyglądała młodziej niż na swoje trzydzieści trzy lata.

Przyszła do restauracji wcześniej i podczas oczekiwania na Kurta zdążyła już ściągnąć na siebie sporą liczbę zarówno ukradkowych, jak i bardziej uporczywych spojrzeń. Była ich świadoma, ale nie zwracała na nie uwagi. Nie inaczej bywało w Waszyngtonie.

Sama restauracja budziła zachwyt pod względem architektonicznym. W jej wystroju dawały o sobie znać różnorakie wpływy, podobnie jak w menu, a klientelę stanowili modnie odziani artyści, rozpoznawalni na pierwszy rzut oka turyści oraz eleganckie ekwadorskie pary. Być może była to kwestia lokalizacji na wzgórzach Las Peñas, w liczącej sobie czterysta lat części Guayaquil, gdzie jaskrawo pomalowane domy przemieniono w galerie sztuki, restauracje i winiarnie.

Turyści oraz miejscowi tłumnie przybywali tam w ciepłe wieczory. Przechadzali się po bulwarach i galeriach oraz podziwiali widok na miasto i brzeg morza. Kiedy zapadał zmrok, zapalały się światła Malecón, odrestaurowanej promenady biegnącej historycznym nabrzeżem, które niegdyś nazywano imieniem Simona Bolivara.

Emma siedziała nad szklanką wody i czekała na Kurta. Jeszcze raz czytała

biogram, przesłany przez NSA na jej telefon.

Przebiegłszy wzrokiem tekst, utwierdziła się co do jednego - Kurt Austin musiał być człowiekiem czynu. Wraz ze swym zastępcą, Joem Zavalą, miał znaczący udział w wielu misjach o najwyższym stopniu trudności. Razem zapobiegli kilku katastrofom na skalę międzynarodową, jak choćby ostatnio w Egipcie, gdzie uniemożliwili byłym członkom reżimu Mubaraka przejęcie kontroli nad subsaharyjskim aquiferem, przez co zyskali uznanie w całej Afryce Północnej.

Dalsza lektura ujawniła, że pomijając ich niewątpliwe zasługi, Austin i Zavala narazili się wielu wysokim urzędnikom państwowym. Najwyraźniej mieli w głębokim poważaniu zwierzchników, struktury dowodzenia i ścisłe trzymanie się regulaminów. Może właśnie z tego względu wylądowali w NUMA. Ta organizacja, od chwili jej założenia przez Jamesa Sandeckera, stawiała na skuteczność bez oglądania się na konsekwencje. Ludzie tacy jak Kurt mogli w niej rozwinąć skrzydła, w przeciwieństwie do innych agencji, w których byliby spętani przepisami i powstrzymywani od działania.

I bardzo dobrze, pomyślała. Sama zawsze przedkładała efekty ponad zgodność z protokołem. W gruncie rzeczy przedkładała efekty ponad wszystko, nie wyłączając osobistych przyjaźni, sojuszy i zasad postępowania. Z tego powodu, po kilku latach pracy w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, stała się kimś w rodzaju wyrzutka, a zarazem awansowała równie szybko, jak przysparzała sobie nowych wrogów. Była świadoma swej reputacji. Mało kto w agencji chciał z nią pracować. Ludźmi z jej otoczenia rządził strach, wszyscy lękali się porażki. Bali się podjąć ryzyko, a to, o czym była przekonana, odbierało im skuteczność. Dużo bardziej uśmiechała jej się współpraca z kimś takim jak Austin.

Jeśli zdoła z jego pomocą odnaleźć Nighthawka, stanie się nietykalna. Będzie mogła sama wybrać sobie nowe stanowisko, najprawdopodobniej zostanie najmłodszym dyrektorem departamentu w historii agencji. A jeśli się nie uda... Cóż, szanse powodzenia od początku były nikłe, a w razie czego całą winę będzie mogła zrzucić na ludzi z NUMA.

Zauważyła Kurta, który wszedł do restauracji i zamienił kilka słów z kierownikiem sali, a potem podszedł prosto do jej stolika. Wydał jej się wyższy i jeszcze bardziej przystojny niż na fotografiach. Jego wygląd nie odbiegał od utrwalonego na wizerunkach, może tylko sam Kurt był trochę bardziej przygnębiony i sfatygowany, jak lekko postrzępiona i naddarta okładka

książki.

Odłożyła telefon i się przedstawiła.

– Emily Townsend. Mów mi Emma. Cieszę się, że cię poznałam. Wreszcie.

– Przepraszam, że kazałem ci czekać. - Kurt zajął swoje miejsce. - Nadzorowałem przygotowania.

– Czy mamy wystarczające wyposażenie? - spytała.

– Miałem na myśli kuchnię. Musiałem dopilnować, by szef stanął na wysokości zadania - wyjaśnił, uśmiechając się z własnego dowcipu. Emma uznała jego pewność siebie za pożądaną cechę. W razie potrzeby będzie można ją wykorzystać w celu manipulacji. Rozmawiali niezobowiązująco przez chwilę, aż do nadejścia kelnera. - Na co masz ochotę? - Kurt sięgnął po listę win.

– Zaskocz mnie.

Odłożył listę.

– Wobec tego weźmiemy butelkę opus 1 rocznik 2007.

– Doskonały wybór - pochwalił kelner i oddalił się, by zrealizować zamówienie.

– Dość drogie wino, jak na pierwsze spotkanie - zauważyła Emma. - Na czyj rachunek, twój czy mój?

– Tym razem ja zapłacę. Zachowaj swoje fundusze na poważniejsze wydatki.

Jego luzacki styl bycia sprawił, że nie zdołała powstrzymać uśmiechu. Musiała stale przypominać sobie, po co się tu spotkali. Zanim rozmowa potoczyła się dalej, wyjęła z torebki kilkunastocentymetrowy, trójkątny przedmiot i położyła go na stole. Po naciśnięciu guzika urządzenie zaczęło emitować szum, przypominający zakłócenia radiowe.

– Aktywny tłumik dźwięków - wyjaśniła i przesunęła urządzenie bliżej krawędzi blatu. - Słucha naszych słów i dobierając odpowiednią częstotliwość wygaszającą, zniekształca je, gdy opuszczają tę zaciszną lożę. Gdyby ktokolwiek próbował podsłuchać lub nagrać naszą rozmowę, usłyszy tylko zakłócenia.

– Czy na stole albo pod blatem nie ma aby jakiejś pluskwy?

– Już sprawdziłam. Możemy swobodnie rozmawiać.

Wyglądało na to, że Kurt jest o tym przekonany co najwyżej połowicznie, a z przebiegu rozmowy podczas kolacji domyśliła się, że może nawet w jeszcze mniejszym stopniu.

Zauważyła, że wciąż rozgląda się wokół, przypatrując się bacznie gościom restauracji, a zwłaszcza młodej chińskiej parze. Oboje przyszli krótko po nim, a teraz siedzieli na wprost nich, po przeciwnej stronie sali. Za każdym razem, gdy chciała przejść do sprawy, zmieniał temat i zaczynał mówić o czymś nieistotnym. W końcu, zdesperowana, zamierzała na siłę nawiązać do meritum, ale wtedy Kurt podsunął jej pod nos widelec z kęsem swojej przystawki, namawiając ją do skosztowania.

Zjadła to, co jej podał, i sama zmieniła temat. Widocznie miał swoje powody.

– Jak do tego doszło, że z CIA trafiłeś do NUMA? - spytała.

– Zwerbował mnie admirał Sandecker - odpowiedział. - Właśnie w ten sposób pozyskiwał swoich najlepszych ludzi.

Sandecker był teraz wiceprezydentem. Zaimponowało jej to, że Austin zna go wystarczająco dobrze, aby z niego żartować. A także to, że wcześniej się tą znajomością nie pochwalił.

– A ty, taka zaprzysięgła pacyfistka, dlaczego wylądowałaś w NSA?

– Widzę, że masz swoje źródła informacji.

– W pewnych kręgach.

– Byłam pacyfistką - przyznała, akcentując czas przeszły. - Dlatego właśnie zatrudniłam się w NASA. Chciałam zrobić coś dla ludzkości, badać kosmos w imię pokoju. Niestety, okazało się, że świat różni się od wyobrażeń naiwnej dwudziestoczterolatki. Choć naiwnej niezbyt długo.

– Coś złego wydarzyło się w raju?

– Jak zawsze.

Pokiwał głową z cierpkim uśmiechem, wyraźnie czekając na dalszy ciąg.

– Po roku pracy w NASA przydzielono mnie do nowego zespołu. Była to kontynuacja dosyć głośnego projektu Dedal, który zakładał wykorzystanie eksplozji jądrowych lub bardziej egzotycznych zjawisk, w rodzaju anihilacji materii i antymaterii, do rozpędzania przyszłych pojazdów kosmicznych do niebywałych prędkości. Dużo większych niż możliwe do osiągnięcia przez rakiety na paliwo chemiczne. Było to bardzo ciekawe, wręcz porywające zadanie. Projekt wymagał wielu roboczogodzin i bardzo bliskiej współpracy, i jak się zapewne domyślasz, pośród ośmiorga ludzi spędzających ze sobą niemal cały czas, poza przerwami na sen, szybko wytworzyły się bardzo bliskie więzi. Nagle, ni stąd, ni zowąd, zaczęliśmy otrzymywać pogróżki.

– Z powodu pracy?

– Najwyraźniej. Grupa ekstremistów, o której nigdy nie słyszałam, oskarżyła nas o militaryzację kosmosu. Z początku uznaliśmy to za stek bzdur, ale groźby stawały się coraz ostrzejsze, coraz bardziej osobiste. Zaczęliśmy dostawać nasze zdjęcia w prywatnych sytuacjach, w domach, samochodach, restauracjach, na spotkaniach z kolegami. Kimkolwiek byli ci ludzie, ewidentnie zaczęli nas prześladować.

– Chyba zawiadomiliście FBI.

– Oczywiście. Federalni powiązali te pogróżki z antyamerykańską organizacją, która zabiła dwóch naukowców w Arktyce i wysyłała listy-bomby do szeregu firm zajmujących się najnowszymi technologiami. Wiedząc, że FBI prowadzi śledztwo, poczuliśmy się bezpieczni. Dwa tygodnie później szef zespołu i nasz serdeczny przyjaciel, Beric, został zamordowany.

Siedzący naprzeciw niej Kurt pokiwał głową w zamyśleniu. Nie odzywał się ani słowem.

– Beric był uroczym, miłym człowiekiem - powiedziała, zaskoczona emocjami, jakie budzi w niej to wspomnienie po tylu latach. - Jeśli ktokolwiek czegoś potrzebował, włącznie z pracownikami bufetu i sprzątaczkami, starał się spełniać wszelkie życzenia. Zawsze opowiadał się po stronie słabszych, nawet najbardziej beznadziejne sprawy starał się doprowadzić do szczęśliwego zakończenia. W dodatku był prawdziwym geniuszem w kilku dziedzinach, od tworzenia oprogramowania po astrofizykę. Przede wszystkim jednak był całym sercem oddany pokojowej misji NASA i pragnął świata, w którym wszyscy ludzie odnosiliby się do siebie przyzwoicie.

Odetchnęła głęboko, wzięła się w garść i opowiadała dalej.

– To, że ktoś uwziął się na niego, oskarżył go o poglądy militarystyczne i za to go zabił, zakrawało na okrutny żart. Przeżyłam wstrząs. Klapki opadły mi z oczu. Stało się dla mnie jasne, że nastawienie pacyfistyczne to nic innego jak dziecięce marzenia. Pokój jest czymś kruchym, nie jest to stan naturalny. Jego jedyną gwarancją jest siła. Kiedy jej zabraknie, nadchodzi katastrofa.

– Zgadzam się z tym pod wieloma względami - powiedział Kurt. - Możesz mi powiedzieć, jak zginął?

– Jak wielu pracowników NASA, Beric kochał latanie. Miał własny samolot i latał nim, kiedy tylko mógł. Jeśli musieliśmy dokądś pojechać, nie korzystał ze środków transportu publicznego, zawsze leciał swoim samolotem. Pewnego dnia, w drodze na konferencję astrofizyczną, maszyna eksplodowała. Po zbadaniu szczątków FBI potwierdziło to, czego się spodziewaliśmy. Przyczyną

katastrofy był wybuch bomby. Samolotem miały lecieć trzy osoby, okazało się jednak, że Beric był sam.

– To bardzo przykre.

– Wkrótce badania nad nowym napędem zostały wstrzymane, a następnie zamknięto cały projekt. Czułam, że snuję się bez celu, dlatego postanowiłam rozejrzeć się za innym zajęciem. Kiedy Agencja Bezpieczeństwa Narodowego rozpoczęła rekrutację naukowców do swego programu kosmicznego, skorzystałam z okazji.

Kurt pokiwał głową, po czym otrząsnął się z zadumy i zmienił temat na bardziej radosny. Słuchała go, ale jej myśli krążyły wokół Berica. Nie wspominała go od lat. Zapewne nie spodobałaby mu się jej nowa praca.

Odepchnęła od siebie tę myśl i ponownie skupiła uwagę na Kurcie. Rozmawiali i jedli kolację. W połowie drugiego kieliszka wina Kurt przerwał w pół zdania, wyjął z kieszeni komórkę i przeczytał wiadomość, która przyszła przed chwilą.

– Bawisz się telefonem - westchnęła. - Czyżbym aż tak cię nudziła?

– Ależ skąd - żachnął się i odłożył telefon. - Zaraz sprawdzimy, czy faktycznie jesteś taka bojowa, jak słyszałem.

Przesunął urządzenie zagłuszające w jej stronę, wyciągnął plik studolarówek i gestem przywołał kelnera.

– To za jedzenie. A to za oprowadzenie po kuchni.

Kelner jednym spojrzeniem otaksował otrzymaną kwotę, po czym uśmiechnął się i powiedział:

– Tędy proszę.

Emma wstała bez słowa sprzeciwu. Była ciekawa, co Kurt wymyślił.

Przeszli za kelnerem przez kuchnię aż do tylnego wyjścia, gdzie Kurt poprosił go o jeszcze jedną przysługę.

– Jeśli to możliwe, proszę zablokować te drzwi na kilka minut i nie wypuszczać nikogo za nami.

Kelner kiwnął głową, a Kurt wyprowadził Emmę na kiepsko oświetlone podwórko na tyłach restauracji.

– Chyba coś pokręciłeś - powiedziała. - Ludzie wymykają się z restauracji, kiedy nie chcą płacić, a nie wtedy, gdy przepłacają. W dodatku nie przed deserem.

– Obserwowano nas - rzucił krótko, prowadząc ją ciemnym zaułkiem w kierunku głównej ulicy.

– Jesteśmy agentami amerykańskich służb, działającymi bez przykrywki w obcym państwie. To oczywiste, że ekwadorskie władze nas obserwują, zwłaszcza po naszym nagłym i niezapowiedzianym przylocie.

– To nie była ekwadorska policja ani służba bezpieczeństwa - powiedział Kurt z przekonaniem. - Widziałaś tych młodych Chińczyków, chłopaka i dziewczynę? Czekali przy drzwiach, a potem usiedli w loży naprzeciw nas. Nawet nie tknęli jedzenia.

– A tak, dwoje Chińczyków - przyznała Emma, próbując przypomnieć sobie ich wygląd. - Owszem, widziałam ich. Co w tym dziwnego? Przecież wiemy, że Chińczycy też prowadzą poszukiwania. Zresztą zapewniam cię, że dzięki zagłuszaniu nie słyszeli ani jednego słowa z naszej rozmowy. Nawet nasi najlepsi specjaliści nie zdołaliby zneutralizować tego urządzenia.

Kurt się zatrzymał.

– Wcale nie próbowali nas podsłuchiwać. Oni czytali z ruchu warg.

Emma zastygła w pół kroku, usiłując przypomnieć sobie, czy przypadkiem nie zdradziła czegoś istotnego, i z ulgą stwierdziła, że za każdym razem Kurt skutecznie ją od tego powstrzymał.

– Zdziwiłam się, dlaczego chcesz, żebym spróbowała twojego dania, chociaż zamówiliśmy to samo.

– Możemy rozmawiać, idąc - powiedział Kurt i ruszył dalej.

– Nie wiem, czy opuszczenie restauracji było dobrym pomysłem - zastanawiała się Emma. - Skoro wiedziałeś, co się dzieje, można było wcisnąć im jakieś fałszywe informacje.

– Niezły pomysł - przyznał. - Jednak bardziej istotna jest prawdziwa informacja, jaką przed chwilą otrzymałem, i nie chciałbym, aby oni ją poznali.

– Co to takiego?

– Miejsce, w którym znajduje się Nighthawk - oznajmił Kurt. - Wiem, gdzie wylądował.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Niemożliwe.

– Nie znam dokładnej pozycji, ale mogę zawęzić obszar poszukiwań do stu sześćdziesięciu kilometrów kwadratowych.

– Jak to?

Kurt stanął jak wryty, bez słowa. Na końcu zaułka nagle pojawili się trzej mężczyźni. Stali niewzruszenie pod latarnią i blokowali przejście.

– Nie wyglądają mi na turystów - stwierdziła Emma po jednym rzucie

okiem.

– Mnie też nie - zgodził się Kurt, rozglądając się na boki. - A więc ci dwoje nie byli sami.

Za ich plecami powstało jakieś zamieszanie. Emma odwróciła się i ujrzała otwierające się gwałtownie drzwi restauracji. Pojawiła się w nich znajoma chińska para. Mężczyzna krzyczał na kogoś z obsługi restauracji. Kłótnia urwała się w momencie, gdy wyciągnął pistolet i wypalił w kierunku wnętrza. Pracownicy wycofali się i drzwi zamknęły się z trzaskiem.

– Nie wziąłem pod uwagę, że może być ich więcej - westchnął Kurt. - Nie powinienem też liczyć na to, że jeden kelner zdoła powstrzymać dwoje uzbrojonych agentów.

– Masz broń? - spytała Emma.

– Niestety nie.

– Ja też nie. Niezbyt obiecujący ten początek naszej współpracy.

Jak na komendę para z restauracji i trzej nowi przybysze ruszyli i zaczęli zbliżać się do nich z dwu stron.

8.

Od wyjścia z restauracji Kurt trzymał Emmę za rękę. Miał nadzieję oderwać się od pary Chińczyków, wydostać się na ulicę i złapać taksówkę. Niestety, trzej dodatkowi agenci odcięli im drogę.

– Co teraz? - spytała Emma.

Obie grupy zbliżały się do nich powoli, jak gdyby w obawie, że zbytni pośpiech mógłby ujawnić jakąś słabość lub lukę w ich szeregach, coś, co dałoby Kurtowi i Emmie szansę ucieczki.

– Wolałbym, żeby działali bardziej energicznie - stwierdził Kurt. - Moglibyśmy wtedy spróbować wybić ich jakoś z uderzenia.

– Zastrzelą nas?

Kurt potrząsnął głową.

– Raczej nie chcą nas zabić. Zapewne wolą dorwać nas żywcem i torturować, aż wyjawimy wszystko, co wiemy.

– To bardzo krzepiące. Masz jakiś plan?

Kurt obrzucił szybkim spojrzeniem otoczenie. Niemal na wprost nich dostrzegł wąską szczelinę między dwoma domami, ale była tak ciasna, że musieliby się przeciskać. W dodatku zauważył blokujące ją przeszkody i kable. Gdyby w niej utknęli, staliby się łatwym celem.

Zerknął w lewo. Ujrzał kontener na śmieci z zamkniętą pokrywą. Można było z niego dosięgnąć dachu stojącego za nim budynku.

– Umiesz się wspinać?

– Umiem też biegać, a kiedy muszę, także przywalić.

– Doskonale. Za mną.

Podbiegli do kontenera. Kurt podsadził Emmę, po czym wspiął się sam. Chińczycy zawahali się na ułamek sekundy, a potem zaczęli biec.

– No dalej! - ponaglił ją Kurt.

Emma zrzuciła pantofle, chwyciła dłońmi krawędź spadzistego dachu i podciągnęła się bez niczyjej pomocy. Kurt zrobił to samo.

– Przejdź na frontową stronę i rozejrzyj się za taksówką - powiedział.

– A ty?

– Wykonam manewr opóźniający.

Zostawiła Kurta i wspięła się na dwuspadowy dach, skulona, na wypadek gdyby Chińczycy zaczęli strzelać.

Kurt leżał płasko na dachu i czekał na prześladowców. Po kilku sekundach metaliczny odgłos potwierdził, że ktoś wspina się na kontener. Czyjeś dłonie chwyciły krawędź dachu, a w ślad za nimi pojawiła się głowa.

Kurt wyprostował nogę, wbijając obcas w środek twarzy mężczyzny. Z rozbitego nosa buchnęła krew, głowa poleciała w tył. Chińczyk spadł prosto na swoich towarzyszy, powalając ich swoim ciałem na ziemię.

Nie czekając na powtórkę, Kurt ruszył w górę dachu i przeszedł na drugą stronę. Przy krawędzi czekała na niego przykucnięta Emma.

– Nie ma żadnych taksówek - oznajmiła.

– Trochę za późno, by dzwonić do Ubera.

Zeskoczyli jednocześnie i wylądowali twardo na opustoszałym chodniku. W tej samej chwili zza rogu wypadli trzej mężczyźni i natychmiast ruszyli pędem w ich kierunku.

– Biegiem! - krzyknął Kurt.

Przebiegli przez ulicę. Tym razem w ich stronę poleciało kilka kul. Wystrzałom nie towarzyszył głośny huk, usłyszeli natomiast cichy trzask, najwyraźniej napastnicy mieli pistolety z tłumikami. To, że są pod ostrzałem, poznali po pękających szybach samochodów zaparkowanych po tej stronie ulicy.

Kurt zanurkował za maskę klasycznego bmw 2002, którego idealnie utrzymana karoseria wzięła na siebie kilka przeznaczonych dla niego pocisków.

Nieliczni przechodnie zauważyli strzelaninę i rzucili się do ucieczki, szukając ukrycia.

– A mówiłeś, że nie będą do nas strzelać - powiedziała z wyrzutem Emma.

– Widocznie taki mają plan B: eliminacja celów.

Chcąc rozejrzeć się w sytuacji bez narażania na trafienie, Kurt oderwał boczne lusterko samochodu.

– Świętokradztwo - szepnął, gdy okaleczał jeden ze swoich ulubionych modeli samochodów.

Użył lusterka jako peryskopu, po czym powiedział:

– Znowu nas okrążają.

– Potrafisz odpalić samochód bez kluczyka?

– Nie zrobię tego w mgnieniu oka, w dodatku pod ostrzałem.

Popatrzył wzdłuż ulicy. Za najbliższym skrzyżowaniem stały na przystanku dwa autobusy z włączonymi silnikami.

– Może skorzystamy z transportu publicznego?

– Z braku laku, może być.

– No to gazem, bo ucieknie nam autobus.

Wypadli zza starego bmw, przecięli na ukos trawnik przed kościołem i pobiegli na przystanek.

– Fuj! - wyrzuciła z siebie Emma w pełnym biegu.

– Co jest? - spytał Kurt.

– Wdepnęłam w coś bosą stopą.

Ale nie zwolniła nawet na sekundę.

Dobiegli do przystanku w chwili, gdy pierwszy autobus ruszył. Kurt uderzył w przednie drzwi całym ciałem, wyłamał je i wpadł do środka, Emma tuż za nim. Kierowca odruchowo nacisnął hamulec.

Kurt skoczył ku niemu, ściągnął go z fotela i wdepnął pedał gazu. Ryknął potężny silnik dieslowski, autobus skoczył do przodu i zaczął nabierać prędkości. Kurt chwycił kierownicę i odbił w lewo.

Za jego plecami kierowca wyciągnął puszkę gazu pieprzowego i wycelował w intruza. Kurt zamknął oczy, odwrócił głowę i trzymał nogę na gazie. Usłyszał z tyłu jakieś zamieszanie, zakończone głośnym łoskotem. Kiedy obejrzał się, Emma stała nad powalonym kierowcą, trzymając w dłoni puszkę z gazem.

– Dobra robota - pochwalił ją.

Teraz ona wycelowała gaz w stronę kierowcy i gestem kazała mu zabierać się z przejścia. Mężczyzna popatrzył na nią, wstał i usiadł na pierwszym wolnym miejscu.

– *No vamos a hacerle dano a nadie* - powiedziała Emma płynnie po hiszpańsku. - *Estamos trabajando para el gobierno.*

Kurt skręcił za róg i pędził przed siebie. Pasażerowie nie ruszyli się z miejsc. Szemrali coś między sobą, ale żaden nie próbował wstać.

– Co im powiedziałaś?

– Że nie zamierzamy nikogo skrzywdzić i że pracujemy dla rządu - wyjaśniła. - Nie skłamałam, nie powiedziałam tylko, dla którego.

– Jak dla mnie, może być - odparł Kurt, kręcąc wielką kierownicą, by utrzymać odpowiedni kierunek. O dziwo, prowadzenie ogromnego pojazdu nie nastręczało mu większych trudności pod warunkiem, że jechał prosto. Nadał jednak nie mógł wyjść z podziwu, jak kierowcom tych potworów udawało się skręcać na wąskich, brukowanych ulicach bez rozwalania zaparkowanych samochodów czy narożników domów.

Pokonawszy kilometr lub dwa, znaleźli się na przedmieściach Las Peñas. Kurt uznał, że chińscy agenci zostali daleko w tyle. Zwolnił, zjechał bliżej pobocza i szukał miejsca, w którym mógłby się zatrzymać.

Gwałtowne uderzenie od tyłu wprawiło cały autobus w drżenie. Pasażerowie krzyczeli, kilku zostało wyrzuconych z miejsc. Emma straciła równowagę i zatrzymała się dopiero na przedniej szybie.

Kurt instynktownie wdepnął gaz i zerknął w lusterko. Przyczyna była oczywista: drugi autobus, jadący z wyłączonymi światłami, dogonił ich i staranował. Teraz usiłował wcisnąć się z boku. Kurt obrócił kierownicę, aby zablokować drugi pojazd, i wciąż przyspieszał, ale nie mógł oderwać się od pościgu.

– *Modelo nuevo!* - krzyknął kierowca - *Mas rapido!*

– Mówi, że to nowszy model, dużo szybszy - przetłumaczyła Emma.

– Sam to załapałem! - orzekł Kurt, robiąc wszystko, by nie przepuścić bokiem goniącego ich autobusu.

Dwa wielkie pojazdy gnały ulicą z rykiem silników i oddalały się od jasno oświetlonego centrum Las Peñas. Nieliczne samochody ustępowały im z drogi. Kurt niechcący potrącił rząd stojących na krawędzi chodnika automatów z gazetami. W powietrze uniosły się setki egzemplarzy „El Telegrafo", „El Universo" i „El Metro".

Przemknęli przez skrzyżowanie przy akompaniamencie licznych klaksonów i wypadli na opustoszałą, szeroką drogę, prowadzącą w dół wzniesienia ku wybrzeżu. Zjeżdżający z góry autobus z pedałem gazu wciśniętym do podłogi zaczął dygotać. Nie był przystosowany do poruszania się z taką prędkością.

– Znów się zbliżają! - ostrzegła Emma.

Autobus zakołysał się od kolejnego uderzenia. Trzecia próba omal nie zepchnęła ich z drogi.

Walcząc o odzyskanie kontroli nad wielką maszyną, Kurt musiał zwolnić. W rezultacie goniący ich autobus zrównał się z nimi i nagle skręcił. Pojazdy gwałtownie przywarły bokami do siebie, posypało się szkło, rozległy się

krzyki pasażerów. Kilku zsunęło się na podłogę, inni zaczęli się modlić.

Skoro już doszło do wymiany ciosów, Kurt wolał je zadawać, niż przyjmować.

– Zabierz wszystkich na lewą stronę! - krzyknął.

Emma przesadziła pasażerów. Kiedy już zajęli nowe miejsca, Kurt obrócił kierownicę w prawo. Autobusy znów zwarły się ze sobą, a kiedy się rozłączyły, nowy model został nieco z tyłu.

Na długim, prostym odcinku drogi szybko nadrobił stracony dystans. Kurt zerknął na kierowcę. Za kółkiem siedział Chińczyk z rozkwaszonym nosem.

– Uwaga! - krzyknął Kurt, spodziewając się kolejnego uderzenia.

Tym razem jednak drugi autobus podjechał tylko bliżej i trzymał się w tej pozycji. Po chwili rozległy się dwa głośne uderzenia w dach.

– Mamy pasażerów na gapę - stwierdził Kurt.

W suficie tuż nad nim pojawiły się dwa otwory. Kurt wiedział, co to oznacza. Ledwie zdążył zsunąć się na podłogę, gdy blaszany dach został podziurawiony kulami, które uderzyły prosto w siedzisko fotela, zajmowanego przez niego przed chwilą.

Leżąc na podłodze, nacisnął dłonią pedał hamulca.

Pneumatyczne hamulce zablokowały koła i autobus wpadł w poślizg. Mężczyzna z dachu wzbił się w powietrze i poleciał prosto na ogrodzenie z zaostrzonych prętów. Nadział się na szpikulce i zniknął z pola widzenia.

Kurt wskoczył z powrotem za kierownicę, a wtedy drugi Chińczyk zwiesił się w dół, zacisnąwszy dłonie na klamce bagażnika. Zaatakował z boku, kopnięciem otworzył drzwi i rzucił się Kurtowi do gardła.

Emma przyłożyła mu kolanem w krocze, odrzucając go do tyłu, po czym prysnęła mu w twarz gazem pieprzowym. Mężczyzna zakrył oczy dłońmi, opadł na kolana i zwinął się w pozycji embrionalnej, a ona kopniakami wyekspediowała go za drzwi.

– *Cambio exacto* - powiedziała na zakończenie.

Ku zaskoczeniu Kurta pasażerowie zaczęli wiwatować.

– Odliczona kwota - przetłumaczyła. - Nie miał odliczonej kwoty na bilet, więc musiałam go wyrzucić. Czaisz?

Kurt, który właśnie bez zmniejszania prędkości pokonywał długi, łagodny zakręt, wybuchnął śmiechem.

– Będziemy musieli popracować jeszcze nad twoim wykopem, ale spisałaś się doskonale.

Przez ponad kilometr Kurt utrzymywał przewagę nad ścigającym ich autobusem, ale na prostej szybko ją stracił. Kolejne uderzenie niemal zepchnęło ich z nasypu. Z dużą prędkością minęli światła Malecón oraz tablicę przedstawiającą jacht wyciągany z wody na pochylnię.

– Droga się kończy - zauważyła Emma. - Musimy coś wymyślić, bo ten autobus raczej nie potrafi pływać.

– Wiesz co? To doskonały pomysł - rzucił Kurt.

– Nie, to bardzo zły pomysł.

– Poważnie, genialny - upierał się Kurt.

– Autobusy nie pływają.

– I o to chodzi!

Kurt zwolnił na zakręcie i zjechał na lewą stronę drogi. Ścigający ich autobus szybko zrównał się z nimi od prawej. Pojazdy starły się ze sobą burtami raz, a potem drugi. Kurt nie odpuszczał, szukając wzrokiem zjazdu na pochylnię.

Kiedy go dojrzał, obrócił mocno kierownicę i trzymał z całej siły. Autobusy zwarły się ze sobą, odpadające kawałki blachy posypały się na drogę. Krzesząc snopy iskier, sczepione burtami kolosy zbliżały się do zjazdu na pochylnię.

W ostatniej chwili Kurt jeszcze mocniej skręcił kierownicę w prawo, a potem błyskawicznie odbił w lewo. Autobusy oderwały się od siebie, a ten prowadzony przez Chińczyka pomknął w dół po pochylni. Kierowca wdepnął w hamulec, ale pojazd ześliznął się po pochyłej, mokrej nawierzchni i wpadł do morza, niknąć w rozbryzgu wody i piany. Kiedy woda opadła, dwie trzecie autobusu znajdowało się pod powierzchnią.

Kurt zdołał odzyskać kontrolę i ponad kilometr dalej zajechał z fasonem na przystanek na obrzeżach Malecón. Kilkoro stojących na nim ludzi rozpierzchło się na boki na widok pokiereszowanego autobusu. Kiedy Kurt zahamował, jedna z opon pękła z hukiem i cały pojazd przechylił się na bok. Powyginane ramy okien zakołysały się bezwładnie, sypnęło się szkło z wybitych szyb. Syk powietrza z pneumatycznych hamulców zabrzmiał jak ostatnie tchnienie autobusu.

Kurt otworzył drzwi i pomachał ręką do pasażerów, jak po skończeniu zwykłego kursu.

– Witamy w Malecón. Przy wysiadaniu prosimy uważać na stopień.

Pasażerowie gapili się na niego w osłupieniu, żaden się nie roześmiał.

– Trudna publiczność - skwitował Kurt, przełączając tablicę trasową z przodu autobusu na *Sin Servicio*, „Awaria”.

Emma i Kurt wysiedli z autobusu i ruszyli ku promenadzie, by wmieszać się pomiędzy spacerujących turystów.

– Ciekawe, czy wrócą? - Emma spojrzała w kierunku pochylni.

– Nie dzisiaj - zapewnił Kurt. - Jeśli wyszli z tego cało, będą woleli zejść z widoku, tak jak i my powinniśmy, choć mam nadzieję, że twoi koledzy z NSA potrafią nas wyciągnąć w razie problemów ze stróżami prawa.

– Jakoś sobie poradzimy - odpowiedziała Emma. - No i co? Jak się spisałam?

– Nieźle, jak na żółtodzioba.

– Nieźle? - oburzyła się. - Ocaliłam cię przed gazem pieprzowym i uwolniłam od faceta, który jak Tarzan wpadł do autobusu.

Kurt się roześmiał. Wmieszali się w tłum, zmierzając do ustronnego miejsca na końcu nabrzeża.

– No dobrze, spisałaś się wyśmienicie - przyznał. - Tylko niech ci woda sodowa nie uderzy do głowy.

– Nie uderzy - obiecała. - Pod warunkiem że wyrazisz się o mnie z uznaniem w swoim raporcie.

– To akurat nie będzie takie trudne - odrzekł Kurt. - Skoro jednak naprawdę chcesz zarobić na złotą gwiazdkę, będziesz musiała zdobyć się na jeszcze jeden ryzykowny krok. Na samą myśl o tym większości twoich kolegów z NSA zmiękłyby kolana.

Zmrużyła podejrzliwie oczy, ale nie zdołała ukryć podekscytowania.

– Co to miałoby być?

Kurt wyciągnął telefon, jeszcze raz dokładnie przeczytał wiadomość od Hirama Yaegera i podjął decyzję.

– Będziemy musieli ukraść nasz sprzęt i przez jakiś czas działać na własną rękę.

– Czyżby kradzież autobusu nie była wystarczająco emocjonująca jak na jeden wieczór?

– Posłuchaj, byliśmy pod stałą obserwacją. Ludzie, którzy na nas napadli, to nie jedyni agenci, z którymi będziemy mieli do czynienia. W dodatku nasze problemy nie skończą się wraz z wypłynięciem na otwarte morze. Ze zdjęć satelitarnych, które otrzymałem podczas naszej kolacji, wynika, że bardzo podejrzanie wyglądające trawlery płyną w ślad za „Cataliną” i innymi naszymi statkami.

– Chińskie okręty szpiegowskie z wysokimi masztami, najeżone mrowiem anten - powiedziała Emma. - Słyszałam o nich już wcześniej. Ale to wszystko nie ma znaczenia, jeśli zdołamy znaleźć Nighthawka i podniesiemy go z dna, zanim na miejsce dotrą ich okręty ratownicze.

– Wszystko byłoby pięknie, gdyby on tam siedział i czekał, aż go weźmiemy jak pluszowego misia wygranego na strzelnicy. Ale z moich informacji wynika, że nie opadł na dno w całości, wbrew temu, co twierdzili twoi przyjaciele z NSA. Prawdopodobnie rozpadł się na kilka większych części i tysiące małych kawałków.

Skrzyżowała ramiona na piersiach i popatrzyła gdzieś w dal, najwyraźniej zastanawiając się nad czymś.

– Moi przełożeni stanowczo twierdzą, że Nighthawk nie rozpadł się podczas lądowania - oznajmiła.

– A moi koledzy dysponują nagraniami z podwodnych stanowisk nasłuchowych, na których zarejestrowano upadek dokładnie cztery minuty i siedemnaście sekund po tym, jak straciliście kontakt z Nighthawkiem. Sygnatura dźwiękowa sugeruje uderzenie o powierzchnię morza z dużą prędkością. Odgłosy w paśmie średnich częstotliwości odpowiadają nagłemu wytworzeniu dużej ilości przegrzanej pary wodnej, czego można było się spodziewać przy zetknięciu osłony termicznej, rozgrzanej do tysiąca stopni, z wodą o temperaturze dwudziestu jeden stopni. A potem, na większej głębokości, następuje kilka stłumionych implozji, dokładnie takich, jak podczas rozpadania się kadłuba tonącego statku.

– Gdzie? - spytała.

– Około osiemdziesięciu kilometrów na wschód od archipelagu wysp Galapagos. Dokładnie pośrodku waszego stożka prawdopodobieństwa.

– Czy to pewne?

– Wystarczająco, aby zaryzykować butelkę tequili Don Julio i pudełko kubańskich cygar - oznajmił Kurt. - Zaufaj mi, to rzetelne informacje. Nasze podwodne stanowiska nasłuchowe są nowocześniejsze od sensorów systemu SOSUS, należącego do US Navy, a nasze komputery i gość, który je skonstruował, są poza wszelką konkurencją.

Wyglądała na niemal przekonaną.

– Poinformuj o tym centralę NSA w celu weryfikacji. Zapewniam cię, że zyskasz tym wielkie uznanie.

– Mam gdzieś wasze uznanie. Informując NSA, popełnilibyśmy

niewybaczalny błąd.

Emma nie zdołała ukryć wzburzenia.

– Pamiętaj, że pracujesz dla nas.

– Jasne - prychnął Kurt. - Kto jeszcze dla was pracuje? Jesteś pewna, że nikt z waszych ludzi nie kręci czegoś na boku?

Z wyrazu jej twarzy widać było wyraźnie, że dotarło do niej znaczenie jego słów. Zacisnęła szczęki i spojrzała na niego świdrującym wzrokiem. Oho, zaraz Huraganowa Emma objawi swe prawdziwe oblicze, przemknęło Kurtowi przez myśl.

– Do czego zmierzasz? - wysyczała.

– Przybyliśmy tu zaledwie sześć godzin temu. Od samego początku byliśmy śledzeni, a następnie zostaliśmy zaatakowani. Chińskie okręty szpiegowskie płyną za „Cataliną", która oficjalnie wciąż prowadzi badania środowiska naturalnego. Wynika z tego niezbicie, że Chińczycy znają każdy nasz ruch, zanim jeszcze go wykonamy. To może świadczyć tylko o jednym: mamy przeciek.

– Na pewno nie w NSA - zastrzegła. - Skąd wiesz, czy w NUMA nie zagnieździł się jakiś kret?

– Nie mogę tego wiedzieć - przyznał. - Dlatego nikogo nie możemy powiadomić o naszym kolejnym posunięciu. Ani NUMA, ani NSA. Tylko wtedy możemy być pewni, że ta informacja nie wypłynie na porannej odprawie w Szanghaju.

Popatrzyła mu prosto w oczy. Nie znalazła żadnej luki w jego rozumowaniu, więc dalsze kroki były oczywiste. Złożyła usta w porozumiewawczy uśmieszek.

– W porządku, działamy na własną rękę - poddała się. - Muszę przyznać, że ma to pewien urok. Możesz na mnie liczyć.

– Fantastycznie - odparł. - Teraz trzeba tylko załatwić śmigłowiec i odpowiedni statek, z którego mógłby działać. I nikt nie może się połapać, że to my za tym stoimy.

9.
Statek badawczy NUMA „Catalina"
Sto sześćdziesiąt kilometrów na zachodni południowy zachód
od Guayaquil, godzina 22.00

Catalina szła przez mrok z pełną prędkością kursem północnym. Osiemdziesięciometrowy kadłub o zgrabnych, opływowych kształtach, nietypowy dla jednostki badawczej, dobrze sobie radził podczas szybkiego rejsu. Kołysał się tylko nieznacznie na długiej, łagodnej fali.

Gamay Trout błogosławiła w duchu konstruktorów za stateczność statku, idąc z kabiny łącznościowej na mostek, by przekazać wiadomość o dziwnie brzmiącej treści.

Smukła, mierząca metr siedemdziesiąt osiem Gamay miała ciemnoczerwone włosy o mieniącym się połysku. Przenikliwe spojrzenie i luzacki uśmiech sugerowały skłonność do płatania złośliwych figli, która pozostała jej z czasów, gdy dorastała jako chłopczyca. Wypowiadała się jasno i zwięźle, nie marnując słów, co ponoć miało świadczyć o otwartości umysłu, pracującego bez żadnego wysiłku na najwyższych obrotach.

Niespokojność ducha, przejawiająca się niepowstrzymaną żądzą wiedzy, zaowocowała między innymi doktoratem z biologii morskiej oraz magisterium z archeologii podwodnej.

Podobała się większości mężczyzn, ale nie chodziło o powierzchowne wrażenie, które szybko przemija. Ich zainteresowanie pogłębiało się, im więcej czasu z nią spędzali, po części dlatego, że czuli się przy niej swobodnie. Kojący wpływ na otoczenie był prawdziwym darem, który właśnie usiłowała przywołać. Niosła na mostek instrukcje, otrzymane przed chwilą od Kurta Austina.

Kiedy uśmiechnięta weszła na mostek, obecni tam trzej mężczyźni - Ed Callahan, kapitan „Cataliny”, jego zastępca zwany „chiefem” oraz jej mąż Paul - prowadzili rozmowę, stojąc obok wyświetlacza radaru.

– Dobry wieczór - powitał ją Callahan. - Przepraszam, że zatrzymałem Paula. Rozmawiamy o gąszczu domysłów, sprowokowanych zmianą naszych planów. Nagłe przerwanie badań, do których przygotowywaliśmy się przez pięć miesięcy, zaniepokoiło kilka osób.

Gamay uniosła groźnie brew.

– Nieładnie. Plotki przy dystrybutorze z wodą? Beze mnie? Wstydźcie się, panowie.

– To niewybaczalne - sumitował się Callahan. - Niniejszym oficjalnie zapraszam do naszego grona.

Kapitan przesunął się, by zrobić jej miejsce tuż obok męża. Paul był wielkoludem, mierzącym dwa metry i trzy centymetry. Zawsze wypowiadał się z powagą i nigdy nie podnosił głosu. Gamay poznała go w Instytucie Scrippsa, gdzie robił doktorat z oceanografii. Wkrótce potem pobrali się i odtąd już zawsze byli nierozłączni. Oboje zatrudnili się w NUMA i tego samego dnia dołączyli do Zespołu Specjalnego. Wieść głosi, że jednym z istotnych punktów w ich kontraktach było zastrzeżenie, że będą pracować razem.

– Czy ktoś z was ma pojęcie, co się dzieje? - spytał Callahan.

– No cóż, nie za bardzo...

– Jak już mówiłem, w przypadku Kurta - głos Paula, jak zawsze, był głosem rozsądku - należy być przygotowanym na wszelkie niespodzianki. Choć jestem pewien, że tym razem nie będzie to jakieś kompletne wariactwo.

Gamay wzięła głęboki wdech.

– Nie postawiłabym na to złamanego centa.

Kapitan zauważył wiadomość w jej dłoni.

– Co tam dla mnie masz?

Podała Callahanowi wydruk i możliwie spokojnym głosem wyjaśniła, czego dotyczą otrzymane rozkazy.

– Niby co mamy zrobić?! - spytał kapitan zmienionym głosem.

– Wyrzucić za burtę nasz najlepszy pojazd podwodny i odpłynąć pełną parą - powtórzyła Gamay.

Callahan poszukał wzrokiem pomocy u Paula, ale on uniósł obie ręce na znak, że nie ma z tym nic wspólnego.

– Totalny absurd, to chyba jasne - sapnął Callahan. Był doświadczonym marynarzem, miał za sobą długoletnią służbę w marynarce wojennej i na statkach handlowych, a od dwóch lat pracował w NUMA. Zdarzało mu się

otrzymywać dziwaczne, budzące wątpliwości rozkazy, ale ten bił je wszystkie na głowę. - „Angler” jest wart trzydzieści milionów dolarów. To nie jakieś zardzewiałe wiadro, które można złożyć w ofierze Posejdonowi.

– Czy ktoś może wyjaśnić, o co chodzi? - spytał Paul. - Może mamy dostać odliczenie od podatku?

Gamay pokręciła głową i odczytała tekst słowo po słowie:

– „Rozkaz Dyrektora Zespołu Specjalnego, Kurta Austina.

Wykonać natychmiast.

Pod osłoną nocy zwodować pojazd podwodny NSV-2 („Angler”) bez załogi. Wszystkie systemy pojazdu mają być sprawne, akumulatory naładowane. Nastawić zanurzenie na głębokość trzydziestu metrów. Zaprogramować autopilot na wynurzenie po dwóch godzinach. Natychmiast po zwodowaniu „Anglera” zmienić kurs „Cataliny” na wschodni, odejść w kierunku ujścia rzeki Guaya i czekać na dalsze rozkazy. Uwaga: „Catalina” znajduje się pod obserwacją. Wodowanie przeprowadzić dyskretnie. Nie meldować o wodowaniu „Anglera” do centrali NUMA. Nie powoływać się na niniejszy rozkaz podczas standardowej komunikacji radiowej”.

– Czy to na pewno przyszło od Kurta? - spytał Callahan.

Gamay skinęła głową.

– Kiedy poprosiłam o potwierdzenie, w odpowiedzi przyszło: zamknąć szczelnie właz i nie zamoczyć welurowego obicia foteli.

Paul roześmiał się.

– To na pewno Kurt, nie ma wątpliwości.

– A może jednak zweryfikować to u Rudiego Gunna - wtrącił się chief. - Tak na wszelki wypadek.

Gamay pokręciła głową.

– Możesz skontaktować się z Rudim Gunnem, dyrektorem Pittem albo z samym wiceprezydentem Sandeckerem. Każdy z nich odpowie dokładnie to samo: jeśli Kurt czegoś chce, to tak ma być.

Callahan zerknął na panel nawigacyjny i na chronometr. Minęła dwudziesta druga. Do wschodu księżyca pozostała godzina.

– Nie ma chwili do stracenia - zwrócił się do chiefa. - Wydać ludziom gogle noktowizyjne. Wygasić oświetlenie pokładu. Sprawdzić w instrukcji, czy wyrzucenie „Anglera” za burtę przy naszej obecnej prędkości nie grozi jego uszkodzeniem. W przeciwnym razie zwolnimy, zrobimy zwrot i wtedy go zrzucimy.

– Tak jest, panie kapitanie - potwierdził chief. - Już się zastanawiam, co wymyślą następnym razem.

– Na pewno nic bardziej szalonego niż to, co teraz - burknął Callahan.

Gamay i Paul powstrzymali się od komentarza, wymienili tylko porozumiewawcze spojrzenia. Z doświadczenia wiedzieli, że Callahan może się mylić.

* * *

Gamay wróciła do kabiny łącznościowej, a Paul wraz z marynarzami pokładowymi zajął się wodowaniem czy raczej zrzutem pojazdu podwodnego.

Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach praca niemal na krawędzi nawisu rufowego statku idącego pełną prędkością stanowiła nie lada wyzwanie. Gogle noktowizyjne, konieczne ze względu na całkowite zaciemnienie pokładu, dodatkowo odrealniały otoczenie. Wszelkie kontury były nieco rozmazane, a niebo skrzyło się tysiącami gwiazd, niewidocznych gołym okiem. Tylko morze pozostało zimne i czarne.

Mimo trudnych warunków załoga działała szybko i sprawnie. Paul podjął się obsługi ciężkiego dźwigu.

Po chwili dołączył do niego chief.

– Szybkozłącza zapięte, można podnosić. Aha, według dokumentacji „Angler” nie powinien doznać uszkodzeń, wpadając do wody przy tej prędkości.

– Jakoś mnie to nie dziwi - stwierdził Paul. - W końcu stworzył go Joe Zavala.

Joe był wybitnym konstruktorem, miał zwyczaj projektować swoje pojazdy z dużym zapasem wytrzymałości lub mocy, co już niejednokrotnie okazywało się zbawienne dla ich załóg.

Dźwig ożył. Biała łódź podwodna z czerwonym pasem na wierzchniej stronie kadłuba uniosła się ponad pokład. Rozsuwając ramię dźwigu, Paul zauważył pewien problem.

– Będziemy musieli wykazać się inwencją przy tym wodowaniu.

– Jak to?

Paul wyciągnął rękę i wskazał na rufę.

– Wystarczy wyjrzeć za reling, by zauważyć, że odkosy dziobowe opływające statek tworzą zawirowania przy kadłubie, tym silniejsze, im bliżej rufy. Jeśli zrzucimy „Anglera” pionowo w dół, strumień wody może go porwać

i rzucić na burtę albo nawet wciągnąć go między śruby.

Paul wysunął ramię dźwigu na całą długość i uniósł je pod kątem trzydziestu stopni.

– Nic z tego - skrzywił się chief. - Pojazd uniósł się wyżej, ale jednocześnie zbliżył się do burty.

– Pan pewnie nigdy nie wędkował na sztuczną muchę, prawda? - spytał Paul.

– Chyba nie mówi pan poważnie? - Chief zrobił wielkie oczy.

Zamiast odpowiedzi Paul skrócił nieco wysięgnik, po czym natychmiast rozsunął go z powrotem. „Angler" zaczął się huśtać, zwiększając wychylenie wraz z każdym przesunięciem dźwigni, którą poruszał Paul.

– Jakby co, to ja tego nie widziałem - oznajmił chief.

– Spokojnie, panuję nad sytuacją - odrzekł Paul, manewrując dźwignią z idealną precyzją.

Na jego sygnał, dany latarką, jeden z marynarzy zadzwonił na mostek. Paul już wcześniej uzgodnił z kapitanem plan działania. Po odebraniu telefonu Callahan miał na trzydzieści sekund przestawić maszyny na bieg jałowy. Nastąpi niezauważalna redukcja prędkości, ale śruby będą się obracać tylko pod naporem wody, zamiast zasysać ją z ogromną siłą.

Lekka zmiana wibracji dała Paulowi znać, że napęd został odłączony. Rufa wyszła nieco z wody, wygładził się ślad torowy.

Paul jeszcze raz poruszył dźwignią i „Angler" poleciał w ich stronę jak czterotonowy obciążnik wahadła. Dźwig zajęczał z wysiłku, ale został zaprojektowany do podnoszenia trzykrotnie większych ciężarów.

Paul przeczekał jeszcze jeden pełny łuk, a kiedy „Angler" odlatywał na zewnątrz, nacisnął przycisk zwalniający. Lina odłączyła się z ostrym trzaskiem. Przypominająca kształtem rybę łódź podwodna odsunęła się od statku, zawisła na moment w powietrzu, po czym runęła w dół.

Spadła piętnaście metrów od burty. Rozległ się basowy odgłos uderzenia. Z powierzchni morza wytrysnął wysoki słup wody i z głośnym pluskiem opadł za statkiem.

Zanim rozproszył się wodny pył i miejsce upadku zniknęło za rufą „Cataliny", wróciła wzmożona wibracja pokładu. Pierwszy oficer z otwartymi ustami gapił się za burtę.

– Imponujące. Kompletnie zwariowane, ale imponujące.

– Ma się to wyczucie - zaśmiał się Paul.

Gdy Paul składał wysięgnik, statek rozpoczął zwrot na wschód, a na powierzchni morza nie został nawet ślad po wartej miliony miniaturowej łodzi podwodnej.

* * *

W ślad za „Cataliną”, utrzymując ponadtrzydziestokilometrowy odstęp, podążała niewielka jednostka, ucharakteryzowana na rybacki trawler. Stojąca na górnym pokładzie kobieta jak na Chinkę była dość wysoka, choć mierzyła nie więcej niż metr siedemdziesiąt. Kruczoczarne, proste włosy sięgały jej do ramion i były idealnie równo przycięte. Oczy miała niemal równie ciemne jak włosy, a obcisłe ubranie uwydatniało szczupłą, ale atletyczną budowę długodystansowca. Miała na imię Daiyu, co po mandaryńsku znaczyło Czarna Perła. W wieku dwudziestu ośmiu lat była wykwalifikowaną i doświadczoną agentką chińskiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego, a zarazem jednym z „nienarodzonych dzieci”.

Tym dziwacznym eufemizmem określano podobne do niej ofiary, a może beneficjentów, drastycznego chińskiego podejścia do kwestii prokreacji. W czasach obowiązywania niesławnej „polityki jednego dziecka” większość małżeństw, które spodziewały się drugiego potomka, zachęcano, a nawet nakłaniano do aborcji. W przypadkach omijania prawa i ukrywania ciąży stosowano dotkliwe i długotrwałe kary.

Kiedy władze prowincji Guangdong odkryły, że matka Daiyu ponownie zaszła w ciążę, sprawy potoczyły się ustalonym torem. Zagrożono jej więzieniem za oszustwo, jeśli nie zgodzi się na aborcję. Władze pozostawały głuche na składane przez małżonków odwołania aż do chwili, gdy pojawił się tajemniczy człowiek z Pekinu o nazwisku Zhang z plikiem dokumentów i zaproponował im zrobienie wyjątku, choć za bardzo wysoką cenę.

Jego propozycja miała dobre i złe strony. Po podpisaniu dokumentów rodzice Daiyu otrzymali zgodę na posiadanie drugiego dziecka, ale pod jednym, niewyobrażalnie okrutnym warunkiem: po ukończeniu osiemnastu miesięcy zostanie ono odebrane ojcu i matce, a jego dalsze wychowanie przebiegać miało anonimowo w państwowym domu dziecka.

Nie mając wyboru, rodzice poddali się dyktatowi. Rok po porodzie, czyli sześć miesięcy przed ustalonym terminem, Zhang wrócił i zabrał im córkę.

Wysłano ją w głąb kraju do sierocińca prowadzonego przez wojsko.

Wyobraźnia podsuwa kuriozalny widok gburowatych sierżantów lub oficerów z marsowymi minami, zajmujących się gromadką maleńkich dzieci. W rzeczywistości sierociniec znajdował się w zamkniętej strefie wojskowej i nikt nie widział, co się tam działo.

Daiyu dorosła pod kuratelą wojska i nigdy nie poznała swojego prawdziwego nazwiska ani imion rodziców. Powiedziano jej tylko, że oboje byli ludźmi nieprzeciętnymi. Matka, światowej klasy lekkoatletka, reprezentowała Chiny na igrzyskach olimpijskich. Ojciec też był sportowcem i wyróżniającym się żołnierzem. Po zakończeniu służby wojskowej został jednym z czołowych chińskich naukowców.

Daiyu wyjaśniono później, że jedyną przyczyną udzielenia zgody na jej przyjście na świat były przymioty rodziców. W tym bezbożnym kraju egzystencja dziecka była uwarunkowana błogosławieństwem państwa. Od momentu narodzin ona i wielu jej podobnych dosłownie zawdzięczało państwu życie. To przeświadczenie wtłoczyli im do głów nauczyciele i wychowawcy.

Po ukończeniu dwudziestu lat Daiyu była wykwalifikowanym snajperem, specjalistką od survivalu, zdolną przeżyć w najtrudniejszym terenie, oraz śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem w walce wręcz. Ponadto doskonale znała się na elektronice i posługiwała się biegle pięcioma językami.

Nieco gorzej radziła sobie tam, gdzie należało użyć bardziej wyrafinowanych środków, jak urok osobisty lub subtelny podstęp. Mimo wielu prób nie udało się okiełznać jej rogatej duszy, dlatego zamiast do dyplomacji, skierowano ją do pracy w terenie, przy projektach wymagających sprawności fizycznej i umiejętności zabijania.

Po kilku misjach w Afryce i Europie przeniesiono ją do Ameryki Południowej, gdzie chińskie wpływy i inwestycje rosły z dnia na dzień.

Teraz, stojąc na górnym pokładzie trawlera, wpatrywała się w odległe światła pozycyjne śledzonego przez nich statku NUMA. Było ciemno, wiał przeszywający, chłodny wiatr.

Za jej plecami wznosił się ponaddwudziestometrowy maszt z kopułą radaru, kilkoma antenami i zestawem potężnych kamer, które obserwowały amerykańską jednostkę z dokładnością niedostępną dla ludzkiego oka.

Na ekranie po lewej pojawił się nikły biały błysk i natychmiast zgasł. Miała wrażenie, że był to duży rozbryzg wody, ale zjawisko nie powtórzyło się, a cała reszta nie budziła podejrzeń.

– Amerykanie coś kombinują - powiedziała.

Słowa były przeznaczone dla człowieka, skrytego za nią w cieniu nadbudówki.

Jian Feng był krzepkim, muskularnym mężczyzną o kwadratowej twarzy i krótko ostrzyżonych, ciemnych włosach. Wyglądałby najzupełniej pospolicie, gdyby nie prawe ucho, którego część stracił przed laty w jakiejś bójce.

On także był jednym spośród nienarodzonych dzieci, a więc na swój sposób stanowili coś w rodzaju rodzeństwa. Podobnie jak ona został wychowany tylko po to, by służyć ojczyźnie.

– Robią zwrot - stwierdził Jian w odpowiedzi.

– Zwrot?

– Sprawdź sama na radarze.

Zerknęła na sąsiedni ekran. Amerykanie zmieniali kurs na wschodni.

– To bez sensu. Obszar poszukiwań znajduje się na północnym zachodzie.

– Może mają jakiś problem - podsunął Jian. - Tym kursem dopłyną do najbliższego portu.

Daiyu mogła mieć tylko nadzieję, że na amerykańskim statku doszło do jakiejś awarii. Być może stąd wziął się ten krótki błysk.

– Utrzymują maksymalną prędkość - stwierdziła, sprawdziwszy parametry na radarze. - Musieli nas zauważyć.

– Nie sądzę. - Jian pokręcił głową.

– Skąd wiesz?

– Siedzimy nisko na wodzie, a nasza sygnatura radarowa niemal nie odróżnia się od tła. Jednostka, którą śledzimy, nie jest wyposażona w aparaturę radiolokacyjną pracującą w paśmie wojskowym, ma tylko zwykły radar pogodowy. Nie stwierdziliśmy żadnej komunikacji radiowej poza czczą paplaniną, typową dla zgniłych amerykańskich wzorców kulturowych. Nie mają pojęcia, że tu jesteśmy.

Istniały inne sposoby wykrycia ich obecności. Czuła instynktownie, że Amerykanie właśnie się zorientowali. Powstrzymała się jednak od dalszej dyskusji i sprawdziła godzinę. Jej wachta dobiegła końca prawie godzinę temu. Posłała ostatnie spojrzenie amerykańskiemu statkowi i zeszła z posterunku.

Rzuciła chłodne „dobranoc” Jianowi i pozostawiła go w słodkiej niewiedzy. Szybkim krokiem przemierzyła przedni pokład i zniknęła w luku nadbudówki.

Okręt był brudny i zapuszczony. Śmierdział olejem napędowym i rybami, ale nie zwracała uwagi na takie drobiazgi. Przeszła przez sterówkę i znalazła się w centrali, gdzie wewnątrz rzekomo zdezelowanego trawlera kryło się nowoczesne, klimatyzowane stanowisko dowodzenia z mrowiem migoczących monitorów i siedzących przed nimi specjalistów w wojskowych mundurach.

Przejrzała najnowsze raporty i odłożyła je bez słowa. Tylko jeden był w miarę istotny. Agenci z Guayaquil dostali cynk na temat Amerykanina nazwiskiem Austin, mimo to pokpili sprawę. Nie dość, że nie zdołali go dopaść, to dali uciec też tej nieciekawej (zdaniem Daiyu) kobiecie o nazwisku Townsend.

– Przekaż generałowi Zhangowi informację o zmianie kursu - rozkazała specjaliście od łączności. - I obudź mnie, gdyby się coś działo.

Mężczyzna kiwnął głową, a Daiyu poszła do swojej kajuty.

Zamknęła za sobą drzwi i zdjęła wierzchnią odzież. Pod spodem, oprócz bielizny, miała tylko uprząż od kabury z pistoletem na płaskim brzuchu i kilka tatuaży, zdobiących jej plecy.

Wyjęła pistolet i wsunęła go pod poduszkę, a kaburę odłożyła wraz z resztą ubrania. Półnaga stanęła przed zmatowiałym lustrem i przyjęła postawę wyjściową. Następnie, z nieludzką wręcz precyzją, wykonała serię technik sztuk walki - pięknych, harmonijnych i śmiertelnie niebezpiecznych.

Kiedy przechodziła od pozycji do pozycji, tatuaże na jej skórze zdawały się mienić kolorami. Na jednej łopatce miała wykłuty chiński symbol miłości, a na drugiej - kary. Pomiędzy nimi znajdowało się koło wyśrodkowane na kręgosłupie, w które były wpisane dwa złączone ze sobą, esowate kształty, stanowiące stylizowaną wersję słynnych znaków: yin i yang.

W chińskiej mitologii yin i yang to dwie siły, uzupełniające się, a zarazem stanowiące swoje dokładne przeciwieństwo. Jednak Daiyu odrzucała ten pogląd. Według niej nie chodziło o uzupełnianie się, lecz o ciągłą walkę. Yin miała dążyć do zniszczenia yang, a yang najchętniej zabiłaby yin, gdyby tylko się ze sobą zetknęły. Dlatego kazała zostawić niemal niewidoczną, cienką linię pomiędzy obydwoma zwiniętymi ze sobą kształtami. Pasek skóry w naturalnym kolorze był buforem, rozdzielającym wrogie siły, i stanowił jedyne zabezpieczenie przed zagładą.

Jej ruchy stały się szybsze i bardziej intensywne, na ciele pojawiły się strużki potu. Kopnięcie, obrót, cios ręką zadany od dołu, który mógł złamać

kark. Wkrótce jej skóra, włosy i bielizna stały się całkiem mokre. Ostatnia technika składała się z obrotu i szybkiego, zadanego otwartą dłonią uderzenia, śmiertelnego dla każdego, kogo dosięgnie. Wytrzymała w tej pozycji kilka sekund, i dopiero po chwili zorientowała się, że wciąż się gapi na swoje odbicie w lustrze, po czym odwróciła się.

Koniec tańca. Rozebrała się do naga, rzucając w kąt ostatnie elementy garderoby, weszła pod prysznic i odkręciła kran z lodowato zimną wodą.

10.
Ekwador

Był środek nocy. Senne lotnisko nad brzegiem oceanu wyglądało na zupełnie wyludnione. Jego jedynym zabezpieczeniem było ogrodzenie z metalowej siatki, zwieńczone od góry drutem kolczastym, oraz kilka latarni. Od czasu do czasu biały pikap, błyskając żółtym kogutem, przejeżdżał po pasie startowym i drogach kołowania, ale prowadzący go strażnik robił to raczej z nudów niż rzeczywistej potrzeby.

– Raczej nie jest to Fort Knox - zauważyła Emma, siedząca za kierownicą samochodu, który wynajęła pod fałszywym nazwiskiem.

– Chyba już wiesz, dlaczego wybrałem to miejsce. - Kurt wysiadł z wozu i podszedł do bramy. - Na co dzień nie ma tu nic, co można by ukraść - wyjaśnił.

Brama nie była zamknięta, więc otworzył szeroko wrota i skinął na Emmę, a kiedy wjechała do środka, przymknął je i wrócił do samochodu.

– Tamtędy. - Wskazał w lewo.

Emma prowadziła ostrożnie. Jechała w tę księżycową noc bez świateł i trzymała się krawędzi spękanej drogi kołowania. Minęli kilka małych samolotów, stojących przy krawędzi płyty. Były to jednosilnikowe cessny i pipery. Sądząc po chwastach, pleniących się bujnie między maszynami, większości z nich nie ruszano z miejsca od tygodni, jeśli nie miesięcy.

– Jak dowiedziałeś się o tym miejscu? - spytała Emma.

– Po drugiej stronie lotniska - powiedział Kurt - fale Pacyfiku docierają do plaży z zegarmistrzowską regularnością. To jedno z najlepszych miejsc do surfowania w całej Ameryce Południowej. Mam zamiar przyjechać tu w sezonie, który zacznie się za kilka miesięcy.

Przejechali wzdłuż małego hangaru i zatrzymali się obok ogromnego, pomarańczowego śmigłowca, który bardziej przypominał czającego się w mroku zmutowanego owada niż maszynę, będącą wytworem ludzkich rąk.

Helikopter wspierał się na patykowatych, szeroko rozstawionych nogach, a długie łopaty głównego wirnika opadały ku ziemi jak skrzydła ważki. Cienki,

szpiczasty ogon ginął z tyłu w ciemnościach, a wielka, wypukła głowa wisiała tuż nad powierzchnią gruntu, przez co wyglądał jak pożerająca trawę ogromna szarańcza.

Erickson air-crane był zmodernizowaną wersją słynnego latającego dźwigu sikorsky skycrane. Miał ponad dwadzieścia jeden metrów długości i ogromny, sześciołopatowy główny wirnik, napędzany dwoma silnikami turbowałowymi Pratt & Whitney. Mógł unieść pięcioosobową załogę oraz dziesięć ton ładunku. Większość nadających się do użytku egzemplarzy wykorzystywano do dostarczania towarów tam, dokąd nie mógł dotrzeć transport kołowy, a także do gaszenia pożarów lasu. Dzięki ogromnemu udźwigowi i możliwości precyzyjnego manewrowania mógł zrzucić dziesięć ton wody lub innego czynnika gaśniczego wysoko w górach, w wąskich kanionach i innych niedostępnych miejscach.

Po przejęciu produkcji przez Ericksona każdy nowy egzemplarz otrzymywał swoją niepowtarzalną nazwę. Jeden z nich, „Elvis", zwalczał właśnie pożary lasu w Australii. Inny, który nazwano „Szczęki", transportował części platform wiertniczych w Zatoce Meksykańskiej. Śmigłowiec stojący przed nimi na płycie lotniska nazywał się „Merlin" i miał na przedniej części kadłuba wymalowaną maleńką karykaturę czarownika.

Kiedy Emma zatrzymała obok samochód, w kokpicie rozbłysło światło i wyszedł stamtąd jakiś człowiek.

– Przyjechaliście w samą porę - powiedział Joe Zavala. - Ty zapewne jesteś Huraganowa Emma.

Emma rzuciła Kurtowi podejrzliwe spojrzenie, zanim uścisnęła wyciągniętą rękę Joe'go.

– Obniżyli mi kategorię do zwykłego sztormu tropikalnego, ale lepiej mnie nie wkurzaj.

– Zapamiętam - powiedział Joe. - To co? Pakujcie się do środka.

– Sądziłem, że będziemy mieli jakiś bagaż do załadowania - zdziwił się Kurt. - Udało ci się zdobyć całe wyposażenie, zgodnie z listą?

– Jasne - odrzekł Joe. - Wszystko jest zapakowane do tylnego kontenera towarowego. Mamy też odrzucany zbiornik z dodatkowym zapasem paliwa.

Wskazał ręką dwa zasobniki, doczepione bliżej ogona. Kontener towarowy był czarny i cechował się aerodynamiką cegły, natomiast zbiornik paliwa miał opływowy kształt i zwężał się ku końcowi. Przypominał pomarańczową bombę.

– Nadziałeś się na wartownika?

– Oczywiście - przytaknął Joe. - Jak sądzisz, kto pomógł mi załadować te wszystkie klamoty?

Kurt roześmiał się.

– Joe potrafi sobie radzić z ludźmi. Kiedyś został zatrzymany za nadmierną prędkość i zamiast mandatu dostał policyjną eskortę, która towarzyszyła mu do Boston Pops.

– Spieszyłem się na randkę - wyjaśnił Joe. - Funkcjonariusz był bardzo wyrozumiały.

Kurt zerknął na zegarek.

– Teraz też robi się późno. Ruszajmy.

Wsiedli do latającego dźwigu przez drzwi w tylnej stronie kokpitu. Aby się do nich dostać, trzeba było przejść pod kadłubem, wiszącym nad nimi jak mały most. Nawet gdy stanęli wyprostowani, wznosił się ponad dwa metry nad ich głowami.

* * *

Joe zasiadł za sterami w zaskakująco ciasnym kokpicie i zaczął wykonywać czynności z listy startowej. Wylatał ponad tysiąc godzin na wszelkiego typu śmigłowcach, ale po raz pierwszy miał pilotować takiego kolosa.

– Wiesz, jak tym się lata? - spytał Kurt.

– Wszystkie śmigłowce pilotuje się mniej więcej tak samo.

– Niepokoi mnie słowo „mniej” w twojej wypowiedzi.

– Zaufaj mi - powiedział Joe. - Czy kiedykolwiek cię zawiodłem?

– Nie zamierzam odpowiadać na to pytanie - oznajmił Kurt.

Usiadł na fotelu drugiego pilota i zapiął pasy, Emma zajęła trzeci fotel tuż za nimi. Po skończeniu listy startowej Joe włączył światła pozycyjne. Z zewnątrz do kabiny przeniknęła migająca, czerwonawa poświata. Wcisnął przycisk startera i wirnik zaczął obracać się powoli nad ich głowami. Kilka sekund później ryknęły uruchamiane silniki.

– Witamy na pokładzie samolotu linii Zavala rejs 251 donikąd - wyrecytował Joe. - Prosimy o złożenie stolików i zamocowanie ich w górnym położeniu.

– Wywołać wieżę? - spytał Kurt.

– Kilka godzin temu wszyscy poszli do domu.

– Wobec tego masz pozwolenie na start.

Joe zwiększył obroty do maksymalnych i pociągnął płynnie dźwignię zespoloną, sterującą wznoszeniem. Nacisk na koła zelżał i śmigłowiec potoczył się do przodu, a następnie oderwał od ziemi i skręcił pod wiatr.

Joe przyspieszył i zaczął się wznosić, kierując latający dźwig w stronę morza. Po chwili przelecieli nad plażą i znaleźli się nad Pacyfikiem.

Godzinę później zbliżali się do miejsca zrzucenia łodzi podwodnej z „Cataliny".

– Jest - powiedział Kurt, wpatrując się w mrok przez gogle noktowizyjne. - Trzy kilometry przed nami, dziesięć stopni w prawo. Kołysze się na fali dokładnie tam, gdzie powinna.

Stłumione światło na włazie „Anglera", mniej więcej o intensywności ręcznej latarki, w goglach noktowizyjnych lśniło jak flara magnezjowa.

– Widzę ją - potwierdził Joe. Zszedł niżej na piętnaście metrów i stanął w zawisie dokładnie nad łodzią.

Kurt zdjął noktowizor i przeszedł na stanowisko technika ładunkowego w tylnej części kokpitu. Jego fotel, ustawiony tyłem do kierunku lotu i otoczony kopułą z przezroczystego pleksiglasu, przypominał wieżyczkę Strzelca ogonowego w bombowcu z czasów II wojny światowej.

Roztaczał się stamtąd niezakłócony widok w dół i na tył latającego dźwigu. Kurt włączył reflektory, oświetlające przestrzeń poniżej śmigłowca. Niski, biały pojazd podwodny z szerokim czerwonym pasem ledwie wystawał nad wodę, w samym środku kręgu rozchodzących się fal, wzbudzanych podmuchem wirnika.

– Trzy metry do tyłu - zakomenderował Kurt.

– Zrozumiałem - potwierdził Joe, lekko cofając śmigłowiec.

Kurt włączył wciągarkę i opuścił linę zakończoną hakiem. Musiał teraz zaczepić nim o belkę umocowaną nad kadłubem łodzi na kształt klatki zabezpieczającej terenowe auto przed dachowaniem. Szeroki czerwony pas na górnej powierzchni kadłuba wyznaczał punkt zaczepienia.

– Dwa metry w prawo - komenderował Kurt. - Metr do przodu.

Joe manewrował latającym dźwigiem, a Kurt raz za razem próbował złapać „Anglera", ale było to trudniejsze, niż się z pozoru wydawało. Pojazd to unosił się na fali, to opadał w dół, a hak albo odbijał się od jego kadłuba, albo przelatywał nad belką. Kurt zaczynał się już poważnie zastanawiać nad zejściem na dół i założeniem haka ręcznie, ale nagle poczuł, że lina drgnęła i naprężyła się, co mogło oznaczać tylko jedno - rybka zawisła na wędce.

– Mam go! - krzyknął, odwijając nieco luzu z bębna wciągarki. - Opuszczam drugą linę.

Nie była to lina nośna. Została już wcześniej zamocowana do zaczepu obok goleni przedniego podwozia śmigłowca i połączona z liną nośną. Jej zadaniem było unieruchomienie ładunku, aby nie obracał się w strumieniu powietrza, wytwarzanym przez potężny wirnik.

– Druga lina zapięta!

– No to podnosimy! - odkrzyknął Joe. - Inaczej NUMA dostanie karę za zaśmiecanie środowiska.

Kurt włączył wciągarkę i zaczął napinać plecioną stalową linę. Czterotonowy ciężar łodzi podwodnej sprawił, że śmigłowiec opadł metr lub dwa, zanim Joe zrównoważył jego wpływ. Ryknęły silniki, wyciągając „Anglera” z wód Pacyfiku. Wkrótce pojazd znalazł się w jakby specjalnie dla niego przygotowanym miejscu pod brzuchem „Merlina”.

– Fantastyczne - oznajmiła Emma. - Muszę przyznać, że ludzie z NUMA są niesamowici.

– To nasz chleb powszedni. - Joe świadomie uderzył w przesadnie chełpliwe tony.

Kurt po raz ostatni sprawdził wszystkie kontrolki na panelu wciągarki i wrócił na swoje miejsce w kokpicie.

– Jedziemy.

Kierowany pewną ręką Joe’go latający dźwig wzniósł się i nabrał prędkości w drodze do kolejnego miejsca przeznaczenia, które znajdowało się gdzieś na pełnym morzu.

– Daleko do naszego statku? - spytał Joe.

– Stąd będzie jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów - odparła Emma, zerknąwszy na przenośny lokalizator GPS.

– Mamy więc trochę czasu na przećwiczenie naszej strategii biznesowej - powiedział Kurt.

– Wiesz już, co im powiesz?

– Mam zamiar odwołać się do najbardziej podstawowego z powszechnych ludzkich pragnień.

– Obawiam się, że miłością niewiele tu zdziałamy. - Joe zasępił się.

– Chodziło mi raczej o żądzę pieniądza - wyjaśnił Kurt. - Każdy chce być bogaty.

– Świetnie, tylko że my nie mamy żadnych pieniędzy - zauważyła Emma.

Kurt pokiwał głową.

– A kto mówi, że będziemy płacić z własnej kieszeni?

Emma i Joe popatrzyli na niego z zaciekawieniem, ale Kurt zamilkł na dobre, dopracowując w myślach szczegóły swego planu.

11.
Chłodnicowiec m/s „Reunion" w drodze z Chile do San Diego

M/s „Reunion”, skąpany w świetle wszystkich lamp pokładowych, szedł kursem północnym z prędkością jedenastu węzłów. Jasno oświetlony statek był widoczny z daleka jak latarnia morska na tle ciemnej, matowej powierzchni oceanu.

Po krótkiej rozmowie z oficerem pełniącym nocną wachtę latający dźwig otrzymał pozwolenie na lądowanie. Joe sprowadził maszynę nad platformę wznoszącą się na dziobie i posadził wielki helikopter w samym środku żółtego kręgu.

Wachtowy obserwujący lądowanie podziwiał umiejętności pilota, zwłaszcza że wolna przestrzeń po bokach nie przekraczała trzech metrów, nie mówiąc o zaledwie półmetrowym prześwicie między platformą a czymś dziwacznym, co podpięte było pod brzuchem wielkiej, pomarańczowej maszyny.

Po zamocowaniu „Merlina” taśmami do pokładu oficer zaprowadził załogę śmigłowca na mostek, zerkając co i raz na atrakcyjną kobietę z kasztanowymi włosami. Wizyty pań na pokładzie nie zdarzały się często, a takiej jak ta piękności chyba jeszcze nigdy nie gościł na swoim statku.

Na mostku nastąpiła wzajemna prezentacja i zwyczajowa wymiana uprzejmości. Przybysze z widocznym zadowoleniem zareagowali na wieść, że kapitan statku jest Amerykaninem. Z kolei na ich niekorzyść przemawiał fakt, że zaistniała konieczność obudzenia go w środku nocy, ale na to już nic nie można było poradzić.

Kapitan Buck Kamphausen przyszedł na mostek w bokserkach, T-shircie i kurtce mundurowej zarzuconej na ramiona. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, nosił dość zaniedbaną, ciemną brodę, gęsto poprzetykaną nitkami siwizny, i prostokątne okulary, które często poprawiał, przy okazji zerkając na Emmę.

Kapitan okazał się równym gościem, wiedział sporo na temat NUMA i był

wielkim fanem tej organizacji. Jednak w miarę trwania rozmowy stawało się jasne, że chętnie zgodzi się na wszystko, jeśli Emma obieca zostać na pokładzie i towarzyszyć mu przy obiedzie.

– Tak więc - podsumował Kurt - będziemy chcieli wykorzystać pański statek jako pływającą bazę przez kilka dni.

Kamphausen podrapał się po brodzie.

– A w jakim celu?

– Tego nie mogę panu powiedzieć - westchnął Kurt.

Zachowanie kapitana w jednej chwili uległo zmianie.

– Wyjaśnijmy sobie coś - rzucił szorstko. - Lądujecie na moim statku w środku nocy, sprowadzacie na pokład Bóg wie jakie ustrojstwo, żądacie, żebym zmienił kurs, zasymulował awarię i być może nie dotrzymał terminu dostawy, ale nie zamierzacie powiedzieć mi, co jest grane i w co chcecie mnie wpakować?

– Może wygląda to nieco dziwnie... - zaczął Kurt.

– Raczej kompletnie idiotycznie - uciął Kamphausen.

– Chodzi o to - Kurt starał się, aby rozmowa nie zboczyła na niewłaściwe tory - że my, a mówiąc „my", mam na myśli rząd Stanów Zjednoczonych, możemy to panu wynagrodzić - powiedział pojednawczo.

– Nie wiem, co zdoła mi wynagrodzić utratę pracy albo degradację do stopnia starszego marynarza - zaperzył się kapitan.

– Trudno powiedzieć - odparł Kurt. - Wszystko zależy od tego, ile uda nam się odzyskać.

W oczach kapitana pojawił się błysk zaciekawienia.

– Odzyskać?

Kurt przytaknął.

Kamphausen zmrużył oczy, ponownie poprawił okulary i wbił wzrok w Kurta.

– Proszę mówić.

– Słyszał pan o NUMA, więc wie pan, że zajmujemy się podmorskimi poszukiwaniami. Nie powinienem tego mówić, ale to ustrojstwo podczepione pod naszym helikopterem to specjalnie zaprojektowany pojazd podwodny do poszukiwania czegoś o wyjątkowo wielkiej wartości.

Trochę mijał się z prawdą, ale musiało to brzmieć zachęcająco.

– Czegoś, na czym bardzo zależy rządowi Stanów Zjednoczonych - dodała Emma.

Kurt odchrząknął głośno, aby zwrócić uwagę i wzrok kapitana z powrotem na siebie.

– Wiem z doświadczenia, że nagrody pieniężne za pomoc rządowi mogą osiągać dość pokaźne...

– O ile dobrze pamiętam - wszedł mu w słowo Joe - każdy, kto pomagał nam w znalezieniu tego ostatniego U-Boota, otrzymał procentowy udział w diamentach, które udało nam się wydobyć, albo równowartość w gotówce, wedle życzenia.

– Diamenty? - spytał Kamphausen.

– Mowa o poprzedniej operacji - zastrzegł Kurt.

– Udział procentowy? - zainteresował się pierwszy oficer. - O jakim procencie mówimy?

– Dzielimy się jak za dawnych pirackich czasów - powiedział Joe. - Po jednej działce dla każdego marynarza, po dwie dla podoficerów, po trzy dla oficerów i cztery dla kapitana.

Kurt kiwnął niedbale głową, potwierdzając wzięte z sufitu wyliczenia Joe’go, jakby to była standardowa procedura. Kapitan Kamphausen i pierwszy oficer wymienili znaczące spojrzenia.

Emma postanowiła przyspieszyć ich procesy myślowe.

– Jak to mówią w najwyższych kręgach władzy, miliard tu, miliard tam i możemy zacząć rozmawiać o prawdziwych pieniądzach. Za niewielką część zysków z łatwością będzie można kupić domek letniskowy na Tahiti.

– Ale nie możecie nam powiedzieć, czego szukacie - powtórzył kapitan.

– Nie możemy. - Kurt pokręcił głową. - Proszę jednak pomyśleć, czy zjawilibyśmy się tu w środku nocy z prośbą o pomoc, gdyby nie chodziło o coś naprawdę wyjątkowej wagi?

Kurt zdawał sobie sprawę, że jego plan ma największe szanse powodzenia, jeśli załoga sama się do niego przekona, dlatego pozwolił im popuścić wodze fantazji, gdy nagle ozwał się czyjś głos rozsądku.

– Chwileczkę - powiedział nowo przybyły. - Jestem przedstawicielem importera, odpowiadam za całość ładunku. Wieziemy świeże owoce, limonki, jabłka, pomarańcze i kiwi. Jeśli spóźnimy się ponad cztery dni, cała dostawa zostanie odrzucona. Moja firma straci miliony dolarów, a mnie wyleją z roboty.

Kurt popatrzył na Joe’go.

– Co o tym sądzisz?

– Damy radę - odparł Zavala.

Kurt kiwnął głową.

– Wystarczą nam dwa dni - powiedział, zwracając się do przedstawiciela firmy sprowadzającej owoce. - Jeśli jednak z jakichś względów przekroczymy czterdziestoośmiogodzinny termin, rząd Stanów Zjednoczonych odkupi ten ładunek. W komplecie, co do ostatniej sztuki.

– Czyli, w tym przypadku, limonki, jabłka bądź pomarańcze - uzupełnił Joe.

– Proszę nie zapominać o kiwi - dorzucił przedstawiciel.

– Gdzieżbym śmiał.

Kapitan gmerał paluchami w brodzie.

– Diamenty?

– Tego nie powiedziałem - ponownie zastrzegł Kurt, wodząc wzrokiem po zebranych.

– Całe beczułki - powiedział pierwszy oficer. - Widziałem w telewizji.

– Musimy sporządzić odpowiednie dokumenty - oznajmił kapitan.

Kurt spojrzał na Emmę, jakby to ona odpowiadała za oficjalną stronę przedsięwzięcia.

– Oczywiście - przytaknęła. - Konieczna będzie też umowa dotycząca zachowania całkowitej tajemnicy oraz ciszy radiowej, aż do chwili zwolnienia statku spod naszej kurateli. Najdrobniejsze jej naruszenie skutkuje unieważnieniem ustaleń dotyczących podziału zysków i pociąga za sobą odpowiedzialność karną.

Od Huraganowej Emmy powiało nagłym, lodowatym chłodem, ale nie popsuło to nastroju panującego na mostku.

Tylko przedstawiciel importera owoców popatrywał podejrzliwie na pozostałych.

– Muszę niezwłocznie otrzymać wszelkie dokumenty.

– Skontaktuję się z Waszyngtonem. Na rano wszystkie papiery będą gotowe - zapewnił Kurt.

Kamphausen uśmiechnął się szeroko i wyciągnął do niego rękę.

– Zawsze chciałem wziąć udział w takiej awanturze.

– Jak uczy historia, może pan zyskać więcej, niż się pan spodziewa - odrzekł Kurt. - Tymczasem musimy wziąć się do roboty. Przede wszystkim zmieniamy kurs.

Kapitan po raz ostatni rozejrzał się dokoła, jakby chciał się upewnić, czy aby nie zwariował. Popatrzył przez okno na pomarańczowy śmigłowiec stojący na

dziobie i umocowaną pod nim supernowoczesną miniaturową łódź podwodną, po czym przypomniał sobie wszystko to, co wiedział na temat NUMA.

– Na sterze - zakomenderował. - Przygotować się do zmiany kursu.

– Na jaki?

Kapitan zwrócił się do Kurta.

– Na taki, jakiego zażyczą sobie nasi nowi wspólnicy.

12.

Kurt podał sternikowi nowy kurs i statek skręcił na północny zachód. W celu zachowania tajemnicy rozkazał kapitanowi wyłączyć nadajnik systemu AIS, przez co ich aktualna pozycja przestała być automatycznie raportowana za pośrednictwem satelitów śledzących ruch jednostek pływających na morzach świata. Upewniwszy się co do tego, wyszedł na otwarty pokład i za pomocą kodowanego telefonu satelitarnego połączył się z Rudim Gunnem.

Rudi był nadal w Guayaquil i prowadził działania na niwie politycznej. Usiłował mianowicie uzyskać jakąkolwiek pomoc ze strony ekwadorskich sił zbrojnych bez informowania ich, o co chodzi. Mimo że było już dobrze po północy, odebrał po drugim sygnale.

– Mógłbyś choć raz zadzwonić do mnie w normalnych godzinach pracy - ponuro burknął na powitanie.

– Przecież to są normalne godziny pracy - odparł Kurt. - NUMA nigdy nie śpi.

– NUMA nie, ale ja czasem tak - zauważył Rudi. - Z czym dzwonisz, mój dotknięty bezsennością przyjacielu?

– Chciałem tylko, żebyś wiedział, co się dzieje - powiedział Kurt. - Wyjechałem z Ekwadoru, Emma i Joe są ze mną, ale nikomu o tym nie melduj. Agenci chińskiego wywiadu są wszędzie, niewykluczone, że także w NSA. Sądzimy, że mają tam przeciek.

– Świetnie - rzucił Rudi. - Może zaczniemy im podsuwać fałszywe informacje?

– Niezły pomysł. Tak czy inaczej, jesteśmy zdani wyłącznie na siebie. Przez jakiś czas nie będziemy się meldować.

– To po co zawracasz mi głowę?

– Nie chciałem, żebyś się martwił. - Kurt spróbował nadać swemu głosowi możliwie ciepłe brzmienie.

– Gdzie jesteście?

– Na statku chłodni. Aha, nie trać czasu, żeby nas namierzyć. Chwilowo

jesteśmy niewidzialni.

Kurt usłyszał po drugiej stronie jakiś ruch i ciche kliknięcie. Wyobraził sobie, jak Rudi odrzuca kołdrę i włącza światło. Po chwili rozległ się jego nagle ożywiony głos.

– Znaleźliście coś?

– Powiedzmy.

– A niech to licho! - huknął Rudi. - Takimi wiadomościami możesz mnie budzić o dowolnej porze. Jakie jest prawdopodobieństwo?

– Całkiem spore. Spytaj Hirama o szczegóły i czekaj na dalsze informacje. Niech reszta floty kontynuuje swoje działania. Im więcej szumu będą robić, tym mniejsza szansa, że ktoś zauważy nasze zniknięcie z mapy. Mogliby nawet poudawać, że coś mają, żeby ściągnąć na siebie powszechną uwagę.

– To jest myśl. Zaraz coś wykombinuję. Może nawet zamieszczę to w raporcie dla NSA.

– Doskonale - stwierdził z zadowoleniem Kurt. Już miał się rozłączyć, kiedy coś przyszło mu do głowy. - Jeszcze jedno. Gdyby przypadkiem zadzwonili do ciebie z Linii Żeglugowych Malabar albo z chilijskiej firmy Golden Fruit z Valparaiso... to nie gadaj z nimi. Prawdopodobnie będzie to zwykły telemarketing.

– Co chcesz przez to powiedzieć? - Głos Rudiego znów brzmiał ponuro.

– Ujmę to tak. Jeśli przez najbliższe dwie doby nie znajdziemy tego, czego szukamy, to na pewno nie zabraknie ci limonek do ulubionej margarity.

Rudi pożegnał się cichym mruknięciem i się rozłączył. Kurt wyłączył telefon i odwrócił się w chwili, gdy podeszła do niego Emma.

– Jedzą ci z ręki - powiedziała z niejakim podziwem. - Jak jednak zamierzasz im zapłacić za wykorzystanie statku? Nie wspominając o ładunku i pirackich łupach, obiecanych im przez Joe’go.

Kurt wzruszył ramionami i schował telefon.

– Uznałem, że to pójdzie na twoje konto. Ja zapłaciłem za kolację, pamiętasz?

– Bardzo zabawne - mruknęła. - Mówię poważnie. Albo skończy się to dla nas spacerem po desce, albo ciąganiem końmi i poćwiartowaniem na schodach Kapitolu.

Kurt miał odmienne zdanie.

– Między tym miejscem a Malezją, gdzie znajduje się siedziba linii żeglugowej, różnica czasowa wynosi dziesięć godzin. Teraz biuro jest

zamknięte i zostanie otwarte dopiero rano, według czasu lokalnego. Wtedy w Waszyngtonie zapadnie zmrok i w większości telefonów odpowiadać będą automatyczne sekretarki. To, w połączeniu z bezwładnością typową dla każdej biurokracji, spowoduje, że minie co najmniej tydzień, zanim ktokolwiek zabierze się do wyjaśniania całego tego bałaganu. Do tego czasu powinniśmy znaleźć to, czego szukamy.

– A jeśli wtedy wyjdzie na jaw, że to nie będą beczki pełne nieoszlifowanych diamentów?

– Przecież nie wspominałem o diamentach.

– To prawda, ale ładunek, za który zaręczyłeś, jest wart z pięćdziesiąt milionów dolarów, a sam statek pewnie ze dwa razy więcej.

– A ile kosztował Nighthawk? - spytał Kurt. - Pięćdziesiąt miliardów? Sto? Ile NSA jest w stanie zapłacić za to, aby nie wpadł w ręce Rosjan? Martwisz się o jakieś centy, gdy gra idzie o astronomiczne kwoty. Zapewniam cię, że do czasu, gdy wyniknie problem pieniędzy, zlokalizujemy Nighthawka i wydobędziemy jego najważniejsze elementy. Nikt nie będzie zawracał sobie głowy kosztem tego statku czy jego ładunku, za to ty wypniesz pierś do medalu, zbierzesz pochwały za podjęcie uzasadnionego ryzyka i wybitne zdolności przywódcze, a kapitan Kamphausen i jego przyjaciele dostaną takie nagrody, że każdy z nich będzie mógł sobie kupić własny statek z załogą złożoną z prześlicznych morskich nimf.

Emma odetchnęła głęboko i skierowała wzrok nad ciemne morze.

– Naprawdę jesteś szalony - wyszeptała, a potem zwróciła ku niemu uśmiechniętą twarz. - Odkąd cię spotkałam, pakujemy się w coraz gorsze kłopoty.

– Wszystkiemu winna twoja wojownicza natura - odparł z uśmiechem.

– Tak czy inaczej, lepiej trochę przyhamuj, bo resztę życia spędzimy na straganie, sprzedając owoce.

– To wcale nie najgorsza perspektywa, zawsze może być gorzej - stwierdził Kurt. - Zaufaj mi, wiem, co robię. Wszystko pójdzie jak z płatka.

13.
Statek badawczy NUMA „Catalina"

Paul Trout uznał, że jego żona Gamay stroi sobie z niego żarty, odczytując treść ostatniego otrzymanego rozkazu, tym razem od Rudiego Gunna. Polecenia były równie pozbawione sensu, jak poprzednio.

„Udać się na wyznaczoną pozycję i przystąpić do ustawiania boi sonarowych na linii północ-południe. Po trzech godzinach i dwudziestu siedmiu minutach rozpocząć zataczanie koncentrycznych kręgów. Godzinę później zatrzymać maszyny. Od tego momentu przystąpić do ostentacyjnych przygotowań do operacji wydobywczej z dna morskiego, łącznie z wodowaniem ROV-ów. Prowadzić korespondencję w paśmie kodowanym i kontynuować operację wydobywczą do otrzymania kolejnych rozkazów".

– Ale co mamy wydobywać? - spytał Paul.

– Nie ma o tym mowy - powiedziała Gamay. - Tylko tyle, że ma to wyglądać autentycznie.

– Jak to zrobimy? Właśnie wyrzuciliśmy za burtę nasz jedyny załogowy pojazd podwodny.

– Chyba będziemy musieli improwizować - wzruszyła ramionami Gamay.

– Rozkaz to rozkaz, nie nam go oceniać - powiedział Paul zrezygnowanym głosem. - Przekaż nowiny Callahanowi. Mam nadzieję, że mu głowa od tego nie pęknie.

* * *

W odległości ponad sześciu tysięcy kilometrów od „Cataliny" Konstantin Dawidow obawiał się, że wkrótce to samo może stać się z jego głową. Odbywał właśnie kilkunastogodzinny lot w przedziale pasażerskim rosyjskiego śmigłowca Mi-14. Ogromny, niebiesko-szary helikopter był najnowszą wersją o wydłużonym zasięgu. Kosztem usunięcia uzbrojenia i opancerzenia został wyposażony w dwa wielkie, dodatkowe zbiorniki paliwa. Piloci nazywali go

„gołębiem pocztowym”, gdyż służył do przerzucania ludzi i sprzętu na duże odległości. Z kolei obsługa naziemna ochrzciła go „kaczką”, bo z taką ilością paliwa był ociężały i powolny, przez co stanowił łatwy cel.

Dawidow właśnie się przekonał, że dziewiętnastogodzinny nieprzerwany lot z Kamczatki tym wynalazkiem, włącznie z kilkakrotnym uzupełnianiem paliwa w powietrzu, kwalifikował się jako tortura i powinien zostać zakazany konwencją genewską.

Kiedy niezgrabna maszyna osiadła wreszcie na pokładzie rosyjskiego krążownika rakietowego, zerwał się raźnie z fotela, aby jak najszybciej wydostać się z tej katowni. Nie czekając na zezwolenie, wyskoczył na zewnątrz, prosto w ulewny deszcz.

Pogoda pogarszała się z minuty na minutę. Krążownik rakietowy „Wariag” wraz z towarzyszącymi mu jednostkami pchał się w sam środek nawałnicy, szalejącej w połowie drogi między Hawajami a wybrzeżem Ameryki Południowej. Dawidow miał to gdzieś. Okręt miotany sztormem piątej kategorii był o niebo lepszy od kolejnej minuty we wnętrzu tej przerośniętej ubijaczki do jajek.

Mi-14 został umocowany na platformie startowej, a Dawidowa wprowadzono do środka okrętu i wskazano mu jego kajutę. W czasie, gdy brał szybki prysznic i przebierał się w czysty mundur, przechyły okrętu znacznie wzrosły. Idąc korytarzem, musiał trzymać się poręczy, by nie stracić równowagi.

Wraz z towarzyszącym mu marynarzem minęli mesę oficerską i dotarli do apartamentu kontradmirała Siergieja Borozdina. Drzwi pilnowało dwóch komandosów specnazu. Po okazaniu identyfikatora Dawidow został niezwłocznie wpuszczony do środka.

Borozdin siedział za biurkiem, udając, że nie zauważył wejścia starego przyjaciela. Była to ich zwyczajowa gra, w którą bawili się od lat. Znali się jak łyse konie, ich kariera rozwijała się niemal równolegle, jednego w marynarce wojennej, drugiego w szeregach KGB, NKWD i służb konsularnych. Ostatnio widywali się rzadko, ale jeśli już doszło do spotkania, alkohol płynął szerokim strumieniem.

Wbrew stereotypowi głoszącemu, że Rosjanie pijają wyłącznie czystą wódkę, obaj panowie preferowali whisky, w szczególności słodową, produkowaną w górach Szkocji i dojrzewającą co najmniej piętnaście lat.

Tym razem Dawidow przywiózł ze sobą butelkę wyjątkowego specjału i

wręczył ją Borozdinowi.

– Arberlour - powiedział. - W języku Celtów znaczy to „ujście gadającego strumienia”. Ma co prawda tylko dwanaście lat, ale dojrzewała w beczkach po hiszpańskim sherry.

Borozdin z namaszczeniem przyjrzał się butelce.

– Widzę, że się postarałeś, choć to i tak niewiele w zamian za wpakowanie mojej floty w środek cyklonu.

Mimo zrzędliwego tonu widać było wyraźnie, że Borozdin jest zadowolony. Uśmiechnął się i sięgnął po dwie szklaneczki.

– Powiem ci, Kostia, że jeśli Putin poleci mi przeprowadzić atak jądrowy na Szkocję, to nie wykonam rozkazu i zaryzykuję spotkanie z plutonem egzekucyjnym.

Dawidow roześmiał się, a Borozdin napełnił szklaneczki. Trunek wydzielał cudowny aromat z delikatną nutą rodzynek, a pierwsze łyki smakowały jak ambrozja.

Mimo to Dawidow mógłby przysiąc, że wciąż słyszy nad głową łoskot łopat wirnika śmigłowca i nadal odczuwa to okropne drżenie w całym ciele.

– Kiepska sprawa z tym sztormem - powiedział, kiedy „Wariag” zatoczył się mocno na prawą burtę.

Po każdym przechyle bocznym krążownik nurkował dziobem w dół i po chwili zabawa zaczynała się od nowa. Fale atakowały formację okrętów z przedniej ćwiartki i wyraźnie rosły w siłę.

– Gdybyśmy nie weszli tak głęboko w tę zawieruchę, wolałbym przepuścić ją i popłynąć jej śladem - westchnął Borozdin. - Musiałem już odesłać jeden z zaopatrzeniowców z dwoma lukami uszkodzonymi przez fale.

„Wariag” prowadził flotyllę okrętów ratowniczych i pomocniczych prosto do strefy poszukiwań. Był większy, szybszy i cięższy od pozostałych jednostek, dlatego lepiej radził sobie na sztormowej fali.

– Musimy przeć naprzód - powiedział twardo Dawidow. - Tyle dobrego, że sztorm spowalnia także Chińczyków.

– A co z Amerykanami? - spytał Borozdin z niepokojem. - To oni są prawdziwym problemem. Ten przeklęty cyklon ewidentnie im sprzyja i gotów pokrzyżować nasze plany. To przez niego przedwcześnie ściągnęli Nighthawka z orbity. Gdyby nie to, czekalibyśmy na niego na pozycji i przechwycili tuż po upadku. A teraz musimy zmagać się ze sztormem, podczas gdy Amerykanie płynący z Kalifornii na południe mają sprzyjającą

pogodę.

– Tak, to prawda - powiedział Dawidow znużonym głosem. - Zdaję sobie z tego sprawę, ale nie ma co się martwić na zapas. To nie powinno mieć większego znaczenia.

Borozdin przechylił głowę na bok i popatrzył podejrzliwie na starego druha.

– Niby dlaczego?

– Rzeczywiście, wygląda na to, że ten cyklon pracuje dla Amerykanów - zachichotał Dawidow. - Za to Tajfun dla nas. Minęło kilka sekund, zanim Borozdin pojął, w czym rzecz.

– Ach tak, mówisz o TK-17 - wymienił numer taktyczny okrętu typu Tajfun.

Dawidow pokiwał głową.

– Przeszedł pod tym cholernym sztormem i jest już prawie na miejscu. Jutro o tej porze będzie płynął na Kamczatkę z Nighthawkiem w ładowni. Chińczycy i Amerykanie nigdy nie dowiedzą się, że to my sprzątnęliśmy im go sprzed nosa wraz z cenną zawartością. Mogą go sobie szukać do woli.

Przez chwilę Borozdin wyglądał na zadowolonego, ale uśmiech szybko zniknął mu z twarzy.

– Zaraz, to po co wciąż pchamy się w środek huraganu piątej kategorii?

– Dla zachowania pozorów - wyjaśnił Dawidow, dopijając swoją whisky. - W przeciwnym razie Amerykanie i Chińczycy zaczęliby coś podejrzewać.

Podsunął opróżnioną szklaneczkę Borozdinowi i czekał. Admirał uśmiechnął się szeroko do starego przyjaciela i skwapliwie nalał drugą kolejkę.

– Za Tajfuna - powiedział, wznosząc szklaneczkę.

Za Tajfuna - powtórzył jak echo Dawidow.

14.
M/s „Reunion"
Sto dwadzieścia kilometrów na wschód od archipelagu wysp Galapagos

Kurt stał na prawym skrzydle mostka dwustumetrowego frachtowca. Wpatrywał się w dal przez lornetkę. Na błękitnej powierzchni morza jak okiem sięgnąć widać było tylko cztery czerwone łodzie ratunkowe z „Reuniona", chwilowo przeklasyfikowane na jednostki poszukujące jakichkolwiek śladów Nighthawka.

Stosując się do planu Rudiego Gunna, spuścili łodzie na wodę, uszykowali je w ściśle określoną formację i posłali na wschód. Łodzie płynęły szeroką ławą, oddalone jedna od drugiej dokładnie o cztery kilometry. W ten sposób w trakcie pojedynczego przejścia przeczesywały szesnastokilometrowy pas rejonu poszukiwań. Każda z nich holowała po dwie „rybki" - torpedokształtne zasobniki nafaszerowane najbardziej zaawansowaną elektroniką będącą w dyspozycji NUMA. Składały się na nią emitery najwyższej klasy sonarów ze skanowaniem bocznym oraz niedawno skonstruowane, wysokoczułe detektory anomalii magnetycznych.

Nowe sensory były dużo bardziej precyzyjne od starszych magnetometrów, reagujących jedynie na przedmioty zawierające żelazo. Zdaniem Joe'go, potrafiły nie tylko określić zawartość poszczególnych składników w metalu, ale także podać nazwę huty, w której go wyprodukowano, oraz nazwisko mistrza zmianowego, kontrolującego proces wytopu.

W rezultacie, przy użyciu najnowocześniejszego sprzętu na świecie, mogli w godzinę przeszukać sześćdziesiąt kilometrów kwadratowych morskiego dna. Biorąc pod uwagę tempo prac, Kurt przewidywał, że zlokalizują Nighthawka przed przerwą na lunch. Tymczasem, choć było już dawno po śniadaniu, nie natknęli się jeszcze na żaden ślad.

Kurt, który przynajmniej na razie wykazywał się cierpliwością godną Hioba, podszedł do Emmy, obserwującej na ekranie o wysokiej rozdzielczości

efekty poszukiwań w czasie rzeczywistym. Poruszające się zgodnie cztery łodzie transmitowały sygnały ze swoich sonarów i innych czujników do komputera ze specjalnym oprogramowaniem, które interpretowało te dane i przedstawiało je w postaci jednolitego obrazu.

Na ekranie powstawało spójne, szczegółowe odwzorowanie morskiego dna, dużo wyraźniejsze niż w przypadku standardowej echosondy. Różnica była taka, jak między monitorem analogowym a nowoczesnym wyświetlaczem HD.

– Niewiarygodne - powiedziała Emma, to przesuwając widok, to robiąc zbliżenia poszczególnych sekcji obrazu. - Nic dziwnego, że Steve Gowdy zażądał włączenia NUMA do tej operacji.

Kurt odłożył lornetkę i usiadł obok Emmy.

– Moim skromnym zdaniem większe znaczenie od naszych kompetencji miało to, że znajdowaliśmy się w pobliżu i wiadomo było, że nie odmówimy. Gdyby przypadkiem siedem sióstr klarysek wybrało się w te rejony łódką na ryby, też pewnie próbowałby zwerbować je do współpracy.

– Może i tak - zgodziła się Emma. - W każdym razie wnosicie do tych poszukiwań dużo więcej, niż można się było spodziewać.

Kurt gładko przełknął komplement, wyprostował się na krześle i przyłączył do obserwowania ekranu. Wiedział, że oprogramowanie automatycznie rozpozna i oznaczy wszelkie przedmioty, które nie pasują do naturalnej scenerii dna morskiego, ale wolał mieć oko na wszystko. W końcu komputery nie są nieomylne, a poza tym nie miał praktycznie nic innego do roboty.

Usiadł wygodniej i kręcąc głową, zaczął rozciągać zesztywniałe mięśnie karku. Po chwili dziarskim krokiem podszedł do nich kapitan Kamphausen. Jemu też dłużyły się poszukiwania.

– Do tej pory sądziłem, że szukanie zatopionych skarbów jest trochę bardziej emocjonujące.

– Koszenie trawnika także nie jest moim ulubionym zajęciem - odparł Kurt. - Nie znosiłem tego w młodości i teraz też za tym nie przepadam.

Kapitan roześmiał się, podszedł do radia i skontaktował się ze swoimi ludźmi na łodziach. Tymczasem pojawił się Joe. Niósł trzy kubki z kawą. Jeden postawił przed Kurtem, drugi podał Emmie, a trzeci był dla niego.

– Znaleźliście coś?

– Nic ciekawego - odrzekł Kurt. - Jedyny przedmiot, który zwrócił naszą uwagę, okazał się kotwicą, zgubioną całkiem niedawno przez jakiś statek. Poza tym pustka, nie licząc pojedynczych skał magmowych, wystających z

dna morskiego.

– Tego można się było spodziewać - zauważył Joe. - W końcu Galapagos to wyspy pochodzenia wulkanicznego.

Kurt sięgnął po swoją kawę. Sprawdził, czy nie za gorąca, i przełknął niewielki łyk, po czym skrzywił się niemiłosiernie.

– Ile cukru ty żeś tu wsypał?!

– Tylko siedem torebek - poinformował Joe głosem niewiniątka.

– Tylko siedem?!

– Uznałem, że zwiększona dawka cukru da ci dodatkowy zastrzyk energii.

Kurt odstawił kubek do uchwytu.

– Jeśli wypiję jeszcze trochę tego paskudztwa, zacznę chyba chodzić po ścianach.

Zanim Joe zdążył odpowiedzieć, rozległ się cichy dźwięk, a na ekranie pojawiła się migająca czerwona obwódka wokół jakiegoś przedmiotu.

– Co to może być? - zastanawiała się Emma.

Kurt pochylił się nad klawiaturą i przesunął palcami po panelu dotykowym, żeby przybliżyć zaznaczony kształt.

– Nie jestem pewien.

Skorygował kąt widzenia i odczekał chwilę, aż komputer dokona ekstrapolacji danych. Po chwili ujrzeli zbliżenie znaleziska. Na dość szerokim pasie dna znajdowało się kilka obiektów oraz szereg małych kraterów i zagłębień, wyraźnie widocznych na idealnie gładkiej powierzchni osadu.

– Chyba coś spadło - zasugerował Joe.

Kurt kiwnął głową i rzucił okiem na magnetometr.

– Nie wiem, co to jest, ale to na pewno wytwór ludzkich rąk.

Emma nie była przekonana.

– Skąd ta pewność? Nie widać nic poza kilkoma zagłębieniami w mule.

Kurt pokazał jej na ekranie odczyt z detektora magnetycznego.

– Ale w tych zagłębieniach jest coś wykonanego ze stali nierdzewnej o podwyższonej wytrzymałości oraz magnezu.

Nacisnął klawisz i drukarka ożyła, wypluwając skład chemiczny obiektu. Zawierał on około dwudziestu procent magnezu i pięćdziesiąt procent glinu oraz mniejsze ilości żelaza i innych metali.

Łodzie płynęły dalej, a obraz na ekranie zaczynał się zmieniać. Pojawiły się nowe przedmioty, ale były zbyt małe i za bardzo oddalone, żeby dało się dostrzec szczegóły.

– Możemy przyjrzeć się temu z bliska? - spytała Emma.

Kurt już miał zrobić zbliżenie, gdy nagle obraz stracił ostrość, a większa część ekranu stała się całkiem czarna.

– Co się dzieje?

– To cień - wyjaśnił Kurt. - Sonar boczny wysyła impulsy pod małym kątem, jak słońce wiszące nisko nad horyzontem. Jeśli coś znajdzie się na drodze impulsów, powstaje długi cień, jak na ulicy późnym popołudniem.

Kurt wreszcie zrobił zbliżenie, a ich oczom ukazał się kształt o nierównej powierzchni. Było to pasmo wulkanicznych skał, sterczących z dna. Wszystko, co znajdowało się za nimi, pozostawało niewidoczne.

– Możemy zawrócić łodzie i przyjrzeć się temu pod innym kątem - zaproponował Joe.

– Mam lepszy pomysł - oświadczył Kurt. - Niech łodzie płyną dalej aż do granicy obszaru poszukiwań, a potem zawrócą zgodnie z planem. W tym czasie spuścimy na dół „Anglera" i sprawdzimy z bliska nasze znalezisko. Jeśli okaże się, że to ważne, upewnimy się. Jeśli nie, to przynajmniej nie zrujnujemy harmonogramu poszukiwań.

– Niezła myśl - stwierdził Joe. - Przy okazji będziesz wreszcie miał jakieś zajęcie.

– To jest metoda na moje szaleństwo - zaśmiał się Kurt.

– Tego się trzymaj - zawtórował mu Joe.

– Weź mnie ze sobą - poprosiła Emma. - Jeśli to rzeczywiście pozostałości po katastrofie, będą to w większości drobne elementy, w dodatku mocno zniszczone i poskręcane, i tylko ja będę w stanie je rozpoznać.

– Nie musisz schodzić na dno - powiedział Kurt. - Możesz wszystko dokładnie obejrzeć na monitorach.

– Wolę dopilnować wszystkiego z bliska. Poza tym to dla mnie chyba jedyna okazja zejścia na dno morza w supernowoczesnej łodzi podwodnej.

– Szanowna pani ma rację - potwierdził Joe.

Kurt nie miał nic przeciwko towarzystwu Emmy.

– W porządku. Zarezerwuję ci jedno miejsce przy oknie.

Dwadzieścia minut później Kurt i Emma zasiedli w fotelach pilotów „Anglera". Joe za pomocą latającego dźwigu uniósł łódź z pokładu i teraz transportował ich na miejsce znaleziska.

Pojazd podwodny był bezpiecznie zaczepiony pod brzuchem pomarańczowego śmigłowca, mimo to wyraźnie kołysał się podczas lotu.

– Chciałabym już być w wodzie - westchnęła Emma. - Daleko jeszcze?

– Zbliżamy się do strefy zrzutu - poinformował Joe przez interkom.

– Chciałeś powiedzieć „do miejsca, w którym delikatnie opuszczę was do wody”, prawda? - poprawił go Kurt.

– Oczywiście. Nie zamierzam fundować wam dodatkowych emocji tego dnia - potwierdził Joe.

Wkrótce Joe zwolnił i zawisł nad wyznaczoną strefą, po czym zaczął się zniżać tuż nad powierzchnię wody. W tym czasie Kurt po raz ostatni sprawdził szczelność „Anglera” i sprawność wszystkich systemów.

– Gotowi do kąpieli - zameldował.

– Zrozumiałem - odpowiedział Joe.

Mocne szarpnięcie dało im znać, że lina zaczęła się rozwijać. Dalsza droga w dół przebiegała już gładko i po chwili kołysali się miękko na fali. Szczęknął zwalniany zaczep i Joe zaczął zwijać linę.

– Operacja wodowania zakończona - zameldował. - Jesteście zdani na siebie.

– Zrozumiałem - potwierdził Kurt. - Wypuszczam boję łącznościową i rozpoczynam zanurzenie. Do zobaczenia za kilka godzin.

Wraz z napełnianiem się zbiorników balastowych poziom wody wokół przezroczystej osłony się podnosił. Kokpit napełniał się niebieskozieloną poświatą. Kiedy całkiem skryli się pod wodą, głośny łoskot łopat śmigłowca zmienił się w stłumione dudnienie.

Kurt otworzył odwietrzniki przedniego zbiornika i „Angler” opuścił dziób, rozpoczynając wędrówkę w głębiny. Za jego kadłubem ciągnął się światłowód, łączący go z boją pływającą po powierzchni, przez którą były transmitowane obraz i dźwięk.

Robiło się coraz ciemniej, rósł też kąt pochylenia pojazdu, aż do osiągnięcia osiemdziesięciu stopni.

Mimo pasów utrzymujących ją w fotelu, Emma wyciągnęła rękę i oparła się o pulpit, reagując odruchowo na dojmujące uczucie spadania w dół.

– Całkiem jak w kolejce górskiej po minięciu najwyższego punktu.

– Nie chciałem, żebyś się nudziła.

– Czy nazwa „Angler” pochodzi od tego, że pojazd zanurza się pod tak ostrym kątem?

– Nie - zaprzeczył Kurt. - Po prostu wytrymowałem go w położeniu „ciężki na dziób”. Celowo został tak zaprojektowany, aby zanurzać się jak najprędzej. W ten sposób oszczędzamy energię i tlen.

– Za cenę odrobiny komfortu - fuknęła, wisząc na pasach. - Z jaką prędkością schodzimy?

Kurt pokazał jej wskaźnik głębokości i cyfrowy licznik prędkości zanurzania.

– Około stu metrów na minutę. Moglibyśmy szybciej, ale to optymalna i bezpieczna prędkość zanurzania. Bez obaw, wyrównam, zanim uderzymy o dno.

Pojazd kontynuował zanurzenie. Zapadła głucha cisza, jeśli nie liczyć stękania i trzasków poszycia. Świat poza osłoną szybko ciemniał, przechodził z morskiej zieleni w granat, a potem w ciemny fiolet. W końcu nie było już widać niczego, jakby spowiła ich czarna kurtyna.

Kurt przyciemnił światło w kokpicie, aby ich wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Wkrótce do rozglądania się po wnętrzu wystarczało im oświetlenie wskaźników na pulpicie.

– Zrobiło się nastrojowo - zauważyła Emma. - Prawie jak przy świecach.

– Niestety, zapomniałem o winie - zmartwił się Kurt.

– Grube niedopatrzenie z twojej strony.

Obserwując głębokościomierz, Kurt zaczął trymować łódź. Dźwignią manewru balastów wpuścił sprężone powietrze do przednich zbiorników, wskutek czego uniósł dziób i jednocześnie zmniejszył prędkość opadania.

– Zbliżamy się do dna - poinformował.

– Może włączymy reflektory?

– A co, boisz się ciemności?

– Nie. Raczej tego, że po ciemku możemy się na coś nadziać.

Kurt sięgnął do górnego panelu i przestawił kilka przełączników. Bateria lamp wokół dolnej części „Anglera” rozbłysła ostrym światłem. Początkowo za szybą nie było widać nic, poza uciekającymi do góry drobinami osadu.

W rzeczywistości były one zawieszone nieruchomo w wodzie, ale „Angler” wciąż się zanurzał, dlatego sprawiały wrażenie płatków śniegu padających w odwrotnym kierunku.

Rozbłysło żółte światełko.

– Wykryto podłoże, odległość trzydzieści metrów - oznajmił syntetyczny głos.

Kurt wpuścił więcej powietrza do zbiorników, co jeszcze bardziej spowolniło opadanie. W stożku światła pod nimi pojawiło się dno, pokryte warstwą szarego osadu.

– Podłoże, odległość pięć metrów - poinformował komputer.

– No i szlag trafił cały nastrój - burknął cicho Kurt, rozglądając się za wyłącznikiem komunikatów głosowych. Nigdy nie lubił gadających samochodów, łodzi podwodnej również.

– Podłoże, odległość trzy metry - informował niewzruszenie komputer. - Opadanie zatrzymane.

Zawiśli nieruchomo w wodzie na głębokości dwustu osiemdziesięciu metrów. Kurt włączył radio.

– Jesteśmy na dnie. Podaj namiar.

Przez lekkie zakłócenia przebił się wyraźny głos Joe'go.

– Cel znajduje się mniej więcej dwieście siedemdziesiąt metrów od was. Kurs jeden-pięć-zero.

Kurt wystukał kurs na klawiaturze i uruchomił system nawigacyjny „Anglera". Prąd z akumulatorów popłynął do dwóch pędników, umieszczonych po jego obu stronach, i łódź zaczęła wykręcać w miejscu. Pojazd nie miał śrub napędowych na rufie, które nadawałyby mu bieg do przodu lub do tyłu. Zamiast nich na końcach krótkich skrzydełek w pobliżu ogona znajdowały się gondole z pędnikami, które można było obracać do przodu, do tyłu oraz w górę i w dół, dzięki czemu mógł poruszać się w dowolnym kierunku.

Po chwili płynęli nad gładkim dywanem szarego osadu, rozciągającym się do granicy zasięgu świateł jak pole zasypane brudnym śniegiem.

– Ponury widok - stwierdziła smętnie Emma.

W polu widzenia nie było żadnych kolorowych raf czy mieniących się ławic ryb. Tylko gdzieniegdzie tkwiły w mule pojedyncze wieloszczety albo wystawały z dna wulkaniczne skały, których nie pokrył jeszcze podmorski śnieg.

– Zawsze kojarzy mi się z powierzchnią Księżyca - powiedział Kurt, naciskając kolejny przełącznik. Z grzbietowej części kadłuba wysunął się teleskopowy wysięgnik.

– Co to takiego? - spytała Emma.

– Prawdziwy powód, dla którego ten pojazd nazywa się „Angler" - wyjaśnił Kurt. - Joe ochrzcił go tak, bo przypominał mu rybę wędkarza. To taki mieszkaniec głębin, stosujący bardzo szczególną metodę zdobywania pokarmu.

– Dobrze wiem, co to jest ryba wędkarz - powiedziała Emma. - Zwabia do

siebie inne ryby świecącą wypustką podobną do wędki. Kiedy skuszona przynętą ofiara podpłynie bliżej, ryba wędkarz otwiera wielką paszczę, żeby ją capnąć.

– Dokładnie tak - potwierdził wesoło Kurt. - Jestem niemal pewien, że biolodzy morscy używają terminu „capnąć” w opisach tej ryby.

Emma się roześmiała.

Tymczasem głuchy trzask potwierdził rozsunięcie wysięgnika na maksymalną długość. Jego koniec znajdował się teraz piętnaście metrów przed pojazdem. Kurt nacisnął przełącznik i z głośników interkomu popłynęło ciche brzęczenie. Jednak poza białym szumem w głośnikach i niemal niewidoczną jasną poświatą wokół wysięgnika, nic więcej się nie wydarzyło.

– Chyba ktoś zapomniał wymienić żarówki - powiedziała Emma.

Kurt pstryknął kolejnym przełącznikiem i teraz uruchomił dwie kamery zamocowane w dolnej części wysięgnika. Obraz z kamer pojawił się na wyświetlaczu LCD w centralnej części panelu między fotelami. Przedstawiał widok dna rozciągający się na dobre kilkadziesiąt metrów przed nimi. Wyraźnie widzieli falistą powierzchnię osadu oraz sterczące tu i tam skały. Przez chwilę na ekranie mignął biały, głębinowy krab, który zaraz zniknął, zakopując się w mule.

Tuż za szybą osłony panowała całkowita ciemność.

– Emitujemy promieniowanie ultrafioletowe o wysokim natężeniu, które ma o wiele lepszą przenikalność w wodzie niż światło białe - powiedział Kurt. - Ponieważ ludzkie oko nie widzi w ultrafiolecie...

– ...wykorzystujecie kamery, które załatwiają sprawę - dokończyła za niego Emma. - Sprytne!

– Dzięki temu możemy skuteczniej działać w ciemności - uzupełnił Kurt. - Przy okazji, jeśli chciałabyś się opalić, to działa jak solarium. Trzeba tylko trochę uważać, bo wystarczy minuta albo dwie i można się nieźle spiec.

Płynęli nad płaskim obszarem, wpatrzeni uważnie w obraz na ekranie i widok za wypukłą przednią szybą. Gdy znaleźli się już niedaleko celu, Kurt przeszedł na sterowanie ręczne i podprowadził ich bliżej.

Pierwsze, co ujrzeli, to był wygięty i poskręcany kawał blachy. Na ekranie zobaczyli w pobliżu kolejny fragment z zawiasem i wiązką przewodów.

Kurt podpłynął jeszcze bliżej, tak aby obydwa obiekty znalazły się w świetle widzialnym.

– Miałeś rację - stwierdziła Emma. - To na pewno nie jest wytwór natury.

Kurt podpłynął do pierwszego przedmiotu i zatrzymał pojazd, równoważąc lekki prąd wody.

– Może spróbujesz złapać to chwytakiem? - Kurt wskazał dwa dżojstiki między fotelami.

– Ostrzegam, że nigdy nie potrafiłam wyciągnąć maskotki łapą szczęścia w wesołym miasteczku.

– Nikt tego nie potrafi. Dlatego te pluszowe zwierzątka zawsze są pokryte warstwą kurzu.

Emma poruszyła dźwigienkami, które przypominały zestaw do zdalnego sterowania modelem samochodu. Pchnąwszy jedną z nich do przodu, wysunęła metalowe ramię zakończone chwytakiem w kształcie szczypiec. Ustawiła chwytak dokładnie nad przedmiotem i złapała ponadmetrowy kawał blachy, po czym wyciągnęła go z mułu za pierwszym podejściem.

– Dobra robota - pochwalił ją Kurt.

– Co teraz?

– Wrzuć to do kosza - polecił, pokazując ponadtrzymetrowej długości pojemnik na trofea, przymocowany do lewej burty „Anglera".

Emma przekręciła dżojstik i ustawiła ramię nad pojemnikiem.

– Dobrze?

Kurt przytaknął. Zwolniła chwyt i blacha z cichym stuknięciem wylądowała w pojemniku.

– Jeśli go zapełnisz, to mamy jeszcze drugi na prawej burcie - powiedział Kurt. - Są odłączalne. Możemy wysłać je na powierzchnię dzięki nadmuchiwanym pływakom albo zostawić na miejscu aż do wynurzenia.

– Idealny zestaw do czyszczenia morskiego dna.

Wyciągnęła z mułu drugi kawałek metalu. Okazało się, że to siłownik hydrauliczny.

– Co ty na to? - spytał Kurt.

– Nie jestem pewna - odparła lekko zdezorientowana. - Wygląda na element konstrukcji samolotu, ale trudno powiedzieć na sto procent. Ruszajmy dalej.

Kurt kiwnął głową i popłynął dalej na południe, wzdłuż pasa drobnych śladów na powierzchni osadu.

– Czy to są ślady po upadku? - spytała Emma.

– Tak. Na dno musiał spaść deszcz metalu. Mniejsze części zagłębiły się w muł, pozostawiając te ślady. Tylko te większe albo opadające z mniejszą prędkością pozostały na wierzchu.

– A więc to jest pole szczątków?

Pokiwał głową. Emma wyglądała na przybitą.

– Jeżeli to Nighthawk, musimy znaleźć centralną sekcję kadłuba. To tam kryją się najnowocześniejsze rozwiązania techniczne, na których tak zależy naszym przeciwnikom.

Kurt zwiększył obroty i skorygował kurs. Przepłynęli nad pasem drobnych elementów i zagłębieniami w mule, i zatrzymali się dopiero nad większym kawałkiem blachy, pogiętym i porozrywanym jak kartka papieru.

– Niedobrze - powiedziała Emma. - To wygląda na część poszycia.

– Musiał uderzyć o powierzchnię morza z ogromną prędkością.

Pokręciła głową.

– Niemożliwe. Według wszystkich symulacji, które przeprowadziliśmy, komputer pokładowy działał do końca. Powinien wyrównać lot i wypuścić spadochrony hamujące, a następnie miękko opaść na wodę.

Kurt milczał. Dziwiło go, dlaczego wszyscy w NSA byli pewni, że Nighthawk wpadł do oceanu w całości.

– Dowody wykazują, że było inaczej - powiedział wreszcie, mając dość słuchania o tym, co nie powinno się zdarzyć.

– Centralna sekcja kadłuba musiała pozostać nietknięta - stwierdziła z naciskiem Emma. - Ruszajmy. Musimy ją odnaleźć.

Kurt uznał, że to tylko pobożne życzenia, ale ruszył naprzód, prowadząc pojazd zygzakiem. Po ustaleniu granic pola szczątków i kierunku ich rozkładu popłynął prosto, śladem coraz większej ilości elementów, wyłaniających się z mroku. Pośród nich widać było większe części, ewidentnie pochodzące z kadłuba, oraz długie wiązki izolowanych przewodów, falujących pod wpływem prądu wody. Wreszcie natknęli się na koło, tkwiące wciąż na amortyzowanej goleni.

– To jest podwozie - powiedziała z goryczą Emma.

Koło leżało na boku. Pozostała tylko sama obręcz, bez śladów ogumienia, które musiało zostać zerwane. Goleń była wygięta pod kątem czterdziestu stopni. Tuż obok leżał osmalony wyprofilowany kawał metalu, będący najwyraźniej integralną częścią kadłuba.

– To tyle, jeśli chodzi o zachowanie w całości sekcji centralnej - powiedział Kurt.

Emma milczała, zapatrzona w mrok. Wyraz złości i zakłopotania malował się na jej twarzy. Nagle zaczęła wpatrywać się intensywnie w koło, aż drobne

zmarszczki pojawiły się na jej czole.

– Podpłyń bliżej.

Kurt zwiększył obroty i starał się podejść tak, aby nie wzburzyć osadu. Gdy zbliżali się do konstrukcji, będącej prawdopodobnie przednim podwoziem, Emma, pochylona, przysunęła twarz do samej szyby. Cała jej złość gdzieś wyparowała.

– Ono jest za duże - stwierdziła dziwnym tonem.

Kurt też tak uważał.

– Owszem, nie damy rady go unieść, ale możemy podwiesić na linie i wyciągnąć na powierzchnię.

– Nie to miałam na myśli - obróciła się twarzą do niego. - Chodzi o to, że Nighthawk miał stosunkowo małe koła i krótkie golenie. Żeby przyspieszyć prace, wykorzystaliśmy podwozie z mniejszego X-37. Było lżejsze i zajmowało mniej miejsca w kadłubie, za to Nighthawk sprawiał wrażenie, jakby szorował brzuchem po ziemi. Wyglądał trochę jak wielki pies na zbyt krótkich łapach.

Wyciągnęła rękę, dotykając przezroczystej osłony.

– Koło ma za dużą średnicę, a goleń jest zbyt długa, a przecież jej część została odłamana.

– Patrzysz przez wypukłą szybę. To zniekształca widok.

Emma zerknęła na niego i znów popatrzyła na zewnątrz. Dokładnie obejrzała koło, a potem rozejrzała się po wrakowisku.

– Tych szczątków jest za dużo. Jestem niemal pewna, że to nie może być Nighthawk.

– W takim razie co to jest?

– Nie wiem. Jakiś inny rozbity samolot. Może ten zaginiony pasażerski odrzutowiec malezyjskich linii lotniczych albo jakiś wojskowy transportowiec, który rozbił się wiele lat temu.

Kurt zdecydowanie potrząsnął głową.

– Ten wrak jest czyściutki. Musiał rozbić się niedawno. Gdyby leżał tu przez lata, pokryłby się osadem, a zagłębienia w mule, w miejscach upadku mniejszych elementów, zostałyby zasypane jak ślady stóp podczas zamieci śnieżnej. Zresztą mamy nagrany odgłos jego uderzenia o wodę. Spadł niecałe dwadzieścia minut po tym, jak w Vandenberg stracili łączność z Nighthawkiem.

– Nie mam powodu, by ci nie wierzyć, ale wiem, co mówię. To nie są szczątki naszego samolotu kosmicznego.

Kurt nie słyszał o żadnej katastrofie lotniczej w tym rejonie, ale nie było sensu się sprzeczać. Włączył radio.

– Halo „Reunion”, widzicie to wszystko?

– Obraz jest dobrej jakości - potwierdził Joe. - Wygląda na to, że trafiliście na żyłę złota.

– Zdaniem mojego drugiego pilota to jest złoto głupców - oznajmił Kurt. - Wyciągniemy trochę tego złomu, żeby go zbadać na powierzchni. Może uda się ustalić, z jakiego samolotu pochodzi.

– Dobry pomysł. Poszukajcie czegoś, co dałoby się zidentyfikować.

Kurt rozejrzał się za jakimś niezbyt dużym elementem, który pozwoliłby ustalić typ i producenta maszyny.

– Może być płytka z obwodem drukowanym? - spytał, wskazując na wiązkę przewodów podpiętą do zielonego pulpitu.

– Jak najbardziej - powiedział Joe. - Stosunkowo łatwo namierzyć pochodzenie podzespołów elektronicznych.

Kurt podpłynął w kierunku zauważonego elementu, minął go, a potem zastopował pędniki, aby wraz z prądem zdryfować powoli nad cel.

Po wyłączeniu napędu w pojeździe zapadła kompletna cisza, w której z zaskoczeniem usłyszał dziwny dźwięk, pochodzący z zewnętrznego źródła, i wyczuł lekką wibrację. Przypominało to głuchy pomruk maszyny, pracującej w oddali.

Emma też to słyszała.

– Co to może być?

Kurt uznał, że źródłem może być statek.

– „Reunion”, czy jesteście w ruchu?

– Nie - odparł Joe w odpowiedzi. - Mamy odstawione maszyny. Połowa załogi opala się na pokładzie. A czemu pytasz?

– A czy widzicie jakiś ruch wokół was?

Po krótkiej przerwie usłyszał ponownie głos Joe’go.

– Nie. Nie widać żadnego statku aż po horyzont.

Mimo to Kurt był pewien, że słyszy odgłos śruby napędowej.

– Jeżeli nie ma nic na powierzchni, to znaczy, że...

Nie musiała kończyć. Kurt myślał o tym samym. Wysunął na zewnątrz hydrofon. Nie było to żadne specjalistyczne urządzenie nasłuchowe, lecz zwykły mikrofon w wodoszczelnej obudowie, stosowany do podsłuchiwania baraszkujących wielorybów lub innych odgłosów morskich stworzeń. Mimo

to, ustawiwszy go w kilku położeniach, był w stanie z grubsza określić kierunek, z którego dochodził osobliwy pomruk.

W głośnikach dźwięk brzmiał złowrogo i wyraźnie narastał.

– Coś zbliża się od tyłu - powiedział Kurt - i kieruje się prosto na nas.

15.

Kurt uruchomił pędniki i obrócił „Anglera” w kierunku, z którego przypuszczalnie dochodził niepokojący odgłos. Wyłączył oświetlenie, pozostawił tylko podgląd w ultrafiolecie. Wciąż niczego nie widzieli.

– Lepiej zbierajmy się stąd - zaniepokoiła się Emma.

Ostre ping! eksplodowało w wodzie, rozbrzmiewając ogłuszająco w kokpicie „Anglera”, jakby ktoś walnął w jego burtę ciężkim młotem.

Emma przyłożyła dłoń do ucha. Kurt ze zdumieniem przyglądał się wyraźnej zmarszczce na powierzchni mułu, powstałej za sprawą potężnej, niewidzialnej fali akustycznej.

– Ktoś nas właśnie naznaczył - stwierdził, mając na myśli to, że odbity impuls z sonaru prawdopodobnie został zarejestrowany na okręcie podwodnym, który go wyemitował.

– Czyżby szukali wraku, tak jak my?

– Być może, ale do poszukiwania wraków nie wykorzystuje się takich impulsów sonarowych - odrzekł Kurt. Wolał jej nie mówić, że wiązka akustyczna o tak dużej mocy zwykle służy do namierzania celu dla torped.

Delikatnym ruchem steru wprawił „Anglera” w obrót. Szukał źródła sygnału. Słyszalny od dłuższej chwili pomruk przeszedł w głuche dudnienie, tak jakby zbliżał się do nich pociąg towarowy.

– Na co czekasz? - spytała Emma.

– Lepiej się rozejrzeć, zanim się przejdzie przez jezdnię - odparł. Uniósł dziób pojazdu i przełączył ultrafioletowe światło na pełną moc, wpatrzony jednocześnie w monitor.

Z początku nic się nie działo. Potem, na granicy zasięgu podświetlenia UV, pojawiło się jakieś zniekształcenie, jakby w głębinach otwierał się portal do innego wymiaru. Kurt wiedział, że to woda pod wpływem nagłego nacisku rozstępuje się przed czymś na boki, niosąc ze sobą cząstki osadu. W mroku za tym zmętnieniem zaczął formować się jakiś kształt.

Była to ogromna półkula, stanowiąca bez wątpienia dziób zbliżającego się okrętu podwodnego. Nie małej łodzi podwodnej, podobnej do „Anglera”, ani nawet nie smukłego torpedowego okrętu podwodnego, lecz prawdziwego morskiego olbrzyma. Ruchoma stalowa ściana zaczęła wznosić się nad nimi.

Okręt płynął powoli, w odległości około trzydziestu metrów od dna.

– Chcą nas zatopić! - przestraszyła się Emma.

– Nie - odrzekł Kurt. - Płyną śladem szczątków, tak jak my wcześniej.

– Więc lepiej zejdźmy im z drogi.

Kurt pokręcił głową.

– Zdradzilibyśmy tylko swoją obecność. Jeśli pozostaniemy w bezruchu, być może uznają nas za skałę lub część wraku.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy kolejny impuls zabrzmiał jak ogłuszające uderzenie dzwonu, ale Kurt nie ruszył się z miejsca.

Wokół zbliżającego się okrętu wirowały chmury osadu, przez co wyglądał jak monstrum sunące na poduszce pyłu.

– Trzymaj się - ostrzegł Kurt.

Zawirowania dosięgły „Anglera”. Mały pojazd obrócił się i przechylił na burtę.

Kurt przywrócił łodzi normalne położenie za pomocą pędników, patrząc z obawą na przesuwającą się powyżej górę rdzawoczerwonej stali, wypełniającą widok od jednej do drugiej krawędzi przezroczystej osłony. Wydawało się, że chwila ta ciągnie się w nieskończoność. Przepływający nad nimi okręt był długi i szeroki jak frachtowiec unoszący się na powierzchni.

Wreszcie pojawiły się śruby.

Kiedy się zbliżyły, „Angler” został poderwany znad dna przez gwałtowną turbulencję. Niewidoczna siła ciągnęła go w kierunku ogromnych, wirujących łopat. Śruby wreszcie minęły go o włos, a kiedy znalazł się za przepływającym lewiatanem, dostał się w jego ślad torowy. Miniaturowa łódź podwodna zaczęła koziołkować jak liść na wietrze. Kurt próbował odzyskać kontrolę nad pojazdem, ale pędniki miały zbyt małą moc w porównaniu z podwodnym tornadem.

„Angler” wirował i kołysał się, aż wreszcie uderzył o skałę wystającą z dna. Rozbłysło kilka alarmowych lampek, a potem wszystko pochłonęła ciemność.

* * *

Na pokładzie „Reuniona” Joe i kapitan Kamphausen śledzili całą sytuację, gdy nagle obraz na monitorze zanikł. Przekaz nie zawierał ścieżki dźwiękowej, brakowało też komentarza załogi, dlatego trudno im było stwierdzić, co się stało. Ostatnie, co zarejestrowało się na nagraniu, to widok obracających się mosiężnych śrub napędowych.

– Czyżby uderzyła ich śruba? - snuł przypuszczenia Kamphausen.

Joe uniósł mikrofon do ust.

– Halo „Angler”, co się z wami dzieje? - Odczekał chwilę, po czym wywołał ich ponownie. - „Angler” zgłoś się. Kurt, czy mnie słyszysz?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, Joe odłożył mikrofon i jeszcze raz odtworzył zapis wideo, analizując kierunek ruchu cząstek osadu oraz ostatni, złowieszczy widok śrub.

– Raczej nie zawadzili o śrubę - powiedział po chwili. - Owszem, niewiele brakowało, ale to nie to. Natomiast z pewnością zerwał się kabel łączący „Anglera” z boją.

– Dlaczego nie uciekał? - dziwił się kapitan. - Zastygł jak jeleń oślepiony reflektorami samochodu.

– Kurt nie jest z tych, których paraliżuje strach - odparł Joe. - Widocznie ocenił, że lepiej nie ruszać się z miejsca. Ja zareagowałbym podobnie. Pojawienie się tak ogromnego okrętu tuż przy samym dnie jest dość zaskakujące.

Joe przejrzał zawartość ostatniej sekwencji danych telemetrycznych w nadziei, że dowie się z nich czegoś więcej. To, co odczytał, zmartwiło go. Tuż przed zerwaniem łącza pojawiła się seria komunikatów o awariach.

– Akumulatory, pompy, stabilizacja żyroskopowa. Musieli w coś mocno uderzyć, skoro wszystkie systemy wysiadły niemal równocześnie.

Kamphausen popatrzył na niego z ponurą miną.

– Co to znaczy? Czy oni utonęli?

– Wątpię - odrzekł Joe. - Kadłub „Anglera” jest wytrzymały, więc raczej nie mają przecieku. Niewykluczone, że stanęli przed najgorszym koszmarem wszystkich podwodników.

– Co może być gorszego od utonięcia?

– Uwięzienie żywcem na dnie morza - powiedział Joe. - Skoro mają problemy z zasilaniem i pompami, być może nie będą w stanie się wynurzyć.

– Możemy im jakoś pomóc?

– W normalnych okolicznościach nie byłoby kłopotu. Zwodowałbym drugi

pojazd, podpłynął do nich, zaczepił linę i wyciągnęlibyśmy ich na powierzchnię. Ewentualnie mógłbym zejść pod wodę w skafandrze ciśnieniowym i samemu zaczepić linę. Ponieważ nie mamy ani jednego, ani drugiego, musimy improwizować.

– A co z tym okrętem podwodnym, który omal ich nie rozjechał? - spytał Kamphausen. - Sądząc po rdzy na kadłubie i zaniedbanym wyglądzie, domyślam się, że jest rosyjski. Zakładam, że szuka tego samego, co wy?

– Trudno przypuszczać, żeby było inaczej - przyznał Joe.

– Czy jest dla nas zagrożeniem?

– Wątpię, aby chcieli storpedować statek handlowy - stwierdził Joe. - To byłoby jak wypowiedzenie wojny i skończyłoby się ich szybkim zniszczeniem przez jeden z naszych samolotów do zwalczania okrętów podwodnych. Jednak to, co się dzieje w głębinach, to całkiem inna historia.

– Jak to?

– Ogólnie rzecz biorąc, to, co się dzieje pod powierzchnią, zostaje pod powierzchnią. - Joe sparafrazował słynny slogan, reklamujący Las Vegas. - Mogliby staranować „Anglera", storpedować go albo zgnieść jak muchę, przyciskając go do dna. I nikt nigdy nie dowiedziałby się, co zaszło. A ja nie zamierzam do tego dopuścić.

Kamphausen podrapał się po głowie.

– Ale w jaki sposób?

– Musimy ich wyciągnąć, zanim cokolwiek się wydarzy.

Kamphausen kiwnął głową, potoczył dokoła wzrokiem, jakby głęboko się nad czymś zastanawiał, po czym bezradnie spojrzał na Joe'go.

– Nie mam pojęcia, co robić.

– Na szczęście ja mam - odrzekł Joe. - Będzie to wymagało trochę pracy. Chyba są na statku jakieś prądnice?

– Znajdzie się kilka.

– Potrzebuję największej. I niech tam przy niej czeka ekipa mechaników z kompletem narzędzi.

Kamphausen popatrzył na niego niepewnie.

– Nie ma obawy - uspokoił go Joe. - Kiedy będzie po wszystkim, poskładam ją do kupy.

* * *

Dwieście osiemdziesiąt metrów niżej Emma i Kurt siedzieli w kompletnych ciemnościach. Ogromny okręt przepłynął nad nimi i zniknął gdzieś w mroku. Strumień zaśrubowy rzucił ich na występ skalny. Wyskoczyło kilka bezpieczników, na panelu rozbłysło kilka ostrzegawczych kontrolek, a potem wszystko zgasło.

Przyświecając sobie latarką, Kurt powciskał bezpieczniki i przywrócił „Anglera" do życia.

– Brak poważniejszych uszkodzeń - stwierdził.

– Słyszysz to? - Emma nadstawiła ucha.

Hydrofon wciąż odbierał odgłos śrub, ale jego natężenie malało, aż wreszcie wszystko ucichło.

– Zatrzymali się - powiedział Kurt.

– Dobrze, że nie zawrócili.

– Zgadzam się w całej rozciągłości - przytaknął skwapliwie Kurt. - Pytanie, co oni tu w ogóle robią? Z uwagi na jego wielkość i kształt, jest to najprawdopodobniej rosyjski rakietowy okręt podwodny typu Tajfun. O ile wiem, nie jest dostosowany do działań poszukiwawczo-ratowniczych.

– Może po prostu był najbliższą jednostką wyposażoną w echosondę - podsunęła Emma.

Kurt nie wyglądał na przekonanego. Poprawił słuchawki i spróbował wywołać Joe'go.

– Joe, jesteś tam? Mam nadzieję, że zapisałeś numery tej ciężarówki, która omal nas nie rozjechała?

Na próżno. W słuchawkach nie było słychać nawet szumu.

– Zdaje się, że Tajfun, przepływając nad nami, zerwał nasz kabel. Nie mamy łączności z powierzchnią.

– Lepiej uznajmy się za szczęściarzy i wracajmy - zasugerowała. - Może Joe zdoła zidentyfikować ten samolot i w ten sposób upewnimy się, że to ślepy zaułek.

Kurt też się nad tym zastanawiał, ale górę wzięła jego wrodzona dociekliwość, którą odziedziczył po przodkach wraz ze skłonnością do przedwczesnego siwienia.

– Byłoby to ze wszech miar rozsądne posunięcie, ale coś mi tu nie pasuje. Meldowałaś komukolwiek o tym miejscu?

Pokręciła głową.

– Nie powiedziałam nikomu.

– Ja też nie. A więc to nie przeciek.

– Może zdrajca ukrywa się pośród naszych wspólników na „Reunionie”?

– Nie przypuszczam, abyśmy nadziali się na rosyjskiego szpiega na statku, który wybrałem na chybił trafił. A nawet gdybyśmy mieli wyjątkowego pecha i ktoś z załogi przekazałby Rosjanom współrzędne tego miejsca, to jakie jest prawdopodobieństwo, że akurat w pobliżu przepływałby okręt podwodny typu Tajfun?

– Astronomicznie niskie - powiedziała. - Nieliczne Tajfuny, które im pozostały, głównie stoją w porcie, a jeśli nawet wychodzą w morze, to rzadko oddalają się od bazy.

Kurt dobrze o tym wiedział. Co więcej, wiedział też, że już od dłuższego czasu trwa proces wycofywania Tajfunów ze służby.

– Ten okręt nie powinien się tu znaleźć, pod żadnym pozorem.

– Może zastanowimy się nad tym kiedy indziej. - Emma spróbowała przerwać jego dociekania. - Zapewne już przeskanowali pole szczątków swoim sonarem. Miejmy nadzieję, że ściągną tu swoją flotę ratowniczą i spędzą kilka dni na wydobywaniu części samolotu na powierzchnię, zanim się połapią, że to nie Nighthawk.

Kurt poszedł dalej w swoich przypuszczeniach.

– Właśnie o to chodzi. Sądzę, że oni już o tym wiedzą. Sięgnął do potencjometru i zwiększył głośność dźwięku odbieranego przez hydrofon. Z mrocznej otchłani docierał do nich nowy pulsujący odgłos, przypominający szum wody płynącej w rurach.

– Dziobowe i rufowe stery strumieniowe - powiedział. - Służą do dokładnego pozycjonowania okrętu. Powinniśmy sprawdzić, dlaczego to robią.

16.

Boisz się, że nas zobaczą? - spytała Emma, widząc, z jaką ostrożnością Kurt skrada się w kierunku rosyjskiej jednostki.

– Okręty typu Tajfun nie mają okien do prowadzenia obserwacji podwodnych - wyjaśnił Kurt. - Mogą natomiast wykorzystywać w tym celu kamery, pływające roboty lub pojazdy załogowe. Ponadto są wyposażone w pasywne urządzenia nasłuchowe o dużej czułości. Trzymając się dna, narobimy mniej hałasu.

Oboje zamilkli. Kurt zmierzał do celu, sterując delikatnymi ruchami, zgodnie ze wskazaniami hydrofonu. Ominął pojedynczą skałę, która pojawiła się przed nimi na ekranie monitora. Po chwili, gdy natknęli się na spiętrzenie osadu na przedpolu szerokiego skalnego grzbietu, skierował „Anglera" w górę zbocza.

Wkrótce znaleźli się ponad szczytem wzniesienia.

– Popatrz - powiedziała Emma.

Oderwał wzrok od ekranu. W oddali majaczyła w mroku dziwna, niebieskawa poświata.

Mając wyraźny punkt orientacyjny, Kurt wyłączył system UV i wciągnął przypominający wędkę wysięgnik, od którego „Angler" wziął swoją nazwę. Minęli szczyt i sunęli w dół stoku w kierunku oświetlonego obszaru.

Z daleka wyglądało to jak połyskująca w mroku, granatowa kula wody. W miarę jak się zbliżali, barwa zaczęła przechodzić w zieleń, aż wreszcie nabrała żółtawego odcienia, zbliżonego do światła dziennego.

Z powodu spowijających wszystko ciemności i zawieszenia pojazdu jakby w stanie nieważkości, można było odnieść wrażenie, że dolatują do jakiejś obcej planety, zawieszonej w otchłani kosmosu.

Kiedy podpłynęli bliżej, Kurt wyłączył napęd i „Angler" poruszał się już tylko siłą inercji.

– Wygląda na to, że nasi przyjaciele rozkręcili tu jakiś interes.

Świetlista kula rozciągnęła się w płaski obszar o długości kilkudziesięciu metrów, zalany światłem z kilku rzędów potężnych lamp jarzących się pod dnem Tajfuna. Większość kadłuba ogromnego okrętu podwodnego pozostawała ukryta w atramentowoczarnej wodzie, za to dno było oświetlone jak stadion. W odbitym blasku widać było spodnią część Tajfuna, pokrytą rdzawoczerwoną farbą, używaną przez Rosjan do malowania swoich okrętów poniżej linii wodnej.

Pod stępką można było dostrzec kilka kształtów, przypominających kokony.

– Nurkowie w skafandrach ciśnieniowych - powiedział Kurt.

Opadali na dno jak maleńkie sondy, wyrzucane ze statku obcych. Kierowali się ku największej koncentracji szczątków, pośród których można było rozpoznać odwrócone ku górze skrzydło oraz ogon samolotu w kształcie litery T.

– Statecznik pionowy - stwierdziła Emma. - A tam część kadłuba i coś, co wygląda jak gondola silnika. Mówiłam ci, że to nie Nighthawk.

Hydrofon wyłapał metaliczne szczękanie, a potem syk uchodzącego powietrza.

– Otwieranie drzwi wodoszczelnych - wyjaśnił Kurt. - Prawdopodobnie śluza, z której wyszli ci nurkowie, albo przedział, w którym przechowują zdalnie sterowanego robota.

Metaliczny dźwięk nie ustawał. Pod Tajfunem pojawiła się wąska świetlista szczelina, poszerzająca się stopniowo wraz z rozsuwaniem się potężnych wrót. Po chwili wrota zastygły w skrajnej pozycji. Między nimi pozostał trzydziestometrowy otwór w dnie okrętu podwodnego. Emma i Kurt patrzyli w osłupieniu, jak ze środka wysuwa się wielki chwytak koparki z szeroko rozwartymi, zębatymi szczękami.

Chwytak z impetem spadł na stertę szczątków, wzbijając z dna kłęby mułu. jego hydraulicznie napędzane szczęki zaczęły się zamykać, czemu towarzyszył niosący się w wodzie jęk zgniatanego metalu.

Kurt obserwował uważnie, jak cały ogon samolotu znika we wnętrzu okrętu podwodnego.

– Wygląda na to, że Rosjanie zbudowali podwodną wersję „Glomar Explorera”.

„Glomar Explorer” był najsłynniejszym statkiem ratowniczym na świecie. Zbudowany został przez CIA, z wykorzystaniem statusu celebryty Howarda Hughesa jako przykrywki, w celu przeprowadzenia jednorazowej tajnej

operacji, polegającej na wydobyciu z dna Pacyfiku radzieckiego okrętu podwodnego, który zatonął na skutek awarii.

Oficjalnie statek miał służyć do komercyjnego wydobywania cennych minerałów. W 1974 roku „Glomar Explorer" stanął nad wyznaczonym miejscem, opuścił specjalny chwytak i podniósł trzy czwarte kadłuba okrętu K-129. Wrak został wciągnięty na pokład przez specjalne, otwierane wrota w dnie statku, zwane basenem zanurzeniowym.

Radzieccy szpiedzy obserwujący operację z odległości kilku kilometrów nie połapali się, o co chodzi. Dopiero po jakimś czasie doszło do przecieku informacji i wówczas Rosjanie wpadli w szał. Wstydzili się, że wystrychnięto ich na dudka, ale już nic nie mogli zrobić. Zaczęli natomiast tworzyć potężną flotyllę ratowniczą, której znaczna część właśnie zdążała w kierunku wysp Galapagos, jednak ten wielki rakietowy okręt podwodny, przebudowany na podwodny okręt ratowniczy, to było coś nowego. Przynajmniej dla Kurta.

– Wiedzieliście coś o tym w NSA?

– To zupełne zaskoczenie. Chociaż, gdy się zastanowić, całkiem logiczna decyzja Rosjan. Wystarczy usunąć wyrzutnie pocisków balistycznych i Tajfun zyskuje ogromną przestrzeń ładunkową. Może przemieszczać się w ukryciu, zanurzać się na ponad siedemset metrów i podnosić z dna cokolwiek, nie będąc widocznym dla satelitów.

– Że też nie przewidzieliśmy takiej możliwości - powiedział Kurt. - Śledzimy ich flotę nawodną, upewniamy się, że minie jeszcze kilka dni, zanim tutaj dotrą, a ci goście już są na miejscu. Właściwie to aż się prosi, by zadać pytanie: co to za miejsce? Jeżeli ten wrak to nie Nighthawk, to czego tu szukają? I jeszcze jedno, dlaczego właśnie Rosjanie są tym tak bardzo zainteresowani?

– Może powinniśmy podpłynąć trochę bliżej, żeby się tego dowiedzieć - zaproponowała Emma.

– No proszę, a jeszcze przed chwilą odwodziłaś mnie od ryzykownych działań. - Kurt się uśmiechnął.

– Akurat to ryzyko może się nam opłacić. Kilka zdjęć tego Tajfuna może zmniejszyć rozmiary awantury, która wybuchnie na wieść, że nie znaleźliśmy tu Nighthawka.

Kurt ponownie uruchomił pędniki.

– Nie będę stawał na drodze do twojego awansu.

– Zapewniam cię, że działam wyłącznie w interesie narodowym.

Kurt stłumił wybuch śmiechu. A nuż wychwyciłyby go hydrofony Tajfuna.

W miarę jak się zbliżali, rósł hałas panujący w wodzie. Prace prowadzono w wielkim pośpiechu. Po zdeponowaniu wydobytych części wraku we wnętrzu okrętu chwytak pojawił się znowu, zmienił nieco pozycję i opadł na dno. Najwyraźniej nie liczono się z tym, że wydobywane elementy ulegają dalszemu zniszczeniu, co stawiało pod znakiem zapytania cel operacji, jakim miało być pozyskanie nowych technologii.

Przyczyna takiego stanu rzeczy objawiła się Kurtowi całkiem jasno.

– Oni niczego nie ratują. Po prostu zbierają wszystko jak leci, aby ukryć jakiekolwiek dowody, zanim znajdzie je ktoś inny. A to oznacza...

– ...że to jest rosyjski samolot. - Emma dokończyła jego myśl. - Być może leciał z misją zwiadowczą na poszukiwanie Nighthawka i uległ rozbiciu.

Kurt potrząsnął głową.

– Ta katastrofa wydarzyła się niemal jednocześnie ze zniknięciem Nighthawka.

– Może wysłali samolot, żeby mu się przyjrzeć z bliska. Rosjanie nieraz próbowali robić takie rzeczy.

Tymczasem podpłynęli już tak blisko wraku, że mogli szczegółowo zapoznać się z elementami konstrukcji wewnętrznej części skrzydła. Kurt manewrował pojazdem, aby wycentrować kadr w obiektywie kamery, gdy spostrzegł krótki błysk.

Natychmiast wyłączył wszystkie źródła światła w kokpicie, łącznie z podświetleniem wskaźników. Musiał odczekać całą minutę, zanim błysk znów się pojawił. Trwał bardzo krótko. Biała iskierka w mrocznych głębinach.

– Lampka stroboskopowa niewielkiej mocy - stwierdził Kurt.

– To pewnie czarna skrzynka. - Emma użyła potocznej nazwy rejestratora parametrów lotu lub rejestratora rozmów w kokpicie, które są powszechnie stosowane w większości samolotów cywilnych i wojskowych.

– Może uda się podpłynąć bliżej bez zwracania ich uwagi.

Wprawnym ruchem dłoni poprowadził pojazd wzdłuż rozdartego skrzydła i zatrzymał go nad szczeliną w przedniej części kadłuba. Zaokrąglone blachy poszycia pękły i rozsunęły się na boki, ukazując wnętrze maszyny. W środku znów błysnęło nikłe światełko.

– Sprawdź, czy dosięgniesz.

Emma wysunęła ramię z chwytakiem na maksymalną długość.

– Za daleko. Możesz podpłynąć bliżej?

– Trzymaj się - powiedział Kurt. Cofnął się kawałek, po czym znów ruszył do

przodu, zwiększając obroty. „Angler” skoczył w kierunku wraku, uderzył w odstający kawał blachy i odrzucił go na bok.

Kolejny błysk był jaśniejszy i bliższy, bo niemal w całości znaleźli się wewnątrz wraku. Emma ponownie wysunęła ramię, rozwierając szczypce chwytaka. Nasunęła je na metalowy uchwyt na obudowie rejestratora i zacisnęła.

– Mam go - powiedziała, wciągając ramię.

Czarna skrzynka, która w rzeczywistości była pomarańczowa i miała na obudowie napis wykonany cyrylicą, wysunęła się ze swojego slotu z niewielkim oporem. Emma przyciągnęła ramię do kadłuba „Anglera” i wrzuciła ją do pojemnika na prawej burcie.

– Dobra robota - ponownie pochwalił ją Kurt.

Położył dłoń na dźwigni przepustnicy i już szykował się do odpłynięcia, ale wstrzymał się, bo usłyszał nagłą zmianę odgłosu pracy sterów strumieniowych Tajfuna.

Emma uniosła wzrok.

– Tajfun zmienia pozycję.

Kurt sam się zorientował, co się dzieje. Wyglądało to tak, jakby oświetlony obszar dna okrętu poruszył się i sunął w ich stronę.

Skierował pojazd w górę, zamierzając wycofać się znad szczeliny w kadłubie samolotu, ale zamiast płynąć prosto, „Angler” przechylił się w bok i skręcił.

– Zaczepiliśmy o coś - powiedział, obracając głowę w poszukiwaniu niespodziewanej przeszkody.

– Widzę stąd - poinformowała Emma. - Rama, na której zawieszony jest pojemnik, zawadziła o wrak.

Kurt spróbował rozbujać pojazd, dając na przemian przednie i wsteczne obroty, ale na próżno. „Angler” utknął na dobre.

Trzecia próba nie dała żadnych rezultatów, a wrak wokół nich pojaśniał światłem odbitym od skrajnych lamp zbliżającego się Tajfuna.

Nie było innego wyjścia. Kurt obrócił pędniki i posadził „Anglera” we wnętrzu wraku, a następnie wyłączył wszystkie systemy.

– Co ty wyprawiasz? - spytała przerażona Emma.

– Chowam się - odparł. - To nasza jedyna szansa.

Wokół nich zaczęło się robić coraz jaśniej, światło wpadało przez szczeliny w poszyciu wraku jak zaglądające w okna poranne słońce. Odgłos sterów

strumieniowych Tajfuna narastał. Okręt podwodny zatrzymał się nad nimi i obrócił powoli, ustawiając się zgodnie z przydennym prądem.

Rdzawoczerwony kadłub był poznaczony długimi zaciekami korozji i pokryty algami. Tylko rozwarty szeroko luk prowadzący do przestrzeni ładunkowej lśnił jasnym, sterylnym światłem.

W jego kierunku unosili się dwaj nurkowie w ciśnieniowych skafandrach, ciągnąc za sobą w siatkach pomniejsze odłamki wraku. Wkrótce zniknęli w zalanym wodą wnętrzu. Chwilę później pojawił się ogromny chwytak. Przesunął się po prowadnicach przytwierdzonych do sufitu ładowni i ustawił niemal dokładnie nad „Anglerem".

– Niedobrze - szepnęła Emma.

Kurt nie mógł zaprzeczyć.

Chwytak zawisł nad nimi nieruchomo. Trwało to niemal wieczność. Nagle jego potężne szczęki zaczęły rozchylać się na boki i zatrzymały się w maksymalnie rozwartej pozycji, po czym z żałosnym piskiem wielkie narzędzie zaczęło opadać w dół.

Nie było żadnych wątpliwości, dokąd zmierza. Ogromny chwytak spadał prosto na stertę szczątków wraku, w której ukryła się miniaturowa łódź podwodna NUMA.

17.

Rozwarte szeroko szczęki chwytaka wbiły się we wrak, wewnątrz którego tkwił „Angler”. Rozległ się zgrzyt rozdzieranego i giętego metalu. Z dna poderwała się chmura osadu, a pojazd przechylił się na burtę.

Kiedy zębate szczęki zagłębiły się w mule, zaczęły działać potężne siłowniki hydrauliczne. Szczęki ruszyły ku sobie poprzez muł i zamknęły się ze zgrzytem pod stertą poskręcanego metalu.

Winda załadunkowa wewnątrz Tajfuna naprężyła liny, na których był zawieszony chwytak. Musiała pokonać ssącą siłę mułu. Opór nie trwał długo. Z nagłym szarpnięciem kolejny kawał wraku oderwała się od dna i powędrował w górę.

Dla nurków obserwujących z zewnątrz tę część operacji zawartość chwytaka nie różniła się od tego, co widzieli poprzednio. Za unoszącą się stertą pogiętego metalu ciągnęła się chmura rozpraszanego prądem wody osadu.

Kiedy chwytak znalazł się w pobliżu otworu w kadłubie Tajfuna, operator dźwigu przeprowadził manewr zwany „wytrząsaniem”. Chwytak przestał się unosić, a jego szczęki zostały rozwarte na kilkanaście centymetrów. Operator zwolnił hamulec windy, pozwalając chwytakowi opaść kilka metrów w dół, po czym gwałtownie go zatrzymał. Spod chwytaka buchnęła chmura osadu.

Po kilku takich wstrząsach zawartość chwytaka została niemal całkowicie oczyszczona z mułu. Operator domknął szczęki, ponownie uruchomił windę i wciągnął ładunek do wnętrza okrętu.

W ładowni chwytak przemieścił się w bok, zatrzymał w wyznaczonym miejscu i zrzucił zawartość na pokład.

Wewnątrz „Anglera” Kurt i Emma dotkliwie odczuli ten ostatni wstrząs, choć udało im się utrzymać w fotelach. Oboje byli zdumieni, że wciąż żyją. Szczęki chwytaka jakimś cudem ominęły „Anglera”. O dziwo, kadłub nie został przedziurawiony ani nawet zarysowany, na przezroczystej akrylowej

osłonie kabiny nie pojawiło się żadne pęknięcie.

– Ależ wielka ta ładownia - stwierdziła Emma, ochłonąwszy nieco i rozejrzawszy się dokoła.

– Wcześniej znajdowały się tu wyrzutnie pocisków rakietowych - wyjaśnił Kurt. - W pierwotnej konfiguracji Tajfuny były uzbrojone w dwadzieścia cztery ogromne międzykontynentalne pociski balistyczne, największe, jakie kiedykolwiek wystrzeliwano z okrętów.

Mówiąc to, Kurt usiłował zorientować się w aktualnym położeniu. Ładownia była wypełniona wodą, którą zapewne odpompowywano po zamknięciu ciężkich wodoszczelnych wrót. Ich pojazd stał tyłem do luku, przechylony trzydzieści stopni na burtę. Aby wyrwać się na wolność, musieli unieść się, zrobić zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, skierować w dół i wypłynąć przez otwarty luk. O ile w ogóle zdołają wyswobodzić się z tej sterty złomu.

Kurt przechylił się przez całą szerokość kokpitu i obejrzał kawałek metalu, o który zawadzili.

– Chyba uda mi się to odciąć.

– Lepiej się pospiesz. Na dnie pozostało już niewiele szczątków do uprzątnięcia.

Kurt uruchomił ramię z palnikiem acetylenowym. Po naciśnięciu włącznika palnik zaczął działać. Kurt przytknął jasnoniebieski płomień do wygiętej belki, która ich unieruchomiła. Metal rozżarzył się do czerwoności, zmiękł i zaczął odpadać rozpalonymi kawałkami.

Tymczasem Tajfun znów zmienił pozycję, a chwytak zjechał na dno.

Emma obserwowała obracający się bęben windy ładunkowej. Lina odwijała się przez jakiś czas, a następnie dość gwałtownie zatrzymała.

– Teraz będzie dogodny moment - ponagliła partnera.

Kurt wciąż jeszcze nie przeciął nieszczęsnej belki. Trwało to dziwnie długo, jakby ten element konstrukcji był wykonany nie z aluminium, ale z innego metalu.

Bęben windy ładunkowej znów zaczął się obracać. Wciągano kolejną stertę szczątków.

– Prędzej, Kurt - niecierpliwiła się Emma.

– Robię, co mogę.

Wreszcie palnik przegryzł się do końca i trójkątny kawałek metalu odpadł od kadłuba. „Angler” był wolny.

Kurt wrócił za stery, uruchomił pędniki i zwiększył moc. „Angler” uniósł się

nad stertę złomu, strącając z siebie odłamki blachy i warstwę osadu, który zdążył nagromadzić się na powierzchni kadłuba.

Kurt zawrócił w miejscu i skierował pojazd w otwór luku na przeciwnym końcu ładowni. Minąwszy jego krawędź, zanurkował i przepłynął pod chwytakiem w chwili, kiedy spod niego wydobywała się wielka chmura osadu.

Choć w mętnej wodzie nic nie było widać, Kurt nie zmniejszył prędkości. Po chwili wypłynęli po drugiej stronie chmury i zagłębili się w mrocznej, bezpiecznej toni.

* * *

W centrali Tajfuna komandor Wiktor Nowaricz z 1. Floty Ratowniczej rosyjskiej marynarki wojennej obserwował przebieg operacji wydobywania wraku na kilku ekranach, połączonych z kamerami pod dnem okrętu. Dodatkowy ekran, podzielony na cztery kwadraty, przekazywał obraz z kamer zamocowanych na ciśnieniowych skafandrach nurków.

Był dumny ze swoich ludzi i z wielkiej pływającej machiny, którą dowodził, ale chciałby jak najszybciej zakończyć to zadanie.

– Jak idą prace? - zwrócił się do swego zastępcy.

– Wydobyto osiemdziesiąt procent głównego wraku - zameldował oficer.

– Żadnych śladów Nighthawka?

– Niestety nie, komandorze.

– Musi gdzieś tu być. - Nowaricz wpatrywał się w ziarnisty obraz na monitorze. - Przecież już mieli go w garści.

– Czy wolno mi wyrazić moją osobistą opinię? - spytał zastępca.

– Oczywiście.

– Skoro Nighthawk nie spadł razem z bombowcem, nie powinniśmy tracić czasu na wydobywanie tego złomu, lecz natychmiast wrócić do poszukiwań amerykańskiego kosmolotu.

Nowaricz powstrzymał się od uśmiechu. Pierwszy oficer był w gorącej wodzie kąpany. Pragnął chwały, która spłynęłaby na nich, gdyby udało się wydobyć z dna amerykańską zgubę. Zresztą nie on jeden.

– Doskonale cię rozumiem, Misza. Ale Moskwa powiedziała wyraźnie, że konieczne jest całkowite wydobycie rozbitego bombowca.

Zastępca kiwnął głową.

– Poza tym, on wciąż może tu być - dodał Nowaricz. - Niewykluczone, że piloci zdołali utrzymać się w pobliżu Nighthawka, nawet po utracie kontroli nad maszyną.

– Szansa równie nikła jak to, że ślepiec zdoła schwytać wróbla.

– Być może - zgodził się Nowaricz. - Tylko lotnicy mogli wpaść na taki pomysł. Tym bardziej należy im się wielki szacunek za odwagę. W związku z tym przypomniało mi się, że musimy przeszukać strzępy wraku zgromadzone w ładowni i wydobyć ciała.

Wyciągnął rękę i nacisnąwszy klawisz, przełączył obraz na widok z kamery zainstalowanej w ładowni.

– Niech jeden z nurków zgłosi się do...

Nowaricz przerwał w pół zdania. Na ekranie coś zwróciło jego uwagę. Migotliwe światełko. To był ogień, jego pierwsza obawa, że ściągnęli na pokład coś łatwopalnego, ustąpiła zaskoczeniu, bo ogień zgasł, za to dostrzegł jakiś ruch wewnątrz wraku.

– Co do jasnej, niespodziewanej...

Nowaricz w niemym osłupieniu patrzył, jak mała biała łódź podwodna z czerwonym pasem na poszyciu unosi się nad stertę pogiętego metalu i zawraca w miejscu. Następnie płynie w kierunku kamery, a potem daje nura w otwarty luk ładowni. Wszystko odbyło się bardzo szybko, ale komandor zdołał zauważyć duże litery NUMA na jej kadłubie.

Nowaricz szybkim krokiem przemierzył centralę i zatrzymał się przy stanowisku operatora sonaru.

– Mamy nieproszonych gości - powiedział. - Amerykańska miniaturowa łódź podwodna. Znajdź ich!

Operator sonaru pracował gorączkowo, przyciskając słuchawki do uszu, aby namierzyć małe, zasilane elektrycznie pędniki amerykańskiego pojazdu podwodnego. Nie udało mu się, w wodzie panował zbyt wielki hałas.

– Nic z tego, komandorze. Za dużo zakłóceń od sterów strumieniowych i prac ratowniczych.

Nowaricz zwrócił się do oficera nawigacyjnego.

– Wyłączyć stery strumieniowe. Wszystko stop. Wstrzymać operację ratowniczą.

Stery strumieniowe, utrzymujące okręt w miejscu, przestały działać. Ucichły wytwarzane przez nie wibracje. Tajfun zaczął dryfować, co zatrzymało wszelkie prace na zewnątrz. Nikt nie śmiał się poruszyć.

– A teraz? - spytał Nowaricz.

Technik od sonaru kontynuował poszukiwania. Wreszcie odebrał słaby sygnał.

– Niewielka jednostka - powiedział. - Namiar zero-cztery-pięć. Zanurzenie dwieście trzydzieści metrów i stale się zmniejsza.

– Pełna kalkulacja do ataku torpedowego - rozkazał Nowaricz.

Oficer taktyczny spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Panie komandorze...

– Wykonać rozkaz! Strzelać natychmiast po wprowadzeniu danych!

* * *

W kompletnych ciemnościach, oddalając się z maksymalną prędkością i jednocześnie płynąc w kierunku powierzchni, Emma i Kurt usłyszeli za pośrednictwem hydrofonu, że za ich rufą zapadła nagła cisza.

– Wyłączyli stery strumieniowe - powiedział Kurt. - To znaczy, że próbują nas usłyszeć.

Zastanawiał się przez chwilę, czy zatrzymać pędniki i dać się ponieść prądowi, ale to mogłoby tylko skłonić Rosjan do użycia aktywnego sonaru. Tak czy inaczej znaleźli ich. Jedyną szansę przetrwania zapewnić im mogło jak najszybsze wypłynięcie na powierzchnię. Wątpił, aby Rosjanie spróbowali zrobić im cokolwiek, kiedy już znajdą się na widoku.

Zadarł dziób pojazdu stromo w górę i zerknął na głębokościomierz. Dwieście dziesięć metrów. Wciąż jeszcze mieli kawał drogi na powierzchnię, kiedy usłyszeli odgłos uruchamianych maszyn Tajfuna.

Kilka sekund później trafiła ich seria potężnych impulsów sonarowych, a potem Kurt usłyszał to, czego się najbardziej obawiał. Gwałtowny szum sprężonego powietrza mógł oznaczać tylko jedno: okręt podwodny wystrzelił torpedę, która miała ich wytropić i zniszczyć.

18.

„Angler” był co prawda bardzo zwrotny, ale niezbyt szybki. A już na pewno nie mógł równać się prędkością z pędzącą prosto na niego torpedą.

– Steruj ustawieniem hydrofonu za pomocą tego kółka - polecił Kurt Emmie, kładąc jej dłoń na dużym pokrętle. - Trzymaj go tak, aby słyszeć jak najgłośniejszy szum śrub torpedy. Musimy wiedzieć, że się zbliża, żeby mieć jakąkolwiek szansę uniknięcia trafienia.

– Torpeda?

– Niepotrzebnie ci powiedziałem.

Znów dosięgła ich wiązka sonaru, tym razem jednak impulsy następowały bardzo szybko po sobie i miały wysoki ton.

– Namierzyła nas - poinformował Kurt.

Do chwili wykrycia zdołali odpłynąć mniej więcej na półtora kilometra od Tajfuna. Wziąwszy pod uwagę różnicę prędkości, pozostało im około czterdziestu sekund do trafienia.

– Możesz wykonać jakiś unik? - spytała Emma.

– Nasza prędkość to osiem węzłów - odparł Kurt. - Cokolwiek zrobię, trudno to będzie uznać za unik. Ale nie jesteśmy bez szans.

Sięgnął do kontrolek pojemników ładunkowych obok Emmy.

– Jeśli zdołamy zmylić torpedę, może uda nam się przeżyć.

W prawym pojemniku spoczywał rejestrator parametrów lotu, ale w lewym nie było niczego wartościowego, ot, kilka blach z rozbitego bombowca. Jednym przyciskiem odblokował klamry mocujące pojemnik do burty „Anglera”. Przekręciwszy dwa zawory, napełnił powietrzem dwa doczepione do niego żółte pływaki. Szum sprężonego powietrza zagłuszył na kilka sekund wszystkie pozostałe dźwięki. Pływaki nadęły się jak dwa balony i uniosły ku powierzchni, pociągając za sobą pojemnik.

W tym samym momencie otworzył odwietrzniki głównego zbiornika balastowego i skierował pojazd w stronę dna, licząc na to, że ściana

pęcherzyków powietrza i unoszący się pojemnik ładunkowy sprowadzą torpedę z obranego kursu.

Przez chwilę w wodzie panowało takie zamieszanie, że trudno było usłyszeć cokolwiek. Kiedy hałas ustał, Emma obróciła pokrętło hydrofonu. Impulsy sonaru torpedy zmieniły ton i stawały się coraz cichsze.

– Namierzyła pojemnik - powiedział Kurt. - Zgubiła nas.

Wciąż z maksymalną prędkością płynął w kierunku dna, aby zwiększyć dystans dzielący ich od torpedy.

– I tak nieźle nami potrząśnie, kiedy wybuchnie - zauważyła Emma.

Nie myliła się. Dziesięć sekund później biały i pomarańczowy błysk rozświetlił mroczną toń w miejscu, gdzie torpeda rozerwała na strzępy pojemnik ładunkowy. Fala uderzeniowa, powstała w wyniku eksplozji, dosięgła „Anglera" i wstrząsnęła nim od dziobu do rufy.

Słysząc wciąż niemiłosierne dzwonienie w uszach, Kurt ustabilizował pojazd.

– Teraz musimy sprawić, by uznali, że nas trafili.

Wyłączył napęd i wyszasował balasty. Miniaturowa łódź podwodna stanęła na równej stępce i zaczęła unosić się ku powierzchni wyłącznie pod wpływem siły wyporu.

– Miałem kiedyś w rękach podręcznik taktyki dla dowódców U-Bootów - powiedział Kurt. - Oni zawsze uciekali nie przed, ale po wybuchu bomb głębinowych, bo wtedy w wodzie panował taki rozgardiasz, że nasłuchowcy nie mieli szans nic usłyszeć przez dobrych kilka minut.

– Nie spróbują nas znaleźć aktywnym sonarem? - spytała Emma.

– Być może - odrzekł Kurt. - Sądzę jednak, że najpierw będą chcieli usłyszeć, jak toniemy. Minie trochę czasu, zanim woda się uspokoi, a wtedy, mam nadzieję, będziemy już na powierzchni, dobrze widoczni w świetle dnia.

Po wypchnięciu resztek wody z balastów wzrosła prędkość wynurzania. Emma i Kurt siedzieli w milczeniu, wpatrując się w powolny ruch wskazówki głębokościomierza.

* * *

– Słychać coś? - spytał dowódca Tajfuna.

Operator sonaru wytężał słuch, ale wszystko zagłuszały pęcherzyki powietrza i kawitacja utrzymująca się po eksplozji torpedy. Pasywny sonar

był czasowo bezużyteczny.

Mimo to marynarz nie ustawał w wysiłkach, czując za plecami obecność dowódcy.

– No i co?

– Pęcherzyki - powiedział operator. - Umiarkowana ilość powietrza unosząca się ku powierzchni. To by świadczyło o trafieniu.

– A odgłosy pękania wraku? - spytał Nowaricz.

– Wrak? - zdziwił się oficer taktyczny. - Komandorze, nasze torpedy są przeznaczone do niszczenia amerykańskich okrętów wojennych, nawodnych i podwodnych. W przypadku tak małego celu zapewne nie zostało nic, co można zakwalifikować jako wrak.

Nowaricz rozumiał to doskonałe, ale był człowiekiem ostrożnym.

– Zrób to dla swojego dowódcy i użyj sonaru aktywnego - powiedział. - Chciałbym mieć stuprocentową pewność.

Głośne ping! pomknęło przez wodę. Kiedy echo wróciło, odczyt wprawił wszystkich w zdumienie.

– Namiar na cel zero-sześć-jeden! - zameldował operator sonaru. - Zanurzenie czterdzieści metrów, nadal zmierza ku powierzchni.

– Trafimy go, zanim tam dotrze?

Marynarz stojący przy kalkulatorze torpedowym wykonał szybkie obliczenie.

– Nie, komandorze. Wynurzy się, zanim zdołamy wystrzelić torpedę.

Nowaricz zawahał się. Zgodnie z otrzymanymi rozkazami miał nie dopuścić do jakiegokolwiek zakłócenia operacji ratowniczej, a zarazem utrzymać ją w ścisłej tajemnicy. W tej sytuacji oba polecenia wzajemnie się wykluczały.

– Za dużo wiedzą - powiedział wreszcie, podjąwszy decyzję. - Zaprogramuj torpedę i strzelaj. I jeszcze jedno, tym razem postaraj się nie chybić.

19.

Joe Zavala siedział w kabinie latającego dźwigu, stojącego spokojnie na platformie dla śmigłowców na dziobie „Reuniona”. Kapitan Kamphausen zajmował miejsce operatora dźwigu, testując manetki wciągarki i nawijając na bęben długą stalową linę. Na jej końcu było zaczepione prowizoryczne urządzenie, zbudowane przez Joe’go i mechaników statku w celu wyciągnięcia „Anglera” z morskiego dna.

– Jesteś pewien, że ten elektromagnes będzie działał? - spytał Kamphausen.

– Zainstalowałem w nim najlepsze cewki z głównej prądnicy statku - odparł Joe. - Zasilimy go prądem z pomocniczego generatora śmigłowca, więc powinien mieć wystarczającą moc.

Joe nadal przypuszczał, że „Angler” utknął na dnie, dlatego zaplanował odszukanie go za pomocą skanera bocznego, a następnie opuszczenie elektromagnesu, który przywrze mocno do stalowego kadłuba pojazdu, co umożliwi podniesienie go wciągarką.

Kamphausen, który przez połowę lat spędzonych na morzu zajmował się obsługą pokładowych dźwigów, miał pełnić honory operatora, podczas gdy Joe zajmie się pilotażem śmigłowca. Kiedy reszta liny została owinięta na bębnie, a magnes znalazł się na swoim miejscu, zastopował wciągarkę.

– Teraz tylko musimy ich znaleźć - powiedział.

Zanim Joe zdołał odpowiedzieć, głęboki, dudniący odgłos dobiegł ich z lewej burty. Joe odwrócił się w tę stronę i ujrzał nagłe wybrzuszenie na powierzchni morza. Okrągła kopuła uniosła się i opadła, a z jej środka wytrysnęła wysoka kolumna wody i białej piany.

– Zdaje się, że ktoś znalazł ich przed nami - mruknął Kamphausen.

Joe już nie patrzył na wodę, lecz w ekspresowym tempie wykonywał polecenia listy przedstartowej. Na koniec nacisnął włącznik rozrusznika, uruchamiając potężny wirnik nad ich głowami.

– Kurt i Emma muszą być w ruchu.

– Skąd wiesz? - zdziwił się Kamphausen.

– W przeciwnym razie nikt nie próbowałby ich storpedować.

– Przynajmniej nie będziemy musieli podnosić ich z dna - stwierdził Kamphausen.

– Przeczuwam, że mimo to będą potrzebować naszej pomocy - odparł Joe.

Kamphausen zapiął pas. Łopaty wirnika obracały się w coraz szybszym tempie. Joe nałożył słuchawki na głowę i zmienił częstotliwość pokładowego zestawu radiowego numer jeden. Wcześniej wysłał jedną z szalup ze skanerem bocznym, aby spróbowała określić pozycję „Anglera” bez zdradzania jej Rosjanom.

– Badacz jeden, złapaliście to?

– Widzieliśmy fontannę na powierzchni - nadeszła głośna i wyraźna odpowiedź. - Nie mamy pojęcia, co to było.

– Macie wciąż Tajfuna na skanerze?

– Tak, ale przed chwilą echo zrobiło się niewyraźne.

– Tajfun też ruszył z miejsca - doszedł do wniosku Joe. - Przyczyna może być tylko jedna: najwyraźniej kogoś ściga.

Rzucił okiem na panel przyrządów. Wszystkie systemy były gotowe do lotu. Wprawnym ruchem dźwigni zespolonej Joe wrzucił pełną moc. Siła nośna ulżyła amortyzatorom podwozia, a chwilę później wielki pomarańczowy śmigłowiec oderwał się od pokładu. Kopnięciem orczyka Joe zwrócił nos maszyny ku lewej burcie i przyspieszył, kierując się na widoczny w oddali, poszerzający się krąg białej, kotłującej się wody.

* * *

„Angler” kontynuował wynurzenie z prędkością sześćdziesięciu metrów na minutę. Kurt zauważył, że wokół nich robi się coraz jaśniej. Emma bezskutecznie próbowała złapać jakiekolwiek dźwięki przez hydrofon.

– Musiał zostać uszkodzony na skutek wybuchu - powiedziała.

Kurt nie był zaskoczony. Miał wrażenie, że uszkodzeniu uległy także jego uszy.

– Mniejsza o to. - Machnął ręką. - Lepiej przygotuj się do opuszczenia pokładu na wypadek, gdyby posłali nam jeszcze jedną torpedę.

Emma naciągnęła kamizelkę ratunkową, a Kurt sterował pojazdem. Wreszcie dostrzegli powierzchnię: lśniące i falujące srebrzyste zwierciadło,

oznaczające upragnioną wolność.

Natychmiast po wynurzeniu Kurt chwycił mikrofon krótkofalówki.

– „Reunion”, zgłasza się „Angler” - zameldował. - Jesteśmy na powierzchni, potrzebujemy natychmiastowego podjęcia z wody. Słyszycie mnie?

– Miejmy nadzieję, że nie zerwało nam anteny - westchnęła Emma.

Kurt ponownie przełączył się na nadawanie.

– „Reunion”, zgłasza się „Angler”. Czy nas słyszysz?

* * *

Joe zataczał kręgi sto metrów nad wodą, gdy usłyszał radiowe wezwanie. Chwilę później spostrzegł biało-czerwoną łódź podwodną kołyszącą się na fali.

– Kurt, tu mówi Joe. Mam was w zasięgu wzroku. Będę nad wami za trzydzieści sekund.

– Trzydzieści sekund? - spytał Kurt z niedowierzaniem.

– Jesteśmy w powietrzu. Uznaliśmy, że możecie potrzebować pomocy. - Joe położył śmigłowiec na kursie prowadzącym prosto do celu, szykując się do wyciągnięcia „Anglera” z wody. Kończąc wykonywanie zwrotu, zauważył coś jeszcze: długą, białawą smugę pęcherzyków powietrza, zbliżającą się od zachodu. - Nie oglądaj się za siebie, ale torpeda wali prosto na was.

– Opuszczamy pokład - zdecydował Kurt.

– Zostańcie na miejscach - powiedział Joe z naciskiem. - Wyciągnę was, zanim do was dotrze.

– Złapanie nas na hak zajmie ci całą wieczność - zaoponował Kurt.

– Nie potrzebujemy haka. Mamy elektromagnes - odpowiedział Joe.

Pojazd poruszał się, ale na powierzchni był jeszcze powolniejszy niż w zanurzeniu. Torpeda szybko zbliżała się do niego.

Joe wyprzedził ją i zszedł nisko nad wodę.

– Opuść magnes.

Kamphausen odwinął piętnaście metrów liny. Ciężki elektromagnes w kształcie dzwonu ciągnął się za nimi. Joe wycelował w czerwony pas na grzbiecie pojazdu.

– Włącz zasilanie na pełną moc - rozkazał. - Mamy tylko jedno podejście.

– Cewki pod napięciem! - odkrzyknął Kamphausen. - Elektromagnes działa!

Kątem oka Joe widział igłę kompasu, która zaczęła wirować jak szalona na skutek oddziaływania potężnego pola elektromagnetycznego. Znajdowali się

dziesięć metrów nad falami i zbliżali do „Anglera” pod lekkim kątem od strony rufy. Ślad torpedy ciągnął się tuż za nimi. Kamphausen widział go, ale Joe nie miał takiej możliwości.

– Będzie blisko - powiedział.

Joe zwolnił tuż za pojazdem i dostosował do niego kurs śmigłowca. Magnes ślizgał się po falach, a lina przesunęła się po poszyciu „Anglera”. Nagle magnes wyskoczył z wody, uderzył w rufę pojazdu i odbił się.

Przez chwilę wydawało się, że przeleci górą, ale silne pole wytwarzane przez cewki przyciągnęło go do płaskiego metalowego kadłuba. Magnes przywarł do „Anglera” z głośnym szczękiem. Winda zareagowała na obciążenie, odwijając z bębna kilka metrów liny, dopóki nie zadziałał hamulec. Latającym dźwigiem szarpnęło w dół, jakby naprężona lina chciała ściągnąć go do morza, ale Joe skontrował to zwiększeniem mocy silników. Pojazd uniósł się i skoczył do przodu, tnąc przez chwilę fale jak łódź wyścigowa, po czym znalazł się w powietrzu. Jak wahadło przeleciał przed śmigłowiec, zostawiając za sobą strugi ściekającej wody.

Joe był zbyt zajęty wyrównaniem lotu wielkiej maszyny, aby przejmować się torpedą. Kamphausen wstrzymał oddech, kiedy przechodziła tuż pod nimi.

Nic się nie wydarzyło. Głowica torpedy nie detonowała. Obyło się bez eksplozji. Torpeda nawet nie zawróciła, aby namierzyć nowy cel. Nadal szła prosto i szybko się oddalała.

Kamphausen odprowadził ją wzrokiem, uniósł dłoń do czoła w szyderczym salucie i powiedział:

– Krzyżyk na drogę.

Joe wybuchnął śmiechem i zawrócił w kierunku „Reuniona” z „Anglerem” kołyszącym się pod brzuchem śmigłowca.

* * *

Trzysta metrów niżej Nowaricz wraz z załogą Tajfuna bezskutecznie czekał na detonację.

– Co się stało? - zapytał w końcu Nowaricz.

– Nic, komandorze - wychylił się nieopatrznie operator sonaru.

– Tyle to ja wiem bez twojej pomocy - warknął dowódca, z trudem powstrzymując nerwy na wodzy. - Co tym razem poszło nie tak?

– Atak przebiegał prawidłowo, komandorze - odpowiedział oficer taktyczny.

- Torpeda wciąż idzie prosto, jak po sznurku.

– A więc chybiła?

– Nie, panie komandorze, ona... była namierzona na cel. Tylko że... - Oficer był kompletnie zbity z tropu sytuacją.

– Tylko że co?!

– Tylko że amerykański pojazd podwodny zniknął, komandorze.

Dowódca wpatrywał się z niedowierzaniem w operatora sonaru.

– Co to znaczy „zniknął”?

– Nie ma go w wodzie, komandorze.

Nowaricz wyciągnął marynarza z miejsca za pulpitem. Sam zaczynał służbę na okręcie podwodnym jako operator sonaru. Zaraz pokaże tym nieudacznikom, jak to działa. Włożył słuchawki i wytężył słuch, zmieniając częstotliwości, namiar i regulując czułość. Wciąż jednak słyszał to samo, co oni. Szum śrub torpedy, ani śladu atakowanego pojazdu.

– Dajcie mi aktywny impuls!

Głośne ping! wyrwało się z emitera niemal natychmiast, po chwili wróciło echo. Torpeda była tam, gdzie przedtem, podobnie jak frachtowiec z zastopowanymi maszynami, z którego, jak przypuszczał, operowała miniaturowa łódź podwodna NUMA. Ale sama łódź faktycznie zniknęła.

Nowaricz ściągnął słuchawki.

– Zdetonować torpedę - rozkazał. - Wracać na wrakowisko. Po uprzątnięciu go do czysta wziąć kurs na pełne morze. Będę w swojej kabinie i niech nikt nie waży się choćby zapukać do drzwi.

20.

Kilka godzin później Emma, Kurt i Joe żegnali się z załogą „Reuniona". Ku ich zaskoczeniu, pożegnanie przebiegało w miłej i przyjaznej atmosferze, choć nie udało im się przecież wydobyć żadnych diamentów. Statek wrócił na kurs i nie powinien spóźnić się z dostawą, więc nawet przedstawiciel firmy sprowadzającej owoce przestał się zamartwiać. Zgarnął stos papierów, które szykował dla prawników NUMA, i wyrzucił je wszystkie za burtę.

Kamphausen wyglądał wręcz na zasmuconego ich odlotem. Niemal zmiażdżył Joe'go w niedźwiedzim uścisku.

– Od lat się tak dobrze nie bawiłem - stwierdził stanowczo.

Joe zasiadł za sterami. Latający dźwig wzniósł się i odleciał na wschód, biorąc kurs powrotny do Guayaquil. Emma zajęła fotel drugiego pilota, a Kurt przycupnął na dodatkowym, składanym miejscu pomiędzy nimi.

Podczas lotu niewiele rozmawiali. Emma wpadła w zadumę już przed startem, a w powietrzu nie odezwała się ani słowem, wpatrzona w monotonny widok za oknem.

Kurt klepnął ją po ramieniu.

– Co z tobą?

Zwróciła ku niemu twarz. W jej oczach czaiło się zdenerwowanie, które szybko ukryła przymknięciem powiek.

– Po prostu jestem zawiedziona. Wracamy do punktu wyjścia.

Kurt kiwnął głową.

– W ciągu jednego dnia pracy wpadłaś na trop dwóch ściśle tajnych rosyjskich operacji. To chyba coś warte, choćby uśmiechu.

– Naszym zadaniem było znalezienie Nighthawka - powiedziała.

– Spokojnie, znajdziemy go.

Zerknęła na zegarek.

– Oby jak najszybciej.

Odwróciła się, a Kurt zaczął zastanawiać się nad jej zachowaniem. Udawała

rozczarowaną, ale on widział, że kryje się za tym coś innego. Jego zdaniem był to stres. Emma wyglądała tak, jakby dźwigała cały świat na swych ramionach, i ten świat stawał się coraz cięższy.

Rozpiął pasy, złożył swoje siedzenie i przeszedł do tyłu kabiny. Leżały tam ich plecaki i metalowa walizka z rejestratorem parametrów lotu z rosyjskiego bombowca. Obok niej stała skrzynka z napojami i pożegnalny prezent od załogi „Reuniona" - owinięty przezroczystą folią kosz pełen limonek, jabłek i pomarańczy. Rzecz jasna, nie zabrakło w nim też kilku dorodnych kiwi.

Kurt wziął sobie pomarańczę i zawahał się. Popatrzył przez ramię do kokpitu. Emma wciąż gapiła się przez okno. Joe był zajęty pilotowaniem śmigłowca.

Po krótkim zastanowieniu zrobił coś, co uznał za stosowne. Kiedy skończył, wrócił do kokpitu z napojami i owocową przekąską dla każdego.

Godzinę później byli już na ziemi. Na lotnisku czekały na nich dwa samochody. Przed jednym z nich stał Rudi Gunn. Z drugiego wysiedli dwaj mężczyźni w ciemnych garniturach.

– To twoi przyjaciele? - spytał Kurt.

– Zaraz przyjaciele - prychnęła. - Po prostu koledzy z pracy. Poznaję tego po lewej. Jest prawą ręką Steve'a Gowdy'ego.

Kurt spodziewał się właśnie czegoś takiego. Chwycił bagaż i wysiadł ze śmigłowca.

Trzy ekipy spotkały się na płycie postojowej lotniska. Nastąpiła wymiana nazwisk i okazywanie identyfikatorów, aż wreszcie wszyscy zostali sobie wzajemnie przedstawieni.

Emma przekazała walizkę.

– Wewnątrz znajduje się rejestrator parametrów lotu rosyjskiego naddźwiękowego bombowca. Sądząc po wyglądzie wraku, to zmodyfikowany Blackjack.

Agent o nazwisku Hurns, który najwyraźniej pełnił funkcję dowódcy, wziął walizkę z jej rąk.

– Wiemy coś o okręcie podwodnym?

– Tajfun, w znacznym stopniu przebudowany - powiedziała, wręczając mu przenośny twardy dysk. - Tu są zdjęcia i zapisy wideo. Znajdzie się pośród nich kilka bardzo wyraźnych ujęć.

Hurns pokiwał głową.

– Szefostwo będzie zachwycone. W tym tempie staniesz się legendą grubo

przed czterdziestką.

Jego słowa nie zrobiły na Emmie żadnego wrażenia.

– Każde z nas ma swoje zadanie do wykonania - stwierdziła. - Ja zostaję z ekipą NUMA do zakończenia operacji. Przekaż Gowdy emu, że skontaktuję się z nim, jak tylko znajdę coś jeszcze.

Hurns znowu kiwnął głową, zaniósł walizkę do samochodu i włożył ją do bagażnika.

– Nie będziemy ci przeszkadzać - powiedział na pożegnanie.

Po odjeździe agentów NSA na placu boju pozostał Rudi Gunn. Oparł się o swój samochód, skrzyżował ręce na piersiach i zwrócił się do Kurta z surowym wyrazem twarzy.

– Doszły mnie słuchy, że NUMA zamierza zająć się handlem warzywami. Wiesz coś może na ten temat?

– Nie warzywami, tylko owocami - poprawił go Kurt. - To ciekawa historia. Jak chcesz, opowiem ci o tym po drodze.

– Po drodze dokąd?

– Do konsulatu - oznajmił Kurt. - Będzie mi potrzebne bezpieczne łącze satelitarne w celu sprawdzenia pewnej teorii.

Rudi przeniósł wzrok na Joe'go, a ten wypalił bez wahania:

– Pierwsze słyszę o jakiejś teorii.

Emma obrzuciła Kurta podejrzliwym spojrzeniem, ale on tylko się uśmiechnął.

– Dobra, niech ci będzie - skapitulował Rudi. - Lepiej, żeby to było coś sensownego. NSA już wytoczyła przeciwko nam ciężkie działa w związku z twoimi metodami.

– Daj mi kilka godzin. Potem sam to ocenisz.

Rudi zmarszczył brwi i otworzył drzwi od strony kierowcy.

– A żebyś wiedział.

W amerykańskim konsulacie w Guayaquil Rudi odbył rozmowę z urzędnikiem wysokiego szczebla i wkrótce udzielono im pozwolenia na skorzystanie z pokoju łączności.

Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że pomieszczenie jest naszpikowane sprzętem komputerowym najwyższej klasy. Dokoła stały konsole, płaskie monitory, komputery i klawiatury, był nawet nagłowny zestaw do wirtualnej rzeczywistości, a wszystko to połączone za pośrednictwem urządzeń kodujących i dekodujących.

Kurt poczuł się zobowiązany udzielić wyjaśnień.

– Podczas pracy dla CIA niejednokrotnie korzystałem z pomocy konsulatów. Za każdym razem byłem zdumiony, jaką ilość najnowocześniejszego sprzętu zdołano upchnąć na tak niewielkiej powierzchni. Wyposażenie pokojów łączności często biło na głowę urządzenia, którymi posługiwaliśmy się w terenie, a to dlatego, że nie musiało być przenośne.

Emma i Joe usiedli znużeni na krzesłach. Minione czterdzieści osiem godzin mocno dało im się we znaki. Tylko Kurt wyglądał jak nakręcony.

Rudi zachowywał ostrożną wstrzemięźliwość. Ostatnio nie spał zbyt wiele. Kiedy nie uchylał się przed odpowiedziami na pytania, dlaczego NUMA zarekwirowała frachtowiec, i nie odpierał nacisków ze strony Steve'a Gowdy'ego i NSA, musiał unikać alarmujących telefonów od firmy sprowadzającej owoce i od czynników rządowych, nadzorujących NUMA. Na razie nie znaleźli niczego, czym dałoby się usprawiedliwić całe to zamieszanie. W końcu należałoby przywrócić umiar i zdrowy rozsądek, choćby tylko po to, by zaspokoić jego poczucie dyscypliny.

Kurt postawił swój plecak na środkowym stole i rozsunął suwak głównej komory. Wydobył z niej jakieś odrapane i powgniatane, metalowe ustrojstwo. Miało pomarańczowy kolor i upstrzone było po obu stronach rosyjskimi napisami.

– Co to tutaj robi?! - wykrzyknęła Emma, zrywając się z miejsca.

– Wyciągnąłem je z twojej walizki podczas lotu.

– To jasne, ale dlaczego? Rozkazano mi odesłać urządzenie do laboratorium. To teraz własność NSA.

Kurt uniósł palec w geście napomnienia.

– Według prawa morskiego ten rejestrator parametrów lotu należy do NUMA. Ewentualnie do rosyjskich sił powietrznych, bo raczej trudno byłoby dowieść, że porzucili je celowo i wyrzekli się swoich praw własności. Ponieważ jednak i tak nie zamierzamy odesłać go do Moskwy, uznałem roszczenie NUMA za zasadne.

Joe zacisnął zęby i skulił się na swoim krześle.

Rudi westchnął i wzniósł oczy w górę, jakby szukał czegoś na suficie. Być może wyjaśnienia, dlaczego bogowie postawili Kurta Austina na jego drodze życia.

Emma tylko wpatrywała się w Kurta.

– Gowdy wpadnie w szał.

– Zrobiłem to także w jego interesie - oznajmił Kurt. - Ma ewidentny przeciek w swojej sekcji. Bombowiec i Tajfun są tego najlepszym dowodem.

– Skąd ci to przyszło do głowy? - spytała Emma.

– Zastanów się. Nighthawk schodzi z kursu i znika. W tym samym czasie, w pobliżu, spada z nieba rosyjski naddźwiękowy bombowiec i rozbija się w morzu. Omyłkowo bierzemy to za upadek Nighthawka i pędzimy na miejsce katastrofy tylko po to, by zastać tam ściśle tajny rosyjski okręt podwodny, o którego istnieniu nie mieliśmy pojęcia. Uważasz, że to przypadek?

Emma opadła na krzesło.

– Nie, to nie przypadek. Ale jaki to ma związek z naruszeniem zasad bezpieczeństwa w NSA?

– Nadal nie rozumiesz? Aby dotrzeć do obszaru poszukiwań wtedy, gdy tam się pojawił, ten okręt musiał wyjść z Murmańska kilka tygodni temu. W dodatku to nie jedyna jednostka pływająca, która znalazła się w odpowiednim miejscu i czasie. Mamy dwie flotylle, chińską i rosyjską, które właśnie pełną parą przemierzają Pacyfik. W ich skład wchodzą przede wszystkim okręty ratownicze do poszukiwania i podnoszenia wraków. Oba zespoły znajdują się zaledwie dzień od miejsca katastrofy, o której nikt nie miał pojęcia jeszcze czterdzieści osiem godzin temu, choć ich porty macierzyste leżą szesnaście tysięcy kilometrów na wschód stąd.

– Ruchy flot faktycznie są podejrzane - przyznała Emma - ale bez trudu można je wytłumaczyć. Oba zespoły okrętów uczestniczyły w zaplanowanych manewrach morskich. Chińczycy i Rosjanie uprzedzili nas o tych ćwiczeniach wiele miesięcy temu. Świadczymy sobie takie drobne uprzejmości, dzięki czemu jeszcze nie doszło do wybuchu III wojny światowej.

Kurt nie zamierzał się poddać.

– Oczywiście, że was poinformowali kilka miesięcy temu, bo już od dawna wiedzieli, że Nighthawk się rozbije.

– Skąd mogli o tym wiedzieć?

– Bo to oni spowodowali tę katastrofę.

– Co ty wygadujesz? Jak mogliby to zrobić?

Kurt tylko pokiwał głową.

– Włamali się do systemu sterowania Nighthawka. Kody dostępu są ściśle strzeżone przez twoich przyjaciół z NSA w bazie Vandenberg. A to oznacza, że w NSA działa wysoko postawiony kret i dlatego nie mam zamiaru udostępniać im czegokolwiek, a już zwłaszcza parametrów lotu z tego urządzenia.

Emma zamilkła. Kurt pozwolił jej w spokoju przetrawić swoje słowa.

– To co powiedziałeś, to jedynie daleko idące przypuszczenia - odezwał się Rudi. - Nawet jeśli część z nich jest prawdziwa, to jeszcze nie oznacza...

– Nie - przerwała mu Emma. - Kurt ma rację.

Oczy wszystkich zwróciły się na nią.

– To jest jedyne logiczne wyjaśnienie. Przede wszystkim nie zdołaliśmy dotąd ustalić przyczyny zejścia z kursu Nighthawka. Jeden z techników stwierdził, że w jego systemie sterowania wystąpił problem na skutek przetwarzania sprzecznych komend. Wcześniej ta diagnoza nie miała żadnego sensu. Założyliśmy, że nastąpiła awaria komputera. Jednak rozbity bombowiec, Tajfun oraz flotylle ratownicze, które akurat znalazły się w pobliżu sceny wydarzeń, wszystko to świadczy o tym, że Rosjanie i Chińczycy, czy to osobno, czy wspólnie i w porozumieniu, przeprogramowali Nighthawka i spróbowali sprowadzić go na dno oceanu, skąd potem z łatwością by go wydostali.

Rudi nie był o tym przekonany.

– Gdyby było tak, jak mówisz, dlaczego ich okręty po prostu nie czekały na miejscu katastrofy, zamiast płynąć do niego kilka dni?

– Ponieważ ściągnęliśmy Nighthawka z orbity przed planowanym terminem. Sztorm znad Hawajów przemieszczał się w kierunku wybrzeża Kalifornii i spodziewano się, że dotrze tam akurat podczas lądowania. Chcieliśmy uniknąć niekorzystnych warunków atmosferycznych, więc przyspieszyliśmy wejście w atmosferę o pięć dni. Gdyby nie ta zmiana, obie flotylle znajdowałyby się w promieniu stu sześćdziesięciu kilometrów od archipelagu wysp Galapagos, czekając, aż Nighthawk spadnie z nieba prosto w ich ręce.

– Nawet dobór miejsca nie był przypadkowy - dodał Joe. - Wyjąwszy akwen wokół wysp Galapagos, na setki kilometrów w każdą stronę od tego obszaru ocean ma głębokość ponad trzech tysięcy metrów.

– A co tam robił ten bombowiec? - spytał Rudi.

– Prawdopodobnie służył jako samolot pościgowy - wyjaśniła Emma. - Nighthawk został pokryty materiałami trzeciej generacji i jest całkowicie niewidoczny dla radarów. Jednak podczas przechodzenia przez atmosferę jego poszycie nagrzewa się do temperatury trzech tysięcy stopni. Naddźwiękowy bombowiec z aparaturą skanującą w podczerwieni mógł go wykryć z dużej odległości, a potem ścigać go na przestrzeni wielu kilometrów,

namierzywszy jego ślad cieplny, aż do chwili, kiedy zwolni do awaryjnego lądowania i opadnie łagodnie na spadochronach do morza.

Kurt pokiwał głową.

– Dokładnie tak, jak przypuszczałem. Jednak coś poszło nie tak. Mimo to, choć bombowiec spadł do morza, być może w zapisie jego parametrów lotu znajdziemy coś, co naprowadzi nas na prawdopodobne miejsce upadku Nighthawka. Raczej nie chcielibyśmy, aby ta informacja dotarła do Moskwy albo do Pekinu.

– A jeśli ktoś już go odnalazł?

– Nie sądzę - powiedział Kurt z przekonaniem. - W przeciwnym razie ich okręty by zawróciły.

Emma przytaknęła.

– W porządku, czyń dalej swoje czary. Prześlij dane do centrali NUMA. Może dowiemy się, co robili Rosjanie.

Kurt wskazał gestem czarną skrzynkę.

– Dasz radę się do tego jakoś podłączyć?

– Porty danych wyglądają na standardowe - stwierdził Joe. - Wykonam kilka szybkich testów i wyślę całość zapisanych informacji Hiramowi. Max odkoduje je dużo sprawniej niż my.

Joe zabrał się do pracy, a Rudi wyszedł na zewnątrz, żeby zadzwonić. Kurt usiadł obok Emmy. Rumieńce wróciły na jej policzki.

– Podoba ci się ta gra? - spytał.

– Lubię wygrywać - odpowiedziała.

– Ja także.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– To co im w końcu dałeś? - spytała Emma.

– Komu?

– Moim kolegom, Hurnsowi i Rodriguezowi. Kiedy uniosłam tę walizkę, czułam, że było w niej coś ciężkiego.

Kurt odchylił się na oparcie krzesła i wyprostował nogi.

– Bardzo ładny prezent pożegnalny. Na pewno docenią mój gest podczas długiego lotu powrotnego.

* * *

Gulfstream należący do NSA był już w połowie drogi do Houston, kiedy

ciekawość wzięła górę nad agentem Hurnsem. Podczas tej misji był tylko kurierem, z zadaniem odebrania i przetransportowania paczki. Do jego obowiązków nie należało otwieranie jej i sprawdzanie, co jest w środku, ale nie mógł się powstrzymać.

Spytał Rodrigueza, co o tym sądzi.

– Jasne, czemu nie - odpowiedział jego partner.

Wstali z foteli i przeszli na tył samolotu. Po chwili metalowa walizka stała na stoliku. Hurns sprawnie otworzył oba zamki, uniósł wieko i zbladł jak ściana.

– Co to jest, do jasnej niespodziewanej?

Rodriguez zajrzał mu przez ramię.

– Wygląda na kosz z owocami - stwierdził, wyciągając rękę po dojrzałe kiwi.

Pomiędzy dwiema pomarańczami tkwiła kartka, zapisana odręcznym pismem.

Nakarmcie tym kreta.

Z poważaniem,

Kurt Austin

21.
Waszyngton

Podczas lat pracy w NUMA Hiram Yaeger uczestniczył w wielu niebezpiecznych operacjach. Niektóre z nich wymagały wręcz straceńczej odwagi. Mimo to, kiedy zapoznał się z materiałem odkodowanym z czarnej skrzynki, nie pozostało mu nic innego, jak tylko uchylić wyimaginowanego kapelusza w uznaniu dla niebywałej zuchwałości tego, czego próbowali dokonać Rosjanie.

Po ujawnieniu wszystkich szczegółów czekał w sali wideokonferencyjnej w centrali NUMA na zestawienie bezpiecznego satelitarnego łącza z amerykańskim konsulatem w Guayaquil.

Wystrój pomieszczenia stanowił połączenie starego i nowego świata. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające żaglowce, a pośrodku stał mahoniowy stół z dziewiętnastowiecznego jachtu. Z trzech stron otaczały go wygodne fotele, przy czym jeden z nich został usunięty po to, by Priya mogła podjechać do blatu swoim wózkiem. Nad szczytową stroną stołu wisiał ogromny ekran złożony z wielu płaskich paneli, na którym właśnie pojawiła się ekipa przebywająca w Ekwadorze.

– Dobrze was widzieć w komplecie - powitał ich Hiram.

– Czekamy niecierpliwie, aż nas oświecisz - powiedział Rudi.

Hiram kiwnął głową.

– Coś mi mówi, że nie będziecie zawiedzeni.

Nacisnął przycisk na pilocie, uruchamiając kolejny ekran, podzielony na trzy części. Największą zajmował obraz wideo z systemu kamer rosyjskiego bombowca. Na kolejnej była wyświetlona mapa, a na ostatniej widok kokpitu samolotu wraz z panelem instrumentów, pochodzący z kamery zamontowanej za plecami pilotów. Część pola widzenia przesłaniały ich hełmy i ramiona.

– Widzicie to na swoim ekranie? - spytał Hiram.

– Tak - potwierdził Rudi.

– Doskonale. Rosjanie stosują jeden rejestrator do gromadzenia najważniejszych informacji, w przeciwieństwie do wymagań FAA, zgodnie z którymi rozmowy w kokpicie i parametry lotu zapisywane są na dwóch oddzielnych urządzeniach. Ich system działa dobrze, ale mamy zarejestrowane tylko ostatnie dwadzieścia minut lotu. Sądzę, że to nam wystarczy. Dla waszej wygody Max przetłumaczyła wszystkie wypowiedzi na angielski.

Światła przygasły i rozpoczęła się prezentacja. Początkowo na ekranie pojawił się obraz z kamery pracującej w podczerwieni, wyświetlany w odcieniach szarości. Po prawej stronie znajdowały się rzędy cyfr, odzwierciedlające prędkość, kurs oraz wysokość lotu. Gdzieś w oddali widać było maleńką podrygującą białą kropkę. Z linii określających współrzędne wynikało, że znajduje się ona powyżej bombowca, w odległości pięćdziesięciu kilometrów.

– Cel namierzony - usłyszeli przetłumaczony głos.

– Prędkość celu sześć tysięcy pięćset. Uruchamiam naddźwiękowe silniki strumieniowe.

– Czy on powiedział naddźwiękowe silniki strumieniowe? - spytała Emma.

– Owszem - potwierdził Hiram. - Sprawdzaliśmy dwukrotnie tłumaczenie. Co prawda stosują swój własny skrót, ale zasada działania jest ta sama. Bombowiec jest wyposażony w silniki strumieniowe z naddźwiękową komorą spalania, dzięki czemu może lecieć z prędkością sześciu machów.

Po uruchomieniu potężnego napędu obraz zaczął drgać, pojawiło się też dokuczliwe brzęczenie. Liczby na machometrze rosły, a głosy pierwszego i drugiego pilota oraz mechanika pokładowego niemal zagłuszył wzmagający się ryk silników.

Pierwszy pilot informował o nabieraniu prędkości.

– Przekraczamy trzy machy... trzy i pół... cztery machy...

Przyspieszanie trwało przez około minutę, a potem przyrost prędkości zaczął się zmniejszać.

– Stabilizacja prędkości na poziomie pięć koma jeden macha.

Teraz odezwał się drugi pilot.

– Temperatura powierzchni w granicach tolerancji.

– Mówi o zewnętrznym poszyciu samolotu - wyjaśnił Hiram.

Emmie nie trzeba było tego tłumaczyć. Była ekspertem w sprawach awiacji i rozumiała wszystko w lot.

– Przy prędkości pięć machów nosowa część kadłuba oraz krawędzie natarcia skrzydeł i stateczników silnie się nagrzewają - powiedziała. - Zwykła stal zrobiłaby się miękka jak plastelina. Zewnętrzne poszycie zostało zapewne wykonane ze specjalnego stopu, prawdopodobnie z dużą zawartością tytanu.

– To dlatego detektor anomalii magnetycznych i magnetometry doprowadziły was do kół i wewnętrznych części kadłuba - dorzucił Joe. - Zawierały więcej żelaza i przez to były łatwiejsze do wykrycia.

– Dokładnie tak.

Odtwarzanie zapisu wideo trwało nadal.

– Kurs zgodny - powiedział pierwszy pilot. - Przełączam sterowanie na komputery.

Mała kropka widoczna na obrazie z kamery stale rosła w miarę zbliżania, aż wreszcie stało się jasne, że patrzą na Nighthawka. Z tym że rosyjscy lotnicy wcale go nie ścigali, a pozwalali mu się doganiać.

– W tym momencie bombowiec jest przed Nighthawkiem i nieco poniżej - poinformował Hiram. - Max, pokaż nam wykresy kursów.

Na drugiej części ekranu satelitarny obraz południowego Pacyfiku i wybrzeża Ameryki Południowej został wyostrzony. Pojawiły się na nim dwie ikony, czerwona i zielona. Za nimi ciągnęły się cienkie linie.

– Czerwona linia to kurs rosyjskiego bombowca - objaśnił Hiram. - Zielona wyznacza kurs Nighthawka.

Obie linie wkrótce nałożyły się na siebie. Bombowiec znajdował się nieco przed bezpilotowym statkiem kosmicznym.

– Kurs zgodny - potwierdził mechanik pokładowy. - Odległość trzy kilometry i maleje.

Nagle obcy głos zabrzmiał w kokpicie rosyjskiej maszyny.

– Zagłuszanie sygnałów uruchomione. Kontakt z Vandenberg zerwany. Nighthawk należy do was.

– Zrozumiałem, Blackjack Dwa.

– Drugi bombowiec? - spytał Joe.

– Około półtora kilometra przed pierwszym - przytaknął Hiram.

Na widoku w podczerwieni Nighthawk wciąż rósł i się zbliżał. Na obraz został nałożony wskaźnik odległości i siatka pionowych i poziomych linii.

– Odległość trzysta metrów i maleje - zameldował drugi pilot.

Nighthawk zbliżał się w stałym tempie. Na zapisie ze śledzącej go kamery widać było, jak przesuwa się nad ogonem bombowca i zajmuje pozycję

dokładnie nad rosyjskim samolotem. Przy prędkości sześciu tysięcy dwustu kilometrów na godzinę i na wysokości dwudziestu siedmiu tysięcy metrów obie maszyny leciały teraz w ciasnej formacji.

– Prędkość zgodna. Kurs zgodny. Jesteśmy gotowi do przechwycenia - zameldował drugi pilot spokojnym głosem.

– Wysuwam wiatrochron - zareagował natychmiast pierwszy pilot.

Szereg niewielkich szpikulców wyłonił się z grzbietu bombowca. Powstałe za nimi zawirowania utworzyły obszar obniżonego ciśnienia nad potężną maszyną, który pociągnął Nighthawka w dół. Statek kosmiczny opadał powoli i łagodnie zetknął się z rosyjskim samolotem, z którego kadłuba natychmiast wystrzeliły zaciski i przywarły do skrzydeł Nighthawka.

– Pełny kontakt. Klamry zapięte - zameldował drugi pilot.

– Wysuwam wiatrochron dodatkowy - poinformował pierwszy pilot.

Przed przechwyconym statkiem kosmicznym wyrósł trójgraniasty klin, który odchylił opływające go strugi powietrza. Za wierzchołkiem wiatrochronu utworzyła się smuga kondensacyjna, wygięta nieco w górę, która omijała nos i grzbiet pojazdu z deltoidalnymi skrzydłami. Lot przebiegał bez zakłóceń.

– Przechwycili go - szepnęła Emma. - Porwali go prosto z nieba.

– Nie mogę wprost uwierzyć, że nie ma żadnych turbulencji - powiedział Kurt.

– Na tej wysokości atmosfera jest tak rzadka, że nie występują turbulencje - wyjaśniła Emma.

– Ale oni lecą z prędkością sześciu tysięcy kilometrów na godzinę - zauważył Rudi.

– To nie ma nic do rzeczy - odparła Emma. - Wielokrotnie dokonywaliśmy połączeń statków kosmicznych na orbicie. W telewizji wygląda to tak, jakby ledwie się poruszały, podczas gdy w rzeczywistości pędziły wokół Ziemi z prędkością dwudziestu siedmiu tysięcy kilometrów na godzinę. Kosmonauci z programów „Apollo” i „Gemini” przyglądali się temu z bliska. Jestem pewna, że na pokładzie tego samolotu znajdowały się najnowocześniejsze rosyjskie komputery.

– Połączenie zakończone - zgłosił pierwszy pilot. - Przekaż Moskwie, że mamy Nighthawka.

Przez krótką chwilę słychać było radosne okrzyki i wiwaty, a w ciągu kilku następnych minut na pokładzie samolotu wykonywano rutynowe czynności.

Nawiązano łączność z drugim bombowcem, dwukrotnie sprawdzono działanie wszystkich systemów. Przez cały ten czas Blackjack Jeden leciał niezmienionym kursem z tą samą, ogromną prędkością.

– Redukuję ciąg - powiedział wreszcie pierwszy pilot. - Poinformuj Caracas, że będziemy uzupełniać paliwo.

– Nie jesteśmy pewni, czy chodzi o stolicę Wenezueli, czy kryptonim latającej cysterny - wtrącił Hiram.

– Stawiałbym na to pierwsze - stwierdził Kurt. - Rosjanie mają tam wciąż wielu przyjaciół z czasów, gdy rządził Hugo Chavez.

Wraz ze zmniejszaniem prędkości nastąpiło odczuwalne obniżenie poziomu hałasu. Prędkość spadła do czterech machów, potem do trzech. Przy prędkości dwa i pół macha bombowiec zaczął wykonywać łagodny zwrot w kierunku północnym. W tym momencie wszystko wskazywało na to, że Rosjanom udało się dokonać porwania stulecia.

Nagle obraz zaczął migotać, pojawiły się zakłócenia. Rytmiczna wibracja wzrosła, samolot zadygotał. Wkrótce zaczęły drżeć kamery.

– Tłumiki drgań samowzbudnych przeciążone - ostrzegł drugi pilot. - Krytyczny poziom wibracji.

– Skąd się biorą?

– Mamy wyraźny wzrost obciążenia na zaczepach! - zameldował mechanik pokładowy. - To Nighthawk! Poruszają się jego powierzchnie sterowe.

Odpowiedź pilota była niezrozumiała. Słychać było, jak postękuje i ciężko dyszy, mocując się ze sterami.

– Halo, Blackjack Dwa, mamy poważny kłopot - popłynął komunikat przez radio. - Nighthawk się uaktywnia. Powtarzam, Nighthawk się budzi. Sokolnik, użyj kodów alfa. Wyłącz go.

Głos, który popłynął z głośników, brzmiał o wiele spokojniej.

– Czy jesteś tego pewien, Blackjack Jeden? Nasze odczyty nie wykazują żadnej aktywności. Wszystkie wskazania w normie. Nie powinniście mieć żadnych problemów.

– Mówię ci, że ten diabelski aparat próbuje się uwolnić! - krzyknął pilot pierwszego bombowca. - Nadaj swój sygnał z maksymalną mocą i każ mu się wyłączyć! Ale już!

Cokolwiek Blackjack Dwa zrobił w odpowiedzi, wibracje tylko się nasiliły. Kokpit wypełniły dźwięki alarmów. Na całym panelu przyrządów migotały lampki ostrzegawcze.

– Hydraulika... statecznik pionowy... tłumiki drgań - odczytywała Priya.

Oddech pilota stał się ciężki. Wypowiadane przez niego słowa pełne były przekleństw i desperacji. Obraz z kamery zewnętrznej pokazywał, że Nighthawk trzęsie się gwałtownie w miejscu zetknięcia z kadłubem bombowca. Trzepotały wszystkie jego powierzchnie sterowe. Lotki poruszały się w górę i w dół, stery kierunku miotały się na boki.

A potem nagle znikł z pola widzenia.

W ułamku sekundy porwany samolot kosmiczny zerwał się z więzów i odleciał, a wraz z nim od kadłuba bombowca odpadł spory kawał poszycia. Płyn hydrauliczny i strumień białej pary wytrysnął z ziejącego otworu.

– Tu Blackjack Jeden! Sytuacja awaryjna! Powtarzam, sytuacja awaryjna! - krzyknął pierwszy pilot.

Mimo jego nadludzkich wysiłków, samolot powoli przewrócił się na plecy, po czym zwinął się w obłąkańczym korkociągu i runął w dół, ku powierzchni oceanu. W akcie miłosierdzia wkrótce przestała działać kamera. Przez chwilę słychać było tylko rozpaczliwe okrzyki i zniekształcone wołania przez radio, aż wreszcie także piloci zamilkli. W kokpicie rozbrzmiewał tylko ostrzegawczy głos komputera, powtarzający miarowo: *Puli up... Puli up.* Potem wszystko nagle ucichło.

Głucha cisza panowała także w obu pomieszczeniach.

– Sądzimy, że stracili przytomność - powiedział Hiram.

– Dlaczego nie skakali? - zdziwiła się Emma.

Nikt nie znał odpowiedzi na to pytanie.

* * *

Co prawda w tej sytuacji, a także ze względów politycznych, Rosjanie stali po przeciwnej stronie barykady, ale piloci bombowca byli po prostu ludźmi wykonującymi swoją robotę najlepiej, jak potrafili. Podjęli się niezwykle trudnego zadania i byli bliscy sukcesu, ale ostatecznie przypłacili życiem tę ryzykowną próbę.

– Nic nie poradzę, ale podziwiam ich odwagę - powiedział Kurt, przerywając milczenie. - Gdyby nie to, że chcieli ukraść nasz samolot, trzymałbym za nich kciuki, żeby im się udało.

Wszyscy zgromadzeni pokiwali głowami.

– Czy wiemy, z jakiego powodu wypadki tak się potoczyły? - spytała Emma.

– Dopóki bombowiec leciał zgodnie z wyznaczonym kursem Nighthawka, wszystko szło doskonale - odrzekł Hiram. - Kiedy pilot zaczął wykonywać zwrot, Nighthawk uaktywnił się, aby utrzymać pierwotny kierunek lotu. To spowodowało wibracje, które doprowadziły do rozdzielenia się obu maszyn i katastrofy.

– Dlaczego się uaktywnił? - dociekał Kurt.

– Przypuszczamy, że Rosjanie włamali się do komputera nawigacyjnego - odpowiedział Hiram. - Przeprogramowali go, aby skierować pojazd na południe, na miejsce spotkania z bombowcem. Zapomnieli jednak wyłączyć inercyjny system nawigacyjny przed wykonaniem zwrotu ku północy.

– Kod alfa to termin stosowany przez NSA, oznaczający polecenie restartu urządzenia. Odpowiednik naciśnięcia trzech klawiszy Ctrl-Alt-Delete na klawiaturze komputera. Zatrzymuje wszystko i dokonuje resetu systemu operacyjnego.

– O co im chodziło podczas rozmowy z tym Sokolnikiem?

Emma zawahała się na krótką chwilę, a potem zaczęła mówić.

– Nie jestem pewna - zastrzegła - ale kilka lat temu wywiad ostrzegł nas, że mogło dojść do naruszenia tajemnicy programu kosmicznego NSA. Albo za sprawą kreta pracującego w bazie Vandenberg, albo komputerowego konia trojańskiego. Nie zdołaliśmy potwierdzić tej informacji, gdyż zawierała zbyt mało szczegółów. Poza sugestią, że ogromna ilość danych została ujawniona Chińczykom albo Rosjanom, przekazano nam jedynie kryptonim tej operacji.

– Sokolnik - powiedział Rudi. - Ciekawy wybór. Sokolnik uczy drapieżne ptaki, aby wypuszczone na wolność wracały do niego.

– Wszyscy wiemy, z czym to się kojarzy - zapewniła go Emma. - Dokładnie to samo my próbowaliśmy zrobić z Nighthawkiem. Mimo to gruntowne śledztwo nie wykazało, aby bezpieczeństwo agencji zostało wystawione na szwank. Uznaliśmy, że wiadomość o przecieku to dezinformacja. Zdziwilibyście się, wiedząc, ile fałszywych wieści rozpowszechnia się niemal cały czas. My też to robimy. To rutynowe działanie.

– Mam wrażenie, że twój szef powinien wznowić to śledztwo - zauważył Rudi.

– To prawda.

Kurt zerknął na pusty ekran, po czym przeniósł wzrok na Emmę.

– No cóż, kimkolwiek on jest, nie udało mu się to, co zamierzał. Istotne jest pytanie dlaczego? Wyglądało na to, że w pełni panuje nad sytuacją.

– Może jakaś pojedyncza komenda z Vandenberg zdołała się przedrzeć? - zasugerował Joe.

– To raczej niemożliwe - odparł Hiram. - Wykorzystali drugi bombowiec jako ruchomą stację przekaźnikową, bombardując Nighthawka sygnałami dużej mocy z niewielkiej odległości. To skutecznie zagłuszało jakiekolwiek transmisje z NSA.

Emma zgodziła się z nim.

– Zakładając, że czas wskazywany przez ich zegary był dokładny, kiedy oni przechwycili Nighthawka, my nie mieliśmy z nim już żadnego kontaktu. To nie wyszło od nas, lecz musiało zostać niezależnie zaprogramowane. Zresztą nie o to teraz chodzi. - Popatrzyła na Kurta. - Cokolwiek miałoby to znaczyć, w jednym się nie pomyliłeś: NSA i Vandenberg zostały zinfiltrowane. Jeśli Rosjanie mają kody alfa, to mogą wiedzieć wszystko.

– Na pewno nie wszystko - zapewnił ją Kurt, po czym zwrócił się do Hirama. - Wiemy, dokąd poleciał Nighthawk po nieudanej próbie przechwycenia?

– Wciąż nad tym pracujemy. Trudno będzie to stwierdzić. Przechwycenie zmieniło wszelkie kalkulacje. Rosjanie wieźli go na barana przez dziewięć minut z prędkością pięciu machów na wysokości dwudziestu siedmiu tysięcy metrów w czasie, kiedy zgodnie z założeniami miał zwalniać i schodzić w dół. Ta podwózka mogła wydłużyć jego ścieżkę zniżania o jakieś tysiąc sto kilometrów. Sprawy się komplikują, kiedy przyjrzeć się kilku klatkom zapisu, na których widać, że Nighthawk skręca i gubi płytki osłony termicznej. Niewykluczone, że podczas wyrywania się na wolność doznał uszkodzeń, a to mogło wpłynąć na jego kurs, prędkość i ścieżkę zniżania.

– Jestem pewien, że jednak coś macie - zachęcił go Kurt.

Hiram skinął głową.

– Max, pokaż nam nowy stożek prawdopodobieństwa miejsca upadku.

Na ekranie pojawił się nowy obraz. Tym razem wybrzeże Ekwadoru było widoczne w większym zbliżeniu. Rozszerzający się żółty stożek skręcał ku niemu, przecinał południową część terytorium tego kraju i sięgał w głąb lądu, aż do górzystych i zalesionych obszarów Peru.

– Może być gdzieś w tej strefie - powiedział Hiram. - Albo w jakimkolwiek innym miejscu, jeśli miał uszkodzone stery.

– A więc tym razem na dobre wróciliśmy do punktu wyjścia - westchnęła Emma.

– Niezupełnie - do rozmowy włączyła się Priya. Podjechała wózkiem do

klawiatury i klepała w klawisze przez kilka sekund. - Mamy jeszcze coś. Oto filmik wyemitowany przez peruwiańską telewizję.

Wszyscy wlepili wzrok w ekran. Film został zarejestrowany przez amatora, obraz był nieostry, ale ukazywał świetlisty obiekt, przemierzający nocne niebo jak meteor. W tle rozbrzmiewały jakieś okrzyki. Obiekt zniknął za szczytem pobliskiej góry.

Kamera została obrócona, ukazując na krótko część panelu słonecznego oraz bezładną stertę głazów, wyglądającą jak ruiny neolitycznej budowli. Zza kadru odezwał się czyjś głos, mówiący po angielsku z silnym obcym akcentem.

– To znak od bogów. Koniec jest już blisko.

Rozległy się śmiechy kilku osób z ekipy NUMA, ale Emma tylko zacisnęła usta.

– Kto jest autorem tego filmu? - spytała. - Gdzie został nakręcony?

– Jak poinformowała stacja telewizyjna, sfilmował to miejscowy archeolog zwany Urco. Właśnie prowadzi w Andach wykopaliska związane z plemieniem Chachapoya, czyli peruwiańskimi „ludźmi chmur".

– Czy można w jakiś sposób potwierdzić autentyczność nagrania? - spytał Kurt.

– Nie - odpowiedziała Priya. - Zostało wyemitowane zaledwie kilka godzin temu. Ale obiekt sfilmowano przypuszczalnie tuż przed świtem tego dnia, kiedy zniknął Nighthawk. Sprawdziliśmy to dokładnie. Ramy czasowe się zgadzają, a lokalizacja znajduje się na przedłużeniu skorygowanej ścieżki zniżania Nighthawka.

– Czy można zakładać, że nagranie jest mistyfikacją? - zainteresował się Rudi.

– Mistyfikacją czego? - odpowiedziała pytaniem Emma. - Poza garstką wtajemniczonych nikt na świecie nie wie o zaginięciu Nighthawka.

– Zwróćcie uwagę, że człowiek na filmie nie twierdzi, że widział statek kosmiczny - dodała Priya. - W komentarzu do tego materiału jest mowa o meteorze.

– Czy na podstawie tego nagrania można określić kurs i prędkość obiektu? - spytał Kurt.

– Nie. Konieczne byłyby dodatkowe informacje - odparł Hiram. - Moglibyśmy dokonać przybliżonego wyliczenia, ale to by nam nic nie dało. Potrzebne jest precyzyjne określenie kierunku.

– Gdybyśmy wiedzieli precyzyjnie - wtrącił Joe - w którym miejscu stał ten facet i znali położenie tego urwiska za jego plecami, moglibyśmy wyznaczyć dokładny kurs.

Kurt kiwnął głową, potoczył wzrokiem po pomieszczeniu i zadał pytanie, które nurtowało wszystkich pozostałych.

– Czy mamy jakieś inne tropy?

W obu pokojach panowała cisza.

– Wobec tego wszystko jasne - oznajmił Kurt. - Zostawiamy przeczesywanie Pacyfiku Rosjanom i Chińczykom, a sami udajemy się w głąb lądu. Być może ten archeolog wskaże nam prawidłowy kierunek.

– Powinniśmy raczej pędzić na złamanie karku - dodała Emma. - W końcu nie tylko my mamy dostęp do peruwiańskiej telewizji.

22.
Chiński trawler szpiegowski u wybrzeża Ekwadoru

Daiyu stała w centrali dowodzenia trawlera. Kołysanie ustało, morze zrobiło się czarne jak atrament. Było spokojnie i cicho. Jak dla niej zbyt cicho. Ten spokój działał jej na nerwy.

Od trzech dni obserwowali amerykański statek „Catalina". Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny jego załoga zachowywała się tak, jakby prowadziła akcję poszukiwawczo-ratowniczą. Daiyu właśnie planowała podwodną misję zwiadowczą w celu sprawdzenia, co tam znaleźli, kiedy ministerstwo rozkazało jej się wstrzymać z tym pomysłem.

Na ekranie pojawił się generał Zhang.

– Ustaliliśmy, że działania załogi statku NUMA „Catalina" są markowane i służą jedynie odwróceniu uwagi.

– A więc niepotrzebnie straciliśmy czas - powiedziała Daiyu. W jej głosie słychać było zniecierpliwienie. Tak było zawsze, nawet gdy rozmawiała z przełożonymi, jak choćby z generałem Zhangiem. Między innymi z tego względu przydzielano jej drugorzędne misje.

– Na to wygląda - potwierdził Zhang. - Ale to nie jedyne wieści. Otrzymaliśmy informacje, z których wynika, że Nighthawk uniknął przechwycenia przez rosyjski bombowiec i nie spadł do morza. Prawdopodobnie widziano go ponad górskim pasmem w Peru.

– W takim razie nasi rosyjscy przyjaciele nie wywiązali się ze swojej części zadania - odrzekła. - Wcale mnie to nie dziwi. Trudno oczekiwać od niedźwiedzia, że zatańczy z wróblem.

– A zwłaszcza że podzieli się z nim swoją zdobyczą - dodał Zhang. - Właściwie to dobrze się stało. Gdyby Rosjanom się udało, zabraliby cały amerykański samolot do siebie, a nam rzucili jakieś nędzne ochłapy. A teraz my mamy szansę zagarnąć wszystko.

Daiyu pokiwała głową.

– Do tego właśnie powinniśmy dążyć od samego początku.

Dobrze wiedziała, że generał Zhang też tak uważał, choć nigdy nie powiedział tego wprost. Teraz też jedynym potwierdzeniem tego stanu rzeczy było ledwie zauważalne wydęcie jego warg.

– Wysłaliśmy śmigłowiec. Będzie u was mniej więcej za godzinę. Bądźcie gotowi.

– Tak jest, panie generale.

– Nie zawiedźcie swojej ojczyzny - zakończył Zhang i się rozłączył.

Obok niej stał Jian. Daiyu była wyraźnie podekscytowana, natomiast on zachowywał powagę i wyglądał na zaniepokojonego.

– Wszystko w porządku? - spytała.

– Możemy mieć kłopot z wyeliminowaniem Amerykanów - odpowiedział. - Nasi ludzie w Guayaquil mieli przewagę zaskoczenia, a mimo to im się nie udało. Do czasu, gdy zdołamy nawiązać kontakt, Amerykanie będą się mieć na baczności.

– Nie musimy stosować przemocy, są jeszcze inne metody - stwierdziła Daiyu. - Jeśli nie zdołamy ich pokonać w bezpośrednim starciu, zastawimy pułapkę. Wszyscy mają jakieś słabe punkty. Gdy zaczną od razu uciekać na nasz widok, pozwolimy im biec na łeb, na szyję, aż sami wpakują się w sytuację bez wyjścia.

23.
Krążownik rakietowy „Wariag"

Sztorm minął, a może raczej to „Wariag” wraz z towarzyszącą mu sporą flotyllą okrętów ratowniczych minęły burzowy obszar. Poprawa pogody najbardziej ucieszyła Konstantina Dawidowa. Po raz pierwszy od wielu dni zasiadł do solidnego śniadania, nie obawiając się, że będzie musiał je zwrócić.

Miejsce naprzeciw niego zajmował kontradmirał Borozdin, pochylony nad jajkami w sosie holenderskim. Sos miał delikatny, mączny smak i uchodził za rarytas w radzieckiej marynarce wojennej.

– Wyglądasz dziś jakoś inaczej - powiedział Borozdin pomiędzy dwoma kęsami jajka. - Nie do końca potrafię określić, na czym polega zmiana.

– Ależ potrafisz - zapewnił go Dawidow. - Moja twarz straciła zielonkawy odcień.

Borozdin wybuchnął śmiechem.

– Oczywiście, właśnie o to mi chodziło!

Rozległo się pukanie do drzwi i po chwili do admiralskiego saloniku wszedł młody marynarz.

– Komandor Nowaricz zgłasza się na łączu satelitarnym - zameldował.

– Każ przełączyć go tutaj - zaproponował Dawidow.

Borozdin skinął głową posłańcowi i za chwilę usłyszeli Nowaricza.

Mimo nie najlepszej jakości połączenia, w jego głosie dawało się wyczuć rozczarowanie.

– Operacja wydobycia wraku została zakończona. Wypompowaliśmy całkowicie wodę z ładowni i przeczesaliśmy szczątki. Niestety, nie ma ani śladu amerykańskiej maszyny.

– Jak to możliwe? - zdziwił się Dawidow. - Blackjack Jeden meldował, że Nighthawk został przechwycony i zamocowany na długo przed awarią.

– Wiem o tym - powiedział Nowaricz. - Jednak wstępne oględziny wraku ujawniły, że bolce mocujące zostały oderwane. Nighthawk musiał się odłączyć, gdy piloci bombowca utracili kontrolę.

Zirytowany Dawidow wyprostował się na krześle. A więc sprawy wcale nie szły zgodnie z planem. Zerwał porozumienie z Pekinem, gdyż sądził, że mają ptaszka w garści. Był pewien, że Rosja, i tylko Rosja, wie, gdzie znajduje się amerykański wynalazek, bo tylko Rosja znała miejsce upadku bombowca.

– Obawiam się, że jest coś jeszcze - dodał Nowaricz.

Dawidow wzniósł błagalnie wzrok.

– Więcej złych wiadomości?

– Tak jakby - przytaknął Nowaricz. - Podczas wydobywania wraku natknęliśmy się na Amerykanów z NUMA w miniaturowej łodzi podwodnej. Zapewne przybyli na miejsce tuż przed nami i zdążyli je zbadać. Ich obecność zdekonspirowała nie tylko nasz okręt, ale także misję wykonywaną przez bombowce.

– Jak to?

– Mamy powody, by przypuszczać, że Amerykanie zabrali rejestrator parametrów lotu Blackjacka Jeden. Przeszukaliśmy wrak i przyległy obszar dna morskiego. Choć początkowo odbieraliśmy sygnał z rejestratora, nie zdołaliśmy go znaleźć. Jedynym logicznym wyjaśnieniem jest to, że mają go Amerykanie.

– NUMA - burknął Dawidow. Nie po raz pierwszy amerykańska agencja morska psuła Rosjanom szyki.

Na twarzy siedzącego naprzeciwko Borozdina malowało się napięcie.

– Skoro Amerykanie mają czarną skrzynkę, bez problemu zorientują się, jaki był cel całej misji. Będą wiedzieć, że próbowaliśmy porwać ich maszynę w locie.

Dawidow spróbował rozwiać jego niepokój.

– To praktycznie bez znaczenia. Nie będą tego nagłaśniać, bo musieliby wówczas ujawnić własne tajemnice. Ważniejszą, a właściwie jedyną ważną kwestią jest to, co się stało ze statkiem kosmicznym.

Dowódca okrętu podwodnego uznał, że to pytanie było skierowane do niego.

– Na tym etapie nie potrafię udzielić odpowiedzi.

– Kontynuujcie poszukiwania - rozkazał Dawidow. - Podążajcie wzdłuż ostatniego znanego kursu. Meldujcie o postępach co godzinę.

Nowaricz odmeldował się i rozłączył, a Dawidow stwierdził, że nagle stracił cały apetyt. Jego widelec zagrzechotał delikatnie o oryginalną chińską porcelanę admirała, kiedy go odkładał.

– Mieliśmy go - powiedział. - Mieliśmy go w rękach.

Borozdin też odłożył nóż i widelec, po czym przepłukał gardło łykiem wody.

– Jeśli Nighthawk oderwał się od bombowca, to powinien leżeć gdzieś w pobliżu.

– Niekoniecznie - zaoponował Dawidow. - Wziąwszy pod uwagę prędkość i wysokość, na jakiej leciały obie maszyny, może być dosłownie wszędzie.

Borozdin pokiwał głową.

– Jakie rozkazy otrzymał Blackjack Dwa?

– Głównym jego zadaniem było zagłuszanie sygnałów z Vandenberg - wyjaśnił Dawidow.

– A co miał robić na wypadek, gdyby coś poszło nie tak?

– Powinien śledzić Nighthawka tak długo, jak będzie to możliwe, i przekazać nam jego ostatni potwierdzony kurs, wysokość i prędkość.

– Jak sądzisz, dlaczego jego załoga tego nie zrobiła?

– Nie mam żadnej przesłanki, aby sądzić cokolwiek, Sierioża. Od tamtej pory nie skontaktowali się z nami.

– Przecież to byli rosyjscy oficerowie. - Borozdin uderzył w podniosłe tony. - Doskonale wyszkoleni. Bez wątpienia starannie wybrani do wykonania tego zadania, ze względu na swoje umiejętności, lojalność i odwagę. O ile nie posyłacie rekrutów na ściśle tajne misje najwyższej wagi, to można założyć, że wypełniali rozkazy tak długo, jak było to możliwe. Do samego końca.

Dawidow wyprostował się na krześle.

– Wszystko pięknie, ale co z tego? Wciąż nie wiemy, gdzie oni są.

– Ale wiemy, gdzie ich nie ma - zauważył Borozdin. - Nie ma ich w morzu.

Dawidow zastygł w bezruchu. Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że Borozdin nie stroi sobie z niego żartów.

– Skąd wiesz?

– Bo w przeciwnym razie Amerykanie już by ich wyciągali z wody.

– Chyba trochę przeceniasz ich...

Tym razem Borozdin wszedł mu w słowo.

– Z bólem serca muszę przyznać, że dysponują o wiele bardziej zaawansowaną technologią niż my.

– Sierioża, przecież to niczego nie...

Borozdin nie pozwolił sobie przerwać.

– Zastanawiałem się nad tym przez jakiś czas - kontynuował. - Nie wiem, jakim sposobem Amerykanie tak szybko zlokalizowali Blackjacka Jeden, ale

faktem jest, że to zrobili. Usłyszeli go, zobaczyli, znaleźli go za pomocą drona, zdalnie sterowanego sonaru czy jakąś inną metodą, której nie znamy. Cokolwiek to było, znaleźli się na miejscu przed nami i grzebali w szczątkach naszych zmarłych, zanim my tam dotarliśmy, a przecież to my wiedzieliśmy dokładnie, gdzie spadł nasz samolot. A teraz nadal przeszukują ten akwen, w tę i z powrotem, ze wschodu na zachód. Gdyby Blackjack Dwa spadł do wody, znaleźliby go równie łatwo, jak Blackjacka Jeden. A skoro go nie znaleźli, to widocznie nie ma go na dnie oceanu.

Dawidow zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

– Uważasz więc, że dotarli nad ląd. Nadal nie rozumiem, co nam to daje?

– Jeżeli Blackjack Dwa trzymał się rozkazów i do końca śledził Nighthawka, a potem rozbił się na suchym lądzie, to należy przypuszczać, że Nighthawk też dotarł nad kontynent.

Było to ryzykowne stwierdzenie, choć niepozbawione sensu.

– Gdybyśmy więc znaleźli wrak Blackjacka Dwa - ciągnął Borozdin - to nawet gdyby spłonął na popiół gdzieś w środku dżungli, będzie stanowił dla nas wskazówkę co do kierunku, w którym podążał Nighthawk.

Dawidow zapalił się do tego pomysłu, po części dlatego, że niczego innego nie mieli.

– Będziemy potrzebowali danych z satelitów, i to natychmiast.

24.
Gdzieś w peruwiańskich górach

Długi, ostro zakończony stożek wystawał poziomo spod płachty. Znajdował się cztery metry nad ziemią i niewątpliwie był nosem naddźwiękowego samolotu. Czarne smugi oksydacji ciągnące się od wierzchołka w tył sugerowały uczestnictwo w pożarze, jednak te pasy koloru sadzy powstały od ekstremalnie wysokiej temperatury, wytwarzającej się na skutek tarcia z powietrzem podczas lotu z pięciokrotną prędkością dźwięku.

Kilku ludzi o ciemnej, lekko czerwonawej skórze ciągnęło za liny przymocowane do płachty, nasuwając ją dalej na samolot, aż skrył się pod nią cały.

– Umocujcie ją solidnie! - krzyknął ktoś. - Nie chcę, żeby zerwała ją kolejna wichura.

Podczas gdy część ludzi napinała płachtę, inni wielkimi młotami wbijali głęboko w ziemię długie kołki. Kiedy uporali się z tym zadaniem, przywiązali do nich liny przełożone przez metalowe kółka na krawędzi płachty i przytwierdzili ją do podłoża.

Z ust i nosów ludzi uwijających się w chłodnym, górskim powietrzu wydobywały się kłęby pary. Wszyscy byli ubrani w barwne kurtki z alpakowej wełny, z wyjątkiem mężczyzny kierującego pracami, który miał na sobie nowoczesny, czarny kombinezon, a na głowie kominiarkę zakrywającą twarz.

– Dołóżcie tu jeszcze ze dwa kołki - polecił.

Kiedy wskazany fragment płachty został umocowany, podszedł do niego inny mężczyzna. Długie rękawy miał podwinięte do łokci, co pozwalało dostrzec starą bliznę, ciągnącą się wzdłuż jego przedramienia.

– Podwoiliśmy liczbę kołków - poinformował. - Ludzie ścinają więcej gałęzi, aby przykryć go nimi od góry.

– Każ im też porobić nacięcia w płachcie, na wierzchniej stronie - polecił ten w kominiarce.

– Ale czy to nie...

– Dzięki temu płachta nie będzie się unosić. Proste zasady aerodynamiki. Możesz mi wierzyć, przyjacielu. Znam się na tym.

Jego rozmówca kiwnął głową.

– Jak sądzisz, zauważyli nas? - spytał.

– Sprawdziłem tabele przelotów satelitów - odrzekł ten w kominiarce. - Na szczęście znajdujemy się w odludnej części gór. Nikt nie kieruje swoich satelitów szpiegowskich nad ten obszar. Przynajmniej na razie. Możemy się spodziewać, że to się wkrótce zmieni. Gdyby samolot znów się odsłonił, mogłoby to pokrzyżować nasze plany.

– Przecież chcesz, żeby znaleźli ten bombowiec - powiedział niepewnie ten drugi, próbując nadążyć za swoim przełożonym.

– Oczywiście, ale dopiero wtedy, kiedy będzie to nam na rękę.

Człowiek z blizną kiwnął głową, odwrócił się i odszedł. Gdy zbliżał się do krawędzi lasu, zrobił okrągły gest ręką. Na jego znak zaryczały piły łańcuchowe. Robotnicy zaczęli ścinać gałęzie i całe drzewa, które miały posłużyć do ukrycia samolotu.

Mężczyzna w kominiarce był zadowolony. Maszyna została zakryta, trwały prace nad dokończeniem kamuflażu. Schylił się pod krawędzią płachty i wszedł pod skośne skrzydło bombowca. Minął kanciaste gondole silników i znalazł się pod kadłubem. Szedł dalej, unikając zawadzania o anteny i odbiorniki ciśnień, sterczące z brzucha samolotu. Ostre krawędzie i pancerne poszycie maszyny skojarzyły mu się ze śpiącym smokiem. Smokiem, który niedługo się obudzi i zionie żywym ogniem.

Zatrzymał się przy drabince przystawionej do centralnej części kadłuba, tuż za przednim podwoziem. Wspiął się na nią powoli i wszedł do pogrążonego w mroku przedziału załogowego. Wewnątrz był jeden z jego ludzi. Miał na nogach obszyte futrem buty, a na ramionach kolorowe poncho.

– Co z nimi? - spytał w miejscowym języku. - Jeśli ta noc będzie równie chłodna, jak poprzednia, gotowi zamarznąć na śmierć.

Mówił o rosyjskich pilotach, siedzących na podłodze samolotu ze spętanymi rękami i kneblami w ustach. Trzy noce w lodowatym wnętrzu maszyny bez jedzenia i tylko z odrobiną wody skutecznie odebrały im chęć stawiania jakiegokolwiek oporu. Dodatkową przestrogą była plama zakrzepłej i zamarzniętej krwi za plecami Rosjan, gdzie poderżnięto gardło ich koledze z załogi.

– Siewcy zarazy - powiedział człowiek w kominiarce. - Ale będziemy ich jeszcze potrzebować, kiedy przyjdzie czas. Zabierz ich do jaskini.

Mężczyzna w poncho przywołał gwizdnięciem kilku ludzi do pomocy. Po chwili jeńcy zeszli po drabince i zostali dokądś odprowadzeni.

Płachta okrywająca samolot sprawiała, że w kokpicie było ciemno. W jaskini piloci znajdą się w jeszcze głębszym mroku. A wkrótce w ciemnościach pogrąży się cały świat.

Od tej pory niech wszyscy będą gotowi - polecił człowiek w kominiarce. - Niedługo sprawy nabiorą rozpędu. Przynęta została zarzucona. Pułapka wkrótce się zapełni.

25.
Ekwador

Rozdzielili się w porcie lotniczym. Rudi poleciał rejsowym samolotem do Waszyngtonu, aby zażegnać kilka rozpalających się coraz silniej politycznych pożarów, a Emma i Kurt zajęli miejsca w gulfstreamie należącym do NUMA. Czekał ich dziewięćdziesięciominutowy lot do peruwiańskiego miasta Cajamarca, gdzie mieli się spotkać z Gamay i Paulem.

Joe podążył za nimi latającym dźwigiem, ale z powodu ślimaczej prędkości śmigłowca oraz konieczności uzupełniania paliwa na trasie jego lot do Cajamarki miał potrwać dziewięć godzin. Było to spore opóźnienie, ale jeśli nawet szczęśliwie natrafiliby wcześniej na Nighthawka, albo przynajmniej na jego większe fragmenty, to i tak najpierw musieliby jakoś wyciągnąć znalezisko z dżungli albo wysokich gór.

Wkrótce po starcie Emma skorzystała z kodowanego łącza satelitarnego, aby skontaktować się z Gowdym i poinformować go o aktualnej sytuacji.

Jej szef z NSA od razu przeszedł do sprawy.

– Co to za wygłupy z tym koszem z owocami?

– To taki podarunek grzecznościowy - powiedział niewinnie Kurt. - Wysyłamy je wszystkim ważniejszym osobistościom.

– Nie pogarszaj sytuacji - skarciła go Emma.

Kurt uniósł ręce w obronnym geście i już nie odezwał się ani słowem, gdy Emma wyjaśniała ich nową teorię oraz potwierdziła przekonanie Kurta, że w NSA doszło do przecieku.

Widoczne na ekranie oczy Gowdy’ego zmieniły się w szparki, ale zamiast wybuchnąć złością lub zarzucić ich zapewnieniami, że to niemożliwe, powiedział tylko:

– Sokolnik. O ile pamiętam, ustaliliśmy, że to niczym niepoparte pogłoski.

– Zapoznaj się z zawartością rejestratora bombowca - zaproponowała Emma. - Mówi się, że ludzie stojący nad grobem nie kłamią.

Gowdy kiwnął głową.

– Natychmiast wdrożę dochodzenie. Skoro mamy gdzieś kreta, musicie zachować wzmożoną ostrożność. Być może o waszym wyjeździe do Cajamarki już krzyczą nagłówki gazet.

– Oprócz ciebie nikogo o tym nie informowaliśmy - odparła Emma. - Tak czy inaczej, będziemy się mieć na baczności.

– To może nie wystarczyć. Wyślę wam Hurnsa i Rodrigueza do pomocy. Tylko nie potraktujcie ich tak, jak ostatnim razem.

Emma pokręciła głową.

– Nie zgadzam się. Jeżeli Sokolnik istnieje naprawdę i ma kontakty w NSA, to może być nim każdy. Z tego, co nam wiadomo, nawet jeden z nich.

– To agenci operacyjni. - Gowdy starał się ją uspokoić. - Nie mają dostępu do Vandenberg. Do momentu zaginięcia Nighthawka nie mieli żadnej styczności z tym programem. Są czyści, zapewniam cię.

Emma westchnęła i popatrzyła na Kurta, który tylko wzruszył ramionami. Jak dobrze pójdzie, odnajdą Nighthawka przed przybyciem obu agentów.

– Nadal mi się to nie podoba - upierała się Emma.

– Nie obchodzi mnie to - burknął Gowdy. - Niech siedzą w Cajamarce na wszelki wypadek. A co, jeśli uznacie, że mogą się wam przydać? Tak czy inaczej wysyłam ich wam.

Nie było sensu się sprzeciwiać.

– Doskonałe. Coś jeszcze?

– Pospieszcie się - powiedział Gowdy. - Czas ucieka.

Kurt zauważył wymianę spojrzeń między nimi. Mimo bariery w postaci ekranu, mimo dzielących ich tysięcy kilometrów, widać było, że tych dwoje łączy jakaś nić porozumienia, niewyrażona słowami.

Gowdy przerwał połączenie.

Emma siedziała w milczeniu przed pociemniałym ekranem.

Kurt przyglądał się jej. Było dla niego jasne, że coś przed nim ukrywa, przypuszczalnie na wyraźny rozkaz Gowdy'ego, ale kłamstwo, to kłamstwo. A w tym biznesie brak informacji może kosztować kogoś życie, na przykład jego albo Joe'go.

Po trzydziestu minutach wylądowali w Cajamarce. Kurt wyszedł z samolotu i poczuł rześkie, górskie powietrze. Miasto leżało na wysokości ponad dwóch tysięcy metrów. O tej porze roku dzienne temperatury oscylowały wokół dziesięciu stopni. Spora zmiana w porównaniu z subtropikalnym upałem w Guayaquil. Niebo było zakryte chmurami, a każdy narciarz może potwierdzić,

że na większych wysokościach różnica między zachmurzeniem a słoneczną pogodą zaznacza się dużo wyraźniej niż na poziomie morza.

Wciągnąwszy przez głowę czarny sweter, Kurt zszedł po schodkach. Chwilę później podpisał umowę wynajmu samochodu. Ciemnopomarańczowy range rover sport z napędem na cztery koła stał na płycie obok samolotu, aby łatwiej było przepakować bagaże. Emma zajęła się przeszukaniem auta pod kątem ewentualnych podsłuchów, a Kurt wszedł do niewielkiego terminalu dworca lotniczego, gdzie natychmiast dostrzegł dwie przyjazne twarze.

Gamay i Paul zostali zabrani z „Cataliny" śmigłowcem, a następnie wsiedli do rejsowego samolotu i przylecieli krótko przed odrzutowcem NUMA.

– Dobrze, że jesteście - ucieszył się Kurt i uściskał ich na powitanie.

– To miło, że znów dołączamy do Drużyny A - zawtórował mu Paul. - Przyznam, że wyrzucanie za burtę sprzętu wartego miliony dolarów było dość zabawne, ale wolimy brać udział w czymś ciekawszym niż stawianie zasłony dymnej.

– Przedstawisz nas swojej nowej przyjaciółce? - spytała Gamay, zarzucając plecak na ramię.

– Nie teraz - odrzekł Kurt. - Na razie mam dla was inne zadanie.

Dwie pary oczu spojrzały na niego badawczo. Gamay upuściła plecak na podłogę.

– Co znowu? Mamy iść do sklepu po swetry z alpakowej wełny?

– Chcę, żebyście dla mnie coś sprawdzili - oznajmił Kurt. - Postarajcie się dowiedzieć jak najwięcej na temat Nighthawka. Nie chodzi mi o ogólniki, którymi łaskawie nas nakarmili. Oni coś przed nami ukrywają, i to coś naprawdę ważnego.

– Masz coś konkretnego? - spytała Gamay. - Czy to jedynie twój generalny brak zaufania do NSA?

– Mam wrażenie, że oni działają w popłochu - odparł Kurt. - Czułem to od samego początku. Owszem, utrata Nighthawka to poważny problem, ale w najgorszym razie może się skończyć tym, że jego ewentualny znalazca zapozna się z nowoczesną technologią, którą sam jeszcze nie dysponuje.

– To jest najbardziej zaawansowany samolot na świecie - przypomniał mu Paul.

– Był - poprawił go Kurt. - Ten wynalazek od trzech lat latał w kosmosie. A przecież nie zaprojektowali go ani nie zbudowali w jeden dzień. W najlepszym wypadku może mieć jakieś pięć, sześć lat. Co oznacza, że projekt

powstał z dziesięć lat temu. Nawet jeśli Rosjanie czy Chińczycy znajdą go w idealnym stanie, będą musieli rozłożyć go na części pierwsze, zbadać dokładnie każdy element, a potem zbudować fabryki i zaplecze, wszystko po to, by skopiować to, co my już mamy. A raczej mieliśmy przed dziesięciu laty. W tym czasie ponownie wyprzedzimy ich co najmniej o dekadę.

Paul pokiwał głową.

– Racja. To tak, jakby ukraść używany samochód, a potem przyglądać się właścicielowi, który w jego miejsce kupuje sobie nowszy model.

– Sam bym tego lepiej nie opisał - pochwalił go Kurt.

– Mimo wszystko to ogromna strata - stwierdziła Gamay.

– Zgoda, ale gdybyście widzieli twarze Emmy i Gowdy'ego, doszlibyście do wniosku, że to jakiś koniec świata.

Oboje kiwnęli głowami.

– Zresztą nie chodzi tylko o naszych przyjaciół z NSA. Chińczycy i Rosjanie też dostali białej gorączki.

– Jeśli trafia się okazja położyć łapę na czymś, co należy do przeciwnika, to się ją wykorzystuje - powiedział Paul. - Skoro my to robimy, oni też mogą.

– Oczywiście - zgodził się Kurt. - Ale nie w ten sposób. Istnieją niepisane zasady tej gry. Są granice, których nie wolno przekroczyć, aby nie doprowadzić do otwartej wojny. Jednak w tym przypadku to nie działa. Chińczycy chcieli nas zabić, zanim zrobiliśmy pierwszy krok, a Rosjanie dwukrotnie próbowali nas storpedować. Za drugim razem na powierzchni, nie oglądając się na to, że ktoś mógłby to zobaczyć.

– A więc gra idzie o dużo wyższą stawkę, niż mogłoby się wydawać - zauważył Paul.

– Ciekawe jak wysoką, wziąwszy pod uwagę, od czego zaczęli - dodała Gamay.

Kurt kiwnął głową.

– Otóż to. Tymczasem my jesteśmy ciemni jak tabaka w rogu. To się musi zmienić. Chcę wiedzieć, co się za tym kryje, i to jak najszybciej. Dowiedzcie się, o co tu chodzi. Skontaktujcie się z Hiramem i Priyą przez satelitę. Oni na pewno zdołają się do czegoś dokopać.

– Co potem? - spytał Paul.

Kurt popatrzył na zegarek. Czekała ich długa podróż do obozowiska archeologów.

– Podczas jazdy w góry będziemy poza zasięgiem łączności satelitarnej -

powiedział. - Jednak po dotarciu na miejsce powinniśmy mieć sygnał. Macie więc cztery godziny.

– Cztery godziny na dokonanie niemożliwego - stwierdziła Gamay.

Kurt już szedł do wyjścia z terminalu.

– To i tak więcej czasu, niż zwykle wam daję.

– Tylko że to nie poprawia sytuacji! - krzyknęła za nim Gamay.

Kurt pchnął drzwi, które od razu zamknęły się za nim. Podszedł do range rovera i zajął miejsce za kierownicą.

Emma siedziała obok, na fotelu pasażera.

– Twoi przyjaciele nie jadą z nami?

– Muszą coś sprawdzić - wyjaśnił. - Joe zabierze ich śmigłowcem, kiedy wreszcie się tu dotelepie.

– W takim razie mamy przed sobą romantyczną wycieczkę we dwoje - powiedziała Emma z uśmiechem.

Kurt odwzajemnił uśmiech i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik natychmiast zaskoczył. Był idealnie wyregulowany, jego odgłos brzmiał mu w uszach jak symfonia.

– Mam nadzieję, że zabrałaś koszyk z wałówką.

– W pewnym sensie - odparła, otwierając pokrywę niewielkiej, plastikowej walizeczki.

Kurt zerknął do środka. Był tam celownik noktowizyjny, czarny pistolet kaliber dziewięć milimetrów oraz pas z kilkoma zapasowymi magazynkami. Pod spodem zauważył nóż survivalowy oraz kilkanaście małych ładunków wybuchowych.

– Zapomniałaś o winie - powiedział z udawaną powagą.

– To już twoja działka - odparła tym samym tonem.

Kurt się roześmiał. Co prawda nie zabrał wina, ale cały tył range rovera pełen był sprzętu biwakowego i do lekkiej wspinaczki, na wypadek gdyby go potrzebowali. Wziął też broń osobistą - pistolet Heckler & Koch HK45 kaliber czterdzieści pięć z dziesięcionabojowym magazynkiem, miniaturową latarką na szynie pod lufą i trytowymi przyrządami celowniczymi.

Miał do niego trzy zapasowe magazynki, każdy załadowany inną amunicją. W pierwszym znajdowały się naboje z ołowianymi pociskami o wydrążonym wierzchołku, w drugim na zmianę naboje standardowe i smugowe, specjalnie przygotowane przez znajomego rusznikarza. W trzecim magazynku były naboje z dodatkową naważką wysokoenergetycznego prochu i

pełnopłaszczowymi pociskami ze stalowym rdzeniem, pokrytymi cienką warstwą tytanu, które charakteryzowały się zwiększoną prędkością wylotową, a dzięki powłoce tytanowej nie ulegały deformacji po trafieniu w cel.

Kurt jeszcze nigdy ich nie używał, ale poinformowano go, że mogą przebić pancerną płytę o grubości dwóch i pół centymetra oraz pięciocentymetrową warstwę zwykłej stali. Dodatkowo dowiedział się, że podczas strzelania nimi pistolet kopie jak narowisty muł. Miał nadzieję, że nie będzie musiał tego sprawdzać, ale skoro już dwukrotnie zostali zaatakowani, wolał nie przystępować do ewentualnej trzeciej rundy z gołymi rękami.

Przesunął lewarek automatycznej skrzyni biegów na pozycję jazdy i ruszył spod samolotu.

– Po co ci te ładunki wybuchowe? - spytał, rozglądając się za wyjazdem z lotniska.

Emma zamknęła pokrywę i odłożyła walizeczkę.

– Gdybyśmy nie zdołali wydostać Nighthawka z dżungli w całości, mam rozkaz zniszczyć elektronikę i system napędowy.

Brzmiało to wiarygodnie. Jednak wszystko, co mówiła, traktował z odrobiną rezerwy. Po rozmiarach ładunków ocenił, że dysponowały w przybliżeniu mocą granatu.

– Powinny wystarczyć - powiedział, przejeżdżając przez bramę. - Następny przystanek La Jalca i Forteca w Chmurach.

Daiyu stała na niskim pagórku, przyglądając się, jak ciemno-pomarańczowy SUV wyjeżdża z lotniska. Barwa i metaliczny połysk lakieru ułatwiały jego obserwację, zwłaszcza na tle szarej drogi i popielatych gór.

Śledziła wzrokiem samochód, który minął główną bramę portu lotniczego i jechał dalej, w kierunku wschodnim. Kiedy zjechał na prawy pas i skręcił na górską drogę, oderwała od oczu lornetkę i sięgnęła po radio.

– Cel w ruchu - powiedziała do mikrofonu. - Droga A6, zgodnie z przewidywaniami. Jedziemy za nim, utrzymując odpowiednią odległość. Przygotuj się do działania.

– Przyjąłem - odpowiedział trzeszczący głos.

Przypięła radio do pasa i podeszła do białego audi A8. Jian siedział za kółkiem, jego szerokie ramiona całkowicie wypełniały fotel kierowcy smukłego samochodu.

Daiyu zajęła miejsce pasażera, zatrzasnęła drzwi i skinęła głową.

– Ruszaj.

26.

Droga z Cajamarki wiła się na wschód, w kierunku wysokich gór. Po godzinie jazdy asfalt skończył się, ustępując miejsca mieszance żwiru i twardej gliny. Z chwilą, gdy nawierzchnia się pogorszyła, Kurt zmniejszył prędkość samochodu. Wciąż jechali pod górę, mijając ostre zakręty zakosów i od czasu do czasu nurzając się w pasmach zalegającej mgły.

Wraz ze wzrostem wysokości robiło się coraz chłodniej. Kiedy przekroczyli dwa tysiące czterysta metrów, skropił ich rzadki deszcz. Trzysta metrów wyżej zanurzyli się w chmurach. Wdrapawszy się kolejne sto pięćdziesiąt metrów w górę, przebili się przez nie i znaleźli w pełnym słońcu.

Po lewej mieli szeroką dolinę, której dno znajdowało się jakieś trzysta metrów niżej. Za nią wznosiły się następujące po sobie, postrzępione pasma górskie. Widzialność przekraczała trzydzieści kilometrów.

– Witamy w Andach - powiedział Kurt.

Odtąd droga trzymała się górskiego zbocza. Z konieczności zrobiła się znacznie węższa i w niektórych miejscach wrzynała się w stromy stok, przez co samochody musiały przejeżdżać pod nawisającymi skałami.

Teren po prawej był dość urozmaicony, podczas gdy po lewej niezmiennie ciągnęło się strome urwisko.

– Mogliby się szarpnąć na barierę - mruknęła Emma.

– Żeby zniszczyć ten przepiękny widok? - zaśmiał się Kurt.

Zamiast bariery droga była obramowana czymś w rodzaju niskiego krawężnika, którego bloki pomalowano naprzemiennie na czarno i biało. Nie dość, że nie powstrzymałby on pojazdu większego od samochodzika zabawki, to uderzenie w niego mogło być tym samym, co zawadzenie stopą o wystający korzeń drzewa, i spowodowałoby przekoziołkowanie auta poza krawędź przepaści.

– Ciesz się, że to nie jest dawna angielska kolonia - dodał Kurt. - Wtedy musielibyśmy jechać po tamtej stronie drogi.

Zbocze góry wybrzuszało się, przez co z biegnącej wzdłuż niego drogi rozciągał się szeroki widok wstecz, w kierunku, z którego przybyli. Znajdowali się teraz na zawietrznej, jasnobrązowe stoki były pocięte pasami karłowatych zarośli oraz nagiej skały, powiązanymi zygzakującą wstęgą drogi A6.

Kurt pozwolił sobie na szybki rzut oka przez ramię. Emma przekręciła się na fotelu i objęła wzrokiem całość widoku.

– Jak duży ruch panuje na tej drodze? - spytała.

– Niezbyt wielki - odpowiedział. - Przez ostatnią godzinę minęły nas dwie ciężarówki i stary dżip. A czemu pytasz?

– Naliczyłam trzy jadące za nami samochody - odparła Emma. - Dwa czarne i jeden biały. Sądząc po kłębach kurzu, jakie się za nimi unoszą, jadą z dużo większą prędkością, niż powinny.

Kurt wysunął szczękę, przez co jego twarz nabrała zaciętego wyrazu.

– A już myślałem, że zostawiliśmy to wszystko za sobą.

Emma sięgnęła do „koszyka z wałówką", leżącego u jej stóp. Wyciągnęła stamtąd dziewięciomilimetrową berettę, sprawdziła, czy nabój jest w komorze, i odbezpieczyła.

Kurt przyspieszył, ale jakakolwiek szansa na odbicie w bok mogła się pojawić dopiero po dotarciu do płaskowyżu. Jeżeli samochody za nimi oznaczają kłopoty, będą się z nimi musieli zmierzyć tu i teraz.

Trwało to kilka długich minut, ale w końcu auta pojawiły się w lusterku wstecznym. Wstrząsy na nierównej drodze oraz tuman kurzu ciągnący się za nimi sprawiały, że obraz był niewyraźny, ale Kurtowi to wystarczyło. Dwa czarne samochody parły do przodu w szyku bojowym, podczas gdy biały trzymał się w pewnej odległości za nimi. Wszystkie pędziły pod górę, wzbijając chmury pyłu.

– Już są.

Emma rozpięła pas bezpieczeństwa i opuściła szybę w oknie. Trzymając berettę na kolanach, wysunęła głowę i zaryzykowała spojrzenie do tyłu. W ciemnych wnętrzach niczego nie dostrzegła, ale kiedy zauważyła, że ktoś wysuwa się przez boczne okno, wiedziała, co za chwilę nastąpi.

Mężczyzna trzymał w rękach pistolet maszynowy i otworzył ogień. Emma zdążyła schować głowę do środka, a na zboczu po prawej pojawił się nierówny ścieg niewielkich eksplozji. Pierwsza seria nie trafiła w cel, ale druga roztrzaskała boczne lusterko od strony kierowcy.

– No i koniec romantycznej przejażdżki.

Kurt wcisnął pedał gazu do podłogi. Turbodoładowany silnik zareagował natychmiast i range rover skoczył do przodu.

Przez moment wydawało się, że zostawią swoich wrogów za sobą, ale ścigające ich auta też dysponowały przyzwoitymi osiągami. Setki koni mechanicznych zerwały się do biegu i powstały odstęp zaczął się szybko zmniejszać.

Kurt skulił się nad kierownicą, kiedy kolejna seria pocisków podziurawiła karoserię samochodu. Jeden z nich odstrzelił lampę wstecznego oświetlenia, inny przebił tylną szybę, pokrywając ją nieprzejrzystą pajęczyną drobnych rys i pęknięć.

Emma znów wychyliła się przez okno i odpowiedziała ogniem. Trafiła kilkakrotnie jadące tuż za nimi bmw, ale jego kierowca odbił na stronę Kurta i tył rovera zasłonił jej cel.

Odwróciła się na fotelu i wycelowała w tylną szybę.

– Zatkaj uszy.

Kurt nie mógł skorzystać z tej rady, ale i tak był jej wdzięczny za ostrzeżenie. Otworzyła ogień, pierwszym strzałem rozwalając do reszty strzaskaną szybę, a następnie opróżniła magazynek. Znajdujący się najbliżej nich samochód odpadł na chwilę w tył, ale zaraz wrócił na swoje miejsce.

Kurt wyciągnął czterdziestkępiątkę z kabury pod pachą i podał jej, mówiąc:

– Spróbuj tym.

Emma chwyciła pistolet i wymierzyła dokładnie. Pierwszy strzał omal nie zrzucił jej z fotela. Poprawiła się na siedzeniu i wypaliła jeszcze trzykrotnie.

Przeciwpancerne pociski trafiły, gdzie trzeba. Para i dym buchnęły z przebitego bloku silnika bmw, gdy eksplodowała jego chłodnica. Samochód skręcił gwałtownie w kierunku urwiska, odbił w przeciwną stronę, wjechał bokiem na stromą pochyłość, przewrócił się na dach i ześliznął z powrotem na drogę, po czym zatrzymał się na skraju przepaści.

Pozostałe auta ominęły go i nadal jechały za nimi.

– Fajny! - krzyknęła Emma, próbując przebić się przez hałas. - Mogę go zatrzymać?

– Pozbądź się obu tych samochodów, a będzie twój!

Emma przecisnęła się między siedzeniami do tyłu, aby mieć lepsze pole ostrzału, podczas gdy Kurt próbował ze wszystkich sił skurczyć się, by stanowić jak najmniejszy cel.

Wciskał pedał przyspieszenia do podłogi tak długo, jak się dało, tuż przez

wirażem wdeptywał w hamulec, skręcał kierownicę i znów wduszał gaz.

Na jednym z wewnętrznych zakrętów uderzyli o zwisającą skałę, która pozostawiła głębokie wgniecenie w dachu. Ostry zewnętrzny zakręt pojawił się wcześniej, niż Kurt się spodziewał. Kiedy nacisnął hamulec, rover wpadł w poślizg.

Kurt nieco rozluźnił mocny uścisk dłoni na kierownicy i znów nacisnął pedał akceleratora. Startował kiedyś w samochodowych i motocyklowych wyścigach terenowych, wiedział więc, że taki zakręt należy pokonywać z napędem na kołach.

Wyniosło ich nad sam brzeg urwiska, samochód szedł nieco bokiem w poślizgu, co groziło w każdej chwili wywróceniem. Z pozycji Kurta widać było tylko przepaść, żadnego kawałka drogi, całkiem, jakby już przelecieli nad krawędzią i frunęli w powietrzu. Wtedy jednak głęboki bieżnik ponownie wbił się w nawierzchnię, spod kół trysnęła ziemia i rover znalazł się na wewnętrznym łuku zakrętu.

– O mały włos! - krzyknął Kurt. - Niewiele brakowało, a przekonałbym się, czy człowiek naprawdę został stworzony do latania!

Emma nie odpowiedziała. Wewnątrz rovera było za głośno, by mogła go usłyszeć. Klęczała na tylnym siedzeniu, trzymając czterdziestkępiątkę w oburęcznym, policyjnym uchwycie.

Pościg został nieco z tyłu, kierowcy nie odważyli się brać zakrętu na pełnej prędkości. Ale zamiast nadrobić stratę na prostym odcinku, samochody nadal utrzymywały dystans.

Emma spostrzegła, jak pasażer pierwszego z nich wysuwa się przez szyberdach, widziała górną połowę jego ciała. Trzymał w rękach jakąś długą, ostro zakończoną rurę.

– Dodaj gazu! - krzyknęła.

– Nie dam rady! - odpowiedział Kurt.

– Musisz, Kurt! Mają RPG!

* * *

Jadąca białym audi Daiyu widziała, jak Amerykanie przyspieszają i jadą slalomem, by utrudnić celowanie.

– O to chodzi - powiedziała do siebie. - Jeszcze szybciej.

Nacisnęła przycisk na przewodzie słuchawki, którą miała w uchu.

– Postrasz ich - rozkazała. - Zmuś ich, żeby jeszcze przyspieszyli!

– Nie mamy czystego strzału - zameldował ktoś z ekipy egzekutorów.

– Nieważne - odpowiedziała Daiyu. - Zbliż się do nich. Już prawie dojeżdżamy.

Jadący przed nimi samochód przyspieszył, a Daiyu przełączyła kanał.

– Trzydzieści sekund - powiedziała. - Przygotuj się do odpalenia.

– Jestem gotów - odpowiedział rozmówca.

– Wysadź most, kiedy tylko wyjadą z tunelu.

* * *

Kurt nie mógł wprost uwierzyć, że wciąż jeszcze żyją. Jak na złość dostrzegł przed sobą długi, prosty tunel, którym droga wrzynała się w ścianę góry. Po lewej mignął wystający nawis skalny i nagle zanurzyli się w mrok.

– Znów się zbliżają! - krzyknęła Emma, widząc doganiający ich samochód.

– Wiem! - odpowiedział Kurt.

– Droga robi się coraz węższa!

– To też wiem!

Emma odłożyła pustą czterdziestkępiątkę i chwyciła swoją berettę. Wyrzuciła zużyty magazynek i załadowała zapasowy. Kurt cisnął gaz do oporu, pędząc z rykiem silnika przez tunel. Huk pracujących na wysokich obrotach motorów odbijał się zwielokrotnionym echem od ścian. Za nimi rozbłysły reflektory, z przodu w oddali pojawiło się światło. W każdej sekundzie Emma spodziewała się ujrzeć ognistą smugę ścigającej ich rakiety.

Jednak kiedy wreszcie wypadli z tunelu wprost w światło dnia, wciąż byli w jednym kawałku. Stroma ściana po prawej złagodniała, przechodząc w pochyłość pagórka, a droga prowadziła teraz nieco w dół, ku żelaznemu mostowi, który spinał brzegi wąskiej rozpadliny i wyglądał, jakby zbudowano go w latach czterdziestych lub pięćdziesiątych XX wieku. Byli już blisko, kiedy mostem na całej długości wstrząsnął szereg detonacji. Potem nastąpiły dwa większe wybuchy na obu jego końcach.

Żelazna konstrukcja wygięła się, strzelając wokół nitami. Most zwinął się i zapadł, po czym runął w głąb rozpadliny.

Zjeżdżali z ogromną prędkością z lekkiej pochyłości po luźnej nawierzchni. Kurt momentalnie zorientował się, że nie zdołają zatrzymać się na czas.

Wbił nogę w pedał hamulca, wytracił połowę prędkości, a potem skręcił

gwałtownie w prawo w górę skarpy. Rover podskoczył, zarzucił tyłem i omal nie przewrócił się na bok.

Jadąc pod górę, samochód szybko wytracił prędkość, dzięki czemu Kurt odzyskał nad nim panowanie. Desperacki manewr, który miał ocalić ich przed śmiertelnym lotem w trzystumetrową czeluść, dał im sposobność wyrwania się z opresji.

Kurt ręcznie zredukował bieg i wciąż parł prosto pod górę. Nieznacznym skrętem kierownicy oddalił się od rozpadliny i trawersował zbocze pod dużym kątem. Napęd na obie osie wciąż utrzymywał ich w ruchu, koła obracały się po sypkim żwirze, podskakiwały na kamieniach i niosły ich poprzez kępy wczepionych w pochyłość ciernistych krzewów.

Emma przylgnęła do tylnego siedzenia. Wspinali się pod tak ostrym kątem, że bała się wypaść przez otwór po tylnej szybie. Jednak ciężki silnik rovera znajdował się z przodu, dociskając ich do podłoża, a kiedy tylko Kurt wyczuwał, że przednie koła się unoszą, na krótką chwilę puszczał gaz.

Nadal jechali pod górę, kiedy ich prześladowcy z dużo mniejszą prędkością wyjechali z tunelu. Emma obserwowała, jak zatrzymują się pośrodku drogi i patrzą za swymi umykającymi ofiarami.

Z początku wyglądali na zdezorientowanych, ale mężczyzna dzierżący ręczną wyrzutnię granatów o napędzie rakietowym zajął pozycję i wycelował, oparty plecami o krawędź szyberdachu.

Emma była szybsza. Uniosła berettę i zasypała tych w dole gradem kul. Wystrzelała cały magazynek, dziurawiąc wielokrotnie karoserię obu samochodów. Jeden z pocisków trafił mężczyznę z wyrzutnią w ramię.

Obrócił się pod wpływem uderzenia i nacisnął spust.

Granat, ciągnąc za sobą smugę dymu, poszybował nad stokiem, przeleciał nad rangę roverem i wbił się w zbocze góry nad nimi, a potem eksplodował w samym środku zwietrzałej skalnej ściany.

Góra zadrżała, długi kamienny nawis oderwał się i potoczył prosto na nich.

Kurt obrócił kierownicę w prawo, walcząc z grawitacją. Nie mógł skręcić zbyt ostro, bo samochód stoczyłby się w dół, choć i tak byłoby to lepsze niż bycie zmiażdżonym przez osuwisko.

Posypały się na nich kamienie wielkości pięści. Waliły w drzwi i roztrzaskały przednią szybę. Zniknęli w chmurze pyłu i wypadli z niej w chwili, gdy tuż za nimi ruszyła w dół połowa zbocza.

* * *

Daiyu patrzyła w górę z przedniego siedzenia białego audi, gdy wywołany przez człowieka grom przetoczył się przez kanion. Kiedy opadł pył spowodowany eksplozją, dostrzegła jakiś ruch, ale nie był to bynajmniej koziołkujący i płonący SUV z Amerykanami w środku, lecz sama góra. Ogromna masa żwiru i wielkich kamieni sunęła z rosnącą prędkością prosto na nich.

– Jedź! - krzyknęła.

Jian wrzucił wsteczny i ruszył, oglądając się przez ramię. Silnik zawył, gdy samochód przyspieszał, tocząc się do tyłu. Gdy grad drobnych kamyków zabębnił o maskę, reszta auta zdążyła już skryć się w tunelu.

Kierowca bmw spóźnił się i popełnił błąd. Zamiast wycofać się, próbował zawrócić. Jego auto dopiero ruszało z miejsca, kiedy główna fala kamieni i ziemi dotarła do drogi. Lawina uderzyła z zaskakującą prędkością i zmiotła samochód prosto w przepaść równie łatwo, jak rozzłoszczony dzieciak strąca ze stołu swoją zabawkę.

Osuwanie się góry trwało jeszcze kilka minut. Najpierw znieruchomiały największe głazy, ale żwir i piach sypały się nadal, zasypując wlot tunelu. W powietrze wzbiła się chmura pyłu, przez którą ledwie przebijał się przyćmiony blask reflektorów białego audi.

* * *

Wysoko nad tunelem Emma i Kurt ominęli osuwisko, unikając poważniejszych uszkodzeń. Kontynuowali jazdę w górę zbocza, aż dotarli do kolejnego, położonego wyżej odcinka tej samej drogi.

– Nie sądziłam, że wyjdziemy z tego żywi - oznajmiła Emma.

– Nawet przez moment nie przeszło mi to przez myśl - odparł buńczucznie Kurt. Zatrzymał samochód, aby popatrzeć za siebie.

– Pozbyliśmy się ich na dobre?

Zerknąwszy poza krawędź drogi, ujrzał w dole tylko nieprzeniknioną chmurę pyłu.

– Nie mam pojęcia. Tak czy inaczej, to bez znaczenia. Nawet jeśli wszyscy zginęli, wkrótce będziemy mieć na karku ich następców.

Emma wróciła na miejsce obok kierowcy, a Kurt wybił dłonią strzaskaną

przednią szybę. Odpadła na bok, odrywając się od słupków jak zmięty arkusz papieru. Oczyściwszy sobie pole widzenia, Kurt włożył na nos słoneczne okulary i ruszył w dalszą drogę.

Do La Jalca pozostało im jeszcze ponad trzydzieści kilometrów, a liczyła się każda minuta.

27.

Resztę drogi przebyli ze zredukowaną prędkością, bo podczas szaleńczej jazdy w górę zbocza zawieszenie samochodu zostało uszkodzone i skrzypiało coraz głośniej z każdym kilometrem. Godzinę później zbliżali się do ruin.

– Skręć tutaj - poleciła Emma.

Kurt zjechał z drogi. Ich nowy szlak ograniczał się do dwóch kolein wyżłobionych w ziemi, z porośniętym sięgającą kolan trawą pasem zieleni pomiędzy nimi. Wiódł ich zwężającą się doliną, obok niewielkich stad pasących się zwierząt i tarasowych pól obsianych zbożem. Widoki sugerowały bliskość jakiegoś większego osiedla, ale Kurt nigdzie nie zauważył żadnych domów.

– Myślałem, że tu będzie obóz archeologów - powiedział.

– Ja też - przytaknęła Emma. - Tymczasem wygląda to raczej na dobrze prosperujące gospodarstwo rolne.

Dalej dolina zwężała się do rozmiarów wąwozu, a nad nimi wyrosły wysokie grzbiety i szczyty górskie. Dostrzegłszy w oddali obozowisko, Kurt zjechał na bok i zatrzymał auto.

– Dotrzemy tam na piechotę - stwierdził. - Nie chcę zaczynać od wyjaśnień na temat stanu naszego samochodu.

Emma się roześmiała.

– Przygotuj sobie jakiś standardowy tekst na takie okazje, bo często ci się przytrafiają.

Wysiedli z poobijanego rovera, zarzucili plecaki na ramiona i ruszyli w krótką wędrówkę.

Podczas marszu mogli podziwiać pełnię widoku, bez przeszkody w postaci dachu samochodu. Wykopaliska prowadzono na przeciwległym krańcu ślepo zakończonego, prostokątnego kanionu. Krajobraz zdominowały trzy wysokie szczyty, wznoszące się nad otaczającymi ich grzbietami. Urwiste ściany skalne, wyraźnie ukazujące swoją warstwową strukturę, były poprzecinane

licznymi żlebami i jaskiniami. Dodatkowo wisiały na nich pionowe i poziome liny, na podobieństwo rusztowania. Inne liny, rozpięte wysoko w górze między szczytami, tworzyły nad kanionem sieć, przypominającą przewody wysokiego napięcia.

– Niezła organizacja - zauważył Kurt.

Emma tylko kiwnęła głową. Milczała. Kanion wydawał się jej ciasny i przytłaczający. W takim miejscu każdy rewolwerowiec z westernu czułby się jak w pułapce. Trzymała się blisko Kurta, zdając sobie sprawę, że w razie czego trudno będzie jej sięgnąć po berettę, schowaną w plecaku.

Kiedy zbliżyli się do namiotów, na ich powitanie wyszła grupka ludzi. Stali na ścieżce z założonymi rękami, zmrużonymi oczami i zaciśniętymi ustami.

– *Hola* - powiedział Kurt na powitanie, wyciągając dłoń do najbliższego z nich. - Nazywam się Kurt Austin. Jeśli to możliwe, chciałbym porozmawiać z Urkiem.

Mężczyzna stał niewzruszony jak posąg. Był mniejszy od Kurta, ale dobrze zbudowany, miał silne przedramiona i pękate bicepsy. Nie przypominał Peruwiańczyków znanych Kurtowi, był bardziej rozłożysty w barach i niższy, miał szerszą twarz, raczej tubylczą niż europejską, ciemniejszą skórę o miedzianym odcieniu i większe oczy.

Nie odpowiedział ani nie podał Kurtowi ręki.

Kurt opuścił swoją prawicę i zerknął na Emmę.

– Może tobie pójdzie lepiej.

Powtórzyła powitanie po hiszpańsku. Dodała coś o zainteresowaniu archeologią i plemieniem Chachapoya oraz wspomniała, że widzieli Urca w Internecie.

Jej słowa wywołały szmer pośród zebranych, a zwalisty mężczyzna kiwnął głową.

– *Me llamo Vargas* - powiedział, rozplatając ramiona i wskazując krawędź urwiska. - Urco - dodał, po czym uzupełnił po angielsku: - Tam w górze.

Vargas podprowadził ich do podnóża klifu. Z góry zwieszało się kilka lin.

– Nie czuję się najlepiej na wysokości - usprawiedliwiła się Emma. - Chyba poczekam sobie tutaj.

Kurt popatrzył w górę. Jemu też nie uśmiechała się kilkudziesięciometrowa wspinaczka.

– Sam pewnie raczej nie zejdzie?

Vargas tylko gapił się na niego w milczeniu.

– Mniejsza o to.

Kurt otrzymał uprząż bezpieczeństwa i został skierowany do najbliższej liny, gdzie Vargas wręczył mu parę roboczych rękawic. Były luźne i mocno wyślizgane, co nie zapewniało najlepszego chwytu na nylonowej linie.

– Mam się wspinać? - spytał Kurt i uczynił w powietrzu gest przekładania jednej ręki nad drugą.

Vargas potrząsnął przecząco głową.

– Nie. Latać.

Umieścił dłonie Kurta na linie i masywnym karabińczykiem przypiął uprząż do uchwytu.

Kurt natychmiast zorientował się, co zaraz nastąpi. Zacisnął dłonie, a Vargas zwolnił żeliwną klamrę, blokującą sąsiednią linę. Masywny przeciwciężar zawieszony gdzieś wysoko ruszył w dół, a Kurt, przypięty do drugiego końca liny przełożonej przez blok, oderwał się od ziemi i niczym winda zaczął jechać do góry.

Pomijając początkowe niespodziewane szarpnięcie, jazda była dość gładka. Sunął obok niewielkich grot mieszkalnych, wydrążonych w skale. Otwarte pomieszczenia były puste, jeśli nie liczyć drabin, prowadzących z jednego poziomu na drugi.

Nad nimi zauważył rząd kamiennych figur, wydrążonych w litej skale. Wyglądały na ptasie, ale miały za duże głowy i ludzkie ciała. Przypominały mu egipskie hieroglify.

Powyżej, w małych niszach i otworach ujrzał zmumifikowane ciała i broń; oszczepy i maczugi o głowicach nabitych kolcami. To były miejsca pochówku wojowników Chachapoya.

Zbliżał się do belki i systemu wielokrążków, dzięki którym wznosił się tak szybko i sprawnie. Wreszcie Vargas zatrzymał linę. Kurt zawisł trzy metry pod górskim grzbietem. Po prawej dostrzegł drabinę, przymocowaną do skalnej ściany. Prowadziła na sam szczyt.

– To nie było trudne - zagrzmiał nad nim czyjś tubalny głos. - Ale teraz zaczynają się schody.

Kurt spojrzał w górę i zobaczył twarz, przyglądającą mu się znad krawędzi. Ogorzałą od wieloletniego wystawiania na słońce, zwieńczona zmierzwionymi, ciemnymi włosami i ukrytą w połowie za siwą brodą, gęstą jak owcze runo. Rozbawione, czarne oczy były utkwione w Kurcie. Mężczyzna zachichotał i wskazał drabinę.

– Zauważyłem - powiedział Kurt.

– A czy zauważa pan pewien kłopot?

Owszem, Kurt go dostrzegł. Z miejsca, w którym wisiał, nie sposób było dosięgnąć drabiny. Gdyby nawet wyciągnął się do granic możliwości, musiałby odpiąć uprząż, aby postawić nogi na dolnych szczeblach.

Zerknął na moment w dół i natychmiast tego pożałował.

– Teraz wiem, co czują faceci myjący okna Wieży Wolności.

Wyrzucił nogi w stronę drabiny i szybko przeniósł je w przeciwnym kierunku, a potem powtórzył te ruchy. Lina zaczęła się huśtać. Zataczając trzeci łuk, Kurt wystawił rękę i chwycił metalową ramę drabiny. Przyciągnął się, postawił stopy na szczeblu i owinął jedną rękę wokół ramy, a drugą wypiął uprząż z uchwytu na linie. Patrząc cały czas prosto w niebo, szybko wspiął się na szczyt i wreszcie stanął na twardym gruncie.

Siwobrody mężczyzna wykonał lekki ukłon w jego kierunku.

– Gratuluję. Przeważającej większości ludzi rozwiązanie tego problemu zajmuje dobrych kilka minut. A kiedy już im się to uda, niektórzy długo się wahają, zanim odepną się od liny. Pewien reporter, który w zeszłym roku chciał zrobić ze mną wywiad, powiedział wprost, że tego nie zrobi. Wymamrotał kilka pytań, wisząc w uprzęży, a potem poprosił, żeby go jak najprędzej opuścić.

Powiedziawszy to, brodacz wybuchnął gromkim śmiechem.

Kurt zachichotał i obrócił się dookoła, aby się rozejrzeć. Stali na podniebnej platformie, najwyżej położonym miejscu w promieniu wielu kilometrów. Zarys głębokiej doliny majaczył gdzieś na północnym wschodzie, a na zachodzie sterczały szczyty niższych gór.

– Ten reporter nie wie, co stracił - oświadczył Kurt. - Przypomina mi to pewne miejsce w Kolorado, nazywane Orlim Gniazdem.

– Był czas, kiedy mieszkały tu orły - odrzekł brodacz. - Dawno temu.

Kurt zauważył, że mężczyzna mówi po angielsku o wiele lepiej od Vargasa.

– Ponieważ nie ma tu nikogo innego, zakładam, że rozmawiam z Urkiem - powiedział i wyciągnął rękę. - Nazywam się Kurt Austin.

Brodacz popatrzył na jego dłoń i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Jestem Urco - potwierdził, ale nawet nie drgnął. - Bardzo mi miło.

I znów Kurt musiał cofnąć dłoń.

– Macie tu jakiś problem z podawaniem ręki? A może to taki miejscowy zwyczaj, o którym nie słyszałem?

Urco pokręcił przecząco głową.

– Jakby to powiedzieć... boimy się zarazków.

– Doprawdy? - Kurt zdziwił się. - Mieszkacie w dziczy, drążycie w ziemi, odkopujecie zmarłych i boicie się zarazków?

– Wiem, że brzmi to dziwnie - odparł Urco - ale właśnie ci zmarli stanowią dla nas przestrogę, nakazującą zachowanie ostrożności. Te groty i komory grobowe to ostatnia twierdza ludu Chachapoya. Plemię to opierało się Inkom przez stulecia. Dało sobie radę nawet z konkwistadorami, po tym jak Pizarro wraz ze swymi stu sześćdziesięcioma ośmioma ludźmi pokonał Atahualpę i sześciotysięczną armię inkaskich wojowników. Niestety, ich następny wróg okazał się niezwyciężony.

– Zaraza? - spytał Kurt.

Urco kiwnął potakująco głową.

– Ospa. Spustoszyła osiedla, wybiła niemal wszystkich do nogi. Ci, którzy zostali, umarli, a uciekinierzy zabrali chorobę ze sobą i roznieśli ją po innych wioskach. Dotarłem do pism pewnego podróżnika, który po powrocie do osady liczącej dwa tysiące mieszkańców nie zastał nikogo żywego. Większość skonała w męczarniach, ich ciała całe były pokryte strupami. Inni pozabijali się nawzajem w walkach i pośród chaosu, który towarzyszył epidemii. Tak dzieje się zawsze, kiedy zaburzeniu ulega porządek społeczny.

Urco rozpostarł ramiona szerokim gestem.

– To miejsce należało do narodu, który zginął bezpowrotnie.

Kurt pokiwał głową. Znał ponurą statystykę. Europejskie choroby zdziesiątkowały Nowy Świat. Najbardziej dotknięta została Ameryka Południowa. Zdaniem wielu ekspertów, ospa, grypa i odra zmiotły z powierzchni ziemi dziewięćdziesiąt pięć procent rdzennej ludności.

– Kobiety i mężczyźni uczestniczący w tych wykopaliskach są potomkami ludu Chachapoya - ciągnął Urco. - Niektórzy niemal czystej krwi. Inni, podobnie jak ja, stanowią mieszankę genów europejskich i miejscowych. Tak naprawdę nie boimy się zarażenia, ale unikanie bezpośredniego kontaktu z obcymi ma nam przypominać, co stało się z naszymi przodkami.

– Zapewniam, że poddałem się wszystkim stosownym szczepieniom - powiedział Kurt.

Na sekundę Urco wlepił w niego zdumione spojrzenie, a potem wybuchnął śmiechem. Przywołał Kurta gestem dłoni i usiadł na skalnym występie wystającym z podłoża, który od biedy przypominał kształtem fotel, choć z

kamienia. Obok niego stał laptop. Od komputera biegł przewód, prowadzący do zewnętrznej anteny na krótkim maszcie, skierowanej niemal płasko na północny zachód.

Kurt rozpoznał typ anteny, stosowanej w komunikacji satelitarnej.

– Sprawdza pan skrzynkę mejlową?

– Owszem - przyznał Urco. - Satelita, z którego korzystamy, o tej porze roku znajduje się nisko nad samym horyzontem. Sygnał nie dociera do dna doliny, więc codziennie wjeżdżam na górę. Czasem nawet dwukrotnie w ciągu dnia. Mówię swoim robotnikom, że rozmawiam z bogami, a oni przypominają mi, żebym sprawdzał poziom naładowania baterii, bo inaczej bogowie mnie nie usłyszą.

– Organizacja robót robi spore wrażenie - zauważył Kurt. - Domyślam się, że te wszystkie liny są po to, aby uniknąć uszkodzenia stanowisk badawczych.

– Po części tak - potwierdził Urco. - To miejsce jest własnością peruwiańskiego rządu. Nie wolno nam postawić stopy w obrębie cmentarzyska, z czym akurat w pełni się zgadzam. W rezultacie musimy ograniczyć się do tego, co zdołamy zobaczyć z zewnątrz, a to oznacza balansowanie na linach na podobieństwo akrobatów. Przyznam, że to spore utrudnienie, zwłaszcza kiedy mocniej powieje, co zdarza się dość często. Ale z czasem można się przyzwyczaić.

Kurt przyjrzał się rozplanowaniu terenu. Trzy wysokie szczyty górujące nad doliną były jak segmenty postrzępionej korony. Wierzchołek każdego z nich przyozdabiała konstrukcja złożona z belek, lin i wielokrążków, takich samych jak ta, dzięki której znalazł się na górze. Sieć tworząca rodzaj rusztowania była przesunięta w stosunku do niego, a trzeci zestaw napiętych lin łączył ze sobą kolejne szczyty, najwyższy ze środkowym i środkowy z najniższym, z którego prowadziła jeszcze jedna lina na sam dół, do obozowiska.

Przypominało to Kurtowi zestawy lin zjazdowych, funkcjonujące jako atrakcje turystyczne w wielu miejscach na świecie.

– Wykorzystujecie te liny do przemieszczania się ze szczytu na szczyt - stwierdził.

– Tak - przyznał Urco. - Umożliwiają szybki dostęp z jednego wierzchołka na drugi, bez konieczności jazdy w dół i znów pod górę. Dzięki nim robię obchód dwukrotnie w ciągu dnia, sprawdzając przebieg prac. Oczywiście, jest to podróż w jedną stronę, bo pozostałe szczyty są niższe od tego. Tak czy inaczej, jest to dość emocjonujące.

– Wyobrażam sobie - zgodził się Kurt. - Chętnie sam bym spróbował.

– Ależ bardzo proszę - powiedział Urco. - Mam jednak wrażenie, że nie przyjechaliście tu, aby rozmawiać o wykopaliskach i linach zjazdowych.

– To prawda - przyznał Kurt. - Poszukuję pewnych informacji, ale nie jestem dziennikarzem. Pracuję dla amerykańskiej agencji rządowej o nazwie NUMA.

– Ach tak - odrzekł Urco. - Znam tę organizację.

– Doprawdy?

– Moje badania są zależne od dotacji, więc znam większość rządowych organizacji świata. W ciągu ostatnich dziesięciu lat występowałem o wsparcie do wszystkich ministerstw, wszystkich agencji we wszystkich krajach obu Ameryk. Przynajmniej tak mi się wydaje. Kilkakrotnie zwracałem się też o pomoc do NUMA. Niestety, niezmiennie spotykałem się z odmową.

– A to pech - mruknął Kurt.

Urco się roześmiał.

– Nie ma się czym martwić. To najzupełniej normalne w tym biznesie. Proszę mi jednak powiedzieć, dlaczego organizacja zajmująca się badaniem mórz interesuje się peruwiańskimi górami i ich mieszkańcami?

– To dość skomplikowane - odparł Kurt. - Zeszłej nocy wrzucił pan do sieci film z meteorem lecącym po niebie. Chcielibyśmy dowiedzieć się o tym czegoś więcej. Czy mogę się dowiedzieć, co pan widział? Co się właściwie wydarzyło? W którym kierunku pan patrzył?

– To było bardzo wczesnym rankiem - zaczął Urco. - Codziennie wstaję przed świtem. Wschód słońca to moja afirmacja. Tego ranka zamierzaliśmy filmować nowo odkrytą komorę grobową. Sprawdzałem stan baterii w kamerach. W pewnej chwili spojrzałem w górę i zobaczyłem światełko na niebie. W pierwszym odruchu pomyślałem, że to gwiazda, ale to coś poruszało się z ogromną prędkością. Trzymałem w ręku kamerę, więc skierowałem ją na to zjawisko i sfilmowałem. Po prostu szczęśliwy traf. Nie wiem nawet, czy obraz był ostry.

– Trochę niewyraźny - przyznał Kurt - ale całkiem dobry, zważywszy na okoliczności. Którędy leciało to coś?

Urco wskazał na północ.

– Pojawiło się tam, przecięło fragment nieba widoczny nad doliną i pomknęło na południe.

Odstęp czasowy pasował, ale trochę nie zgadzał się kierunek. Z drugiej strony Hiram przypuszczał, że Nighthawk mógł mieć uszkodzone prawe

skrzydło. To mogło być przyczyną zmiany kursu.

Kurt starał się ostrożnie dobierać słowa. Urco niewątpliwie odznaczał się wybitną inteligencją. Wyczuwało się w nim światowca, choć ludzie, z którymi pracował, byli stosunkowo prości. Kurt wiedział, że w kontakcie z taką indywidualnością mówienie prawdy daje lepsze wyniki niż nawet najstaranniej dopracowane kłamstwo.

– A gdybym powiedział, że to, co pan widział na niebie tego ranka, nie było meteorem?

Oblicze Urco ściągnęło się, na ogorzałej skórze pojawiły się zmarszczki, broda drgnęła, ale nie sposób było odczytać spod niej prawdziwego wyrazu jego twarzy.

– No cóż, musiałbym się z panem zgodzić - odparł. - Regularnie widujemy tu spadające gwiazdy. Nie oślepiają nas łuny żadnych miast. Opublikowałem ten film dla hecy, ale mimo upływu dnia nie mogłem przestać o tym myśleć. Przyznaję, że po zastanowieniu odniosłem wrażenie, że było to coś większego i bliższego. Leciało dość nisko nad ziemią.

– Też tak sądzę - przytaknął Kurt. - Najprawdopodobniej widział pan amerykański eksperymentalny pojazd kosmiczny, który zszedł z kursu po wejściu w atmosferę. Jesteśmy bardzo zainteresowani, a mówiąc „my”, mam na myśli NUMA i rząd Stanów Zjednoczonych, odnalezieniem miejsca jego upadku. Jeżeli pomoże nam pan, mogę obiecać z dużą dozą pewności, że już nigdy nie spotka się pan z odmową przyznania dotacji.

Urco pokiwał głową, jakby nad czymś się zastanawiał.

– Być może będziemy mogli sobie wzajemnie pomóc. Słyszał pan o mojej teorii?

– Niestety nie - odrzekł Kurt.

Urco nie wyglądał na urażonego.

– Nazwałem ją teorią fali cywilizacyjnej. Wywodzi się od poglądu, że żadna nowa forma życia nie może się w pełni rozwinąć, dopóki nie ustąpi ta, która obecnie dominuje. Ssaki, rządzące dziś tą planetą, przez pierwsze sto milionów lat swego istnienia były zaledwie płochliwymi gryzoniami. Przetrwały tylko dlatego, że majestatyczne dinozaury nie zwracały na nie uwagi. Ale po upadku meteorytu Chicxulub dinozaury w większości wyginęły. W mgnieniu oka nastąpiło wyrównanie szans, z lekkim wskazaniem na stworzenia niewielkich rozmiarów, stałocieplne i okryte futrem. Od tego okresu rozpoczęła się ekspansja ssaków.

Kurt przytaknął skinieniem głowy.

– Zgodnie z moją teorią zmiany cywilizacyjne rządzą się podobnymi zasadami. Nic nowego nie powstaje, dopóki nie zginie stara, dominująca siła. Zwykle następuje to na skutek niemożliwej do uniknięcia katastrofy.

– Na przykład jakiej?

– Jako człowiek morza zapewne słyszał pan o nagłym załamaniu się pochodzącej z Krety kultury minojskiej.

– Oczywiście - powiedział Kurt. - Po kilku wiekach dominacji w rejonie śródziemnomorskim wpływy Kreteńczyków osłabły na skutek fal tsunami, które spustoszyły ich wyspę po erupcji wulkanu na Santorynie.

– Istotnie - potwierdził Urco - choć przecież Kreteńczycy nie wyginęli w całości. Przetrwali jeszcze kilka stuleci, mimo że ich znaczenie zmalało. To właśnie było wyrównanie szans. Rozwinęły się inne cywilizacje z tego regionu, zwłaszcza kultura mykeńska. Nie doszłoby do tego, gdyby nie kataklizm.

Kurt ponownie skinął głową.

– Tu mamy do czynienia z podobnym zjawiskiem - kontynuował Urco. - Początkowo Chachapoya byli potężniejsi od Inków, ale z zewnątrz przyszła katastrofa, i to nie raz, lecz dwukrotnie.

Kurt uwielbiał ciekawe historie, więc nadstawił ucha.

– Jak do tego doszło? - spytał.

– Ostatecznego dzieła zniszczenia dokonała zaraza, ale na długo wcześniej lud Chachapoya stanął w obliczu innego kataklizmu. Jego świadectwa znajdzie pan w wodach Jeziora Kondorów, oddalonego o osiemdziesiąt kilometrów stąd.

Kurt pamiętał, że czytał o tym jeziorze na stronie internetowej Urca.

– Tam też znaleziono ślady kultury Chachapoya.

– To prawda - przytaknął Urco. - Liczne jaskinie i miejsca pochówku na okolicznych skalnych urwiskach. Wszyscy o tym wiedzą. Ale ja odkryłem coś innego. Dowody na istnienie wielkiego miasta w dolinie, które rozciągało się na całą jej szerokość i sięgało aż do podnóży okolicznych gór.

– Tego nie wiedziałem.

– Mało kto o tym słyszał - oznajmił Urco. - W murach tego miasta żyły tysiące mieszkańców, co czyni je jednym z największych ówczesnych skupisk ludzkich. Strzegła go silna kasta wojowników, wyposażona w najdoskonalszą broń w owych czasach. Proszę mi wierzyć, ci ludzie nie cofali się przed nikim.

Przez kilka stuleci Chachapoya panowali nad tym regionem, ściągając daninę od innych plemion. A potem doszło do katastrofy.

– Co się stało?

– Miasto zostało zbudowane na zamkniętym obszarze wśród gór. Wody dostarczały mieszkańcom śniegi topniejące na okolicznych szczytach oraz położone wyżej górskie jezioro. W VIII wieku nastąpiło potężne trzęsienie ziemi, na skutek którego cała zawartość jeziora w jednej chwili spłynęła w dół. Piętnastometrowa ściana wody runęła na miasto w środku nocy, niszcząc wszystko, co napotkała na swej drodze. Ludzie znaleźli się w pułapce. Ginęli tysiącami. To było jak potop, ale bez ostrzeżenia udzielonego Noemu przez Boga. Jak Pompeje, tyle że bez popiołów. Z nadejściem świtu nie pozostał kamień na kamieniu. Przepadły wielkie bogactwa, przepadli wojownicy. Zniknęło całe miasto. Królestwo Chachapoya, niezniszczalne jeszcze o zachodzie słońca, do rana przestało istnieć. Od tego czasu zaczął się stopniowy wzrost znaczenia Inków.

Kurt nie miał pojęcia, czy ta opowieść miała jakąkolwiek wartość historyczną, ale i tak zrobiła na nim ogromne wrażenie.

– Czy ktokolwiek przeżył ten kataklizm?

Kilkuset ludzi - odparł Urco. - Ci, którzy mieszkali na wyżej położonych terenach, w pobliżu gór. Próbowali odbudować świetność swej cywilizacji, ale zabrali się do tego inaczej. Zakładali swe siedziby wysoko w górach, drążyli groty w kamiennych urwiskach, zamiast stawiać domy w dolinach. Woleli zabezpieczyć się na wypadek przyszłych katastrof. Początkowo czynili to z potrzeby chwili, ale potem był to ich sposób na życie, ich religia. Stali się „ludźmi chmur".

– Trudno im się dziwić - zauważył Kurt.

– W rzeczy samej - powiedział Urco. - Kto zdołałby zasnąć w dolinie po przeżyciu czegoś takiego?

– Wygląda na to, że ma pan już wszystko opracowane - stwierdził Kurt. - Do czego więc mielibyśmy być panu potrzebni?

– Chcę, abyście pomogli mi to udowodnić.

– Poprzez zbadanie wód jeziora - domyślił się Kurt.

Urco kiwnął głową.

– Peruwiańskie władze udzieliły mi pozwolenia, ale odmówiły jakiejkolwiek pomocy i funduszy. Urzędnicy państwowi nie są zainteresowani umniejszaniem legendy potężnych Inków. Ja sam nie dysponuję środkami,

niezbędnymi do zorganizowania podwodnej ekspedycji, ale zapewniam pana, że na dnie jeziora znajduje się zatopione miasto, jakiego nigdy przedtem nie widziano.

Kurtowi spodobał się pomysł uczestnictwa w odkryciu, które zmieniłoby uznaną wiedzę historyczną, ale sam miał do załatwienia sprawę niecierpiącą zwłoki.

– Na pewno dałoby się coś zrobić. Jeśli pan mi pomoże, ja pomogę panu.

Urco skubnął swoją bujną brodę.

– Miałem nadzieję, że moglibyśmy to uczynić w odwrotnej kolejności.

– Naszym najpoważniejszym problemem jest czas - powiedział Kurt. - Muszę znaleźć ten zaginiony samolot, zanim zabiorę się do czegokolwiek innego. Niełatwo mi o tym mówić, ale dopóki go nie znajdziemy, wszystkim obecnym w tym miejscu może grozić poważne niebezpieczeństwo.

Urco przeszył go wzrokiem.

– Dlaczego mielibyśmy się czegokolwiek obawiać?

– Bo nie tylko NUMA poszukuje tego samolotu. Agenci z kilku innych krajów też chcą go znaleźć. Już kilkakrotnie próbowali zabić moją partnerkę i mnie. Ostatni raz kilka godzin temu, w drodze do tego miejsca.

– W drodze do tego miejsca? - Urco popatrzył na niego podejrzliwie.

– Chcieli nas zepchnąć w przepaść - wyjaśnił Kurt.

– Mogą nadal was śledzić.

– To niemożliwe, chyba że potrafią latać - uspokoił go Kurt. - Ale wkrótce mogą pojawić się inni. Przy czym nie są to ludzie, z którymi można dyskutować. Nie zawahają się przed użyciem tortur albo zabiciem wszystkich tu obecnych, aby tylko zdobyć to, czego chcą.

Urco westchnął i popatrzył w bok.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby to zrobili. Nawet z moich badań wynika, że w naszej naturze leży walka i zadawanie cierpienia. W jaki sposób możemy się ustrzec przed tymi ludźmi, jeśli wam pomożemy? Przecież tym bardziej będą skłonni do przemocy, wiedząc, że z wami współpracujemy.

– Ich nie obchodzi nic poza zaginionym samolotem - wyjaśnił Kurt. - Kiedy go stąd zabierzemy, nie będą mieli tu czego szukać. Zagrożenie zniknie.

Urco rozmyślał przez dłuższą chwilę nad słowami Kurta. Na koniec ponownie spojrzał mu w oczy.

– Gdy ścierają się potęgi, zawsze najbardziej cierpią prości ludzie. Lepiej zabierzcie to stąd i pozwólcie nam żyć w spokoju.

– Czy mam przez to rozumieć, że nam pan pomoże?

– Tak. Czego chcecie?

– Chcemy się tylko dowiedzieć, w którym dokładnie miejscu pan stał, filmując przelatujący obiekt. Gdy poznamy rzeczywiste położenie widocznych na filmie szczytów, będziemy mogli precyzyjnie określić kurs samolotu, a także z dużym prawdopodobieństwem obliczyć jego prędkość i wysokość lotu. Te dane pozwolą nam znaleźć miejsce jego upadku w kilka godzin i zabierzemy go stąd.

– A co potem?

– Dopilnuję, aby cały świat dowiedział się, że znaleźliśmy go w nienaruszonym stanie - obiecał Kurt. - Poinformuję także, gdzie go znaleźliśmy, aby każdy, kto zechce, trafił prosto na miejsce wypadku, omijając wasze wykopaliska.

Urco podrapał się po brodzie.

– Doskonale. W takim razie chętnie wam pomogę. Ale najpierw coś zjemy.

28.

Górska droga do La Jalca była zablokowana. Poskręcane szczątki mostu leżały na dnie kanionu, a sama droga została zasypana trzymetrową warstwą ziemi, żwiru i kamieni na skutek lawiny, która zeszła w wyniku niecelnego wystrzału z chińskiego granatnika.

Lawina zabiła także człowieka, który wystrzelił pocisk, ale Daiyu i Jian zdołali się uratować, schroniwszy się w tunelu. Teraz siedzieli w ciemnościach, czekając, aż opadnie duszący pył. Po pewnym czasie pod samym sklepieniem tunelu ujrzeli przesączające się światło.

– Wracajmy - zaproponował Jian. - W Cajamarce mamy śmigłowiec. Skontaktujemy się z dowództwem, wezwiemy wsparcie, polecimy do ruin i zaatakujemy ich z powietrza.

Daiyu pokręciła głową.

– Idziemy dalej - powiedziała stanowczo. - Nie będziemy się cofać. Jeśli utrzymamy dobre tempo marszu, dotrzemy do La Jalca około północy. Zaskoczymy ich we śnie.

– Straciliśmy przewagę. - Jian się nie poddawał. - Oddział szturmowy nie istnieje. Amerykanie wiedzą, że ich ścigamy.

– Na pewno myślą, że zginęliśmy, a to akurat działa na naszą korzyść - odparła Daiyu. - Pamiętaj, że mamy rozkaz, aby za wszelką cenę nie dopuścić to znalezienia Nighthawka przez Amerykanów. Jeśli wrócimy do Cajamarki, skontaktujemy się z generałem Zhangiem i zaczekamy na posiłki, to stracimy zbyt wiele czasu. Musimy działać. Bierz się do odgruzowania wyjścia z tunelu, a ja spakuję zaopatrzenie i broń.

Jian popatrzył na nią przeciągle, ale wykonał rozkaz. Wysiadł z samochodu, wspiął się na rumowisko i zaczął rozgrzebywać je gołymi rękami. Żwir ustępował łatwo, większe kamienie i odłamki skalne też poddawały się ogromnej sile jego ramion. Odrzucał je na bok z łatwością i wkrótce wydrążył korytarz, przez który mogli przecisnąć się na zewnątrz.

Wyszedł na otwartą przestrzeń pokryty pyłem od stóp do głów i odetchnął świeżym powietrzem. Za nim wydostała się Daiyu. Wręczyła mu jego plecak, a swój zarzuciła na ramiona. Zadarła głowę, szukając dogodnej drogi pod górę, a Jian podszedł do krawędzi urwiska. Wypatrywał samochodu.

– Daj sobie spokój - odwołała go. - Oni nie żyją.

Wiedział o tym, mimo to nie odwrócił wzroku. To musiał być długi upadek. Na dnie kanionu nie było śladu samochodu, widział tylko pochyłą stertę kamieni, pod którymi samochód został pogrzebany.

Kiedy Jian zaglądał w otchłań, Daiyu patrzyła w górę. Za sprawą złudzenia powodowanego przez ucho wewnętrzne na skutek odchylenia głowy w tył, zbocze wydawało się bardziej strome, niż było w rzeczywistości. Choć wiedziała o tym, nie mogła wyjść z podziwu, że Amerykanom udało się wjechać samochodem na górę bez wywrotki i stoczenia się w dół. Nie doceniła ich. Obiecała sobie drugi raz nie popełnić tego błędu.

– Gotowy? - zwróciła się do Jiana.

Skinął potakująco głową.

Wskazała mu coś w rodzaju ścieżki po prawej.

– Tędy powinno być łatwiej. Za mną.

Piesza wspinaczka okazała się bardziej niebezpieczna niż jazda pod górę samochodem. Drogę zastępowały im cierniste krzewy i wysokogórskie kaktusy, drapiąc ich bezlitośnie. Obluzowane kamienie groziły skręceniem kostki i zsunięciem się po zboczu. Powietrze na wysokości niemal trzech tysięcy metrów było rzadkie, przyprawiało ich o zawroty głowy. Dotarli do biegnącej wyżej drogi podrapani, pokrwawieni i zdyszani.

Daiyu stanęła z rękami wspartymi na biodrach. Mimo panującego chłodu pociła się w słońcu.

– Odpocznij chwilę - powiedziała. Wypiła łyk wody i podała butelkę Jianowi. - Pójdę kawałek do przodu, żeby się rozejrzeć.

Jian przyssał się do butelki, a ona ruszyła wolnym krokiem wzdłuż drogi, która nadal pięła się w górę i skręcała w lewo. Za zakrętem było już płasko. Znajdowali się niemal na szczycie. Przed nimi rozciągał się płaskowyż.

Przystanęła, by zaczekać na Jiana, i usłyszała daleki odgłos pracującego silnika. Zmrużyła oczy, patrząc pod popołudniowe słońce. Zauważyła niewielką furgonetkę zmierzającą w ich kierunku. Była stara i zdezelowana. Zapewne od wielu łat pracowicie przemierzała górskie drogi. Pochylone na jedną stronę nadwozie tu i ówdzie przerdzewiało na wylot, a z rury

wydechowej buchał dym, ciągnąc się czarną smugą za wlokącą się landarą. Mimo wszystko było to o niebo lepsze od długiego marszu na piechotę.

Pomachała ręką, żeby ją zatrzymać.

Z długimi włosami upiętymi w koński ogon i plecakiem na ramionach wyglądała jak zwykła turystka.

Auto zatrzymało się, opadła szyba po stronie pasażera. Ciemnoskóry mężczyzna z burzą czarnych włosów zmierzył ją wzrokiem. Drugi, podobny do niego, siedział za kierownicą. Obaj wyglądali na miejscowych.

– Wszystko w porządku? - spytał pasażer po hiszpańsku.

– Nie bardzo. Potrzebuję pomocy - odpowiedziała w tym samym języku. - Most się zawalił. Chyba było trzęsienie ziemi, bo zeszła też lawina.

Mężczyźni popatrzyli w dół przez przednią szybę. U stóp zbocza ujrzeli skalne rumowisko, a obok pustą przestrzeń w miejscu, gdzie powinien być most. Nie mieli szans zauważyć, jak Daiyu wyciąga pistolet z kieszeni kurtki.

Zanim zdołali zareagować, trzykrotnie nacisnęła spust i wpakowała wszystkie trzy kule w pasażera. Otworzyła drzwi i wyciągnęła go na zewnątrz. Upadł na ziemię u jej stóp, a kierowca uniósł obie ręce w górę.

– Wysiadaj - rozkazała.

Trzęsącą się dłonią sięgnął do klamki, otworzył drzwi i pospiesznie wyskoczył z furgonetki. Nie zdało się to na nic. Daiyu wpakowała mu kulę prosto w głowę. Zginął na miejscu.

Do czasu nadejścia Jiana zdążyła zaciągnąć obu martwych mężczyzn na skraj drogi i zepchnąć ich w dół. Ciała początkowo turlały się, a potem ześliznęły się bezwładnie i zatrzymały na kępie krzewów w połowie stoku.

– Nie musiałaś ich zabijać - powiedział Jian. - Mogli się nam przydać, choćby jako źródło informacji.

Daiyu schowała pistolet.

– Krępowanie ich i przesłuchiwanie byłoby tylko stratą czasu - odrzekła. - A gdybyśmy zostawili tych dwóch żywych, ktoś mógłby ich zauważyć i uwolnić.

Usiadła za kierownicą, a Jian zajął miejsce pasażera. Zawróciła ostrożnie na wąskiej drodze i po chwili furgonetka potoczyła się z powrotem do La Jalca.

Liche auto wlokło się pod górę, nie przekraczając trzydziestu kilometrów na godzinę, ale kiedy wyjechali na płaski teren, zdołało się rozpędzić niemal do sześćdziesiątki.

Daiyu zerknęła na zegarek. Zamiast o północy, powinni dotrzeć do La Jalca przed zmierzchem. Wreszcie ostatecznie rozprawią się z Amerykanami.

29.
Cajamarca, Peru

Ulice Cajamarki były zimne i mokre. Po krótkiej fali deszczów pozostało błoto w rynsztokach i wszechobecne kałuże. W górach deszcz zawsze jest zimny. Wilgoć przenikała aż do kości. Z dwojga złego Gamay i Paul woleliby, żeby spadł śnieg.

Idąc chodnikiem, Paul zapiął szczelnie kurtkę i postawił kołnierz.

– Chyba ktoś nas śledzi - szepnął.

– Człowiek w kolorowym poncho - potwierdziła Gamay. - Widziałam go już trzy razy od wyjścia z lotniska.

To był dobry sposób na wtopienie się w otoczenie, bo wielu mieszkańców Cajamarki nosiło poncho w chłodne miesiące, ale to poncho miało unikalny wzór, a Gamay i Paul mieli wyczucie, jeśli chodzi o szczegóły ubioru.

Paul przyjrzał się odbiciu podejrzanego mężczyzny w oknie wystawowym i kiwnął głową. Wzór ten sam, te same obszyte futrem buty. Ten sam człowiek.

– Co powiesz na to, abyśmy zeszli z głównej ulicy? - zaproponował.

– Jeżeli w efekcie trafimy gdzieś, gdzie będzie cieplej...

– Może tam? - Paul wskazał niepozorna budkę z krzykliwą witryną kafejki internetowej.

– Silna Java, jeszcze silniejszy Internet, wideo w jakości 4K. - Gamay przeczytała napis na szyldzie. - Wchodzimy.

Wewnątrz stanęli przy oknie i widzieli, jak mężczyzna mija kafejkę, aby po chwili wrócić. Jednak nie wszedł za nimi, lecz usiadł na przystanku po przeciwnej stronie ulicy. Najwyraźniej miał ich tylko obserwować.

Paulowi to wystarczyło. Weszli w głąb wąskiego pomieszczenia. Przynajmniej było tu ciepło.

Lokal był zatłoczony. Ekspres do kawy, komputery i siedzący przy nich młodzi ludzie, wszystko to powodowało nieustanny gwar. Znaleźli wolne stanowisko z dobrym dostępem zarówno do frontowych, jak i do tylnych drzwi, zalogowali się na komputerze i przez kilka minut surfowali po sieci.

– Myślisz, że nasz przyjaciel spróbuje się tu wkrótce wśliznąć? - spytał Paul.

– Wątpię, ale jeśli to zrobi, na pewno go zobaczymy.

– No to ja idę zadzwonić.

Wstał od pulpitu, poszukał wejścia na dach i wspiął się po szczeblach. Wyjrzał przez uchyloną klapę, wyszedł na zewnątrz i ostrożnie opuścił klapę. Nie szukał drogi ucieczki, chodziło mu o niezakłócony widok na niebo.

Centrala NUMA połączyła go z Hiramem Yaegerem. Paul, po usłyszeniu głosu Hirama, od razu przeszedł do rzeczy.

– Kurt chce, żebyście wraz z Priyą włamali się do bazy danych NSA.

Hiram Yaeger był najmniej zdyscyplinowanym spośród wszystkich pracowników NUMA. Świadczyły o tym między innymi jego długie włosy i wybitnie nieformalny strój, w którym zwykł przychodzić do pracy. Tym bardziej zaskoczyły go słowa, wypowiedziane przez jednego z największych służbistów w firmie.

– Kim jesteś? - spytał. - I co zrobiłeś z Paulem?

– Bardzo zabawne - odrzekł Paul. - Ale teraz mówię poważnie. Kurt ma powody przypuszczać, że za Nighthawkiem i jego misją kryje się jakaś grubsza tajemnica. Są to mocne powody, więc skoro właśnie on ryzykuje życie...

Najwyraźniej rozmowa była przełączona na głośnik, bo Priya weszła mu w słowo.

– Nie jestem ekspertką w tej materii, ale czy takie metody nie są niewłaściwe... a nawet nielegalne?

– Powiedzmy, że nie są zalecane - zgodził się z nią częściowo Hiram. - Mimo to zdarzało się nam robić takie rzeczy wcześniej i skończyło się na symbolicznym daniu nam po łapach.

– Widocznie NSA nie jest taka straszna, jak ją malują - stwierdziła Priya.

– Być może miał z tym coś wspólnego fakt, że dzięki uzyskanym informacjom zapobiegliśmy ogólnoświatowej katastrofie - wtrącił Paul.

– Dobrze wiesz, że ja nie mam żadnych oporów - powiedział Hiram - ale zostaliśmy ostrzeżeni. Może lepiej zwrócić się z tym do Rudiego albo Dirka?

– Żeby pozbawić ich wiarygodnej możliwości zaprzeczenia?

– Słuszna uwaga - przyznał Hiram. - Dobra. Zobaczymy, co da się zrobić.

Paul wiedział, że może uważać sprawę za załatwioną.

– Kurt chciałby otrzymać te informacje jak najprędzej. Najlepiej zanim ta romantyczna niedzielna wycieczka nie wykończy go do reszty.

Hiram obiecał, że się postarają, i rozmowa została zakończona. Paul rozejrzał się dokoła i spostrzegł wielką wronę, która przypatrywała mu się z drugiego końca dachu.

– Dzięki Bogu, że nie jesteś papugą - powiedział.

Wrona zakrakała, rozpostarła skrzydła i odleciała na południe, a on zszedł na dół, do przytulnego wnętrza kafejki.

– Udało ci się połączyć? - spytała Gamay.

Kiwnął twierdząco głową i sprawdził godzinę na ściennym zegarze.

– Joe dociągnie tu dopiero za kilka godzin.

Gamay zdążyła kupić sobie miskę parującej zupy i czapkę z alpaki.

– No cóż - westchnęła, poprawiając się na krześle i przebierając palcami po klawiaturze. - Wygląda na to, że ta kafejka będzie na razie naszym domem.

* * *

Tymczasem w Waszyngtonie pozostawieni samym sobie Priya i Hiram omawiali szczegóły hakerskiego planu.

– Mniejsza o to, czy powinniśmy to robić, czy nie - powiedziała Priya. - Ważniejsze pytanie brzmi: jak się do tego zabrać?

– Nie boisz się? - spytał Hiram.

– W najgorszym wypadku deportują mnie z powrotem do starej dobrej Anglii. A ponieważ nie da się całej winy zrzucić na mnie, ciebie i Rudiego wsadzą do paki.

– Mało prawdopodobne - odparł Hiram. - Ale czeka nas niełatwe zadane. Za każdym razem, gdy Max i ja włamywaliśmy się do zasobów NSA, agencja w odpowiedzi podwyższała poziom zabezpieczeń. Mają teraz całkiem przyzwoitą ochronę.

– Zawsze możemy zastosować metodę „brute force attack” - wtrąciła się Max.

Hiram przewrócił oczami. Czynił to dość często, rozmawiając z Max.

– Spróbujmy raczej czegoś, co nie kojarzy się z hordami Dżyngis-chana.

– Co prawda NSA zbudowała Nighthawka w ścisłej tajemnicy, ale jego projekt nie był w stu procentach oryginalny - powiedziała Priya, już od dłuższej chwili przebierając palcami po klawiaturze swojego komputera. - Zasadnicze elementy konstrukcji zostały zapożyczone z promów kosmicznych i prototypowego X-37. Emily Townsend wspominała nawet, że w Nighthawku

wykorzystano niektóre części zamienne z X-37. Skoro tak, to na etapie jego projektowania i budowy powinna funkcjonować wymiana danych pomiędzy obydwoma agencjami. A to oznacza, że zamiast do NSA, możemy spróbować włamać się do NASA.

– Świetny pomysł - pochwalił ją Hiram.

– Bardziej podobałoby mi się słówko „genialny”.

– Już dobrze, niech będzie „genialny” - odparł Hiram. - W celu ścisłej współpracy z NASA, nasi przyjaciele z NSA zapewne zestawili bezpieczne i uwierzytelnione połączenie z ich siecią. Jeżeli zrobimy tak, jak mówisz, i najpierw dostaniemy się do NASA, będziemy mogli przeniknąć do komputerów NSA, korzystając z tego tylnego wejścia, a w dodatku będzie to dla nich wyglądało tak, jakby wymieniali dane z Centrum Lotów Kosmicznych imienia Johnsona.

– Prawdopodobieństwo powodzenia tego planu oceniam na siedemdziesiąt trzy procent - ponownie wtrąciła się Max. - Ponadto, jeżeli nawet wykryją włamanie, to idąc po śladach, trafią najpierw do NASA, co da nam więcej czasu na ucieczkę.

– Nie masz nóg, więc daleko nie uciekniesz - zauważył Hiram. - Obawiam się, że za karę wyślą cię do przetopu.

– Mógłbyś zamontować mi kółka - podsunęła Max. - Takie jak ma doktor Kashmir.

Skonsternowany Hiram na moment zapomniał języka w gębie, ale Priya wybuchnęła śmiechem.

– Uwierz mi, Max, posiadanie kółek wcale nie jest takie rajcowne, jak mogłoby się wydawać.

Teraz Hiram też się roześmiał.

– Wiesz co, Max? Kwestię twojej mobilności omówimy sobie innym razem. Teraz spróbujemy włamać się do sieci centrum lotów kosmicznych i zobaczymy, czy jego komputery nadal gadają sobie z tymi z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa.

Uzyskanie dostępu zajęło im ponad pół dnia. Priya i Max musiały najpierw spenetrować systemy z Przylądka Kennedy’ego i Jet Propulsion Laboratory, zanim odkryły łącze prowadzące do bazy danych NSA. Wkrótce potem ściągnęły pokaźną ilość danych, dotyczących konstrukcji Nighthawka, próbnych lotów i parametrów misji.

Pryia i Hiram próbowali przeglądać uzyskane materiały, ale gdy okazało

się, że liczą one sobie ponad tysiąc stron, zdali się na Max, która zaczęła porządkować dane pod kątem ich ważności.

Max jeszcze nie skończyła selekcji, kiedy Pryia wzięła się do studiowania dokumentacji technicznej Nighthawka.

– Spójrz na to. - Gestem dłoni przywołała Hirama do swojego stanowiska.

Hiram zerknął na obraz wyświetlony na ekranie jej komputera.

– To są kopie planów i szczegóły konstrukcji X-37, a to rysunki techniczne Nighthawka. Dostrzegasz coś ciekawego?

Hiram zdjął okulary, przetarł je miękką szmatką i założył z powrotem.

– Są bardzo podobne do siebie. Niemal identyczne.

– Różnią się tylko wymiarami. Jeśli powiększyć oryginały i nałożyć je na siebie, zgadzają się co do joty. Jednakowy silnik, jednakowy system nawigacyjny, jednakowa osłona termiczna. Poza dodatkową warstwą, chroniącą przed wykryciem radarem, która zresztą ulega spaleniu podczas powrotnego wejścia w atmosferę, osłona termiczna nie różni się zbytnio od systemu płytek, stosowanego w latach osiemdziesiątych na promach kosmicznych.

– Nie ma śladu najnowszych technologii, o które podnieśli cały raban - stwierdził Hiram. - Nie licząc drobiazgów, to po prostu nowszy model tego samego pojazdu.

Wstał i spytał Max:

– Jesteś pewna, że oglądamy autentyczne plany?

– Potwierdzam - odpowiedziała Max.

– W jakim stopniu?

– Prawdopodobieństwo, że oglądacie plany pojazdu, który odbył lot w przestrzeni kosmicznej, a teraz jest poszukiwany w Ameryce Południowej, wynosi dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięćdziesiąt osiem setnych procent.

– Całkiem sporo - przyznała Priya.

Hiram przytaknął.

– Tylko że to jest całkowicie pozbawione sensu. Rosjanie podejmują ogromne ryzyko, żeby go przejąć. Ujawniają utrzymywany dotąd w ścisłej tajemnicy zmodyfikowany okręt podwodny typu Tajfun, próbując wydobyć wrak Nighthawka z rzekomego miejsca jego upadku, i wraz z Chińczykami są gotowi zaryzykować wybuch wojny, byle tylko go znaleźć.

– Biorąc pod uwagę zamachy na Kurta i panią Townsend, pierwsze potyczki

mamy już za sobą - dodała Priya.

Hiram kiwnął głową. Jeszcze raz przyjrzał się planom, przy czym zwrócił szczególną uwagę na właściwości napędu i szczegóły konstrukcji kadłuba.

– Jeśli nie chodzi im o sam pojazd, to musi być coś innego. Być może związanego z zadaniem, jakie wykonywał.

– Czyżby miał zdjąć z orbity jednego z naszych satelitów szpiegowskich? A może raczej któregoś z ich satelitów?

– Może po jednym z obu tych krajów. To by wyjaśniało, dlaczego ich tak przypiliło.

– Powinniśmy sprawdzić jego trajektorię lotu - podsunęła Priya.

– Max, co możesz mi powiedzieć o profilu misji Nighthawka?

Głos komputera rozległ się natychmiast.

– NSA wystrzeliła Nighthawka z Vandenberg za pomocą zmodyfikowanej rakiety Titan. Pojazd wszedł na orbitę okołobiegunową i pozostawał na niej przez większą część trwania lotu. Za pierwszym razem siedemdziesiąt pięć dni, za drugim osiemset pięćdziesiąt jeden.

– Wygląda na to, że dysponujemy dużo większą ilością danych na temat pierwszej misji niż drugiej. Czy coś przed nami ukrywasz?

– Misja numer jeden została zakwalifikowana jako próbna - odpowiedziała Max. - Danymi dotyczącymi wszystkich faz lotu podzielono się z NASA. Misja numer dwa to lot operacyjny. Ściśle tajny. Ujawniono tylko dane przedstartowe i trajektorię lotu orbitalnego.

– Czy możesz porównać ją z trajektorią znanych satelitów?

Nastąpiła krótka pauza, niezwykła dla Max, zważywszy na jej prędkość przetwarzania danych.

– Nighthawk wykonał czternaście tysięcy sześćset dwadzieścia pięć pełnych okrążeń Ziemi oraz jedno częściowe przed wejściem w atmosferę. Ani razu nie znalazł się w pobliżu żadnego ze znanych satelitów. Z dostępnych danych wynika, że wykonywał wręcz manewry w celu uniknięcia jakiejkolwiek zbieżności orbit.

– Czy jest coś niezwykłego w jego trajektorii?

– Przez dziewięćdziesiąt jeden procent czasu spędzonego w przestrzeni kosmicznej Nighthawk pozostawał w cieniu Ziemi.

– A więc Nighthawk trzymał się w ukryciu - stwierdził Hiram. - Trudno schwytać jakiegokolwiek satelitę, chowając się w ciemnościach i unikając ich jak zarazy.

– Nie sądzę, aby jego zadaniem miało być ściąganie satelitów z orbity - powiedziała Priya. - Nawet gdyby jakiegoś schwytał, nie zdołałby go przewieźć na Ziemię. Popatrz na to. Na kopiach rysunków technicznych przedział ładunkowy jest zaznaczony jako pusta przestrzeń. Natomiast na schematach przedstawiających konfigurację startową jest on w całości wypełniony sprzętem.

Coraz bardziej zaintrygowany Hiram przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej.

– Co to za sprzęt?

– Zasobniki kriogeniczne, udoskonalone akumulatory litowe i zestaw urządzeń zwanych pułapkami Penninga, które najwyraźniej zawierają potężne magnesy, bo przedział systemów sterowania oraz komora silnikowa zostały elektromagnetycznie ekranowane w celu uniknięcia zakłóceń magnetycznych.

– Pułapki Penninga - powtórzył Hiram, próbując przypomnieć sobie, przy jakiej okazji słyszał tę nazwę.

– Według schematu zajmują cały przedział ładunkowy.

Hiram kiwnął głową, po czym nagle spochmurniał. Powoli docierało do niego, o co mogło w tym wszystkim chodzić, i bardzo mu się to nie podobało.

– Max, czy da się powiązać trajektorię Nighthawka z występowaniem północnej zorzy polarnej?

– Potwierdzam - powiedziała Max. - Nighthawk znajdował się na północnej orbicie okołobiegunowej podczas wszystkich większych rozbłysków *aurora borealis*. Był także nad biegunem południowym podczas większych i mniejszych rozbłysków *aurora australis*, zwanej południową zorzą polarną. Jego pozycjonowanie wskazuje na bezpośrednie przejście przez punkty konwergencji ziemskiego pola magnetycznego.

– Punkty konwergencji? Co to takiego? - spytała Priya.

– Miejsca nad biegunem północnym i południowym, w których występuje zagęszczenie linii pola magnetycznego Ziemi.

Teraz Priya usłyszała wyraźnie złowrogie tony w jego głosie.

– Wiesz już, co oni robili?

– Sprawdzali pewną teorię - odpowiedział. - Bardzo niebezpieczną teorię.

Jeszcze raz popatrzyła na schemat, przesuwając palcami po odwzorowaniu pułapek Penninga. Sama nazwa tych urządzeń podsunęła jej właściwą odpowiedź.

– Oni coś przywieźli na Ziemię, prawda?

– Obawiam się, że tak - przytaknął Hiram. - Coś o wiele bardziej niebezpiecznego od jakiegokolwiek satelity.

30.
Kanion La Jalca
Ruiny górskiej fortecy ludu Chachapoya

O zmierzchu rozgorzały kuchenne paleniska, a na kilku długich drewnianych stołach nakryto do wspólnego posiłku. Urco przedstawił Emmę i Kurta reszcie ochotników i stwierdził, że to dzięki ich obecności kolacja nabrała bardziej uroczystego charakteru.

Przed podaniem jedzenia Urco wezwał swoich ludzi do tradycyjnej modlitwy.

– To modlitwa ludu Chachapoya - wyjaśnił. - Przestrzega nas, abyśmy nie zaczynali uczty przed zaproszeniem przybyłych gości.

– Kolejny sposób upamiętnienia ludzi, których świat wydobywacie z mroków niepamięci? - spytała Emma.

– Tak - odrzekł Urco. - Co więcej, my nawet żyjemy podobnie jak oni. W dawnych czasach handel nie był tak rozpowszechniony jak dzisiaj. Każda społeczność, każda wioska musiała być samowystarczalna. My też jesteśmy. Łapiemy deszczówkę do beczek, uprawiamy maniok w południowej części doliny. Mamy też zagrodę dla lam.

– Przemiłe zwierzęta - stwierdziła Emma.

– Na twoim miejscu za bardzo bym się do nich nie przywiązywał - szepnął Kurt.

– Dlaczego?

– Bo zaraz będziesz jeść jedno z nich.

Przez moment wyglądała, jakby zrobiło się jej niedobrze.

– Nie możecie być całkowicie samowystarczalni - powiedział Kurt.

Urco nie zgodził się z nim.

– Zapewniam, że jesteśmy. Tak samo jak okoliczne wioski i ochotnicy, którzy z nich pochodzą. Reszta cywilizacji mogłaby przestać istnieć, a my nawet byśmy tego nie zauważyli.

– Potrafię zrozumieć potrzebę takiego życia - rzekła Emma. - Jednak czy nie

lepiej byłoby cały ten wysiłek, włożony w uprawę zbóż i hodowlę zwierząt, spożytkować na pracę przy wykopaliskach? Gdybyście korzystali z dostaw żywności, moglibyście więcej ludzi skierować do innych obowiązków.

– Droga do cywilizacji jest długa i zdradliwa - odparł Urco. - Zarówno w sensie dosłownym, jak i w przenośni. Będąc samowystarczalnymi, nie jesteśmy w żaden sposób uzależnieni od tej drogi. Zwłaszcza że jak słyszałem, właśnie została zamknięta...

Kurt się roześmiał i napił się wody.

Chwilę później podano jedzenie: chleb z mąki maniokowej, pokrojone w kostkę lokalne warzywa i mięso, przypominające sarninę.

– Smacznego, przyjaciele. Jak skończymy, pokażę wam to, po co tu przyszliście.

Kurt kiwnął głową, kryjąc zniecierpliwienie, i przystąpił do pałaszowania smacznego i niezwykłego posiłku. Kiedy wszystkie miski zostały wymiecione do czysta, Emma i Kurt wrócili do rangę rovera po kilka rzeczy, których mogli potrzebować, i dołączyli do Urca, stojącego obok baterii paneli słonecznych.

– Wykorzystujemy je do zasilania nowoczesnego sprzętu.

– A więc jesteście niezależni od cywilizacji, za to podporządkowani słońcu - zauważyła Emma.

– To prawda - przytaknął Urco. - Z tym, że słońce jest daleko bardziej godne zaufania. Pięć miliardów lat i wciąż funkcjonuje bez zarzutu. Coś mi mówi, że współczesna cywilizacja nie ma szans mu dorównać.

– Rozumiem, że stojąc właśnie w tym miejscu, ujrzał pan światło na niebie - upewnił się Kurt.

– Tak - potwierdził Urco. - Przyszedłem tu ścieżką z namiotu, po drodze sprawdzałem latarki. Tego dnia mieliśmy badać nowo odkrytą grotę, więc koniecznie potrzebowaliśmy niezawodnego źródła światła. Akumulatory latarek były pełne, wobec tego podszedłem do stanowiska, gdzie podłączamy kamery do ładowarek.

Poprowadził ich do stojaka, na którym umocowano kamery, podpięte przewodami do zasilaczy.

– Wziąłem do ręki tę - powiedział, ujmując jedną z kamer. - Włączyłem i czekałem. Kiedy się uruchomiła, ujrzałem błysk na niebie. Po chwili zorientowałem się, że to nie gwiazda, uniosłem kamerę i zacząłem filmować.

Uniósł kamerę do twarzy i zademonstrował, jak prowadził ognisty obiekt w kadrze.

– To poruszało się z północy na południe - tłumaczył, zataczając palcami łuk. - Zniknęło za tymi szczytami.

– Czy coś pan wtedy słyszał? - spytała Emma.

– Nic - zaprzeczył Urco. - Możecie to sprawdzić. Na filmie nagrały się jedynie moje pomruki i sapanie.

Kurt patrzył w niebo, czarne i usiane gwiazdami. Zaczynała się pierwsza kwadra. Lekka księżycowa poświata pozwalała im dostrzec kontury szczytów.

– Bierzmy się do roboty - zakomenderował.

Emma postawiła laptop na pobliskim stole i zaczęła stukać w klawisze.

– Czy możesz rozłożyć statyw?

Kurt rozsunął nogi aluminiowego statywu.

– Proszę dokładnie wskazać miejsce, w którym pan stał.

– Gdzieś tutaj - odparł Urco, przesunąwszy się o ponad metr w prawo.

Kurt rozstawił statyw i zamocował kamerę w uchwycie, podciągając ją do poziomu oczu Urca. Następnie kablem HDMI połączył kamerę z komputerem Emmy i uruchomił.

– Gotowe.

Emma kiwnęła głową i nadal stukała w klawiaturę. Kurt stanął za nią i widział, jak odtwarza oryginalny film, zatrzymując go w kilku miejscach. Kiedy się skończył, odtworzyła go ponownie od początku.

– Potrzebna mi dokładna odległość stąd do tego szczytu - powiedziała, wręczając Kurtowi laserowy dalmierz.

Włączył go i skierował na postrzępiony wierzchołek góry. Po chwili pojawił się wynik.

– Dwieście dwadzieścia pięć i pół metra.

Wprowadziła liczbę do komputera i na ekranie pojawiły się dwa zarysy szczytów: jeden z filmu nakręconego przez Urca, a drugi z ich kamery. Na jej polecenie kamera przesunęła się w lewo, potem w prawo i jeszcze raz w lewo. Emma nacisnęła klawisz ze strzałką w górę i kamera minimalnie zmieniła nachylenie. Komputer ściągnął skorygowane ujęcie i dostroił oba obrazy tak, że zarysy szczytów nałożyły się idealnie na siebie.

– Jesteśmy w domu.

Teraz jednym naciśnięciem klawisza Emma otrzymała kurs obiektu, którym przypuszczalnie był Nighthawk.

– A co z prędkością i wysokością lotu? - spytał Kurt.

– Do tego potrzebny będzie nowy profil zniżania, nad którym pracuje twój

przyjaciel Hiram.

Emma spróbowała nawiązać połączenie satelitarne, ale bez skutku.

– Jesteśmy w górach - powiedział Urco. - Będzie pani musiała dostać się na szczyt.

– Mam się dać tam wciągnąć na tych linach?

– To jedyny sposób, by złapać sygnał - wyjaśnił Urco. - Jak się pani zapatruje na nocny wjazd?

Emma westchnęła zrezygnowana.

– To jeszcze gorsze niż za dnia.

* * *

Daiyu, ukryta w takich samych kolczastych zaroślach, jakie wcześniej podrapały im skórę, patrzyła na Kurta przez lornetkę. Rozmawiał z kobietą i brodatym mężczyzną. Skupiła się na ustach, próbując z nich odczytać, o czym mówią.

– Co robią? - spytał Jian.

– Coś obliczają - odrzekła. - Próbują wyznaczyć kurs Nighthawka na podstawie tego filmu z Internetu.

– My powinniśmy to zrobić - powiedział Jian.

Dotarli na miejsce tuż po zachodzie słońca. Zostawili furgonetkę na jakimś polu i resztę drogi przebyli pieszo. Zapoznali się z układem obozowiska i zastanawiali się właśnie, jak dopaść Amerykanów bez konieczności przebijania się przez czterdziestoosobową grupę peruwiańskich kobiet i mężczyzn, tworzących ekipę archeologów.

– Kobieta próbuje nawiązać łączność satelitarną - powiedziała Daiyu, czytając z ruchu warg Emmy - ale sygnał nie dociera do doliny. Będą musieli wejść wyżej.

Odłożyła lunetę i spojrzała na Jiana.

– To nasza szansa. Musimy zdobyć jej komputer.

31.

Urco poprowadził Kurta i Emmę do podnóża drugiego szczytu i zagwizdał donośnie, by przywołać swoich ludzi na górze.

– Pojadę pierwszy - powiedział, zapinając uprząż. Gdy po chwili jego sylwetka rozpłynęła się w ciemności, Kurt zwrócił się do Emmy:

– Nie musisz tam wchodzić. Prześlę ci dane na dół.

– Nie mogłabym sobie wybaczyć, że stchórzyłam - stwierdziła, kręcąc przecząco głową.

– W takim razie pomyśl o tym, że w tej ciemności nie będziesz nawet widzieć, jak wysoko się znajdujesz.

– To wcale nie pomaga - odparła.

Urco puścił w ich stronę dwa krótkie błyski latarki na znak, że jest już na miejscu. Po chwili z góry zjechała uprząż.

– Gotowa?

Emma odetchnęła głęboko i pokiwała głową.

– Trzymaj - powiedziała, oddając mu laptop. - Mnie już trzęsą się ręce, a nie chcemy go upuścić.

Kurt przejął komputer, a tymczasem jego towarzyszka zapięła uprząż wokół ciała i uniosła kciuk do góry na znak, że jest gotowa.

– Ostatnie piętro, proszę!

Lina pociągnęła ją w wiszącą nad nim ciemność. Emma, lżejsza od archeologa, znikła o wiele szybciej od niego. Dla Kurta wyglądało to tak, jakby nagle postanowiła pochwalić się skrzętnie skrywaną umiejętnością latania.

Po kilku chwilach przyszła wreszcie i jego kolej. Zapiąwszy zabezpieczenie, jedną rękę zacisnął mocno na linie, a w drugiej trzymał pewnie komputer. Gdy znalazł się w powietrzu, obrócił głowę, by rozejrzeć się po obozowisku. Dostrzegał jedynie płonące w samym środku spore ognisko i kilka przyćmionych punktów świetlnych tu i tam.

Uniósł głowę. Konstrukcję dźwigu omiatała wątła wiązka światła z latarek

Emmy i Urca, co przywodziło mu na myśl niewyraźny zarys zawieszonej wysoko nad nim łodzi, do której płynął po nocnej sesji nurkowania.

Gdy był już blisko szczytu, promienie światła skupiły się na nim. W tym miejscu drabina nie była potrzebna, bo gdy lina ściągnęła go do końca, jego stopy znalazły się dokładnie na wysokości szerokiej, drewnianej platformy, na którą wszedł samodzielnie bez żadnych trudności. Szybko zdjął uprząż i oddał Emmie laptop.

– Może trzeba było umówić się z tym dziennikarzem w tym miejscu - nawiązał do wcześniejszej anegdoty Urca.

– Wtedy już nigdy bym się go nie pozbył - odparł archeolog.

– Bardzo relaksująca przejażdżka - stwierdziła Emma. - Zupełnie nie wiem, czemu się tak martwiłeś.

Kurt zaśmiał się pogodnie i rozejrzał dokoła. Szczyt nie przypominał miejsca, w którym po raz pierwszy spotkał się z Urkiem. Po pierwsze, był dużo węższy, miał powierzchnię co najwyżej sporej sali balowej, a nie boiska do futbolu. Widać tu też było wyraźne ślady ludzkiej ingerencji: niemal całe podłoże zostało wyłożone zbitymi razem drewnianymi deskami. Odrobina ziemi wystawała jeszcze zza skraju platformy, która była tak stroma, że stawanie zbyt blisko krawędzi groziło ześlizgnięciem się w przepaść.

Na prawo od Kurta znajdowały się dwie plastikowe skrzynki, przybite na stałe do platformy, a po jego lewej stronie wznosił się solidnie umocowany wspornik dla lin łączących ten szczyt z pozostałymi. Całą resztę skrywała bezkresna ciemność.

– Pięknie się tu urządziliście - zażartował Kurt.

– Z konieczności - odparł Urco. - Podłoże tutaj jest bardzo nierówne i pochyłe, więc musieliśmy zmontować tę platformę dla bezpieczeństwa.

Kurt ruszył po skrzypiących deskach do Emmy, która przysiadła na środku i zaczęła już uruchamiać komputer.

Na ekranie laptopa pojawiła się powoli mapa z zaznaczoną linią horyzontu, konstelacjami i trasą kilku satelitów NUMA. Program wybrał po chwili satelitę o najsilniejszym sygnale.

– Mamy połączenie - zakomunikowała Emma. - Zaczynam transfer danych.

– Widziałem wasz samochód - zagaił ni z tego, ni z owego Urco. - Sporo przeszliście, żeby się tu dostać. Ten samolot musi być dla was bardzo ważny.

– To prawda - przyznała Emma.

– Nie dziwię się - stwierdził Urco. - Ludziom zwykle zależy na odzyskaniu

swojej własności.

Na ekranie pojawił się komunikat: „Transfer zakończony. Przetwarzanie danych”.

Maszyna rozpoczęła wykonywanie skomplikowanych obliczeń. Emma wpatrywała się w przeskakujące cyferki, Urco odwrócił się, znudzony. Tymczasem Kurt intuicyjnie wyczuł, że coś jest nie tak.

Usłyszał jakiś niezidentyfikowany dźwięk w oddali, a po chwili jeszcze lekkie skrzypienie stojącego za plecami wyciągu. Obrócił się w tym kierunku i zobaczył, że lina zjazdowa z wyższego szczytu jest napięta i nieznacznie drga. Wytężył wzrok pośród ciemności i dojrzał zarys zbliżającej się szybko postaci.

– Uwaga!

Po linie zjeżdżał potężny mężczyzna o szerokich ramionach. Zbliżając się do końca liny, puścił orczyk i wpadł z całym impetem na Urca.

Zaraz za nim wynurzyła się druga postać. Była to kobieta, która zeskoczyła na platformę z niezwykłą gracją, po czym błyskawicznym ruchem wyciągnęła pistolet i wystrzeliła w kierunku Emmy.

Kula chybiła celu tylko dlatego, że Kurt zdążył w ostatniej chwili odepchnąć dłoń napastniczki. Nie wypuszczając jej nadgarstka z dłoni, błyskawicznie powalił kobietę na ziemię. Kolejnych kilka pocisków utknęło niegroźnie w deskach platformy.

Kobieta próbowała się bronić ciosem kolana w brzuch Kurta. Cios okazał się zaskakująco mocny, ale Kurt był zbyt skupiony na jej pistolecie, by zwrócić na to uwagę. Uderzał jej dłonią o podłoże tak długo, dopóki nie wypuściła broni. Próbowała jeszcze pochwycić pistolet drugą ręką, ale Kurt odrzucił broń uderzeniem pięści. Pistolet osunął się za krawędź platformy i zniknął w mroku.

Urco, zaatakowany w tym samym czasie przez drugiego napastnika, upadł na ziemię. Obaj mężczyźni zaczęli okładać się pięściami, nie zdając sobie sprawy, że niebezpiecznie blisko zniosło ich na skraj urwiska.

Emma przyskoczyła do nich, pochwyciła ramieniem grubą szyję atakującego mężczyzny i odciągnęła go do tyłu. Ten zaczął zwijać się i prostować, starając się ją złapać.

Kurt w dalszym ciągu był zajęty kobietą, która zdołała już uwolnić się od jego uścisku i wyciągnąć nóż. Padł na ziemię, by uniknąć szerokiego cięcia, i zanim zdążyła się wycofać, chwycił ją za nogi, żeby ją przewrócić. Upadła ciężko na plecy, uderzając przy tym głową o deski. Wydała z siebie

niewyraźne stękniecie, upuściła nóż i przestała się ruszać.

Widząc, że jego przeciwniczka najwyraźniej straciła przytomność, Kurt zainteresował się rozwojem wypadków na skraju platformy.

Do tego czasu wielki mężczyzna zdołał już zrzucić z siebie Emmę i teraz, stojąc pewnie na nogach, uderzył Urca mocno w splot słoneczny. Potężny cios zepchnął archeologa z platformy na pochyłą powierzchnię szczytu, z której natychmiast zaczął się ześlizgiwać. W panice starał się chwycić czegokolwiek, co mogłoby zatrzymać zjazd w dół, ale jego palce sięgały wyłącznie luźnych kamyków.

Emma rzuciła się za nim z szeroko wyciągniętymi rękami:

– Nie! - krzyknęła.

Nie zdołała jednak dosięgnąć Urca, który nadal zsuwał się w dół, dopóki nie zniknął jej z oczu za skrajem urwiska.

Kurt doskonale wiedział, że za moment mogą podzielić jego los, jeśli nie upora się szybko z ogromnym napastnikiem. Wybił się w powietrze i potężnym kopnięciem nóg trafił osiłka w sam środek jego pleców. Napastnik zsunął się z platformy w ślad za swoją ofiarą, w rozpościerającą się pod nim ciemność. Niezbyt głośne pacnięcie kilka sekund później przypieczętowało jego koniec.

– Pomóżcie - rozległ się z dołu jęk. - Błagam, pomóżcie mi!

– To Urco! - krzyknęła Emma.

Podbiegli do krawędzi. Kurt zauważył, że jedna z lin służących do wciągania ludzi z podnóża szczytu chybocze się w tę i z powrotem.

– Trzymaj się mocno, zaraz cię wciągniemy - powiedział głośno.

Znalazł miejsce, w którym mógł zaprzeć się mocno nogami, po czym chwycił linę obiema rękami i zaczął wciągać ją do siebie. Emma natychmiast dołączyła do niego i Urco zaczął wyłaniać się nad krawędzią, centymetr po centymetrze.

Gdy jego nogi znalazły się na bardziej płaskim gruncie, niemal wbiegł już o własnych siłach na platformę.

– Dziękuję - wysapał, padając na kolana tuż przed nimi. - I dzięki niech będą bogom.

Położył się na plecach, starając się uspokoić oddech.

– Panno Townsend, muszę przyznać, że pani lęk wysokości ma bardzo mocne podstawy. Zastanawiam się, czy sam nie zacznę...

Przerwał w pół słowa, wyczuwając ruch w pobliżu. Po chwili usłyszeli

dźwięk metalowych rolek. Jeden z orczyków zjeżdżał po linie w dół.

Cała trójka obróciła się niemal jednocześnie. Kobieta, która ich zaatakowała, zniknęła.

– Zabrała komputer - zauważyła Emma.

Kurt nie zastanawiał się ani chwili. Chwycił drugi orczyk, zaczepił go na linie i odbił się mocno w ślad za złodziejką.

32.

Kurt skoczył w ciemność i poszybował przed siebie. Chwycił się mocno uchwytu, uniósł kolana wysoko i poczuł, jak rolki orczyka obracają się coraz szybciej, w miarę zwiększania się prędkości.

Lina prowadziła ze środkowego szczytu do najniższego. Rozpięto ją nad sześćdziesięciometrową przepaścią, której brzegi dzieliła odległość około trzystu metrów. Zjazd nie był szczególnie pochyły, co działało na jego korzyść. Ponieważ był cięższy i przed skokiem wziął spory rozbieg, już po kilku chwilach zdołał dogonić złodziejkę.

Zatrzymał się, zderzywszy się z nią mocno, i błyskawicznie chwycił ją nogami w pasie. Kobieta zwinęła się z gracją i uwolniła z uścisku, po czym zakręciła się na rękach i kopnęła go w brodę.

Utraciwszy całą siłę pędu po zderzeniu, Kurt poruszał się teraz z tą samą prędkością co jego przeciwniczka. Kolejny manewr kobiety był wyjątkowo niebezpieczny, ponieważ żadne z nich nie było zabezpieczone uprzężą. Złodziejka puściła orczyk jedną ręką i zamachnęła się na Kurta nożem.

Pierwszy cios rozciął mu nieznacznie skórę na ramieniu. Drugi chybił, a Kurt błyskawicznie wykorzystał okazję i wykopał jej broń z ręki, nim zdążyła ją cofnąć.

Jechała teraz zwrócona twarzą do Amerykanina. Starała się bronić przed nim uderzeniami nóg i nie widziała zbliżającego się końca liny. Gdy orczyk zatrzymał się nagle, wyleciała nad platformę i upadła z głośnym trzaskiem desek.

Kurt wylądował na niej, uniemożliwiając jej ucieczkę. Przydusił ją do ziemi i wykręcił jej rękę za plecami.

– Nie mam w zwyczaju krzywdzić kobiet - powiedział - ale zaraz złamię ci rękę, jeśli się nie poddasz.

– Zabiję cię, draniu! - warknęła.

– Jak wolisz - odparł i nacisnął na rękę jeszcze mocniej.

Musiała być niezwykle wysportowana, bo nawet leżąc twarzą do ziemi, zdołała kopnąć go piętą w plecy.

Tego było już za wiele dla Kurta. Chwycił ją bezceremonialnie za włosy i z całej siły uderzył jej głową o ziemię. Natychmiast poczuł, jak jej ciało rozluźnia się i przestaje ruszać.

Nie zamierzał dać się nabrać po raz drugi na pozorowane omdlenie, więc szybko związał jej nogi i ręce. Kiedy kończył zaciskać ostatni węzeł, z wyciągu zjechali do niego Emma i Urco.

– Dorwałeś ją - zauważyła Emma, odpinając uprzęż zabezpieczającą.

– Komputer też - dodał Kurt i otworzył laptop, by sprawdzić, czy wyszedł cało z potyczki.

Gdy światła latarek oświetliły twarz napastniczki, przekonał się, że miała typowo azjatyckie, najprawdopodobniej chińskie rysy.

– A więc spotkaliśmy już wszystkich graczy - skwitowała Emma.

Ekran komputera ożył, oświetlając twarz Kurta bladym światłem i ukazując dalszy ciąg skomplikowanych obliczeń. Wpatrywał się w wyświetloną mapę, na której z wolna zaczęły krzyżować się linie szacunkowych trajektorii lotu, by ukazać miejsce lądowania Nighthawka.

– No nie do wiary!

– Co się stało? - spytała Emma.

Obrócił komputer w stronę Emmy i Urca, by pokazać im wynik analizy. Świecący punkt wskazywał cel ich poszukiwań.

– Jezioro Kondorów - stwierdziła Emma.

Urco milczał, wpatrując się w mapę szeroko otwartymi oczami.

Kurt skwitował zbieg okoliczności wesołym chichotem.

– Wygląda na to, że będziesz miał okazję przekonać się, co jest na dnie, o wiele prędzej niż sądziliśmy.

33.

Uznali, że podróż w środku nocy będzie zbyt niebezpieczna. Droga do jeziora była równie zdradziecka jak ta, którą dotarli tu z Cajamarki. Tymczasem pojmana kobieta zarzekała się, że wkrótce jej towarzysze przybędą ją odbić.

– To pewnie tylko blef - stwierdził Kurt. - Ale na drodze w środku nocy będziemy stanowili o wiele łatwiejszy cel niż tutaj.

Urco i Emma zgodzili się z jego oceną. Zamiast wyruszać natychmiast, rozpalili ogniska wokół obozu i poszli w ślady Indian Chachapoya. Skryli się na górskich szczytach i wciągnęli za sobą wszystkie liny. Jeśli rzeczywiście ściągnie tu więcej chińskich zabójców, będą musieli wspiąć się na górę gołymi rękami, by się do nich dobrać.

– Mieliśmy nie naruszać spokoju tych jaskiń - zwrócił się Urco do swoich ludzi - ale w przeszłości należały one do waszych przodków, więc macie do nich większe prawa niż jakikolwiek rząd państwowy.

Kurt wspiął się samotnie na najwyższy szczyt, skąd chciał się połączyć drogą satelitarną z Rudim Gunnem, który zdążył wrócić już do Waszyngtonu. Najpierw usłyszał dobre wieści: Joe i Troutowie wylądowali w Cajamarce. Następnie przyszła pora na te złe.

– Miałeś rację - przyznał Rudi. - NSA próbowała coś przed nami ukryć. Coś wielkiego i bardzo, bardzo małego zarazem.

Kurt słuchał uważnie, podczas gdy Rudi przekazywał mu odkrycia Hirama i Priyi. Jego wyjaśnienia były bardzo skomplikowane, szczegółowe i poprzetykane trudnym, fizycznym żargonem, ale Kurt zdołał zrozumieć to, co najważniejsze.

– Jest znacznie gorzej, niż sądziłem.

– Gorzej, niż ktokolwiek sądził - przyznał Rudi. - Chcesz, żebyśmy dosłali ci więcej wsparcia?

– Nie - westchnął Kurt. - Teraz i tak nie zdążylibyśmy już zorganizować

niczego większego. Pozostaje nam polegać na szybkości i dyskrecji. Jeśli udało nam się odnaleźć prawdziwe miejsce lądowania Nighthawka, to do jutra zdążymy go wydobyć i przetransportować jego ładunek tam, gdzie NSA planuje go zabezpieczyć. Gdziekolwiek. Zaczynam się czuć jak Humphrey Bogart w *Skarbie Sierra Mądre,* nie ufam już nikomu i niczemu.

– Nie dziwię się. Rosjanie jakby zapadli się pod ziemię, zaraz po tym, jak udało wam się wylądować na stałym lądzie, ale wątpię, by dali za wygraną. Nasi chińscy przyjaciele z pewnością też dadzą jeszcze o sobie znać. Według informacji CIA, mają w Peru i Ekwadorze całą armię swoich ludzi. Nie zdziw się, jeśli postanowią się ujawnić w najmniej spodziewanym momencie.

– Właśnie na taką okoliczność muszę zmienić nasz plan.

– Co masz na myśli?

Kurt przywoływał w myślach dane z raportów na temat zespołu Projektów Specjalnych NUMA, by zdecydować, kogo może wykorzystać do szczególnie niebezpiecznego zadania.

– Wyślę ci zaraz nowe wytyczne - powiedział w końcu do Rudiego. - Przekaż je Joe'mu i Troutom. I przeproś ode mnie Gamay za to, że ominie ją wydobycie Nighthawka.

– Dobrze - potwierdził Rudi. - Będę czekał na twoją wiadomość.

Kurt pożegnał się, przerwał połączenie i wsunął telefon do kieszeni. Kierował się już do zejścia w dół, gdy nagle usłyszał zgrzyt wyciągu, oznajmiający, że ktoś wchodzi do niego na górę. Po chwili na najwyższym szczeblu drabiny pojawiły się czyjeś dłonie.

Spodziewał się, że to Urco, ale znad krawędzi szczytu wychyliła się nagle zacięta twarz Emmy Townsend. Pomógł jej wejść na samą górę.

– Co za miła niespodzianka.

Emma przeszła na środek szczytu.

– Doszłam do wniosku, że nocna wspinaczka nie jest tak straszna, jak siedzenie w wilgotnej jaskini, pełnej zmumifikowanych zwłok.

Kurt się roześmiał. Sam też wolał pozostawać na świeżym powietrzu.

– Chyba nadszedł czas, byśmy porozmawiali ze sobą całkiem szczerze - powiedział. - Wiem, że jesteś zobowiązana do tajemnicy i że nie zależy to od ciebie, więc nie mam pretensji, że do tej pory ukrywałaś prawdę, ale w obecnej sytuacji muszę znać ją w całości.

– Znasz ją już - odparła.

– Znam tylko jej część - poprawił Kurt, przysiadając na ziemi i biorąc do ręki

leżący nieopodal kamyk. Przesunął palcem po gładkiej powierzchni. Barwa kamienia z przodu była całkiem matowa, z tyłu natomiast żywa i głęboka - niemal idealnie odzwierciedlała problem dwóch stron medalu, z którym się teraz borykał. - Odkąd tylko się spotkaliśmy, zachodziłem w głowę, czemu akurat ciebie wysłano do pracy z nami - zaczął mówić. - Nie widziałem w tym żadnego sensu. W NSA masz opinię krnąbrnej indywidualistki, coś, co w moich oczach jest akurat zaletą, ale co zapewne dyskredytuje cię w oczach przełożonych. Dlaczego więc właśnie ty znalazłaś się w grupie, która miała największe szanse na odnalezienie samolotu?

– Nie przeceniaj swojej wartości - powiedziała. - Ani mojej. Wysłali każdego, kto mógł polecieć, kogo tylko udało im się znaleźć.

– Jasne - mruknął Kurt. - Ale my mogliśmy zjawić się na miejscu trzy dni wcześniej niż ktokolwiek inny, co dawało nam ogromną przewagę. Biorąc pod uwagę to oraz całkiem zasłużoną reputację NUMA w kwestii odnajdowania zgub na dnie oceanu, nie sposób uwierzyć, że twoja obecność w naszym zespole była sprawą czystego przypadku. Nie, ważniacy z NSA przypisali cię do nas, bo wiedzieli, że będziemy potrzebowali kogoś, kto wie, co tak naprawdę mamy wydobywać. A tę wiedzę posiada bardzo nieliczna garstka, nawet wewnątrz waszej tajemniczej agencji. Jestem pewien, że z doktoratem z fizyki oraz wieloletnim doświadczeniem w NASA należysz do tej garstki.

Nie zaprzeczyła. Nie przyznała mu też racji.

– Trwa wyścig z czasem - powiedziała.

– Rosjanie i Chińczycy... nie są zainteresowani przejęciem Nighthawka - dokończył za nią. - Chcą się dobrać do ładunku, który się w nim znajduje. Chcą zdobyć to, co przywieźliście z orbity.

Emma zamilkła.

– Wiem o pułapkach Penninga - kontynuował Kurt. - O modułach kriostatycznych i całej reszcie sprzętu, który skonstruowaliście, by zbierać i przechowywać antymaterię. To dlatego Nighthawk leciał nad biegunem i pozostawał w ciemności, gdzie temperatura ponad atmosferą zbliża się do zera absolutnego. To dlatego pozostawał tam przez trzy lata. Proces wydobywczy wymaga bardzo dużo czasu.

Spojrzał na nią, chcąc przekonać się, czy powiedział już dość, by przekonać ją do odkrycia kart. Po kilku chwilach w końcu się odezwała:

– To nie jest antymateria. To inny stan materii. Niektórzy naukowcy używają mało zręcznego określenia: niemateria. My wolimy mówić na to

„materia w stanie mieszanym”. Długołańcuchowe molekuły, w których naprzemiennie występują sekwencje materii i antymaterii.

Tego nie dowiedział się podczas rozmowy z Rudim.

– Wydawało mi się, że bezpośredni kontakt materii i antymaterii prowadzi nieuchronnie do anihilacji.

– W normalnych warunkach tak - przyznała. - Ale w temperaturach bliskich zeru absolutnemu struktury molekularne ulegają rozpadowi. Materia traci swoją fizyczną postać i nabiera cech fali, a nie stałej cząsteczki. W tych warunkach materia i antymateria mogą się mieszać bez gwałtownych reakcji, podobnie jak dwie fale o różnych częstotliwościach mogą nakładać się na siebie. Odkryliśmy, że wykorzystując pole magnetyczne i technologię kriogeniczną, jesteśmy w stanie przechowywać materię w stanie mieszanym praktycznie tak długo, jak chcemy. Niedługo później grupa naukowców wysunęła teorię, że w kosmosie nad biegunami mogą znajdować się naturalne skupiska materii w stanie mieszanym, utrzymywane tam dzięki ziemskiemu polu magnetycznemu.

– I zbudowaliście Nighthawka, by dowieść tej teorii.

– Okazało się, że jest jej tam stosunkowo dużo.

– Stosunkowo dużo?

– O wiele więcej niż się spodziewaliśmy - wyjaśniła. - Długie nici materii, obracające się w, mówiąc potocznie, magnetycznych bąblach. W większości przypadków nie ważyły więcej niż ułamek uncji, czyli jednostki masy równej 28,349 grama, ale i tak było to dość, by opłacało się je zebrać. Dlatego przez następny rok dokonywaliśmy modyfikacji w konstrukcji Nighthawka. Wypełniliśmy jego ładownię ulepszonymi pułapkami Penninga, które nazywamy modułami kriostatycznymi. Następnie wysłaliśmy go z powrotem w przestrzeń, by pozbierał wszystko, co uda mu się znaleźć.

– A teraz to wszystko leży na dnie pobliskiego jeziora - podsumował Kurt. - Moduły kriostatyczne wymagają zasilania. Co się stanie, gdy akumulatory się wyczerpią?

– Dobrze wiesz co - warknęła. - Wielka eksplozja.

To rzeczywiście już wiedział. Chciał tylko usłyszeć to z jej ust.

– Jak wielka?

Odpowiedziała mu głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji, z chłodem bardziej pasującym do naukowca opisującego zjawisko czysto teoretyczne niż do kogoś, kto wkrótce może znaleźć się w samym epicentrum kataklizmu.

– Dwieście gramów antymaterii po zetknięciu z taką samą ilością materii wywołuje eksplozję o mocy porównywalnej z bombą o sile dziesięciu megaton. Według naszych najlepszych szacunków na pokładzie Nighthawka znajduje się około dwustu kilogramów materii w stanie mieszanym.

– Dwieście kilogramów?!

– Mniej więcej - przyznała. - Jeśli w reakcji weźmie udział cały ładunek jednocześnie, i gdy rzeczywiście dojdzie do reakcji, obejmie ona cały materiał, to siła eksplozji osiągnie osiem tysięcy megaton, czyli osiem gigaton. Będzie to eksplozja pięć razy większa niż ta, którą by osiągnięto przy jednoczesnej detonacji wszystkich istniejących na świecie ładunków nuklearnych w jednym miejscu.

Kurt wpatrywał się w nią bez słowa. Nie wiedział, czy bardziej ma ochotę wyśmiać monstrualną głupotę całego przedsięwzięcia, czy oskarżyć Emmę i jej towarzyszy o nieludzką arogancję.

– I tak po prostu postanowiliście sprowadzić to na Ziemię? Zebrać cały ten szajs w jednym miejscu? Do reszty wam odbiło?

– A co ty byś zrobił na naszym miejscu? - odparowała. - Kiedy udowodniliśmy już, że materia w stanie mieszanym jest tuż pod ręką, pozostawało tylko kwestią czasu, że dowiedzą się o tym Rosjanie i Chińczycy. Wolałbyś, żeby to oni po nią sięgnęli? Chciałbyś, żeby majstrowali przy niej geniusze odpowiedzialni za katastrofę w Czarnobylu? Albo twórcy rozpadającej się na naszych oczach Zapory Trzech Przełomów na rzece Jangcy?

– Oczywiście, że nie - przyznał Kurt. - Ale co powstrzyma ich teraz przed wysłaniem własnego pojazdu po kolejną porcję?

– To, że my zebraliśmy wszystko za jednym zamachem - powiedziała Emma. - Materia w stanie mieszanym kumuluje się niezwykle powoli. Minie tysiąc lat, zanim nad biegunami pojawi się jej tyle, by opłaciło się po nią polecieć.

– Świetnie - uznał Kurt. - Może do tego czasu ludzkość zdoła się podźwignąć z drugiej epoki kamienia łupanego.

– Myślisz, że nie zdaję sobie sprawy z niebezpieczeństwa? - odparła. - Że ta świadomość nie ciąży mi przez cały czas?

Kurt popatrzył w górę, na nocne niebo. Na górskim szczycie, z dala od jakiejkolwiek cywilizacji, gwiazdy świeciły niezwykle wyraźnie. Gwiazdy, odległe kule gwałtownie wybuchającej materii. Ziemię czekał podobny los, jeśli w porę nie odnajdą Nighthawka i nie zabezpieczą modułów

kriostatycznych.

Zwrócił się z powrotem do Emmy.

– Teraz przynajmniej wiem już, dlaczego od początku mieliście pewność, że Nighthawk nie rozpadł się na kawałki.

– Wiedzieliśmy, że ładownia musiała ocaleć w całości. Inaczej cały świat bardzo szybko poznałby miejsce katastrofy.

– Ile czasu nam jeszcze zostało?

– Siedemdziesiąt dwie godziny - odpowiedziała. - Może mniej, w zależności od tego, ile światła dociera do paneli słonecznych na skrzydłach.

– A co, jeśli moduły kriostatyczne przestaną działać wcześniej, niż przewidujecie?

– W Andach powstanie krater wielkości Nebraski. Sto bilionów ton skały zostanie błyskawicznie wysadzonych w powietrze i wystrzelonych w atmosferę. Procesy biologiczne i fotosynteza ustaną w dziewięćdziesięciu procentach. Nie będziemy się już musieli przejmować globalnym ociepleniem, bo Ziemia pogrąży się w całkowitej ciemności na najbliższe pięć lat.

Kurt uznał, że nie była to szczególnie zachęcająca perspektywa.

– A jeśli uda nam się przetransportować całość do Stanów Zjednoczonych? Co dalej?

– Materiał zostanie podzielony na tysiące maleńkich próbek, każda nie większa niż pół uncji. Zostaną one złożone w tajnych, podziemnych laboratoriach, które NSA przygotowywała przez ostatnie trzy lata. Materiał zostanie rozproszony po całym kraju, więc wypadek w jednym laboratorium nie doprowadzi do niczego gorszego niż wybuch małej, konwencjonalnej bomby.

Kurt zdusił wszelkie kotłujące się w nim emocje. Od tego momentu liczyło się już tylko jedno.

– W takim razie czym prędzej wyciągnijmy to świństwo z wody.

– I ja tak sądzę - poparła go Emma.

34.

Nad górską przełęczą rozbrzmiewał głośny, rytmiczny łoskot. Buszujące w trawie zwierzęta, zaalarmowane, podrywały głowy w górę, po czym rzucały się do ucieczki przed przelatującą między szczytami gór wielką, pomarańczową maszyną, rzucającą na nie ogromny, wirujący cień.

Joe Zavala ponownie zasiadał za sterami latającego dźwigu. Potężny śmigłowiec był powolny i bardzo stabilny, ale pilotowanie go pod wiatr i tak stanowiło niemałe wyzwanie, w związku z czym nie mógł sobie pozwolić na podziwianie rozciągających się w dole malowniczych pejzaży. Nie dotyczyło to jednak jego pasażerów.

– Widok godny samych bogów - obwieścił Urco za pośrednictwem wewnętrznego systemu komunikacji.

Joe obejrzał się na moment za siebie. Kokpit śmigłowca był wypełniony do granic możliwości. Kurt siedział na miejscu drugiego pilota, a pozostałe fotele za nimi zajmowali Emma, Urco i Paul Trout.

– Szkoda, że nie przylecieliśmy tu przed samym wschodem słońca - dodał Urco.

W rzeczywistości Joe miał okazję naoglądać się górskich szczytów o wschodzie słońca do syta podczas lotu, o którym wiedzieli tylko on, Kurt i Paul, a który opóźnił ich przybycie do La Jalca.

– Przepraszam, niestety złapaliśmy lekkie opóźnienie - powiedział wymijająco.

– Czy teraz zamierzasz nadrobić stracony czas, lecąc przez góry, zamiast nad nimi? - zapytał Paul.

– Wszelkie uwagi kieruj do Kurta - odparł Joe. - Ja lecę tylko tam, gdzie mi każe.

– Chińska agentka, która zaatakowała nas w nocy, twierdziła, że w pobliżu znajduje się więcej jej przyjaciół - wyjaśnił Kurt. - Jeśli to prawda, to lecący powoli pomarańczowy helikopter byłby dla nich jak strzałka, wskazująca

kierunek do celu.

– A przy okazji pewnie i łatwą zdobycz - dodała Emma.

Joe odbił w prawo, omijając kolejną górę i wyprowadzając maszynę nad rozciągającą się po jej drugiej stronie dolinę.

– Poza tym tak jest o wiele zabawniej - dorzucił od siebie.

W helikopterze panował wyraźnie optymistyczny nastrój, podsycany przekonaniem, że są już o krok od znalezienia zaginionego samolotu i uniknięcia ogólnoświatowej katastrofy. Wszyscy czuli się, jakby nabrali wiatru w żagle.

– Nawet gdyby Chińczycy nas zauważyli, dotarcie tutaj zajęłoby im pewnie cały dzień - zapewnił Urco. - Droga prowadząca do jeziora jest w opłakanym stanie. Porządnie udeptana ścieżka wygląda przy niej jak niemiecka autostrada. Wybudowali ją Inkowie ponad siedemset lat temu i od tamtego czasu nikt jej nie naprawiał.

Mogli przekonać się o prawdziwości jego słów w trakcie lotu. Pod nimi pośród wzgórz wiła się dróżka wąska jak linia pociągnięta ołówkiem. Okręcała się wokół kilkunastu wzniesień, a następnie zaczynała opadać w kierunku doliny i schodziła aż do jeziora.

Jezioro Kondorów rozciągało się tuż u podnóża wyżyny. Zasilała je wijąca się zakolami rzeka, przepływająca przez szczelinę nad urwiskiem i tworząca wodospad, który ponad skalną półką wpadał do jeziora.

Spadek nie był szczególnie wysoki, mierzył nie więcej niż sześćdziesiąt metrów, mimo to woda spływała ze skał z ogromną mocą, pokrywając pianą całą węższą część jeziora, przypominającego kształtem gruszkę.

Z powietrza wyglądało to niemal jak fotografia, uchwycona w bezruchu ogromna fala, udekorowana warstwą rozpylonych drobinek wody, mieniących się w promieniach słońca. Otaczająca wodospad górska ściana przypominała warowny mur, a zbocza leżących dalej wzgórz opadały łagodnie w dół.

– Szykujcie aparaty - doradził Joe. - Przelecę blisko wodospadu, by rozejrzeć się za dobrym miejscem do lądowania.

Przelecieli nad jeziorem pod kątem oferującym wszystkim fenomenalny widok na wodospad. W tafli leżącego w dole jeziora odbijały się błękit nieba, zieleń wzgórz i biel chmur, ale sama woda była czarna jak atrament.

– Poziom wody jest stosunkowo niski - stwierdził Paul. - Na szerszym krańcu jeziora jest sporo odkrytego piasku.

Joe przyjrzał się miejscu, o którym, Paul mówił. Przy jeziorze rozciągał się pas wysuszonego piachu i kamieni, szeroki na jakieś piętnaście metrów. Dalej wartki potok porywał nadwyżki wody z jeziora w podróż ku położonym niżej terenom i, ostatecznie, Pacyfikowi.

Urco wtrącił kilka uwag, jako że zdążył już poznać to miejsce.

– Tam nie wylądujesz - stwierdził, wskazując fragment płaskiego terenu. - Grunt jest za miękki. Czasem robi się tam grzęzawisko. Najbezpieczniej będzie usiąść wysoko na skałach.

Joe kiwnął głową i zwrócił maszynę w stronę wzgórz. Po chwili znalazł miejsce wyglądające dość pewnie i płasko, wykonał wąski obrót i wylądował.

* * *

Trzydzieści minut później przemierzali już powierzchnię jeziora w pontonie. Na holu za nimi sunął niewielki sonar, a przy burcie zamocowali odbiornik, mający wychwycić sygnał lokalizacyjny z Nighthawka - o ile naturalnie nadał jeszcze był emitowany.

Joe kierował pontonem, a Kurt obserwował wyświetlacz sonaru. Na ekranie widniało płaskie, pokryte osadem dno jeziora, znajdujące się jakieś osiemnaście metrów pod nimi. Tu i ówdzie pojawiały się niewielkie skupiska skał, ale nic, co sugerowałoby, że pod wodą znajdowało się niegdyś starożytne miasto.

– Nie widzę żadnych drapaczy chmur - powiedział Kurt do Urca.

– Ruiny znajdują się pod powierzchnią dna - wyjaśnił Urco. - Kiedy zbliżymy się do wodospadu, zobaczysz wystające szczyty budowli, w miejscu gdzie prąd wody usuwa piach.

– Byłeś już na dnie? - zapytał Kurt.

– Nie umiem nurkować - odparł archeolog. - Ale niektórzy z moich ludzi się tym zajmują. Też powinienem się w końcu nauczyć. Na lądzie straciliśmy już wiele zabytków kultury, skradzionych przez złodziei lub z powodu gwałtownych zjawisk atmosferycznych. Ale pod wodą, zachowane pośród mułu, leżą jeszcze dziesiątki nieodnalezionych skarbów z przeszłości.

Kurt pokiwał głową. Co prawda bardziej interesowało go odnalezienie całkiem współczesnego samolotu, ale rozumiał podekscytowanie archeologa.

Podczas gdy Kurt i Urco zajmowali się sonarem, Emma i Paul skupiali uwagę na podwodnym odbiorniku. Emma nasłuchiwała wyczekiwanego

sygnału przez słuchawki, a Paul ręcznie sterował samym odbiornikiem.

– I jak? - zapytał, pracując z precyzją godną człowieka, który spędził dzieciństwo na łapaniu sygnału domową anteną, stojącą na telewizorze.

Emma wytężała słuch, by uchwycić pojedyncze, elektroniczne piknięcie mimo przebijającego się przez słuchawki szumu wiatru i warkotu zaburtowego silnika.

– Na razie nic - odpowiedziała po chwili.

Paul poruszył pokrętłem, które przy każdym obrocie zmieniało położenie zanurzonego odbiornika o pięć stopni.

– A teraz?

Pokręciła przecząco głową.

Kurt oderwał wzrok od sonaru, by obrzucić ją krótkim spojrzeniem. Na jej twarzy malowało się silne napięcie. Jeżeli Nighthawka tu nie było, mieliby poważny problem i bardzo mało czasu na jego rozwiązanie.

Spojrzał z powrotem na swój wyświetlacz. Po raz pierwszy zauważył istotne zmiany w podłożu dna jeziora. Pojawiły się regularne wzniesienia, a niedługo później wyraźne, prostokątne kształty, wyłaniające się spod osadu. Zauważył też, że jezioro było w tym miejscu dużo głębsze.

Kurt uniósł wzrok. Zbliżali się do wodospadu. Silny strumień opadającej wody wyżłobił tu zagłębienie w dnie jeziora, odpychając osad i piach w dalsze części zbiornika.

– A nie mówiłem? - Urco wskazał palcem rysujący się na ekranie obraz. - Ulice, alejki, budynki. To jest miasto. Zatopione miasto.

Kurt nie podzielał jego przekonania. Widywał już formacje skalne, przypominające dzieło ludzkich rąk, takie jak droga Bimini albo monumenty Yonaguni u wybrzeży Japonii, które wielu do dziś uważa za ruiny starożytnego kompleksu świątynnego, mimo że geolodzy udowodnili już dawno, że jest to jedynie grupa niekonwencjonalnie ukształtowanych granitowych skał.

Nie zamierzał jednak odbierać nadziei archeologowi.

– Będziemy musieli zanurkować, żeby lepiej się temu przyjrzeć - powiedział głośno. - Faktycznie, wygląda to dość ciekawie.

Urco pochwycił jego ramię i potrząsnął nim z wdzięcznością.

– Nie zawiedziecie się!

Podpłynęli już tak blisko wodospadu, że zaczęły do nich dolatywać krople rozpryskującej się wody. Kurt przetarł ekran sonaru i zakrył klawiaturę.

– Tym razem nic. Zróbmy kolejne koło - powiedział do Joe’go.

Ten przytaknął skinieniem głowy i zakręcił sterem, ale zamiast wykonać obrót przed wodospadem, postanowił przepłynąć za nim. Ponieważ woda spływała ze sporą prędkością z wystającego fragmentu skały, na powierzchni jeziora tworzyła się szeroka na prawie dziesięć metrów przestrzeń pomiędzy wodospadem a ścianą urwiska.

Ponton wpłynął w tę przestrzeń i ruszył między opadającą wodą a skałą, której powierzchnia była czarna, mokra i usiana szczelinami, prowadzącymi do podziemnych jaskiń.

– Kolejne komory grobowe. - Urco wskazał ręką wejścia. - Wolałbym nie zakłócać ich spokoju.

– Rozumiem - odparł Kurt, przyglądając się prowadzącym w ciemność jamom.

Wykonawszy zakręt, ruszyli przez środek jeziora. Nie zdążyli odpłynąć daleko, gdy Emma uniosła nagle dłoń.

– Zwolnij - powiedziała. - Chyba coś złapałam.

Joe wyłączył silnik i ponton zachybotał się w miejscu, a oczy wszystkich pasażerów spoczęły na Emmie.

– Dziesięć stopni w prawo - poinstruowała.

Paul skorygował położenie odbiornika.

– Jeszcze dziesięć? - powiedziała niepewnie, a gdy wykonał polecenie, dodała szybko: - Teraz pięć w lewo.

Dociskała słuchawki obiema dłońmi do uszu. Po chwili zastanowienia popatrzyła przed siebie na wodę i wskazała palcem.

– Tam. Powoli.

Joe dodał odrobinę gazu i ponton ruszył ślimaczym tempem we wskazanym kierunku. Pod kierownictwem Emmy zatoczyli szerokie koło, a następnie kolejne, dużo mniejsze, zbliżając się do źródła sygnału.

Nareszcie uniosła dłoń ponownie i Joe zatrzymał silnik.

Podczas gdy ponton osiadał w miejscu, Emma wyciągnęła wtyczkę słuchawek z odbiornika, by wszyscy mogli usłyszeć miarowy i cichy sygnał: pik! pik! pik!

– Mamy go - powiedziała, a na jej twarzy malowała się ogromna ulga. - Nighthawk jest tuż pod nami.

35.

Po przebraniu się w stroje do nurkowania Emma, Kurt i Joe wskoczyli do wody. Postanowili szukać samolotu we troje, a po jego odnalezieniu Joe miał wrócić na ląd i przygotować latający dźwig do wydobycia maszyny.

Zanurzając się coraz głębiej, Emma poczuła rosnący chłód. Woda w jeziorze pochodziła w większości ze śniegu topniejącego w wysokich partiach gór i jej temperatura nie przekraczała dziesięciu stopni. Nawet pomimo grubego, wyposażonego w kaptur skafandra piankowego, hełmu nurkowego oraz butów i rękawiczek, zimno pozostawało wyraźnie wyczuwalne.

Na to była jednak przygotowana przed zanurzeniem i bez trudu ignorował tę drobną niedogodność. Inaczej rzecz się miała z widocznością. Woda była pełna osadu, unoszonego przez wpadający do jeziora wodospad oraz rozkładających się szczątków roślinnych. W efekcie widoczność nie przekraczała trzech metrów, a na głębokości dziesięciu metrów nawet potężne źródła światła mieniły się słabo jak dogasające świeczki.

Emma spojrzała na światłomierz, by sprawdzić poziom docierającej tu energii słonecznej.

– Nie jest dobrze - powiedziała do pozostałych za pośrednictwem wbudowanego w hełmy nurkowe systemu łączności. - W tak mętnej wodzie skuteczność ładowania akumulatorów nie przekracza piętnastu procent. Wyczerpią się dużo wcześniej, niż sądziliśmy. Musimy go wyciągnąć tak szybko, jak to możliwe.

– Najpierw musimy go znaleźć - odparł Joe. - Co nie powinno być takie trudne, pominąwszy fakt, że szukamy czarnego samolotu na dnie czarnego jak smoła jeziora.

Pracując miarowo nogami, zanurzali się powoli coraz głębiej.

– Na górnej powierzchni skrzydeł znajdują się pasy odblaskowe - poinformowała Emma. - Jeśli padnie na nie promień latarki, powinniśmy od razu to zauważyć.

Jezioro miało około dwudziestu pięciu metrów głębokości w centralnym punkcie i co najmniej dwadzieścia metrów w miejscu, w którym zeskoczyli z pontonu. Emma przebyła dwie trzecie tego dystansu, nim światło jej latarki sięgnęło dna.

Podłoże było czarne jak węgiel, ale usiane rzadko drobinkami kwarcu, więc światło odbijało się od niego jak od czarnego klejnotu. Na dnie znajdowało się również sporo niewielkich bruzd, przypominających odciski gigantycznych palców.

– Rozdzielmy się i płyńmy z prądem - zaproponował Kurt. Naturalnie w jeziorze nie było prawdziwego prądu, ale znajdowali się na tyle blisko wodospadu, że jego siła odpychała ich delikatnie w dalsze części zbiornika. Właśnie dlatego weszli do wody bliżej wodospadu, niż sugerował sygnał dobiegający z zatopionego samolotu.

Emma postąpiła zgodnie z poleceniem Kurta i ze zdziwieniem zauważyła budzące się w niej nagle nieprzyjemne uczucie osamotnienia, gdy światła z latarek towarzyszy zniknęły w ciemności.

Postanowiła skupić się na zadaniu. Rozglądała się wokół i starała się dostrzec ogon samolotu lub odblask światła z jednego ze skrzydeł. Zamiast tego ujrzała po chwili unoszącą się z wolna przy samym dnie niewyraźną pomarańczowo-białą plamę.

– Mam coś - powiedziała, czując w piersi przyspieszone bicie serca. - Spadochron.

Podpłynęła bliżej i odnalazła oba spadochrony maszyny, do połowy zakopane w piachu. Fragmenty nieprzysypane mułem falowały wraz z ruchem wody, na podobieństwo morskiej trawy.

Gdy Kurt i Joe zdążyli do niej podpłynąć, ściskała już w ręku fragment nylonowego materiału i ciągnęła do siebie. Lina się naprężyła.

– Nie odczepił się - stwierdziła, po czym zaczęła podciągać się na linie spadochronu, przekładając ręka za ręką do przodu, dopóki nareszcie spośród mętnej wody nie wyłonił się przed nią potężny kształt. Kurt i Joe płynęli za nią. Światła ich latarek padały na gładką, czarną powierzchnię. Na boku bryły znajdowały się wymalowane szarą farbą litery: USAF.

Po chwili cały samolot stał się widoczny w świetle ich latarek. Stał stabilnie na dnie jeziora, dotykając podłoża podwoziem i dolną częścią skrzydła. Emma, mimo że widziała Nighthawka już wielokrotnie wcześniej, nie mogła oprzeć się zdziwieniu, że jest tak niewielki.

– Nareszcie - powiedziała.

– W jakim jest stanie? - zapytał rzeczowo Kurt.

Emma podpłynęła bliżej, by ocenić uszkodzenia.

– Kadłub i komora ładunkowa są szczelne - stwierdziła. - Na skrzydłach widać drobne wgniecenia, zapewne od rosyjskich zacisków po próbie porwania, ale to nic wielkiego.

Podpłynęła do dziobu maszyny i starła dłonią warstwę osadu z panelu bocznego. Ukazał się elektroniczny ekran dotykowy, osłonięty osmaloną płytą przezroczystego kevlaru.

Po dotknięciu palcem panel ożył, roztaczając jasną poświatę w mętnej wodzie. Trzy kolumny określały stan systemu kriogenicznego - wszystkie świeciły na zielono. Druga część panelu wskazywała, że moduły kriostatyczne również pracują prawidłowo, a ostatnia określała poziom zasilania i świeciła w tej chwili ostrzegawczo kolorem żółtym.

– Jeden akumulator już padł, ale pozostałe kompensują jego brak - powiedziała.

– Czy to coś zmienia? - spytał Kurt.

– Nie, dopóki nie rozładuje się drugi akumulator. Sądzę, że mamy jeszcze co najmniej dwadzieścia cztery godziny na wyciągnięcie Nighthawka na ląd, wyładowanie modułów kriostatycznych i podpięcie ich do przenośnych ogniw paliwowych.

– W takim razie nie ma na co czekać - stwierdził Kurt.

– A czemu nie otworzyć luku załadunkowego tutaj i nie wyciągnąć samych modułów na ląd? - spytał Joe, podpływając bliżej. - Zaoszczędziłoby to nam sporo czasu i wyeliminowało niebezpieczeństwo związane z próbą podniesienia całej maszyny. No i żaden satelita szpiegowski nie miałby okazji sfotografować wydobytego Nighthawka na lądzie.

– Przenoszenie całego sprzętu pod wodą byłoby zbyt niebezpieczne. - Emma pokręciła przecząco głową. - Co prawda elektronika jest zabezpieczona przed dostaniem się wody do środka, ale nie mamy pewności, w jakim jest teraz stanie. Biorąc pod uwagę drgania podczas startu, trzy lata spędzone w kosmosie, trudności związane z ponownym wejściem w atmosferę i rosyjską próbę porwania, trudno oczekiwać, by system nie doznał jakichś pomniejszych szkód, jak luźne styki czy uszkodzenia izolacji. Jeśli wpuścimy tam teraz wodę i w którymś miejscu dojdzie do zwarcia...

– ...to nasze urocze jeziorko trafi szlag, razem z większą częścią Peru -

dokończył za nią Kurt.

– Właśnie - potwierdziła. - Nie możemy iść na skróty. Musimy wydobyć go na powierzchnię.

36.

Ponad jeziorem unosił się donośny warkot pracującej na pokładzie pontonu sprężarki, skutecznie zakłócający sielankowy nastrój okolicy.

Paul Trout doglądał maszyny. Pilnował pomiaru ciśnienia i położenia zanurzonego w wodzie węża. Piętnaście metrów dalej tafla wody buzowała od uciekającego na powierzchnię powietrza.

Paul był w pontonie sam. Kurt, Joe i Emma wrócili na dno, by przygotować Nighthawka do wydobycia, a Urco zaofiarował się poszukać odpowiedniego miejsca na lądzie do posadzenia maszyny.

Wytężając wzrok, Paul był jeszcze w stanie wypatrzyć Peruwiańczyka. Urco znajdował się na wyższej partii zbocza i kroczył właśnie przez połać wysoko rosnącej trawy. Co jakiś czas dziobał grunt długim kijem, by przekonać się, czy ziemia jest na tyle mocno ubita, by utrzymać ciężar zatopionego samolotu.

Paul sięgnął po radio i wywołał archeologa:

– Urco, tu Paul.

– Proszę mówić, panie Paul - padła odpowiedź.

– Chciałem tylko spytać, jak ci idzie - powiedział, widząc, jak mężczyzna odwraca się, by pomachać w jego stronę.

– Podłoże przy brzegu jest zbyt miękkie i wilgotne, by wytrzymać takie obciążenie. Nawet tu, gdzie jestem w tej chwili, ziemia jest błotnista. Muszę ruszyć jeszcze wyżej.

– Rozumiem - odparł Paul. - Odezwij się, jak już coś znajdziesz.

Urco zamachał jeszcze raz, po czym odszedł, pewnie trzymając kij w dłoni. Paul patrzył za nim, dopóki Peruwiańczyk nie zniknął mu z oczu. Być może nie tylko ja go w tej chwili obserwuję, pomyślał, po czym skupił uwagę z powrotem na sprężarce i manometrze.

* * *

Pod wodą Kurt dzierżył drugi koniec węża powietrznego i przepychał go powoli pod kadłubem Nighthawka. Wydobywające się z węża sprężone powietrze pełniło funkcję wiertła, bo skutecznie rozpraszało zalegający na dnie piach i osad. Ramiona Kurta pracowały z kolei jak prasa hydrauliczna, nieubłaganie dopychająca koniec węża coraz dalej.

Z każdym pchnięciem spod maszyny wynurzały się kolejne pokłady mułu i baniek powietrza, otaczających Kurta wirującą chmurą czerni. Gdy zawierucha zaczynała opadać, Kurt dopychał wąż jeszcze głębiej.

– I jak?

Głos Joe'go był nieznacznie zniekształcony, jak gdyby wołał do niego z głębi podziemnego tunelu. W rzeczywistości przyjaciel znajdował się po drugiej stronie maszyny, gdzie czekał, aż dotrze do niego koniec węża.

– Nadal nic. Pchaj dalej.

Kurt szarpnął wąż i pchnął go kolejnych kilkadziesiąt centymetrów do przodu.

– Widzę uciekające powietrze - powiadomił go Joe. - Już tylko kawałeczek.

Kurt pchnął ponownie i nareszcie poczuł, że wąż zaczyna przemieszczać się bez oporu. Potok zalewającego go osadu zaczął opadać.

– Mam go - powiedział Joe.

– Pierwszy etap za nami - stwierdził Kurt. - Teraz twoja kolej, żeby trochę się wysilić, kolego.

* * *

Po drugiej stronie Nighthawka Joe chwycił koniec węża powietrznego i przyciągnął go do siebie, po czym wytrzymałą liną przymocował do niego pierwszy pas, mający służyć do podniesienia samolotu z dna jeziora. Pociągnął jeszcze mocno, by upewnić się, że zapięcie jest bez zarzutu.

– Pas przypięty - powiedział - Zrobiłem swoje.

– Długo ci to nie zajęło - zauważył z przekąsem Kurt. - Chyba nie do końca przemyślałem podział obowiązków przy tej operacji.

Joe zaśmiał się, obserwując, jak wąż z przyczepionym pasem znika z powrotem pod maszyną, metr po metrze.

* * *

Podczas gdy Kurt i Joe zajmowali się zamocowywaniem czterech nylonowych pasów pod samolotem, Emma dokonywała dokładnego przeglądu skrzydeł maszyny. Zwracała uwagę na najdrobniejszą nawet rysę. Wiele płatów zewnętrznych było uszkodzonych. Doszukała się wielu małych pęknięć i niewielkich dziur, a w kilku miejscach płyty były całkowicie oderwane, prawdopodobnie po tym, jak Nighthawk wyrwał się z kleszczy rosyjskiej maszyny. Znajdujący się pod wierzchnią warstwą wzmacniany stop nie doznał jednak żadnych uszkodzeń.

– Skrzydło nie zostało przebite - przekazała pozostałym. - Woda się do niego nie dostała.

– Świetnie - odpowiedział Joe. - I bez tego zahaczamy o maksymalny udźwig helikoptera. Obejdzie się bez kilku dodatkowych ton wody.

– Pełna zgoda - powiedziała Emma. - Sprawdzę jeszcze, czy pylony nie uległy korozji. Nie chcielibyśmy, by samolot zaczął rozpadać się na kawałki chwilę po tym, jak odtrąbimy zwycięstwo.

Gdy przepływała ponad kadłubem Nighthawka, wąż powietrzny przebił się przez kolejną warstwą osadu, wypuszczając wokół niej chmurę unoszących się bąbelków powietrza. Przez chwilę poczuła się, jakby pływała w kieliszku szampana. Wprawdzie nie miała w zwyczaju chwalić dnia przed zachodem słońca, ale w tym momencie nie mogła wyzbyć się wrażenia, że już niebawem odkorkują kilka butelek, by świętować pomyślnie zakończoną misję.

37.
Kanion La Jalca, kilometr dalej

Kilometr od postępujących prac wydobywczych, w ciemnej i zapuszczonej jaskini więziono dwóch ludzi, którym daleko było do marzeń o sukcesach. Ich myśli zaprzątały jedynie niepokojąca ciemność, przeszywająca wilgoć i hałas. Oszałamiający i niekończący się hałas.

Woda z wodospadu spływała tuż przed wejściem do jaskini. Ściana spienionej wody skrywała wszystko, co znajdowało się na zewnątrz, i wywoływała przykre mdłości u każdego, kto uparłby się wpatrywać w nią dłużej niż kilka minut.

Wodospad drażnił nie tylko wzrok, ale i uszy, bo jego donośny huk odbijał się od kamiennych ścian wewnątrz groty, zagłuszając każde słowo, każdą myśl, a nawet wszelkie odgłosy prac prowadzonych w tej chwili przez ludzi używających nowoczesnego sprzętu na jeziorze.

Więźniowie nie mieli szansy usłyszeć przelatującego nad ich głowami helikoptera ani wpływającego na jezioro pontonu silnikowego, ani też wybrzmiewających niedługo później okrzyków triumfu. Nawet donośny warkot sprężarki nie zdołał się przebić przez otaczającą ich barierę oszałamiającego huku. Wszystkie zmysły obu mężczyzn były poddawane niekończącym się torturom, które zaczynały już przynosić efekty.

Spędziwszy wiele dni w takich warunkach, więźniowie popadli w niemal całkowite otępienie. Siedzieli oparci o ścianę jaskini, z podciągniętymi kolanami i zwieszonymi głowami, przybierając pionową wersję pozycji embrionalnej. Ręce mieli skute przed sobą, a nogi przywiązane do masywnych, żelaznych ciężarów, co niemal całkowicie uniemożliwiało poruszanie się.

Ich twarze pokrywał niegolony od dłuższego czasu zarost, a mundury były brudne i wymięte. Pod warstwami brudu, tłuszczu i pyłu dało się jeszcze dojrzeć emblemat dwugłowego orła, znak rosyjskich sił powietrznych, oraz naszywkę eskadry, przedstawiającą ogromne szpony, zaciskające się wokół

pochwyconego w powietrzu ptaka. Gwiazdka na ramieniu jednego z więźniów wskazywała, że miał stopień majora, a przymocowane na piersi skrzydła z przecinającym je cyrklem świadczyły o tym, że był pilotem doświadczalnym.

Teraz mężczyzna wpatrywał się bez celu w ciemność, wycieńczony doskwierającym głodem i panującym w jaskini zimnem, ale jego umysł pracował wytrwale, snując plany zemsty. Myśli o niej okazały się tak zajmujące, że z początku w ogóle nie zauważył promienia światła, który pojawił się nagłe w głębi jaskini.

Światło dobywało się z powierzchni przez wąski szyb, którym wiele dni temu dostali się tu sami Rosjanie. Rozkazano im zejść w dół pod groźbą rozstrzelania. Oprawcy związali ich i pozostawili, po czym sami weszli po linie z powrotem na górę i zamknęli osłaniającą szyb klapę. Odcięli tym samym jedyne źródło światła pod ziemią.

Snop światła świadczył o tym, że ktoś otworzył szyb. To z kolei oznaczało, że niebawem coś się zmieni. Major Jurij Timonowski nie mógł się tego doczekać, bez względu na to, czy miała to być zmiana na gorsze, czy na lepsze.

– Ktoś nadchodzi - powiedział głośno.

Drugi mężczyzna uniósł głowę. Miał przekrwione oczy i rozedrgane usta.

– Może w końcu dadzą nam coś do jedzenia.

– Albo nas zabiją - westchnął Timonowski - W tej chwili jedno i drugie przyjąłbym równie chętnie.

W promieniu światła pojawiła się lina, której koniec upadł na ziemię i zakręcił się jak poirytowany wąż. Reszta długiej liny drgała w górę i w dół, co pozwalało sądzić, że ktoś po niej schodził.

Timonowski wstał, przygotowany się na to, co go czekało. Poczuł tępy ból w nogach i rwanie w krzyżu, ale ruszył niezgrabnie w stronę liny, przesuwając z trudem odważnik, do którego był przykuty.

Ciężar na końcu łańcucha nie był na tyle wielki, by nie mógł się poruszać, ale skutecznie uniemożliwiał jakąkolwiek próbę wspinaczki. Gwarantował również, że ewentualny skok do jeziora byłby równoznaczny z samobójstwem. Zapewne skorzystałby z tej opcji, jeśli zostawiliby go tutaj wystarczająco długo.

Z szybu wysunęły się wreszcie obute nogi, a chwilę później ich brodaty właściciel puścił linę i pokonał ostatnie dwa metry skokiem do wnętrza jaskini. Timonowski rozpoznał go natychmiast - był to Sokolnik, człowiek, z

którym kazano im pracować. Człowiek, który obiecał przekazać im Nighthawka po włamaniu się zdalnie do systemu komputerowego samolotu i zablokowaniu poleceń nadawanych przez Amerykanów z bazy Vandenberg.

Timonowski przekonał się, że był on również zdrajcą. To właśnie Sokolnik wydał jakieś polecenie Nighthawkowi, wskutek czego maszyna wyrwała się ze szczypiec Blackjacka Jeden. A kiedy w obliczu tej katastrofy Timonowski postanowił zaniechać pościgu za amerykańską maszyną i skierować się do umówionego miejsca na uzupełnienie paliwa, Sokolnik poderżnął gardło jego drugiemu pilotowi, wyciągnął pistolet i pod groźbą śmierci zmusił Timonowskiego i jego mechanika do utrzymania kursu.

Gdy Nighthawk w końcu wypuścił spadochrony i osiadł na dnie jeziora, Sokolnik pokierował ich do znajdującego się jakieś piętnaście kilometrów dalej niewielkiego pasa startowego. Tam czekała już grupa uzbrojonych mężczyzn. Zobaczywszy ich, major stracił ostatnie strzępki nadziei na ucieczkę.

– Jesteście przytomni - zauważył Sokolnik, podchodząc bliżej do swoich jeńców. - Świetnie.

Zwracał się do nich po angielsku, był to bowiem jedyny język, który znała cała trójka.

– Tu nie da się zasnąć - odparł Timonowski.

– Na niektórych szum wodospadu działa wręcz kojąco.

– Ale nie wtedy, gdy słuchają go z odległości półtora metra.

Sokolnik wzruszył tylko ramionami.

– Przyszedłeś sam - kontynuował Timonowski. - Udało ci się pozbyć wszystkich przyjaciół?

– Wręcz przeciwnie. - Sokolnik uśmiechnął się. - Wciąż nawiązuję nowe znajomości, tak jak z wami.

Major Timonowski z trudem znosił bijącą z jego słów arogancję, ale w gruncie rzeczy nie miał innego wyjścia.

– Czego jeszcze od nas chcesz, Ptaszniku?

– Przyszedłem was nakarmić - odpowiedział mężczyzna, po czym ściągnął plecak, otworzył go i postawił pod nogami uwięzionych.

Major powstrzymał się przed spojrzeniem w dół, ale nie był w stanie zatrzymać dobiegającej go kuszącej woni. Być może głodówka wyostrzyła jego zmysł powonienia.

Mechanik, który do tej pory cały czas pozostawał w pozycji siedzącej,

przegramolił się teraz do torby i zaczął wyciągać na wierzch jej zawartość. W pierwszej kolejności wyjął plastikowy pojemnik z zupą, następnie kilka butelek wody z podwyższoną zawartością elektrolitów i dwa spore zawiniątka.

– Kanapki - oświadczył, odpakowując jedno z nich.

Timonowski poczuł ślinę napływającą mu do ust.

– Czy to jakiś podstęp?

– Ależ skąd - zapewnił Sokolnik. - Musicie odzyskać siły, by móc stąd odlecieć.

– Odlecieć?

– Potrafisz pilotować śmigłowiec, prawda?

– Oczywiście - padła automatyczna odpowiedź majora. W swojej karierze zdążył już latać na wszystkim, czym dysponowała rosyjska armia. - A masz tu jakiś?

– Moi nowi przyjaciele mają - odparł Sokolnik. Skinieniem głowy wskazał skrywające się za ścianą opadającej wody jezioro. - Z tego miejsca nie możecie niestety dostrzec wielu rzeczy, między innymi grupy Amerykanów, którzy właśnie w tym momencie przygotowują się do wyłowienia Nighthawka z jeziora. Kiedy już tego dokonają, odbiorę im tego ptaszka, a wy przetransportujecie go do lądowiska, na którym czeka pozostawiony przez was Blackjack Dwa. Następnie wykonacie swoje pierwotne zadanie. Zatankujecie zgodnie z planem nad Wenezuelą i przelecicie nad Atlantykiem z powrotem do Rosji, gdzie będzie już na was czekać przyjęcie godne bohaterów.

Timonowski nie wierzył własnym uszom.

– Nic nie rozumiem. Teraz, po tym wszystkim, chcesz, żebyśmy po prostu odlecieli z Nighthawkiem do domu? Przecież już raz go schwytaliśmy i gdybyś ty nie kazał mu się uwolnić, niszcząc przy tym Blackjacka Jeden...

– Gdybym pozwolił wam wykonać waszą misję bez żadnych komplikacji, nie uzyskałbym zapłaty, której oczekuję. Teraz natomiast moja nagroda będzie adekwatna do moich wysiłków. Zapewniam, że mówimy o sumie, której nie potraficie sobie nawet wyobrazić.

– Krwawe pieniądze. - Major się skrzywił.

– Wszystkie fortuny powstają kosztem czyjejś krwi - odparł Sokolnik. - W taki czy inny sposób.

Timonowski patrzył na niego zimno, bez słowa.

– Oczywiście jeśli wolicie, to mogę pozwolić Amerykanom zabrać samolot, a was zostawić tutaj na śmierć pośród otępiającego hałasu.

– Jeśli to jest jakaś sztuczka...

– To i tak dacie się na nią nabrać, bo nie macie innego wyboru.

Timonowski ledwo powstrzymywał rozsadzającą go furię. Ptasznik rzeczywiście w pełni panował nad sytuacją. Ale gdzieś musiała istnieć granica. Nawet on musiał liczyć się z czymś takim jak siła grawitacji.

– Nie zdołamy wystartować - powiedział. - Pas startowy jest za krótki, biorąc pod uwagę ciężar Nighthawka. Nie uda nam się oderwać od ziemi przed linią drzew, jeśli będziemy startować razem z nim.

– Pozwól, że tym będę się martwił sam - odparł enigmatycznie mężczyzna, odwracając się w stronę szybu.

Po chwili ściskał już mocno linę i wspinał się na górę. Minutę później sznur poszybował w górę i znikł więźniom z oczu, a klapa została na powrót zamknięta, odcinając dopływ światła.

Rosjanie znów pozostali sami, pośród mroku i nieznośnego huku.

– Lepiej jedz - odezwał się mechanik. - Musimy odzyskać siły, cokolwiek nas czeka.

Timonowski początkowo go zignorował, oddając się gorączkowym rozmyślaniom, ale wkrótce głód stał się nie do wytrzymania. Nie wierzył w ani jedno słowo Ptasznika. Był pewien, że zdrajca zamierzał znowu ich oszukać. Ale skoro i tak czekała go śmierć, wolał stawić jej czoła z pełnym żołądkiem.

38.
W pobliżu wybrzeża Ekwadoru

Rosyjska flota ratownicza znajdowała się już niecałe sto sześćdziesiąt kilometrów od wybrzeża Ekwadoru i jak do tej pory nie natrafiła na żaden ślad po Blackjacku Dwa czy amerykańskim samolocie kosmicznym.

Konstantin Dawidow powoli godził się już z faktem, że przegrał wyścig. Znikoma aktywność statków amerykańskich zdawała się świadczyć o tym, że udało im się odnaleźć zgubę.

Dawidow siedział sam w swojej kabinie i myślał o powrocie do Rosji, gdzie czekały go zapewne poważne konsekwencje z powodu porażki. Z ponurych myśli wytrącił go nagle odgłos pukania do drzwi.

– Wejść.

Był to jeden z adiutantów admirała.

– Odebraliśmy wiadomość - powiedział. - Admirał prosi, by dołączył pan do niego w kabinie łączności.

Dawidow skierował się tam bezzwłocznie.

– Mamy komunikat od Sokolnika - oświadczył Borozdin.

– To on jeszcze żyje?

– Na to wygląda - zauważył rzeczowo admirał. - A skoro do tej pory nie odnaleźliśmy wraku Blackjacka Dwa, można przypuszczać, że jego załoga jest również cała i zdrowa.

– W takim razie, gdzie byli przez cały ten czas? - Dawidow nie krył zdenerwowania.

– Być może tutaj znajdziesz odpowiedź.

Z tymi słowy Borozdin podał mu zapisaną kartkę papieru. Wiadomość była zaszyfrowana metodą zarezerwowaną wyłącznie dla Sokolnika. Dawidow znał klucz na pamięć i bez trudu odczytał słowa, które po odszyfrowaniu nadal były dość enigmatyczne.

– Czy to jest cała wiadomość?

– To wszystko, co zostało nadane - potwierdził Borozdin. - Przysłano to

razem z kodem identyfikacyjnym Sokolnika, więc musi pochodzić od niego.

– W to nie wątpię - powiedział Dawidow. - Co jak co, ale głupcem to on nie jest.

Jeszcze raz popatrzył na kartkę.

– Liczby to bez wątpienia współrzędne geograficzne, ale. ta wiadomość...

Jej treść brzmiała:

Pełna dostawa.

Przywieźcie złoto. Tylko monety.

Podwójna cena.

Uwaga! Amerykanie są blisko.

RATO.

Macie osiem godzin.

– Pełna dostawa... - powtórzył Borozdin. - Czy on ma na myśli Nighthawka razem z zawartością?

– Tak przypuszczam - powiedział Dawidow.

– Trudno mi w to uwierzyć - mruknął Borozdin. - Sam przecież mówiłeś, że Amerykanie musieli go już sami odnaleźć. Potwierdzają to ruchy ich floty. Ten człowiek zwyczajnie próbuje nas okraść. Gdy zjawisz się na miejscu, obezwładni cię i zabierze zapłatę za zadanie, którego nie potrafił wykonać.

– Nie byłbym tego taki pewien - odparł Dawidow, w zamyśleniu pocierając brodę.

– A czemuż to?

– RATO - powtórzył cicho Dawidow, jakby sam do siebie. - Start ze wspomaganiem silników rakietowych. Rozważaliśmy taką procedurę, na wypadek gdyby któryś z bombowców zdołał przechwycić Nighthawka, ale był zmuszony do nieplanowanego lądowania. W ten sposób maszyna mogłaby ponownie wzbić się w powietrze wraz z Nighthawkiem. Skoro prosi o dostarczenie silników rakietowych, może rzeczywiście ma samolot.

– Chyba tylko ty jeden jeszcze w niego wierzysz, przyjacielu. - Borozdin pokręcił głową.

– Ja w nic nie wierzę - odparł ostro Dawidow. - Ale nie mogę sobie pozwolić na porażkę, nie teraz, nie po tym wszystkim. Czy mamy już pełny obraz satelitarny Ekwadoru i Peru?

– Prawie.

– Co wskazują te współrzędne?

Borozdin przyjrzał się liczbom, po czym podszedł do komputera i

wprowadził je do systemu.

– Lądowisko dla samolotów na płaskowyżu - powiedział po chwili. - Wybudowane trzy lata temu przez jakiś chiński koncern wydobywczy. Nieużywane.

– Mamy stamtąd jakieś aktualne zdjęcia?

– Tak - odpowiedział Borozdin.

– Daj je na ekran, w powiększeniu.

Borozdin zaznaczył kwadrat wokół lotniska i nacisnął Enter. Fragment obrazu został powiększony, po chwili nastąpiła zmiana rozdzielczości.

– Ani śladu Nighthawka - powiedział Borozdin.

– A co to jest? - spytał Dawidow, wskazując rozmazany kształt na jednym z krańców pola wzlotów.

Borozdin powiększył jeszcze ten fragment, po czym wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć.

Dawidow był innego zdania.

– To samolot. Duża maszyna ze skrzydłem delta, zakryta płachtą. Jestem pewien, że to Blackjack Dwa.

– Skoro tak, to co się stało z załogą? Czemu do tej pory się z nami nie skontaktowali?

– Kto wie? Ten rejon jest niemal odcięty od świata. To cud, że udało im się znaleźć miejsce do lądowania na tym pustkowiu - uznał Dawidow, wstając z miejsca. - Muszę natychmiast zobaczyć się z kwatermistrzem. A potem, niech Bóg ma mnie w swojej opiece, wsiadam do śmigłowca i lecę do Peru.

– Chyba nie polecisz tam, jak gdyby nigdy nic, z walizką pełną złota?

– Właśnie że tak - odparł Dawidow. - I zabieram ze sobą czterech twoich najlepszych ludzi.

Borozdin uważał ten pomysł za zbyt ryzykowny, niemal samobójczy. Był jednak tylko oficerem marynarki wojennej, nauczonym działać w sprzyjających warunkach i wycofywać się, gdy sprawy przybierały zły obrót. Funkcjonariusze wywiadu działali inaczej, byli przyzwyczajeni do pracy na krawędzi ryzyka, nawet za cenę śmierci. Na tym polegała ich służba i leżało to w ich naturze. Zresztą sam pomysł przechwycenia amerykańskiego samolotu kosmicznego od samego początku obarczony był ogromnym ryzykiem.

Borozdin spróbował jeszcze zaproponować rozwiązanie pośrednie.

– Mamy w Hawanie samolot transportowy An-124 - powiedział. - Możemy go wysłać z setką ludzi na pokładzie. Ma duży udźwig i może operować ze

stosunkowo krótkich pasów startowych. Bez trudu zdołamy zapakować do niego Nighthawka i zabrać bezpiecznie do Rosji. A ty nie padniesz ofiarą ewentualnego oszustwa.

An-124 był czterosilnikowym odrzutowym samolotem transportowym, przeznaczonym do przewożenia ogromnych ładunków. Nadawał się wprost idealnie do takiego zadania. Tak duży samolot nie mógł jednak przylecieć do Peru niezauważenie.

– Zapomniałeś o jednym, istotnym fragmencie komunikatu Sokolnika - odparł Dawidow. - „Amerykanie są blisko". Nie mam wyboru. Muszę znowu wsiąść do jednej z tych twoich przeklętych maszyn. W drogę powrotną zabiorę się jakimś wynajętym odrzutowcem.

– A jeśli Sokolnik naprawdę zamierza cię oszukać?

– Wtedy dopadnie go ktoś inny - stwierdził Dawidow. - Przypomnę mu o tym, kiedy się z nim zobaczę.

39.

Kurt i Emma byli z powrotem pod wodą. Wcześniej razem z Joem umocowali cztery pasy pod kadłubem Nighthawka, po dwa z przodu i z tyłu, w taki sposób, żeby środek ciężkości samolotu znajdował się idealnie pomiędzy nimi.

Teraz Emma doczepiała worki wypornościowe do każdego z nich, a Kurt napełniał je powietrzem. Worki te nazywano potocznie „spadochronowymi", bo od spodu pozostawały otwarte nawet po wypełnieniu. Złożone prezentowały się dość skromnie, ale pod wpływem powietrza rozciągały się do rozmiarów niedużego samochodu.

By zachować równowagę siły wznoszenia i nie dopuścić, by któryś z pasów przesunął się za daleko w jakąś stronę, Kurt napełniał je stopniowo, co chwila przenosząc się od jednego do drugiego.

Gdy nareszcie skończył, ponad samolotem unosiło się osiem żółtych lampionów, odbijających się od siebie leniwie pod wpływem ruchu wody. Maszyna jednak jak do tej pory ani drgnęła.

– Worki napełnione - oznajmił Kurt. - Pasy napięte.

– A samolot nie ruszył się nawet o milimetr - zauważyła Emma.

Kurt bardzo by się zdziwił, gdyby stało się inaczej.

– Same worki nie mają szans oderwać go od dna - powiedział. - Ale pomogą latającemu dźwigowi pokonać siłę ssania wywołaną przez zalegającą wokół pokrywę mułu.

W żargonie specjalistów od wydobywania zatopionych przedmiotów nazywało się tę dodatkową przeszkodę siłą oderwania. W zależności od struktury dna, mogła ona stanowić niezauważalne lub całkiem poważne utrudnienie. W tym przypadku Kurt spodziewał się tego ostatniego.

Początkowo sądzili, że Nighthawk wylądował bez wysuwania podwozia i opierał się o dno wyłącznie spodnią częścią kadłuba, ale po bliższych oględzinach szybko przekonali się, że byli w błędzie. Podkopując muł pod

dziobem samolotu, Emma odkryła, że podwozie było nie tylko wysunięte w całości, ale też wbite bezpośrednio w muł jak kolce w butach lekkoatletów. Biorąc pod uwagę to oraz ogromną powierzchnię samolotu przylegającą bezpośrednio do dna, mogli być pewni, że siła oderwania będzie ogromna, niemal porównywalna z samym ciężarem Nighthawka.

– Liczyłam na to, że przesunie się choć odrobinę - przyznała Emma.

Unosiła się w wodzie ponad samolotem. Latarka przymocowana na jej ramieniu oświetlała bok samolotu i pylony przy jego dziobie. Pracując równo nogami, podpłynęła bliżej i przymocowała stalową linę nośną do zaczepu, po czym pociągnęła kilka razy, by upewnić się, że mocowanie jest prawidłowe. Następnie podpłynęła do maszyny z przeciwnej strony, by zamontować drugi hak.

Kurt popatrzył w górę, w stronę powierzchni jeziora. Gdzieś nad nimi unosił się już helikopter, niewidoczny w tej chwili poprzez ciemną wodę. Uszu Kurta dobiegał nawet delikatny szum wywoływany na jeziorze przez potężne wirniki maszyny.

– Liny nośne zamocowane - powiedziała Emma, wypływając spośród gąszczu żółtych worków.

– Wygląda na to, że jesteśmy gotowi do drogi - stwierdził Kurt.

– Powiadomię Joe’go - odparła Emma.

Popłynęła w górę, wśród istnej plątaniny lin i pasów, unoszących się ponad zatopionym samolotem.

Gdy zniknęła za zasłoną żółtych worków wypornościowych, Kurt został na dnie całkiem sam.

– Chwila prawdy - wyszeptał sam do siebie.

W rzeczywistości była to dopiero pierwsza z serii czekających ich ciężkich prób. Jednak jeśli coś poszłoby nie tak w tym momencie, pozostałe problemy i tak nie będą już miały większego znaczenia.

* * *

Joe znów pilotował helikopter i w tej chwili, utrzymując maszynę w powietrzu, jednym okiem cały czas obserwował powierzchnię jeziora.

Był w stanie dostrzec unoszące się pod powierzchnią ciemnej wody żółte worki wypornościowe, które, zbite razem po napełnieniu powietrzem, przypominały zawieszoną nieruchomo chmurę.

– Zaraz zaczynamy - powiedział. - Gotowy?

Pytanie było skierowane do Paula siedzącego z tyłu przy panelu sterowniczym wciągarki.

– Owszem - zapewnił Paul. - W ciągu ostatniego tygodnia nabrałem sporo doświadczenia w operowaniu dźwigami. Nauczyłem się, między innymi, zarzucać łodzie podwodne jak przynętę na ryby.

Joe bezbłędnie rozpoznał ironiczny ton towarzysza.

– Zdążyłem już usłyszeć, jakimi metodami zwodowałeś „Anglera" z pokładu „Cataliny" - odpowiedział. - Niezła sztuczka. Tym razem jednak będziesz musiał za wszelką cenę utrzymać na haku wyjątkowo grubą rybę.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Joe jeszcze raz skontrolował odczyty z przyrządów. Temperatura silników wzrastała w zastraszającym tempie. Nie osiągnęła jeszcze wartości krytycznej, ale zbliżała się do niej nieubłaganie.

Pozostawienie maszyny przez dłuższy czas w jednym miejscu nie służyło wirnikom, które ze względu na mniejszy przepływ powietrza rozgrzewały się dużo szybciej, co z kolei wywoływało cięższą pracę silników. Poza tym, mimo że pozornie znajdował się jedynie piętnaście metrów nad ziemią, wysokościomierz wskazywał wartość zbliżającą się do trzech tysięcy metrów nad poziomem morza. Powietrze na takim pułapie było o wiele rzadsze, co dodatkowo utrudniało utrzymywanie się w powietrzu.

Joe przestudiował wiele katastrof powietrznych podczas swojego szkolenia z pilotażu, by czerpać naukę z błędów innych pilotów. W tej chwili właśnie z niejakim przestrachem uświadomił sobie, że do lwiej części tych katastrof dochodziło na skutek przeciążenia i rozgrzania na dużej wysokości.

Jego starzejący się już instruktor wielokrotnie przestrzegał, by za wszelką cenę unikać takich warunków podczas lotu, ale w aktualnej sytuacji nie mieli wyjścia. Helikopter już teraz znajdował się bardzo wysoko i był wyjątkowo rozgrzany, a gdy tylko poderwą Nighthawka z dna, stanie się również bardzo, bardzo obciążony.

Stuknął palcem w wyświetlacz pomiaru temperatury, dziękując w duchu za delikatny wiatr, który w niewielkim stopniu pomagał ochłodzić śmigła.

– No dobra - szepnął. - Ruszajmy z tym koksem.

– Widzisz już farbę? - spytał Paul.

Kurt i Emma zabrali ze sobą pojemniki z farbą. Czerwona miała świadczyć o wystąpieniu nieprzewidzianych wcześniej trudności, zielona z kolei była

znakiem, że mogą zaczynać wznoszenie. Przy okazji barwnik na powierzchni jeziora miał ujawnić kierunek ruchu wody, ułatwiając Joe'mu obranie optymalnego kursu podczas podciągania samolotu.

– Jeszcze nie - odparł Joe. - Ale któreś z nich chyba właśnie wypływa.

Spod wody wynurzył się jeden z nurków. Ze względu na hełm i piankę nie dało się określić, czy był to Kurt, czy Emma. Postać puściła w stronę helikoptera trzy krótkie sygnały latarką, uniosła kciuk wysoko w górę, po czym wylała na wodę zieloną farbę.

Joe w odpowiedzi uruchomił na moment światła lądowania. Nurek pokiwał głową i wrócił pod wodę.

– Liny nośne zostały przypięte - powiedział Joe. - Możemy go wciągać.

– Nareszcie - odpowiedział Paul. - Wybieram luz.

Liny nośne zaczęły wynurzać się z jeziora. Jedna z nich zamocowana była na dziobie Nighthawka, a druga w pobliżu ogona.

Kiedy liny napięły się, Joe odczuł jakby nagły wzrost masy śmigłowca.

– Zablokuj wciągarkę - polecił. - Ja zajmę się resztą.

Paul zablokował bęben wciągarki, a Joe zaczął delikatnie się wznosić. To był najbardziej niebezpieczny etap - oderwanie Nighthawka od dna. Manipulując sterami z najwyższą precyzją, Joe wznosił się nieznacznie, po chwili zatrzymywał się, by dźwig mógł się ustabilizować, po czym podciągał maszynę ponownie do góry.

Lina napinała się i rozciągała, rozchlapując wodę z jeziora, ale po kilku takich próbach samolot nadal pozostawał zakopany w pokrywającym dno mule.

– No dalej, kolego, nie rób scen - mruknął Joe.

Przy kolejnej próbie pociągnął mocniej w górę. Wirniki nad głową huczały coraz głośniej, a turbiny wyły złowieszczo. Woda na powierzchni jeziora rozchlapywała się na boki pod wpływem naporu powietrza, ale Nighthawk w dalszym ciągu nie dawał się wyłowić.

Zaświeciła żółta lampka, zwiastująca niebezpieczny poziom temperatury w turbinie numer jeden.

– Nic nie idzie - zawołał z tyłu Paul.

– Musi się w końcu ruszyć - stwierdził Joe.

Joe zmniejszył obroty i odczekał, aż temperatura opadnie poniżej wartości krytycznej.

– Jeszcze raz - powiedział. - Tym razem pociągniemy z całej siły.

* * *

Pod powierzchnią wody Kurt i Emma również widzieli, że latający dźwig nie daje sobie rady. Za każdym pociągnięciem liny nośne naprężały się i trzeszczały, przy wtórze przebijającego się aż pod wodę dudnienia wirników śmigłowca, ale czarny kadłub pozostawał kompletnie nieruchomy.

– Może coś się zaklinowało? - zasugerowała Emma.

– Nie, to siła ssania - zaprzeczył Kurt. - Podpłyń pod skrzydło i postaraj się odkopać jak najwięcej mułu.

Emma zbliżyła się na skraj prawego skrzydła i zaczęła przebierać dłońmi w mule, którego kolejne garście wyrzucała za siebie.

Kurt z kolei skierował się do ogona, po czym wsunął pod kadłub wąż powietrzny i odkręcił go na pełną moc. Starał się wepchnąć go jak najgłębiej, by zebrane pod samolotem powietrze utworzyło gigantyczny pęcherz, który zdołałby pokonać siłę ssania.

Gdy dopchnął wąż tak daleko, jak było to możliwe, zostawił go na miejscu i przepłynął do lewego skrzydła.

Zanurkował pod nie i zaczął również wykopywać muł z miejsc, w których stykał się on z powierzchnią samolotu. Za każdym ruchem ramion sięgał coraz głębiej i wkrótce znalazł się już całkiem pod Nighthawkiem - co groziło przygnieceniem, gdyby maszyna oderwała się od dna, po czym opadła na powrót.

Znowu rozległo się dudnienie wirników helikoptera, pracujących z pełną mocą. Liny nośne znów się napięły. Kurt podkopywał się jeszcze głębiej, sięgając tak daleko, jak tylko pozwalały mu na to długie ramiona.

Nagle spod kadłuba samolotu uniosła się chmura bąbelków powietrza. Stało się to bardzo szybko, a w sekundę później rozbrzmiał charakterystyczny dźwięk zasysania, podobny do tego, jaki towarzyszy spuszczeniu resztek wody w odpływie.

Zarówno on, jak i Emma zostali wciągnięci pod powierzchnię Nighthawka razem z hektolitrami wody, która wpłynęła na miejsce jeszcze przed momentem zajmowane przez samolot.

Zawierucha baniek powietrza i wirującego na wszystkie strony pyłu zakryła wszystko, poza promieniem światła padającym z zamontowanej na ramieniu Emmy latarki.

Kurt chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie.

Oboje wyrzucali nogami za siebie z całej siły, starając się wydostać z rwącego strumienia buzującej, czarnej wody. Po pierwszym zrywie Nighthawk zaczynał już opadać z powrotem i Kurt poczuł, jak w pewnej chwili dotyka nogami boku maszyny. Kiedy się odwrócił, samolot ponownie się unosił, powoli, ale bez przestojów. Gonił za nim wielki rój pęcherzyków powietrza z pozostawionego na dnie węża.

– Wracajmy na powierzchnię - powiedziała Emma. - Muszę zobaczyć na własne oczy, jak sadzają go na lądzie.

Kurt skinął głową i ruszył za nią w kierunku liny kotwicznej pontonu, i dalej już prosto w górę.

Zanim się wynurzyli, czarny ogon Nighthawka zdążył przebić się już na powierzchnię i przypominał przez moment płetwę olbrzymiego rekina lub orki.

Chwilę później spod wody wychynęły żółte worki wypornościowe, natychmiast przekręciły się na boki i uwolniły zgromadzone w nich powietrze.

Nad tym wszystkim górował hałaśliwy latający dźwig, wykonujący drugą część operacji: wydostanie Nighthawka na powierzchnię i poderwanie go w górę.

Dziób maszyny oderwał się od powierzchni jeziora jako pierwszy, ale chwilę później już cała konstrukcja wisiała w powietrzu. Ze skrzydeł spływały strugi wody, a z rozłożonego podwozia odpadały kawały mułu.

Kurt i Emma dryfowali na wodzie tuż przy pontonie i przyglądali się z podziwem, jak helikopter powoli zmienia kurs i kieruje się razem z wyłowionym samolotem w stronę upatrzonego przez Urca wzniesienia, nadającego się na posadzenie zguby.

Emma wskazała palcem środek jeziora. W miejscu, z którego wyłonił się Nighthawk, powstał wir pełen piany i piachu. Worki wypornościowe również pozostały na wodzie, flaczejąc coraz bardziej w miarę, jak uchodziło z nich powietrze.

– Później tu posprzątamy - stwierdził Kurt. - Teraz wracajmy na brzeg i chodźmy zobaczyć lądowanie.

Emma ściągnęła płetwy, wrzuciła je do środka pontonu, po czym uchwyciła się siatki na sprzęt, która w tej chwili służyła im jako prowizoryczna drabinka. Wdrapała się sprawnie po burcie i przeskoczyła na drugą stronę z zadziwiającą szybkością.

Ułamek sekundy później Kurt usłyszał okrzyk zaskoczenia i dźwięki mogące być wyłącznie efektem nagłej szamotaniny. Natychmiast podciągnął się na burtę pontonu, by zobaczyć, jak jakiś mężczyzna próbuje utrzymać w ramionach wyrywającą się z całych sił Emmę.

Skoczył naprzód, by jej pomóc, i zdążył nawet dotknąć napastnika dłonią, ale na nic więcej nie starczyło mu już czasu, bowiem w tym samym momencie ktoś chwycił go z całej siły za nogę i wciągnął z powrotem do wody.

40.

Joe wyczuł pod dłońmi bardzo niepokojące wibracje. W drodze na uzgodnione miejsce lądowania helikopter zaczął się wyraźnie przechylać z boku na bok.

– Czy to cholerstwo się rusza? - zapytał.

– Na to wygląda - potwierdziła Paul. - Obraca się na zmianę w prawo i w lewo. Za każdym razem coraz bardziej.

Joe w lot zrozumiał, co się dzieje. Praca głównego wirnika wywoływała bezpośrednio pod helikopterem efekt miniaturowego tornada. Wirujące powietrze wpływało z kolei na statecznik pionowy samolotu, pchając jego ogon w lewo, a dziób w prawo. Gdy liny nośne naprężały się maksymalnie i zatrzymywały obrót, Nighthawk zaczynał kręcić się w drugą stronę, mocniej z każdą chwilą.

Helikopter wychylał się coraz bardziej, ale już minęli płyciznę i podmokłą linię brzegową. Sto metrów dalej Urco wymachiwał zmajstrowaną na poczekaniu chorągiewką w punkcie, w którym mieli pozbyć się coraz bardziej kłopotliwego balastu.

Wybrane przez Peruwiańczyka miejsce było skaliste, płaskie i miało zarys niemal idealnego koła, otoczonego wysoką trawą. Wyglądało prawie jak przygotowane wcześniej lądowisko.

Joe kierował się wytrwale w jego stronę, ignorując świecącą znowu żółtą lampkę ostrzegającą o niebezpiecznie wysokiej temperaturze i manipulując wściekle pedałami orczyka, by utrzymać latający dźwig we względnie prostoliniowym locie.

Gdy w końcu znalazł się bezpośrednio nad wyznaczonym miejscem, obrócił maszynę pod wiatr i zmusił ją do zawiśnięcia w powietrzu.

– Odbij odrobinę w prawo - skorygował go Paul.

– Jak dużą odrobinę?

– Ze trzy metry.

Joe obrócił delikatnie stery śmigłowca, patrząc prosto pod nogi przez dolny wizjer.

– Teraz idealnie - zapewnił go Paul. - Możemy go powoli sadzać.

– Na to niestety nie mamy już czasu.

Joe rozluźnił chwyt na sterze, pozwalając maszynie opaść możliwie sprawnie i bezpiecznie dla wiszącego w dole samolotu. Udało mu się to tylko po części. Nighthawk uderzył o podłoże z głośnym hukiem, o wiele mniej delikatnie, niż Joe to sobie zaplanował. Liny nośne zaczęły się podwijać, a silniki wyraźnie odżyły po utracie znacznej części obciążenia.

– Nighthawk wylądował! - oznajmił Paul.

– Odepnij go.

Paul odbezpieczył linę, która poszybowała w dół.

Śmigłowiec poderwał się w górę. Pozbawiony wielotonowego obciążenia nagle wydał się zwinny i lekki jak łasica. Joe szybko zmniejszył obroty, ale żółta lampka temperatury świeciła się w najlepsze.

– Musimy natychmiast lądować, jeśli nie chcemy złamać warunków gwarancji na to cacko - powiedział, po czym oddalił się od Nighthawka i skierował na sam skraj odkrytego pasa skał.

Koła uderzyły o ziemię praktycznie jednocześnie z satysfakcjonującym stuknięciem. Joe zredukował obroty silników do jałowych, ale nie wyłączał go całkiem, pozwalając mu stopniowo ostygnąć.

– Niech mnie kule biją! - zawołał Paul. - Chodźmy zobaczyć ten kosmolot!

Przed opuszczeniem kabiny sprawdził jeszcze raz odczyt pomiaru temperatury, która teraz równomiernie opadała. Przez cały lot nawet na moment nie uruchomiło się drugie światełko alarmowe, sygnalizujące pojawienie się odłamków metalu w układzie smarowniczym, co świadczyło, że silniki nie uległy uszkodzeniu. Choć jeden uśmiech losu w obliczu tego całego wariactwa.

Usatysfakcjonowany Joe rozpiął pasy i ruszył w ślad za Paulem na zewnątrz. Obaj skierowali się sprężystym krokiem do Urca, który klęczał pod nosem maszyny i zdrapywał resztki mułu z podwozia samolotu. Gdy zatrzymali się tuż przy nim, mężczyzna uniósł głowę.

– I jak nam poszło? - spytał Paul.

– Przepięknie - pochwalił Urco. - Dokładnie tak, jak oczekiwałem.

W odpowiedzi tej wyraźnie zabrzmiała fałszywa nuta. Zanim Joe zdał sobie z tego sprawę, coś zaszeleściło w stojącej wokół nich trawie. W pierwszym

momencie pomyślał, że to Kurt i Emma wracają z jeziora, ale po chwili spośród zarośli wyłoniło się kilkunastu obcych ludzi. Wszyscy uzbrojeni w karabiny lub strzelby.

Joe obrócił się błyskawicznie z zamiarem ucieczki, ale było już za późno. Za jego plecami stało drugie tyle napastników.

– Nie stawiajcie oporu - poradził Urco, prostując się z pistoletem wycelowanym prosto w Joe’go. - Nie zależy mi na waszej śmierci.

41.

Wciągnięcie z powrotem pod wodę całkiem zaskoczyło Kurta i wytrąciło go z równowagi. Odzyskał ją jednak w mgnieniu oka; zaczął kopać energicznie w dół i natychmiast podciągać kolana. Zdołał uwolnić się od ściskających go rąk, ale od razu poczuł, że coś innego owija mu się wokół szyi i zaczyna dusić. W pierwszej chwili pomyślał, że to metalowy łańcuch, ale szybko zdał sobie sprawę, że był to pas balastowy.

Chwycił go i pociągnął z całej siły, ale dusiciel nie dał się zaskoczyć i zaciskał pas coraz ciaśniej. Gdy Kurt próbował oswobodzić się z uścisku, z rzucanego przez ponton cienia wyłonił się drugi napastnik w szarym skafandrze i prostokątnej masce nurkowej. W jego dłoni połyskiwał nóż, który momentalnie wystrzelił w kierunku Kurta.

Wykorzystując człowieka atakującego go zza pleców jako punkt oparcia, Kurt przekręcił się w bok. Ostrze, zamiast utkwić mu w żebrach, zahaczyło jedynie o jego kamizelkę wypornościową, z której wypłynęła do wody chmura pęcherzyków powietrza. Zanim nożownik zdążył uderzyć ponownie, Kurt kopnął go w twarz, rozbijając mu maskę i wytrącając z ust automat oddechowy. Kolejnym kopnięciem trafił napastnika prosto w zęby, zmuszając go do pośpiesznej ucieczki ku powierzchni.

Jeden z głowy, pora na drugiego, pomyślał Kurt.

Pas w dalszym ciągu wpijał mu się w szyję.

Obaj walczący szybko opadali na coraz większą głębokość. Próbowali się wzajemnie obezwładnić aż do chwili, kiedy zaskakująco mocno uderzyli o dno.

Wraz z oparciem dla nóg Kurt odzyskał odrobinę kontroli nad sytuacją. Wyprowadził mocny cios łokciem. Uścisk na jego szyi zelżał, ale tamten przeniósł uchwyt na główny przewód powietrzny Kurta i wyrwał go z hełmu.

Kurt poczuł szarpnięcie i dostrzegł kolejny gejzer srebrzystych pęcherzyków. Nim zdążył zareagować, został wepchnięty w muł zalegający na

dnie.

Wylądował na plecach. Napastnik - w którym Kurt rozpoznał Vargasa, współpracownika Urco - trzymał go mocno i dopychał do dna, zupełnie jakby próbował pogrzebać pod warstwą mułu. Jego taktyka była prosta. Amerykanin powinien wkrótce stracić przytomność.

Kurt wstrzymał oddech i sięgnął po swój nóż, ale Vargas wytrącił mu go z dłoni.

W akcie desperacji Kurt wyprowadził cios prosto przed siebie, starając się trafić w grdykę Vargasa, ale przeciwnik zasłonił się potężnym ramieniem. Kurt uderzył ponownie, tym razem w splot słoneczny, co nie przyniosło żadnego widocznego efektu.

Podwodne starcie toczyło się w surrealistycznej scenerii: wokół walczących unosiła się chmura czarnego osadu, w której raz po raz połyskiwała latarka, przymocowana do nadgarstka Kurta. Z braku tlenu Austin czuł narastający ból w mięśniach. Vargas dobył noża, by przyspieszyć jego koniec. Kurt ujrzał opadające ostrze i w tym samym momencie wyrzucił w górę kolano, uderzając przeciwnika w krocze.

Oba ciosy jednocześnie sięgnęły celu.

Vargas wypluł ustnik automatu i zwinął się wpół. Kurt poczuł nóż wbijający mu się w ciało i zobaczył w świetle latarki, że woda wokół niego błyskawicznie zabarwia się na czerwono. Ostatnim wysiłkiem chwycił automat Vargasa i wyrwał go z butli.

Vargas wpadł w panikę. Odepchnął się obiema nogami od dna i wystrzelił w górę ku powierzchni, zostawiając Kurta w kłębowisku szkarłatnej wody.

42.

Urco był panem sytuacji. Jak do tej pory wszystko przebiegało dokładnie tak, jak sobie zaplanował.

Nighthawk został wydobyty ze swojego podwodnego więzienia, a przedstawiciele wszystkich pożądających go państw byli jego więźniami: trójka Amerykanów, Chinka ocalała z napaści w La Jalca, gdzie zostawił ją do czasu, aż będzie mu potrzebna, i rosyjscy piloci, ukryci w jaskini wiszącej wysoko po drugiej stronie wodospadu.

W tej chwili byli więźniami, ale już wkrótce mieli się stać jego sługami, z czego sami nie zdawali sobie jeszcze sprawy.

Popatrzył w stronę jeziora, gdzie jego nurkowie przejęli amerykański ponton.

– Daj mi radio - rozkazał jednemu ze swoich ludzi.

Mężczyzna podał mu urządzenie.

– Vargas - powiedział, wciskając guzik nadawania. - Słyszysz mnie?

Nie musiał czekać długo na odpowiedź.

– Melduję się - chrząknął Vargas. Brzmiało to tak, jakby starał się mówić przez zaciśnięte zęby.

– Co się stało?

– Mamy kobietę - odpowiedział Vargas. - Ale Austin za bardzo się stawiał, musiałem go zabić. Wyprułem mu flaki i zostawiłem na dnie jeziora. Nie miałem innego wyjścia.

Urco przyjął te wieści z niejakim rozczarowaniem. Przez ten krótki czas, jaki ze sobą spędzili, zdążył nabrać sporo szacunku do Amerykanina. Austin powiedział mu wszystko, co wiedział o Nighthawku, zamiast zbyć go prostym kłamstwem, a do tematu katastrofy, jaką wśród rdzennych mieszkańców Ameryki wywołały choroby sprowadzone tu przez Europejczyków, odniósł się z pokorą i zadziwiającym rozsądkiem.

– A więc dobrze - powiedział głośno. - Przyprowadź tu pannę Townsend.

Potrzebna mi jej pomoc.

– Już się robi.

Urco przypiął radio do paska i przeniósł wzrok na pojmanych mężczyzn. Klęczeli przed nim z rękami założonymi za głowy. Ludzie Urca, uzbrojeni w rozmaite odmiany broni palnej, pilnowali ich uważnie.

– Kurt nie żyje - oświadczył.

Żadnemu z mężczyzn nie drgnęła nawet powieka.

– Nie musiał umierać, ale zdecydował się walczyć do końca. Mam nadzieję, że potraktujecie to jako przestrogę.

Zaczął przechadzać się w tę i z powrotem po lądowisku, nasłuchując dźwięku zbliżającego się pontonu. Po jakimś czasie zauważył, że Zavala obserwuje każdy jego krok, podszedł więc do pilota i uklęknął przy nim, by mu się dokładnie przyjrzeć.

Od razu przekonał się, że za pozornym spokojem Amerykanina kryje się niezłomna determinacja. Po rysach twarzy Zavali oraz barwie skóry i włosów wywnioskował, że spora część jego genów musiała pochodzić od przodków z Ameryki Środkowej.

– Skąd pochodzisz? - zapytał w końcu.

– Z Nowego Meksyku - odpowiedział krótko Zavala.

– A twoi rodzice?

Zavala najwyraźniej nie miał w zwyczaju manifestować swojej przekory. Zawsze roztaczał wokół siebie aurę pewności siebie i nawet sprawiał wrażenie niezbyt przejętego swoim losem.

– A czemu pytasz?

– Powiedzmy, że to taka moja dziedziczna ciekawość - odparł Urco. - Przekonałem się, że większość ludzi na tym świecie nie ma zielonego pojęcia o swoim prawdziwym pochodzeniu. Już na pierwszy rzut oka widzę, że masz w sobie sporo krwi Europejczyków, podobnie jak ja, i choć czujesz się w tym środowisku jak ryba w wodzie, twoje serce należy do dziewiczej Ameryki. Jesteśmy krewniakami. Nie zdziwiłbym się, gdyby spora domieszka twojej krwi pochodziła od Olmeków albo Majów.

Zavala nie odwrócił się ani też nie próbował kłócić. Zachowywał całkowitą kontrolę nad swoimi emocjami.

– Moja krew jest czerwona - odpowiedział tylko. - Jak u każdego człowieka.

Urco zacisnął usta i wstał.

– Wkrótce się przekonamy.

Tymczasem ponton zdążył już dobić do brzegu i teraz spośród wysoko rosnącej trawy wyłoniła się Emma, bezlitośnie ciągnięta za rękę. Nadal miała na sobie piankę, a jej usta były zakneblowane.

– Zdejmij jej to - nakazał natychmiast Urco.

– Ona pluje - warknął ostrzegawczo Vargas.

Urco spodziewał się po niej, że będzie sprawiać kłopoty. Dobrze znał jej porywczość. Przyjrzał się jej dokładnie, od stóp do głowy, i przekonał się, że była... inna, niż zapamiętał. Upływ czasu odegrał w tym oczywiście swoją rolę, ale dostrzegł też coś innego. Przygniatające barki niewidoczne brzemię wiedzy? Sam też musiał się z nim borykać. Być może będzie mógł wykorzystać to jako dodatkowy atut, ale wpierw musi jej udowodnić, że jest absolutnie bezsilna.

– Przygotuj drugą łódź do fazy drugiej - powiedział do Vargasa.

Kiedy mężczyzna odszedł, Urco zbliżył się do kobiety i delikatnym ruchem usunął knebel.

– Wybacz mi, proszę, to barbarzyńskie traktowanie.

Stała wyniośle, rzucając mu wyzwanie oczami, które zamiast patrzeć, miały tylko zastraszać. Przyjął to za dobrą monetę. Zaślepiona wściekłością łatwiej podda się manipulacji. I tym szybciej się podda.

– Co to wszystko ma znaczyć? - zawołała bojowo. - Dla kogo pracujesz? Dla Rosjan czy dla Chińczyków?

– To oczywiste, że wszystko ci się pomieszało, czemu miałoby być inaczej? - powiedział spokojnie Urco. - W tej chwili zachodzisz w głowę, który z twoich arcywrogów przekabacił twojego przygodnego pomocnika z La Jalca. Bo musi za tym stać któryś z nich, prawda? Reszta świata składa się zaledwie z pionków, czekających na to, aż któryś z wielkich graczy wykorzysta je do swojej mistrzowskiej gry. Właśnie tego nauczyli cię w NSA, czyż nie?

To zrobiło na niej wrażenie, bo nigdy nie zdradzili mu, że pracują z ramienia agencji.

– A w odpowiedzi na twoje pytanie muszę wyznać, że nie pracuję ani dla Rosjan, ani dla Chińczyków. Pracuję dla całej ludzkości.

Jej spojrzenie wyostrzyło się, a wokół oczu pojawiły się zmarszczki, świadczące o tym, że wreszcie zaczynała myśleć. Na razie szło mu bardzo dobrze.

– W tym szczególnym momencie natomiast - dodał - ludzkość wymaga właśnie twojej pomocy.

– Nie zamierzam ci w niczym pomagać.

– Tak, naturalnie - parsknął, machając od niechcenia dłonią. - Nauczono cię tak mówić. Przyjmuję do wiadomości, ale przy tym zapewniam, że owszem, pomożesz mi. Powiem więcej, będziesz się wręcz zrywać w podskokach, byle tylko zrobić to jak najszybciej.

Odwrócił się, nie czekając na odpowiedź, i podszedł do Nighthawka. Z podwozia ciągle jeszcze ściekały resztki mulistej wody. Na stałym gruncie samolot wydawał się większy niż pod wodą, ale stał niezwykle nisko nad ziemią.

Urco zatrzymał się przy dziobie maszyny i bez żadnych trudności uruchomił panel dotykowy. Gdy wprowadził alfanumeryczny kod, na ekranie zaświeciło się zielone światełko, a tuż obok otworzyły niewielkie drzwiczki. Sięgnął do środka i chwycił znajdującą się tam dźwignię.

– Nie rób tego - syknęła Emma.

Nie zwracając na nią uwagi, pociągnął dźwignię w bok i do dołu. Rozległ się dźwięk budzących się do życia siłowników hydraulicznych. A potem syk powietrza, kiedy puściło uszczelnienie, i drzwi ładowni zaczęły się powoli otwierać.

Urco wszedł po skrzydle i zajrzał w dół do środka. W kontraście do czerni zewnętrznej powłoki samolotu ładownia została utrzymana w błyszczącej, sterylnej bieli.

– Nie masz pojęcia, co robisz. - Emma mówiła coraz szybciej. - Jeden nieuważny ruch i wszyscy wylecimy w powietrze.

– Więc może zechcesz mi pokazać, jak to się robi? Żebym przypadkiem nie wywołał katastrofy?

Dwóch mężczyzn podprowadziło Emmę do niego. Teraz oboje wpatrywali się we wnętrze ładowni. W całości wypełniały ją wiązki kabli, akumulatory i cylindryczne tuleje. Wszystkie elementy były rozłożone w idealnej symetrii.

– Dwa do dwóch - zauważył Urco, wskazując zgrupowane równo elementy z wypisanymi na spodzie słowami „moduł kriostatyczny”.

– Nie wiesz, o czym mówisz - odparła Emma.

– Nie zgrywaj większej ignorantki, niż jesteś - powiedział ostro. - Oboje świetnie wiemy, co tu się znajduje. Materia w stanie mieszanym. Najpotężniejszy reagent znany ludzkości, nigdy wcześniej niespotkany w tak ogromnych ilościach.

– Owszem. I radzę ci go nie tykać. - Emma spojrzała mu prosto w oczy.

– Wiele lat temu radziłem dokładnie to samo - wypalił natychmiast. - Mnie nikt nie posłuchał, jak widać.

Na jej twarzy pojawił się wyraz kompletnego zaskoczenia. Właśnie na to liczył, zasypując ją półsłówkami. Starał się wytrącić ją z równowagi.

– Odepnij najbliższy moduł od zasilania i podłącz do jednego z tych ogniw paliwowych, które ze sobą przywiozłaś - rozkazał. - To miał być kolejny etap planu, prawda? Po znalezieniu samolotu zamierzaliście zabrać to, co najważniejsze, a resztę rozwalić na kawałki.

– Nikt nie chce niczego rozwalać, tylko...

– Przestań - przerwał jej. - Nie wierzę, że spróbowalibyście przetransportować ważącego osiem ton trupa przez góry aż do Cajamarki. Wątpię, żeby wasz helikopter wytrzymał dłuższy lot z takim obciążeniem, a tym bardziej żebyście chcieli ryzykować konfrontację z rządem Peru. Przecież tubylcy z pewnością chcieliby się dowiedzieć, skąd wziął się tutaj tajny amerykański samolot i dlaczego nikt ich wcześniej o tym nie poinformował.

Odwrócił się do swoich ludzi i zagwizdał. Dwóch z nich weszło do helikoptera i po chwili wróciło z urządzeniem przypominającym walizkę - było to jedno z przenośnych ogniw paliwowych, które Joe i Paul odebrali w Cajamarce.

Emma wyglądała na załamaną. Na to właśnie czekał.

– Wrócilibyśmy później po sam samolot - powiedziała cicho.

– I będziecie jeszcze mieli szansę to zrobić - odparł. - Ale na razie masz odłączyć pierwszy moduł kriostatyczny, podpiąć go do ogniwa i przygotować do transportu.

– Transportu dokąd?

– Daruj sobie te pytania - żachnął się Urco. - Możesz się bez trudu domyślić dokąd.

– Nie zrobię tego. - Pokręciła głową. - To zbyt niebezpieczne. Samo otwieranie ładowni było już dość ryzykowne.

W tym momencie mógł zacząć grozić skrzywdzeniem któregoś z jej towarzyszy, ale nie chciał marnować czasu. Najprawdopodobniej cała trójka wolałaby dać się zabić, niż zrobić to, czego żądał. Szkoda nerwów i zachodu. Był o wiele łatwiejszy i szybszy sposób.

Ponownie zajrzał do środka ładowni, szukając teraz urządzenia, którego kształt znał na pamięć.

– Transformator - powiedział na głos. - Łączy moduły z akumulatorami,

zwiększając napięcie, by zapewnić ich prawidłowe działanie. Bez niego moduły stają się bezużyteczne. Całe szczęście, że żadnemu nic się nie stało.

– Tak, ale...

Nie dał jej skończyć zdania. Wyciągnął pistolet, wymierzył spokojnie i oddał strzał. Kula zagłębiła się w transformatorze pracującym przy pierwszym module kriostatycznym.

– Nie! - krzyknęła Emma.

Za późno. Urządzenie zostało uszkodzone. W ładowni i na zewnętrznym panelu rozbłysły ostrzegawcze lampki.

– Uwolnij mnie!

Urco rozciął jej więzy, a ona natychmiast wskoczyła do środka ładowni, uklęknęła przy module numer jeden i zaczęła ścierać rękawem warstwę szronu z panelu kontrolnego. Pomimo grubej warstwy izolacyjnej, temperatura na zewnętrznej powłoce modułu oscylowała około czterdziestu stopni poniżej zera. Gdy wyświetlacz stał się już widoczny, zobaczyła na nim ostrzeżenie wskazujące całkowity brak zasilania. Miała sześćdziesiąt sekund na podłączenie modułu do zapasowego źródła.

– Podajcie mi ogniwo! - zawołała.

– Nie - powiedział spokojnie Urco. - Odłącz moduł i wystaw go na zewnątrz. Dopiero wtedy podepniemy ogniwo.

Popatrzyła na niego, a w jej oczach widniało kompletne przerażenie. Nie było czasu na kłótnie. Zabrała się do pracy. Widział wyraźnie, jak kobieta w myślach powtarza kolejne kroki procedury.

Przełączyć na zasilanie wewnętrzne.

Odłączyć regulator napięcia.

Odpiąć przewód zasilania.

Wyłączyć wymiennik kriogeniczny i odczekać pięć sekund na pełny cykl przepływu płynu.

Słyszał, jak po cichu odlicza sekundy. Gdy doszła do pięciu, sięgnęła dłonią pod moduł. Urządzenie przymocowano do podłogi na czterech zatrzaskach. Trzy z nich były łatwe do odblokowania, ale ostatni, o czym Urco dobrze wiedział, znajdował się w trudno dostępnym miejscu.

Przekręcił głowę, podziwiając, jak kobieta wyciąga rękę z całych sił i krzywi się z wysiłku przy próbie dosięgnięcia ostatniej przeszkody. Po chwili zatrzask puścił z głośnym trzaskiem. Po uniesionym ramieniu ciekła krew.

Nie zwracała jednak na to uwagi. Wstała szybko i stanęła po jednej stronie

urządzenia.

– Pomóżcie mi! - krzyknęła. Każdy moduł ważył siedemdziesiąt kilo. W większości składały się na to potężne magnesy i przewody kriogeniczne, wypełnione ciekłym helem. Ale oprócz tego, pomiędzy przewodami, w pojemnikach magnetycznych, znajdowała się porcja śmiercionośnej, niestabilnej materii. Dwadzieścia pięć kilogramów w każdym z ośmiu modułów.

Usłuchawszy tym razem jej prośby, Urco zszedł do ładowni. Włożył parę rękawiczek, po czym chwycił moduł z drugiej strony. Unieśli go wspólnie ponad krawędź drzwi pomieszczenia. Odebrało go od nich dwóch pomagierów Urca i ustawiło na skrzydle.

– A teraz podłącz źródło zasilania - polecił krótko Urco.

Emma wspięła się z powrotem na skrzydło, zeskoczyła na ziemię i podbiegła do wyniesionego z helikoptera ogniwa paliwowego.

Urco domyślał się, że w myślach odlicza z przestrachem każdą sekundę. Ale czasu było jeszcze dość.

Wcisnęła kilka przycisków na obudowie i upewniła się, że urządzenie działa prawidłowo. Natychmiast rozpoczęło wytwarzanie energii.

Chwyciła przewód zasilający i pobiegła do modułu kriostatycznego. Zabrakło jej niecałe pół metra przewodu.

Urco cały czas stał nieruchomo, jego ludzie również nie ruszali się z miejsca. Ruszył się natomiast Joe Zavala. Skoczył na równe nogi, minął pilnującego go mężczyznę, złapał ogniwo i przeniósł je bliżej samolotu. Urco uśmiechnął się tylko na widok tego pokazu owocnej współpracy.

Emma podpięła kabel. W mgnieniu oka pomarańczowe światła na panelu zgasły i ustąpiły miejsca zielonym lampkom. Moduł wznowił prawidłowe działanie. Ciekły hel zaczął krążyć w układzie. Antymateria była zabezpieczona w pojemniku magnetycznym, przy temperaturze zbliżonej do zera absolutnego.

Urco zaklaskał w dłonie, by uhonorować ich sukces.

– Świetna robota. Mam nadzieję, że przy następnych modułach nie będę musiał uciekać się do takich metod.

Emma dyszała ciężko. Serce łomotało jej w piersi od wysiłku i potężnego zastrzyku adrenaliny. Popatrzyła na niego zamglonym wzrokiem i pokręciła głową.

– Nie - wysapała. - Wolałabym tego uniknąć.

Uśmiech Urco stał się jeszcze szerszy. Wygrał kolejną bitwę. Nie musiał się już obawiać dalszego oporu. Jakikolwiek impuls, by się mu sprzeciwić, został całkowicie wymazany z ich umysłów. To, co zamierzał zrobić z antymaterią, sprzedać ją Rosjanom, Chińczykom lub komukolwiek innemu, kto zaproponuje odpowiednią cenę, nie miało żadnego znaczenia.

Nie miało też znaczenia, czy obiecałby ich uwolnić, zabić czy uwięzić do końca życia. Każda z tych ewentualności była lepsza niż pogrążenie świata w wiecznej ciemności po dopuszczeniu do eksplozji całej zebranej w tym miejscu materii w stanie mieszanym.

Trzymał ich w garści. Wszystkich.

43.

Daiyu siedziała w ciemności. Zamknęli ją z tyłu furgonetki, którą sama wcześniej porwała na górskiej drodze. Ręce i nogi miała skrępowane sznurem, zaciśniętym mocno przez ludzi, którzy przez całe życie ćwiczyli wykonywanie węzłów pośród gór, gdzie zależało od tego ich życie. Mimo wielu godzin prób, nie zdołała ani się uwolnić, ani nawet poluzować więzów.

Starła sobie nadgarstki do krwi, nim zdecydowała się zmienić taktykę. Pełzając po całej szerokości drewnianej podłogi, znalazła w końcu nierówne miejsce, gdzie główka gwoździa wystawała nieznacznie ponad deskami.

Przekręciła się na plecy i przysunęła dłonie do tego miejsca, wiercąc się w ciemności i ocierając sznurem o gwóźdź, dopóki mięśnie nie odmówiły jej posłuszeństwa. Padła wtedy na bok i sprawdziła materiał więzów pod palcami. Wyczuła wystrzępiony fragment, ale nie była w stanie stwierdzić, czy to wystarczy.

Rozluźniła się, czekając, aż minie ból pleców i będzie mogła kontynuować uwalnianie się.

Wydostanie się stąd. Nie zdołają jej powstrzymać. Wykona swoje zadanie. A jeśli tylko znajdzie okazję, pozabija Amerykanów razem z ich peruwiańskimi przyjaciółmi.

Oddychając ciężko w całkowitym bezruchu, usłyszała nagle głosy zbliżających się ludzi i dźwięk ciężkich butów uderzających o wysuszoną powierzchnię górskiej drogi.

Natychmiast przyspieszyła ruchy, przecierając sznurem o gwóźdź z wariacką prędkością.

Musi się zaraz uwolnić. Musi!

Usłyszała wsuwający się do zamka klucz i zwalnianą blokadę. Chwilę później drzwi rozsunęły się i oślepiło ją światło słonecznego dnia.

Gdy zamknęła odruchowo oczy, dwaj mężczyźni chwycili ją za nogi i zaczęli wywlekać z samochodu.

– Nie - sapnęła, kopiąc wściekle. Była już tak blisko wolności.

Mężczyźni wyciągnęli ją na zewnątrz i posadzili na ziemi. Błyskawiczny ruch dłoni jednego z nich uwolnił ją od więzów na nogach. Wyzbyła się jakichkolwiek marzeń o ucieczce. Gdy tylko spróbowała stanąć na całkowicie odrętwiałych stopach, natychmiast upadła na twarz.

Przymykając oczy, uniosła głowę w kierunku ludzi, którzy ją wyciągnęli. Widziała tylko niewyraźne kontury postaci. Dwóch stało tuż przed nią, trzeci z boku. I jeszcze czwarty za nim.

– Co się z nią stało? - zapytał ten czwarty po angielsku. - Skąd te siniaki?

Z ogromnym zaskoczeniem stwierdziła, że zna ten głos.

– Biła się z Amerykaninem - odpowiedział jeden z Peruwiańczyków.

– Podnieście ją.

Chwycili ją za ramiona, unieśli w górę i pozwolili, by oparła się o zderzak furgonetki. Mężczyzna o znajomym głosie zbliżył się, potwierdzając jej przypuszczenia. Porucznik Wu, adiutant generała Zhanga.

– Czarna Perła - powiedział cicho. - Generał był zszokowany, gdy dowiedział się, że zostałaś... pojmana z taką łatwością.

Poczuła, jak zalewa ją ogromna fala wstydu. Wrażenie porażki zawładnęło nią do tego stopnia, że nie odważyła się unieść wzroku, by choć spojrzeć na mężczyznę.

– Rozwiążcie ją - rozkazał Wu.

Nie była w stanie zrozumieć, dlaczego Peruwiańczycy słuchali jego poleceń. Ale gdy tylko ten trzeci pokiwał głową, pozostali dwaj zrobili to, co im kazano.

Rozprostowała unieruchomione przez kilkanaście godzin ręce i poczuła zarówno ulgę, jak i kolejne uderzenie bólu.

Dłonie miała umazane zasychającą już krwią z poranionych nadgarstków. Krępujący ją sznur był niemal przetarty, trzymał się na kilku ostatnich włóknach. Na ten widok Peruwiańczykom wyraźnie zrzedły miny.

– Macie szczęście, że zjawiłem się tak szybko - powiedział ze śmiechem Wu. - Za kilka minut wszystkich by was zabiła.

Skwitowali jego słowa lekceważącymi parsknięciami, mimo że była to absolutna prawda.

– Możesz iść? - zapytał Wu.

Daiyu ponownie sprawdziła stan swoich nóg. Czuła mrowienie i ukłucia setek niewidocznych igieł, ale nie zamierzała okazywać już ani odrobiny słabości. Skinęła potakująco głową i stanęła wyprostowana.

– A więc chodź za mną - polecił porucznik. Odwrócił się i ruszył ścieżką.

Podążyła za nim niezgrabnie, słysząc, jak mężczyźni za jej plecami zasuwają drzwi furgonetki. Zachrobotały w prowadnicach i zamknęły się z głośnym trzaskiem. Między Peruwiańczykami trwała gniewna wymiana zdań.

Daiyu przeniosła uwagę na Wu.

– Czy generał Zhang wykupił mnie z niewoli?

– Tak i nie.

– Zawiodłam was - wyszeptała. - Nie jestem godna, by dawać za mnie okup.

Wu ponownie dał pokaz swojego śmiechu, choć tym razem znacznie ciszej.

– Generał uprzedzał mnie, że zareagujesz w ten sposób. Kazał ci przekazać, że złoto i diamenty można wykopać spod ziemi, kupić albo nawet ukraść, jeśli zajdzie potrzeba. Zdobycie dobrego agenta, takiego jak ty, jest o wiele trudniejsze.

Komplement natychmiast obudził w niej poczucie dumy. Ale nie zmienił tego, co się wydarzyło.

– Poza tym nie zapłaciliśmy tylko za ciebie, ale też za ładunek Nighthawka.

Daiyu nie była w stanie powstrzymać zdumienia.

– Bardzo wiele cię ominęło przez ostatnią dobę - stwierdził Wu, prowadząc ją zakręcającą ścieżką.

Dalej przed nimi czekał lśniący śmigłowiec. Pilnowało go dwóch ludzi z karabinami szturmowymi. Dwóch Chińczyków. Towarzyszy.

– Jak mnie znaleźliście?

– Przypominasz sobie imię Sokolnik?

– To ten rosyjski szpieg.

– Nasz szpieg - poprawił Wu. - Ale Rosjanie rzeczywiście sądzą, że pracuje dla nich. Sokolnik był w drugim rosyjskim bombowcu i miał za zadanie zablokować komendy wysyłane do Nighthawka z Ameryki. Miał również uniemożliwić fizyczne przechwycenie samolotu i zamiast tego skierować go w stronę naszej floty, gdzie zostałby wyłowiony zaraz po wodowaniu.

– Nie udało mu się - stwierdziła Daiyu.

– Nie do końca - potwierdził Wu. - Czy zawiódł przypadkowo, czy rozmyślnie, tego nie jesteśmy w stanie stwierdzić. Ale okazuje się, że przeżył. Skontaktował się z nami i powiedział nam, gdzie jesteś ty i gdzie jest Nighthawk.

– Ale Amerykanie już tam są - powiedziała. - Z człowiekiem z tego obozu.

– Tak - odparł Wu. - Z Sokolnikiem. To właśnie on.

Chwilę zajęło jej przetrawienie tej rewelacji. Gdy w końcu zdołała się z nią uporać, wybuchnęła śmiechem.

– O mały włos go nie zabiłam.

– Nie mogłaś wiedzieć, kim jest naprawdę - zapewnił Wu. - Pracował na trzy fronty. Ale jego służba dobiega już końca. General Zhang wykupił twoją wolność złotem. A teraz my, za skromną ilość brylantów, odkupimy ładunek samolotu dla Chin.

Skromna ilość w rozumieniu Zhanga mogła być warta pięćdziesiąt milionów dolarów. Ale nawet taka suma bladła w porównaniu z towarem, który mieli za nią zdobyć.

Dotarli w końcu do helikoptera. Drzwiczki były już uchylone do góry. Na podłodze maszyny leżało ciało w plastikowym worku.

– Jian - odgadła. Jej brat pomiędzy nienarodzonymi dziećmi.

– Takie operacje pociągają za sobą ofiary - mruknął Wu.

Wsiedli oboje do helikoptera, a chwilę później dołączyli do nich uzbrojeni mężczyźni. Pilot uruchomił silnik. Jednemu z Peruwiańczyków, którzy doszli za nimi aż tutaj, ktoś rzucił ciężki i brzęczący pakunek.

– Krugerandy - uprzedził jej pytanie Wu.

Peruwiańczycy otworzyli paczkę. Jeden wyglądał na usatysfakcjonowanego, ale drugi wręcz przeciwnie. Zaczęli kłócić się ze sobą w swoim języku. Trudno było rozróżnić słowa, gdy wszyscy zakrzykiwali się nawzajem, ale zdołała wyłapać dość, by zrozumieć sens:

– Zabiła ich. Nie powinniśmy puszczać jej wolno.

– Wszystko zostało ustalone.

– Nie podoba mi się to... powinna zginąć...

Hałas wirnika zagłuszył resztę słów. Ale Daiyu potrafiła czytać z ruchu warg. Skupiła się na przywódcy Peruwiańczyków.

– Oczywiście, że zasługują na śmierć. Nie martwcie się. Właśnie to ich czeka.

44.

Twarz Kurta była skąpana w żółtym świetle. Gdziekolwiek obrócił wzrok, jedyne, co widział przed oczami, to ta intensywna, oślepiająca poświata, ale z pewnością jeszcze nie zaświaty.

Po wciągnięciu na samo dno jeziora Kurt był już na granicy utraty przytomności, gdy jego ostatnia, desperacka próba ataku zlała się w jedno z wyprowadzonym przez przeciwnika ciosem nożem prosto w jego żebra.

Obfita smuga czerwieni, która pojawiła się chwilę później, dobitnie świadczyła o tym, kto wyszedł górą z tej wymiany razów. Kurt był tak samo pewny swojego rychłego końca, jak odpływający ku powierzchni Vargas.

Przemknęła mu przez głowę irracjonalna myśl, że jego krew jest dziwnie lśniąca, ale najpierw musiał zadbać o możliwość oddychania, nim przejdzie do oględzin krwawiącej rany.

Chwycił zapasowy przewód i błyskawicznie podłączył go do zaworu w swoim hełmie.

Rozległ się cichy syk, potwierdzający, że powietrze jest doprowadzane do hełmu, i Kurt natychmiast wykonał serię szybkich oddechów, by jak najszybciej pozbyć się z płuc zgromadzonego tam już dwutlenku węgla.

Po uporaniu się z najpilniejszym zagrożeniem, nadszedł czas na sprawdzenie obrażeń od noża. Zanim odszukał ranę, otaczająca go smuga czerwieni zdążyła już mocno się rozrzedzić. Woda przybrała na jakiś czas barwę szybko rozmywającego się różu, by w końcu powrócić do swojego naturalnego koloru.

Świadczyło to o tym, że albo całkiem się już wykrwawił, albo...

Okazało się, że ostrze wcale nie trafiło go w żebra. Musnęło tylko skórę, zostawiając niewielkie krwawiące rozcięcie. Źródłem karmazynowej barwy sprzed kilku chwil była uszkodzona kapsułka z czerwonym barwnikiem. Nóż przeciął ją na pół, przez co cała zawartość natychmiast wydostała się do wody, co dało efekt wizualny podobny do uszkodzenia tętnicy.

Kurt pozbył się zniszczonej kapsułki i spojrzał w górę. Wytężając wzrok, dostrzegł spód pontonu i sylwetki dwóch uwieszonych u niego postaci.

Pod wpływem krążącej we krwi adrenaliny w pierwszym odruchu chciał rzucić się na ratunek Emmie, ale natychmiast zorientował się, że jego szanse w wodnej walce z dwoma przeciwnikami nie były duże. Szczególnie z kończącym się już zapasem powietrza. A nawet gdyby zdołał obezwładnić obu nurków, pozostawał jeszcze trzeci mężczyzna, pilnujący Emmy na pontonie.

Skoro bezpośredni atak nie wróżył powodzenia, trzeba było wymyślić coś innego. Wrogowie sądzą, że zginął, więc niech nadal trwają w tym przekonaniu. To pozwoli zaskoczyć ich w najmniej spodziewanym momencie.

Odpiął przymocowaną do nadgarstka latarkę, zostawił ją na dnie i odpłynął.

Jeśli ci z pontonu popatrzą w dół, zobaczą tylko nieruchome źródło światła. On sam, w czarnym skafandrze pośród ciemnej wody, będzie równie niewidoczny, jak wcześniej kadłub Nighthawka.

Posuwał się niespiesznie przy samym dnie, aż do miejsca, w którym spoczywał kosmiczny samolot, i dopiero tutaj odbił się w górę. Unosił się ku powierzchni, oddychając powoli, by w końcu wynurzyć się wewnątrz jednego z dryfujących na wodzie worków wypornościowych. Szeroka płachta materiału leżała teraz na boku jak gigantyczny rurkopław wyrzucony przez fale na plażę.

Schowawszy się wewnątrz worka, Kurt zdjął hełm, by móc swobodnie oddychać, a następnie rozpiął wodoszczelną kieszeń na rękawie skafandra i wydobył z niej mały aparat nadawczo - odbiorczy.

Uruchomił miniaturowe radio, uważając przy tym, żeby nie weszło w kontakt z wodą, i ustawił na uzgodnioną wcześniej częstotliwość. Wcisnął przycisk nadawania i odezwał się cicho do mikrofon:

– Gamay, tu Kurt.

Z głośnika dobył się niebawem równie cichy, a mimo to pełen wyrzutu głos:

– Kurt, byłam pewna, że zginąłeś! Właśnie miałam interweniować.

Kurt miał już po dziurki w nosie zastawianych na niego pułapek, więc tym razem postanowił zaopatrzyć się w prywatnego anioła stróża, który zadba o jego tyły. Joe musiał pilotować helikopter, więc do wyboru pozostawali mu tylko Troutowie. Z tej dwójki zdecydował się na Gamay, z kilku powodów.

Przede wszystkim dlatego, że była strzelcem wyborowym. Dobrze radziła sobie z pistoletem, a w strzelaniu z karabinu mało kto mógł się z nią równać. Ponadto miała drobniejszą budowę i była zwinniejsza oraz bardziej

wysportowana od Paula. Dzięki temu miała większe szanse pozostać niezauważoną aż do chwili, gdy okaże się niezbędna.

Joe przyleciał z nią tutaj bladym świtem i zostawił ją na wysokim wzniesieniu, przed rozpoczęciem poszukiwań Nighthawka.

Gamay czekała teraz w ukryciu, wyposażona w strój maskujący i karabin snajperski.

– Gdzie jesteś?

– Jestem na drugim szczycie na wschód od miejsca, gdzie mnie wysadziliście - powiedziała. - Widzę stąd Nighthawka, większą część jeziora i wodospad.

– Co z Paulem i Joem?

– Są przy samolocie. Otoczyli ich, gdy tylko wylądowali. Nighthawk jest cały, helikopter też. Chłopaków trzymają tuż przy maszynach.

– A co z Emmą?

– Kazali jej przy czymś majstrować - stwierdziła Gamay. - Nie jestem do końca pewna, co się dzieje. Otworzyli Nighthawka i zaczęli coś z niego wyjmować. Poza tym wszystko wygląda w miarę spokojnie.

– To Urco za tym stoi? - spytał Kurt, choć był raczej pewny odpowiedzi.

– Tak. - Gamay potwierdziła jego podejrzenie. - Skąd wiedziałeś, że nie należy mu ufać?

– Nie byłem pewny - przyznał Kurt. - Ale kilka drobiazgów wzbudziło moje podejrzenia. Po pierwsze, jego antena satelitarna była ustawiona płasko ku północnemu zachodowi. Dlaczego archeolog pracujący w głębokim kanionie na półkuli południowej korzystał z satelity widocznego tuż nad horyzontem? Z ustawienia wynikało, że używał satelity krążącego nad półkulą północną, gdzieś ponad Pacyfikiem. Poza tym powiedział, że to on kręcił nagranie, na którym Nighthawk przelatuje na niebie nad La Jalca: Zauważyłem jednak, że jest leworęczny: pisze lewą ręką, je lewą ręką, a tymczasem nagranie wyraźnie zostało wykonane z prawej ręki. Nie miałem zielonego pojęcia, po co miałby kłamać w tak nieistotnej sprawie, więc wydało mi się to tym bardziej podejrzane.

– Intuicja znów cię nie zawiodła - skomentowała Gamay.

– Nie do końca - odparł Kurt. - Byłem pewien, że nic nam nie zagrozi, dopóki nie wydobędziemy z samolotu modułów kriostatycznych. Uznałem też, że pierwsza zauważysz kogokolwiek zbliżającego się do nas po drodze czy z doliny. Jak to się stało, że jego ludzie dostali się tu niezauważenie?

– Ta część planu rzeczywiście wzięła w łeb - przyznała Gamay. - Nie

spuszczałam z oka okolicy przez cały czas. Droga prowadząca z La Jalca była pusta, podobnie jak ta biegnąca z południa. Odkąd wy się tu zjawiliście, nie przybył tu nikt więcej.

– A więc wspólnicy Urca musieli tu być, zanim wyruszyliśmy. Czekali na odpowiedni moment, by się ujawnić. - Kurt wskazał jedyne możliwe rozwiązanie. - Rano rzeczywiście przeszło mi przez myśl, że w obozie zrobiło się nienaturalnie pusto. Pewnie przyjechali tu jeszcze w nocy.

– Naliczyłam sześciu ludzi przy maszynach i jeszcze trzech na jeziorze - podsumowała Gamay.

– Razem z Urkiem to dziesięciu - dodał Kurt.

– Myślisz, że to wszyscy?

– Nie widzę powodu, by miało być inaczej - odpowiedział. - Odkryli już swoje karty. Teraz kolej na naszą kontrę.

– Jeśli przejdę na południe, będę mogła ostrzelać cały rejon miejsca lądowania - powiedziała. - Jeśli uderzymy w tym samym momencie, weźmiemy ich w dwa ognie.

To był dobry plan. Problemem była jedynie plaża. Od brzegu jeziora do skraju wysokiej trawy biegł szeroki pas otwartego terenu, na którym Kurt zostałby natychmiast dostrzeżony i z miejsca zastrzelony.

– Muszę ruszyć okrężną drogą - stwierdził Kurt.

– Dokąd?

– Do miejsca, gdzie będę mógł wyjść z tego jeziora niezauważalnie - odparł Kurt. - Problem w tym, że po drodze czeka mnie starcie z wodospadem. Całe szczęście, że Nighthawk nie rozbił się pod Niagarą.

– Zawsze podejrzewałam, że jesteś stuknięty. Teraz mam już dowód.

– To jedyna szansa, bym mógł zajść ich od tyłu. Jeśli uda mi się przepłynąć bokiem, nie powinno być z tym wiele roboty.

– Radzę ci się pospieszyć - doradziła Gamay. - Jeśli jesteś tam, gdzie mi się wydaje, to właśnie zbliża się do ciebie łódź.

– Rozumiem. Jeśli coś się zmieni i pozostali znajdą się w bezpośrednim niebezpieczeństwie, zaczynaj beze mnie. Odezwę się, jak tylko stanę z powrotem na twardym gruncie.

Kurt wyłączył radio, wsunął je z powrotem do wodoszczelnej kieszeni i zabezpieczył ją. Usłyszał już warkot motoru zbliżającej się łodzi, naciągnął szybko akwalung i popłynął prosto w dół, szykując się do najniebezpieczniejszej sesji nurkowania w swoim życiu.

45.

Kun zanurkował na głębokość około siedmiu metrów, zanim zaczął płynąć poziomo, i minął zbliżającą się w jego kierunku łódź.

Przekręcił się na plecy i obserwował, jak fale wzbudzone przez ruch łodzi rozchodzą się wokół worków wypornościowych. Żółte płachty zaczęły się poruszać. Mężczyźni z łodzi najwyraźniej wyciągali je z wody.

Kurt oddalił się od nich i popłynął w stronę grzmiącego wodospadu.

Im bardziej się zbliżał, tym silniejszy i mniej regularny stawał się prąd wywoływany przez wodospad. Woda wpadająca z ogromną siłą do jeziora docierała do samego dna i dopiero stąd rozpływała się na boki we wszystkich kierunkach. U podnóża wodospadu uformowała się głęboka podwodna studnia, zwana kotłem eworsyjnym, którą zwykle wypełniały ciężkie kamienie, spoczywające na twardym, skalnym podłożu.

Niektórzy nazywali tę formację również „pralką", bo powstawały wokół niej gwałtowne, nieregularne wiry, kierujące się na zewnątrz, potem w górę i z powrotem w dół. W toni jeziora nieustannie wrzał potężny kocioł ubijanej, wzburzonej wody.

Powierzchniowa warstwa wody pozornie była odpychana od wodospadu, ale gdyby Kurt podpłynął zbyt blisko, zostałby natychmiast porwany przez „pralkę" i wciągnięty na dno kotła.

Amatorzy mocnych wrażeń, którzy próbowali pokonać Niagarę w przeróżnych beczkach, kapsułach i innych dziwacznych urządzeniach, dowiedli niezbicie, że samo spłynięcie w dół nie było tak niebezpieczne, jak pochwycenie przez „pralkę" pod wodospadem. Wydostanie się z niej było praktycznie niemożliwe. Wiele z tych przedsięwzięć skończyło się tragicznie. Mimo przeżycia spadku z dużej wysokości, pasażerowie wykonanych domowym sposobem środków transportu zostawali uwięzieni przy samym dnie bez szans na ratunek.

Kurt nie miał zamiaru pakować się w „pralkę". Zamierzał opłynąć

wodospad, trzymając się jak najdalej od kotła, by możliwie bezpiecznie przedostać się na drugą stronę spadającej z impetem wody. Była to słuszna koncepcja, ale w tym miejscu jezioro dość mocno się zwężało, co utrudniało wykonanie tego zadania.

Wzburzona woda początkowo wypychała go na zewnątrz, a on starał się płynąć na powierzchni. Wzmógł wysiłki i zdołał przesunąć się odrobinę naprzód, ale cały czas był odpychany niemal równie mocno w przeciwnym kierunku.

Nie miał ochoty mocować się z płynnym odpowiednikiem taśmociągu, tym bardziej że w każdej chwili groziło mu zauważenie przez któregoś z wrogów, skierował się więc nieco bliżej wodospadu i wpłynął w półkole spienionej wody, unoszącej się z powrotem ku powierzchni.

Napinając do granic możliwości każdy mięsień swego ciała, zdołał uczynić pewien postęp. Nagle przeciwstawny opór wody zniknął i Kurtowi płynęło się całkiem swobodnie.

O wiele za szybko i zbyt blisko wodospadu.

Błyskawicznie zmienił kierunek, by wyrwać się z wiru i wykorzystując nabrany pęd, opłynąć go bokiem. Jednak pomimo potężnego pociągnięcia ramionami nie zdołał wyswobodzić się z wodnego leja. Został ściągnięty wprost pod ścianę spadającej wody i poleciał w dół w objęcia podwodnego sztormu.

Teraz walka nie miała już sensu. Musiał poddać się wirowi. Otoczony chmurami piany zapadał się coraz głębiej i głębiej. Choć pęd opadającego trzydzieści metrów w głąb jeziora strumienia wody stopniowo malał, uderzenie o dno było zaskakująco mocne.

Kurt odbił się od dna i poleciał w bok na kamienie. Uderzył o nie tylko łokciem, przed większymi obrażeniami osłonił go zawieszony na plecach aluminiowy zbiornik powietrza.

Wir dopchnął go do wielkiego głazu, po czym wyrzucił w przeciwnym kierunku, na stos płaskich kamieni, wypłukanych w nieustannym potoku wody. Czuł uderzenia kolejnych fal, dociskających go do podłoża. Nurt zerwał mu z nóg płetwy, a woda wdarła się nawet przez uszczelnienie na szyi i wypełniła wnętrze hełmu. Oziębiła mu twarz i odcięła dopływ powietrza.

Kurt wsparł się na jednym z większych kamieni. Trzymając się go z całych sił, podciągnął się w górę, podczas gdy prąd wody ściągał go w dół. Nie było mowy o pływaniu, pozostawało mu jedynie powolne pełzanie.

Przeczołgał się po dwóch kamieniach i dotarł do ściany skalnej za wodospadem. Pozostał przez chwilę pod osłoną niewielkiego nawisu, po czym zebrał resztki sił i przygotował do ostatniego wysiłku, by wydostać się z pułapki. Znalazł oparcie dla nóg i wybił się na zewnątrz i ku górze.

Nagle znalazł się na samym skraju wiru. Teraz, zamiast przygniatać go do dna, prąd wyciągał go w górę jak błyskawiczna winda.

Wypłynął na powierzchnię pośród kłębiącej się piany, po drugiej stronie wodospadu.

Kurt rzucił się przed siebie i wciągnął się na skałę. Był potłuczony, posiniaczony i wykończony, ale wysiłek się opłacił. Udało mu się niepostrzeżenie przedostać na tyły wroga.

46.

Joe Zavala został sprowadzony na usianą kamieniami plażę. Ręce miał skrępowane opaską zaciskową, a z nóg zdjęto mu buty i skarpetki, by dodatkowo utrudnić jakąkolwiek próbę ucieczki.

Po jego lewej stronie siedział Paul, podobnie związany i pozbawiony obuwia, a po prawej Emma, również unieruchomiona. W głowie Joe'go roiło się od myśli i najważniejszą z nich wcale nie było wspomnienie o śmierci Kurta. Gdy usłyszał o tym, przyjął do wiadomości, co się stało, i poczuł przez moment przejmujący ból, ale szybko odepchnął od siebie te uczucia. Po tak wielu wspólnych przygodach obaj dawno pogodzili się już z perspektywą, że pewnego dnia spotka ich właśnie takie rozstanie. Kurt, gdyby był teraz na jego miejscu, z pewnością rozumowałby tak samo.

– Wydostaniemy się stąd - powiedział Joe. - Nie wiem jeszcze jak, ale niebawem będziemy wolni.

– I co potem? - spytała Emma.

– Zależy od tego, w jaki sposób uciekniemy - odparł Joe. - Jeśli uda nam się dostać do śmigłowca, odlecimy. Jeśli nie, będziemy biec lub popłyniemy. W dole rzeki są bystrzyce, ale poradzimy sobie z nimi w pontonie.

– W którymś momencie noga im się powinie. - Paul poparł przyjaciela.

– Na pewno - podchwycił Joe. - Do tego czasu oszczędzajcie siły i róbcie wszystko, by utrzymać ich w przekonaniu, że już wygrali.

– Tu nie chodzi o nas - westchnęła Emma. - Rozumiem, że zależy wam na ucieczce, ale w tej chwili całemu światu grozi ogromne niebezpieczeństwo.

– Niebezpieczeństwo, któremu nie będziemy w stanie zaradzić, jeśli najpierw nie zdołamy się uwolnić. Nie wolno nam się poddawać.

– By się uwolnić, będziemy musieli walczyć - zaczęła pospiesznie tłumaczyć. - Najprawdopodobniej dojdzie do strzelaniny. Tuż obok zamrożonej materii w stanie mieszanym. Jeden niecelny pocisk może wywołać katastrofę. W obliczu takiej ewentualności wolę się poddać.

Z wysokiej trawy wyszedł w tym momencie jeden z ludzi Urca, który zapewne przysłuchiwał się całej rozmowie. Na jego widok cała trójka zamilkła. Mężczyzna podszedł do Emmy, rozciął jej więzy i się odsunął.

– Chodź ze mną - powiedział. - Urco cię potrzebuje.

Emma wstała i poszła posłusznie za nim. Joe widział, że była już bliska popadnięcia w całkowitą apatię. Nie wiedziała jednak, że wciąż jest nadzieja. Nie znała awaryjnego planu Kurta, na jego wyraźne polecenie. Teraz, widząc, do jakiego stopnia Urco przejął nad nią kontrolę i jak paniczny strach zdołał w niej wzbudzić wizją apokaliptycznej eksplozji, Joe winszował sobie w duchu, że dochował tajemnicy. W tym stanie mogła natychmiast zdradzić cały plan temu szaleńcowi, byle tylko zapobiec detonacji.

Gdy Emma zniknęła wraz ze strażnikiem, Joe obejrzał się na Paula.

Paul kiwnął głową. Był gotów. Joe również. Od dłuższego czasu wykręcał nadgarstki w obie strony, by naciągnąć opaskę i osłabić plastik. Wkrótce materiał stanie się na tyle słaby, że da się go rozerwać.

Potem będzie mógł odpocząć, do czasu, aż padnie pierwszy strzał z wycelowanego gdzieś z odległego wzgórza karabinu.

Gamay zdoła unieszkodliwić połowę tych oprychów, nim w ogóle się zorientują, że zostali zaatakowani. Joe i Paul natychmiast rzucą się do walki i być może, przy odrobinie szczęścia, ich los się odmieni.

47.

Kurt, gdy tylko odzyskał siły, zaczął rozglądać się wokół i przypatrywać skałom za wodospadem. Ponieważ nie zamierzał już wracać do wody, zdjął z siebie ciężką butlę powietrzną, uszkodzony hełm i kamizelkę wypornościową. Związał wszystko razem i wrzucił do wody. Pusta aluminiowa butla normalnie unosiłaby się na wodzie, ale obciążona pozbawioną powietrza kamizelką poszła wraz z resztą na dno.

Kiedy ekwipunek zniknął pod wodą, Austin skupił się na szukaniu miejsca, z którego mógłby rozpocząć wspinaczkę. Musiał dotrzeć w miejsce położone nieco w bok od zarośli, krzewiących się bujnie dzięki stałemu spryskiwaniu przez wodospad.

Dalsze podejście nie powinno nastręczać większych trudności, ale sam początek stanowił pewien problem. Podłoże u stóp wodospadu było śliskie i zdradzieckie. Każdy krok Kurt musiał stawiać niezwykle ostrożnie. W połowie drogi zauważył coś, co nie pasowało do krystalicznie czystego górskiego jeziora. Mokre kamienie mieniły się barwami tęczy.

Woda zmieszana z olejem. A może raczej z benzyną.

Zabarwienie znikało w miejscu, gdzie kłębiąca się woda wtaczała je w głębiny, ale na kamieniach pozostawało wyraźne i prowadziło prosto ku wejściu do sporej groty.

Ta druga łódź musiała przecież skądś wypłynąć.

Kurt podszedł bliżej, sprawdził wejście do jaskini i spróbował zajrzeć do wnętrza. W środku panował nieprzenikniony mrok, więc niczego nie widział ani nie słyszał, bo wszelkie dźwięki zagłuszał odbijający się echem huk wodospadu. Mimo to oleiste plamy zachęcały go, by sprawdzić, co się tam kryje.

Wszedł do wody i wpłynął do środka. Im dalej wpływał, tym stawało się ciemniej, ale po kilku chwilach jego oczy przyzwyczaiły się do mroku i był w stanie rozpoznać niewyraźne szczegóły otoczenia. Po dwudziestu metrach

tunel zakręcał w prawo i rozszerzał się. Za zakrętem znajdowało się jakieś obozowisko.

Butle z gazem i przenośna kuchenka stały pośród kilkunastu plastikowych skrzyń, identycznych z tymi, jakie widział w La Jalca. W miejscu, gdzie podłoże wznosiło się wyżej nad wodą, leżały posłania i wełniane koce. Pod ścianą stały butle powietrzne dla nurków, a obok stosy kwadratowych przedmiotów, przykrytych plastikową płachtą.

Poza tym ani śladu żywej duszy. Nie było to szczególnie zaskakujące, biorąc pod uwagę wzmożoną działalność na jeziorze oraz w miejscu posadzenia Nighthawka.

– Kolejne komory grobowe - szepnął Kurt, powtarzając słowa Urca wypowiedziane wtedy, gdy przepływali blisko wodospadu - Wolałbym nie zakłócać ich spokoju.

No pewnie, bo właśnie tutaj schowali się jego ludzie.

Kurt podpłynął do skraju obozowiska i wyszedł na powierzchnię, po czym zaczął sprawdzać pozostawiony tu sprzęt. Szybko znalazł lornetkę i latarkę, ale zostawił je na miejscu, bo z pewnością ktoś zauważyłby ich zniknięcie.

Otworzył jeden z plastikowych pojemników i zobaczył plastry suszonej wołowiny. Na ten widok męczący go od wielu godzin głód przypomniał o sobie ze wzmożoną siłą, sięgnął więc po kilka kawałków, zanim ruszył na dalsze poszukiwania.

Nie znalazł żadnej broni ani nawet noży, ale w jednej ze skrzyń było pełno pudełek z amunicją. W kolejnej ktoś zostawił jedynie pęczek kolorowych kabli. Następna zawierała kostki pomarańczowego materiału, owinięte folią. Każda miała wypisane z boku oznaczenie S-10.

– Semteks - mruknął Kurt. Taka była pełna nazwa substancji. - I co zamierzacie z nim zrobić?

Był to potężny materiał wybuchowy czeskiej produkcji. S-10 stanowiło najnowszą odmianę semteksu, bardzo podobną do amerykańskiego C-4. Każda kostka mogła rozsadzić na kawałki solidny samochód.

Kurt przejrzał uważniej zawartość skrzyni. Była wypełniona tylko w połowie, więc najprawdopodobniej resztę ładunków już gdzieś wykorzystano.

Nie znalazłszy żadnej innej broni, schował do kieszeni jedną kostkę. Nie mógł wywołać eksplozji bez ładunku pobudzającego lub detonatora elektrycznego, ale być może i ona na coś się przyda.

Zasunął pokrywę skrzyni i przeszedł na tyły jaskini. Sprawdził jeszcze jeden

pojemnik, ale nie znalazł w nim nic interesującego, skupił się więc na tym, co skrywało się pod plastikową płachtą.

Podniósł kamień przytrzymujący płachtę i odwinął materiał. Zobaczył dobrze mu już znane, kwadratowe urządzenie.

Ogniwo paliwowe.

Było identyczne pod względem rozmiaru, kształtu i nawet koloru z tymi, które Joe załadował rano na pokład latającego dźwigu. Miało nawet te same oznaczenia. Napis na wierzchu obudowy głosił: „Wodorowe ogniwo paliwowe typ 3. Własność rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki".

Kurt musnął palcami przyciski urządzenia, zatrzymując się przy największym. Był to włącznik zasilania. Wcisnął go i na wyświetlaczu po chwili pojawiło się potwierdzenie, że ogniwo działa i generuje energię. Schematycznie odwzorowane ciśnieniowe pojemniki wodoru i tlenu były pełne, co pozwalało na ciągłe funkcjonowanie urządzenia przez dwadzieścia sześć godzin.

Obok pod drugą płachtą znajdowało się kolejne identyczne ogniwo. Za nimi następne dwa. Odciśnięte ślady na ziemi wskazywały, że niedawno stały tu jeszcze dwa takie urządzenia. W skrzyni obok leżały zwinięte kable zasilające.

I po co to wszystko?

– Materiał wybuchowy bez detonatorów... - zastanawiał się głośno Kurt. - Podrobione lub skradzione ogniwa... Do czego to wszystko zmierza, Urco?

Nagle z głębi tunelu, którym przypłynął, dobiegł odgłos zbliżającej się łodzi motorowej. Kurt szybko wyłączył ogniwo, zakrył je plastikiem i położył kamień z powrotem na miejscu.

Warkot motoru stawał się coraz głośniejszy, a po chwili na wodzie ukazało się światło z reflektora. Kurt wycofał się na sam tył jaskini i skrył między skałami.

Ze swojej kryjówki obserwował, jak do brzegu dobija szary ponton z trzema mężczyznami na pokładzie. Zatrzymali się tuż przy przenośnej kuchence.

Dwóch wyszło na brzeg. Trzymali w rękach opróżnione worki wypornościowe z jeziora. Upchnęli je pośpiesznie między kamieniami, po czym podeszli do ogniw paliwowych.

– *Cuantos?* - odezwał się jeden z nich.

– *Llevar todos* - odparł drugi, ściągając płachty z urządzeń. - *Una para los americanos, una para el chino, los otros son para los rusos, y para los amigos de Rio.*

Na koniec się roześmiał.

– *Y los explosivos?*

– *Estan dentro* - odrzekł zapytany. - *Boom!*

I znów zachichotał.

Tym razem jego towarzysz zawtórował mu śmiechem. Sprawdzili najbliższe ogniwo, włączając je na chwilę, tak jak Kurt.

Ten z pontonu zaczynał się już niecierpliwić.

– *Vamanos!* - krzyknął.

Jego koledzy przyspieszyli ruchy. Przenieśli wszystkie cztery ogniwa do pontonu, po czym wsiedli z powrotem i odepchnęli się od brzegu.

Gdy ponton odsunął się od skał, silnik ożył, wypuszczając kłąb niebieskiego dymu, i po ostrym zakręcie mężczyźni prędko zniknęli z oczu Kurta.

Austin odczekał jeszcze chwilę, by upewnić się, że są daleko, po czym wyszedł z kryjówki. Nie znał za bardzo hiszpańskiego, ale niektóre słowa były wystarczająco oczywiste.

Pomyślał o skrzyni z semteksem i dowcipie, który tak ich rozbawił.

– *Los explosivos* - powtórzył szeptem. - *Boom!*

48.

Emma poszła za strażnikiem przez plażę, przecięła trawę i wspięła się na polanę, gdzie spoczywał Nighthawk. Urco stał na przeciwległym krańcu między modułami.

Dwa z ośmiu zostały wymontowane. Leżały teraz na kamienistej ziemi, połączone z ogniwami paliwowymi.

– Proszę je zbadać - polecił Urco.

– Czego mam szukać? - zapytała.

– Chcę mieć pewność, że wszystko funkcjonuje właściwie i można to bezpiecznie przetransportować.

Proste zadanie. Ukucnęła obok modułów i obejrzała je szybko. Cały czas zastanawiała się, dlaczego silił się na słowo „proszę”.

– Butle magnetyczne są stabilne - oznajmiła. - Systemy kriogeniczne działają w granicach dopuszczalnych parametrów. Ogniwa paliwowe generują czystą moc.

– To dobrze - odrzekł Urco.

Wstała.

– Domyślam się, że mam wyjąć pozostałe moduły.

– W swoim czasie - odparł. - Na razie powinniśmy porozmawiać o pani roli w tej sprawie.

– O mojej roli?

Uśmiechnął się tylko.

– Idziemy.

Nie miała wielkiego wyboru, więc skinęła głową.

– Niech pan prowadzi.

Zostawili strażnika i ruszyli wykarczowaną krętą ścieżką w kierunku wyżej położonego terenu. Maczety zrobiły swoje; na ziemi leżały świeżo ścięte źdźbła wysokiej trawy. Zostały już zdeptane wieloma ludzkimi stopami.

– Wchodzimy do jakiegoś labiryntu? - spytała.

– Już w nim jesteśmy - powiedział. - Współpraca to jedyny sposób na wyjście z niego.

– Współpracowaliśmy - odrzekła. - Do momentu, kiedy pańscy ludzie nas zaatakowali, zabili Kurta i wzięli resztę z nas jako zakładników.

– Nie zakładników, tylko więźniów - poprawił. - Właściwie schwytanych złodziei.

– Słucham?!

– Jest pani złodziejką - odparł. - Dobrze ubraną, wykształconą na Uniwersytecie Stanforda złodziejką. Wasza organizacja okrada naród, któremu służycie. Ale zostaliście złapani na gorącym uczynku podczas największego rabunku na świecie.

– To pan zabrał...

Urco ponownie się do niej odwrócił.

– Nie. Ja tylko uwolniłem was od skradzionych rzeczy. To wy i wasz rząd dokonaliście tej kradzieży. To wy postanowiliście wysłać w przestrzeń ten statek kosmiczny, żeby pobrać materię w stanie mieszanym z pola magnetycznego. To wy postanowiliście zabrać ją do waszych ukrytych bunkrów w Vandenberg, gdzie wykorzystalibyście ją do własnych celów.

– Zrobiliśmy to tylko dlatego...

Nie pozwolił jej mówić.

– Działalność w kosmosie reguluje pięć oddzielnych umów - warknął. - Stany Zjednoczone podpisały każdą. Trzy z nich przygotowali amerykańscy politycy. Wszystkie zabraniają tego, w co się ostatnio zaangażowaliście, od militaryzacji przestrzeni kosmicznej do przywłaszczania sobie jakiejkolwiek jej części lub ciała niebieskiego, na przykład Księżyca.

Kiedy wyładowywał się na niej, przypomniała sobie argumenty etyczne, które wysunięto w NSA przed misją, a potem łatwo odrzucono.

– Niczego nie zagarnęliśmy - powiedziała. - Po prostu pobraliśmy cząstki w stanie wolnym.

– Zamierza pani bawić się ze mną w prawnika?

Zamilkła. Odwrócił się i wyprowadził ją z trawy na płaskowyż. Dwadzieścia metrów poniżej leżało jezioro. W oddali szumiał cicho wodospad.

Odwrócił się do niej z powrotem.

– Jak wszystko w kosmosie - ciągnął - te cząstki w stanie wolnym są częścią wspólnego dziedzictwa całej ludzkości. Należą do każdego na Ziemi, nie do jednej osoby czy rządu.

Przejęcie w jego głosie zaskoczyło ją. Co go obchodzą takie rzeczy? Skąd w ogóle o nich wie? Albo o treści mało znanych umów?

– Kim pan jest? - zapytała.

– Nadal mnie pani nie poznaje? - spytał prawie z rozczarowaniem. - To chyba mam szczęście. Bałem się, że mnie pani zauważyła, kiedy jedliśmy razem pod urwiskami La Jalca.

Sięgnął do boku twarzy, jakby chciał się podrapać w ucho, ale zamiast tego odciągnął wolno prawą stronę brody. Skórę pod nią miał poparzoną, nie straszliwie zdeformowaną, ale zabliźnioną i nieowłosioną.

– Druga strona mojej brody jest prawdziwa - wyjaśnił - ale z tej nic mi nie wyrośnie.

Wgłębienie w jego szczęce świadczyło o złamaniu kości, która się dobrze nie zrosła; jej fragment mógł zostać usunięty.

– Wypadek i pożar - dodał.

Nagle wszystko stało się jasne. To on włamał się do systemu sterowania Nighthawka. Wiedział o misji NSA i antymaterii. Dobrze znał międzynarodowe umowy o wykorzystaniu kosmosu. I znał ją.

– Beric? - spytała.

– Więc pamiętasz.

Nawet teraz ledwo go poznała. Minęły lata. Wiek i blizny zmieniły jego twarz. Nie miał w oczach dobroci, tylko gorycz i gniew.

– Nie rozumiem. Jak? Dlaczego? Twój samolot eksplodował. Powiedziano nam, że to byli terroryści. Że wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie.

– Ja byłem w niebezpieczeństwie - sprostował podniesionym głosem. - A terroryści mieli bazę w Waszyngtonie. Jak na ironię, pracujesz teraz dla nich.

– NSA? - zapytała. - Dlaczego mieliby ci coś zrobić? Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz.

– Mam dowód - odrzekł oskarżycielsko i podszedł bliżej do niej. - Co więcej, mieli motyw. Jeśli sobie przypominasz, uczestniczyłem we wstępnych badaniach możliwego wystąpienia antymaterii uwięzionej w polu magnetycznym. To ja zasugerowałem, że to może być bardziej stabilna postać materii w stanie mieszanym, jeśli pozostanie wystarczająco zimna. Szef programu przyszedł do mnie krótko po tym, jak przedstawiłem swoje wnioski. Powiedział, że opracowali plan nie tylko poszukiwań antymaterii, ale również jej zdobycia. Sprzeciwiłem się stanowczo. Upierali się, że w celach pokojowych, ale kiedy fundusze pochodzą od wojska i Narodowej Agencji

Bezpieczeństwa, to przestaje być wiarygodne.

Kręciło jej się w głowie, ale chłonęła każde słowo.

– „Za dwa miesiące wykorzystamy to do napędu rakiet na Marsa" - zacytował zmienionym głosem. - „A za niecały rok, na planety zewnętrzne". Nawet w głęboki kosmos. Ale wkrótce ktoś wspomniał o możliwości stworzenia broni.

Pokręcił głową z odrazą i zaczął mówić głośniej.

– Zagroziłem, że ujawnię to prasie. Że zamieszczę informację w Internecie. Że zawiadomię cały świat, bez względu na to, co mi zrobią. Wiedziałem, co teraz zapewne myślicie: to błąd, puszka Pandory, którą przynieśliśmy do naszych domów i ledwo zdołaliśmy utrzymać zamkniętą.

Teraz to dostrzegła. To był błąd. Prowadził do katastrofy. Pożałowała, że wzięła w tym udział.

– Zagrożono mi deportacją, jeśli pisnę choć słowo, trzydziestoletnią odsiadką w więziennej izolatce. Zgodziłem się być cicho, ale stale mnie śledzili. Wygląda na to, że moje słowo nie wystarczyło. Podczas tamtego krótkiego lotu do Nowego Orleanu wykonali swój ruch. Mój samolot eksplodował nad Zatoką Meksykańską. I teraz tak wyglądam. Z zakrzepłą krwią na twarzy trzymałem się kurczowo opuszczonej platformy wiertniczej. Następnego dnia znalazłem tratwę ratunkową i zaczekałem na przypływ. Pod osłoną nocy dotarłem do brzegu. Postanowiłem się ukrywać. Wiedziałem, że jak mnie znajdą, to będę trupem.

Patrzyła na zabliźnioną skórę twarzy i zastanawiała się, jak on przeżył i kto go tak kiepsko pozszywał. Może jakiś lekarz z pistoletem przy głowie. Albo może zrobił to sam. Wyglądał ohydnie i mówił jak paranoik. Zastanawiała się, czy sam nie wysadził w powietrze swojego samolotu, żeby upozorować własną śmierć. Jest tak obłąkany, że nie widzi różnicy między dobrem a złem?

– Więc przybyłeś tutaj i zacząłeś planować zemstę?

– Najpierw chciałem tylko przeżyć i zniknąć. Stworzyłem Urca. Kiedy dowiadywałem się coraz więcej o niszczeniu człowieka przez człowieka, stawało się to dla mnie jasne.

Zawahał się, cofnął o krok i zmienił temat.

– Dlaczego odeszłaś z NASA i dołączyłaś do tajnego świata NSA?

– Z powodu tego, co się z tobą stało - szepnęła. - Po twojej śmierci i ciągłych informacjach o terroryzmie i wojnach w innych częściach świata uświadomiłam sobie, że większość kuli ziemskiej wypełnia zło. I trzeba z nim

walczyć na każdym kroku.

– Byłaś pacyfistką - przypomniał.

– Ty też.

Skinął wolno głową i z powrotem przykleił brodę.

– Wygląda na to, że oboje uświadomiliśmy sobie prawdę. W brutalnym świecie „pacyfizm” znaczy to samo, co „samobójstwo”. Tylko że zło i przemoc, które ja widzę, siedzą w rządowych budynkach i wieżach z kości słoniowej.

– Między rządami i terrorystami jest różnica.

– Tylko w skali okrucieństwa - odparł. - To jest kluczem do wszystkiego. Chciałem to po prostu zostawić, ale wkrótce się dowiedziałem, że projekt „Nighthawk” został przeniesiony do NSA i nastąpi próba tego, co było nie do pomyślenia. Zacząłem mieć obsesję na punkcie tego, jak to ujawnić, nie ujawniając się samemu. Zapobiec temu, co możecie zrobić. Osiem długich lat doprowadziło do tego.

– Ale właściwie do czego? - zapytała. - Teraz jest lepiej? Po to naraziłeś cały świat na niebezpieczeństwo, żeby móc nam zabrać materię w stanie mieszanym i dać ją Rosjanom? Takie rozwiązanie znalazłeś? Przekazanie najpotężniejszej znanej substancji państwu, które najeżdża swoich sąsiadów, tłamsi każdą formę wolności, depcze prawa człowieka i truje swoich krytyków izotopami radioaktywnymi?

Podszedł do Emmy.

– Jesteś strasznie skoncentrowana na zwyciężaniu. Szczegóły przesłaniają ci istotę problemu. Nie rozumiesz mojego stanowiska nawet wtedy, kiedy ci je wykrzykuję. Wszystkie rządy są złe. Władza powoduje zepsucie. Oczywiście nie pracuję dla Rosjan. Ani dla Chińczyków. Ani dla Amerykanów. - Podniósł głos. - Oni wszyscy i ty pracujecie dla mnie.

W tym oświadczeniu zabrzmiała taka megalomania, że ledwo mogła uwierzyć, że to wyszło z jego ust.

– O czym ty mówisz?

Chciała się cofnąć, ale obezwładniała ją głęboka nienawiść w świdrujących ją oczach.

– Potrzebowałem sojuszników - ciągnął z wyższością. - Ja zaproponowałem im układ. Włamię się do systemu NSA i skieruję Nighthawka w ich szpony, jeśli zapewnią środki, żeby go przejąć.

– To ty jesteś Sokolnikiem.

– Widzę, że słyszałaś ten kryptonim.

Teraz wszystko miało sens. Uzmysłowiła sobie, że wpadli prosto w jego ręce.

– Skonstruowałeś automatyczny system komputerowy do X-37, a my zastosowaliśmy go w Nighthawku praktycznie bez zmian. Nic dziwnego, że mogłeś się do niego włamać i przekierować statek kosmiczny. Nic dziwnego, że nie znaleźliśmy kreta. Cały czas działałeś zdalnie, a my nie szukaliśmy trupa.

– Wasz błąd - odrzekł arogancko. - Jeden z wielu.

– Jak to zrobiłeś? Jak złamałeś szyfr?

Podszedł do Emmy tak blisko, że poczuła jego gorący oddech.

– NASA zostawiła tylne wejście do waszego projektu szeroko otwarte. Było tak łatwo się włamać, że myślałem, że to pułapka. Bez trudu ściągnąłem dane ze wszystkich działów. Miałem pewnie więcej informacji o programie niż ci, którzy nad nim pracowali. A kiedy postanowiliście sprowadzić go z powrotem tydzień temu z powodu burzy, wiedziałem o tym pierwszy.

Zostali zdradzeni.

– Ale dlaczego? Po co? - Zawahała się. - W jakim celu?

Patrzył na nią bez mrugnięcia. Był tym samym człowiekiem, ale zmienionym, opętanym przez jakieś chore pragnienie.

– Dla równowagi - odparł. - Dałem wybór Rosjanom i Chińczykom, a teraz proponuję to samo tobie.

– To znaczy?

– Walcz ze mną - zadrwił - albo pracuj dla mnie. A co za tym idzie, dla wspólnego dziedzictwa ludzkości.

Nie wiedziała, do czego to zmierza, ale nie mogła tego z miejsca odrzucić. To mogło dać jej szansę na szukanie pomocy.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

– To bardzo proste - odpowiedział głosem przepełnionym żądzą zemsty. - Zamierzam odkręcić to, co zrobiliście ty i twój kraj. Oczywiście nie mogę rozdzielić materii w stanie mieszanym równo pomiędzy wszystkich obywateli świata ani nawet kraje czy ich duże grupy. Niewiele z nich ma techniczne możliwości poradzenia sobie z nią. Część dla Rosjan, część dla Chińczyków, część dla twojego rządu, a reszta dla innej grupy według mojego wyboru.

Ledwo mogła uwierzyć w to, co słyszy. Mówi poważnie? Wróciła myślami do Berica, jakiego znała, i do jego niektórych poglądów. Był nie tylko pacyfistą, tak jak ona, ale również antynacjonalistą. Napisał artykuł pod tytułem *Obowiązek ludu*, w którym twierdził, że posiadanie czegokolwiek

przez państwo narodowe prowadzi do wojen i konfliktów.

– Chcesz, żebyśmy w to weszli?

– To dużo lepsze niż zgromadzenie tego wszystkiego przez jeden kraj - odparł.

– Kim ty jesteś, żeby podejmować taką decyzję?

Urco się cofnął i uśmiechnął.

– Jedynym, który to może - odrzekł z wyższością - bo teraz mam kontrolę nad całością tego towaru.

Usiłowała ogarnąć sytuację. To wszystko było zbyt nowe. Miał urojenia, był niezrównoważony i zapewne zdrowo stuknięty, ale jednocześnie genialny, przebiegły i zdeterminowany. I w tym momencie niewątpliwie to on rozdawał karty.

– Współpraca z tobą zostałaby uznana za zdradę - wytłumaczyła.

– Lepiej żyć w więzieniu, niż zginąć w kataklizmie.

Odwróciła wzrok. Nie chciała tego. Nie chciała mu pomagać w żaden sposób. Ale bez względu na to, jak do tego podchodziła, musiała zadać sobie pytanie, jaki ma wybór.

Jego plan brzmiał szaleńczo, ale nawet to było lepsze od Armagedonu.

– Jak zabiorę naszą część z powrotem do Ameryki? Pozwolisz nam przetransportować ją drogą powietrzną do Cajamarki?

– Nie - zaprzeczył. - Wyjaśnisz swoim przyjaciołom, co się dzieje, a potem pojedziesz moim samochodem.

– Jak, skoro już nie ma mostu?

– Jest inna trasa - odparł. - Krótsza. Na południe, a potem przez przełęcz. Omija najwyższe góry. Są na niej strome urwiska, ale wierzę, że będziesz jechała ostrożnie.

Usłyszała nadlatujący helikopter i zerknęła na północ.

– To chińscy agenci - powiedział. - Czekam na twoją odpowiedź.

Jeszcze raz spojrzała mu w oczy.

– Dobrze - odrzekła. - Zrobię, o co prosisz. Nie mam wyboru.

49.

Warkot helikoptera przetoczył się po odsłoniętej plaży.

– Latająca autolaweta do zabrania naszego Nighthawka? - zasugerował Paul.

Joe zlustrował wzrokiem horyzont w poszukiwaniu źródła hałasu i dostrzegł w oddali czarny punkt.

– Sądząc po dźwięku, to nie transportowiec do ciężkich ładunków. Coś szybszego i zwrotniejszego.

– Może pomoc.

– To jeszcze mniej prawdopodobne - odrzekł Joe, słysząc, jak ludzie Urca biegają i się przygotowują. - Ale jeśli to zaabsorbuje naszych porywaczy, zadziałam.

Rozważał, czy to dobry moment na to, żeby się uwolnić, ale powrót Emmy między dwoma strażnikami sprawił, że sobie odpuścił.

– Wstawać - rozkazał jeden ze strażników, wymachując pistoletem.

Joe podniósł się ze znużeniem. Paul zrobił to samo.

Czarna plamka rosła i zniżała się w miarę zbliżania. Przeleciała sześćdziesiąt metrów nad jeziorem, potem nad plażą, wysokie trawy za nimi kotłowały się od podmuchu. Wylądowała na płaskowyżu kilkaset metrów dalej.

– Mamy stać na baczność, czy coś robić? - zapytał Paul.

Ku jego zaskoczeniu, odpowiedziała Emma.

– Urco chce, żebyście z Joem przenieśli moduły na płaskowyż.

– A jeśli odmówimy? - spytał Joe.

– Proszę - odrzekła. - Zróbcie to, co każe.

Joe zobaczył napięcie na jej twarzy. Zauważył też, że Emma stoi za dwoma strażnikami, a nie przed nimi. Jakby dostawali rozkazy od niej.

Wyciągnął niechętnie ręce. Jeden z mężczyzn wyjął nóż, wsunął go między nadgarstki Joe’go i pociągnął do góry. Opaska zaciskowa pękła z trzaskiem.

Tyle z jego prób osłabienia plastiku. Bez wątpienia będzie musiał zacząć od nowa.

Więzy Paula też zostały przecięte i obaj poszli za Emmą przez trawę w górę do Nighthawka. Ludzie Urca trzymali się kilka kroków za nimi.

– Dość szybko zyskałaś ich zaufanie - szepnął Joe. - Jest jakiś powód.

– Owszem - przytaknęła. - Robię, co mogę, żeby nie dopuścić do katastrofy.

Wyjaśniła szybko sytuację.

– Wiesz, że to się źle skończy - powiedział Joe.

– „Źle" można różnie rozumieć - odparła. - Ale w tej chwili to jest mniejsze zło.

Joe wiedział, o co jej chodzi, ale nie zgadzał się z nią. Mniejszym złem byłaby ucieczka, unieszkodliwienie lub zabicie tego szaleńca i zabezpieczenie materii w stanie mieszanym. Loteria, ale wciąż zamierzał zaryzykować. .

Weszli na polanę, okrążyli dziób Nighthawka i zastali Urca stojącego przed modułami.

Wskazał pierwszy.

– Wy dwaj zaniesiecie ten na płaskowyż do helikoptera. Panna Townsend weźmie ogniowo paliwowe. Mam nadzieję, że wiecie, co się stanie, jeśli to upuścicie.

– Bez obaw - uspokoił go Joe - choć szłoby nam się lepiej, gdybyśmy odzyskali buty.

– Żeby uciec?

Joe wzruszył ramionami. Warto było spróbować.

On i Paul dostali rękawice. Ustawili się przy obu końcach pierwszego modułu i złapali za uchwyty. Joe poczuł chłód od zamrożonych rur, gdy tylko się do nich zbliżył.

– Gotowy - oznajmił Paul.

– Do góry - polecił Joe.

Dźwignęli jednocześnie. Moduł dużo ważył, ale ciężar był równomiernie rozłożony, a uchwyty dobrze umieszczone. Łatwo unieśli go z ziemi i zostali skierowani ku świeżo wykarczowanej ścieżce.

Joe trzymał moduł z przodu, szedł tyłem i patrzył przez ramię, dokąd idzie. Paul niósł drugi koniec. Emma szła obok nich z przenośnym ogniwem paliwowym i uważała, żeby kable się nie splątały.

Minutę później dotarli na szczyt ścieżki. Stało tam czterech ludzi Urca i czekało na nich. Otaczali helikopter w różnych odległościach od maszyny,

trzech miało karabiny szturmowe, jeden strzelbę.

Urco minął ich i zaczął rozmawiać z drobną kobietą. Nawet z daleka Joe widział, że jest dobrze umięśniona.

– To ona zaatakowała nas w La Jalca - szepnęła Emma. - Powiedziała, że nazywa się Daiyu.

Joe zrozumiał, dlaczego okazała się taka krnąbrna.

Urco skinął głową i Daiyu podeszła obejrzeć moduł. Jak on, miała do dyspozycji uzbrojonych ludzi. Jeden stał w helikopterze, dwaj byli z nią na ziemi. Trzymali krótkolufowe pistolety maszynowe, gotowi posiekać każdego gradem ołowiu.

– Trwają tu twarde negocjacje - zauważył Paul.

– To tyle, jeśli chodzi o honor wśród złodziei.

– Za tym goniliśmy tyle czasu? - zapytała Daiyu, przesuwając palcem po szronie na obudowie. - Skąd mam wiedzieć, że w tej metalowej skrzyni w ogóle coś jest?

– Mogłabyś ją otworzyć i zajrzeć do środka - odrzekł Urco - ale twój mózg wyparowałby prędzej, niżbyś to zobaczyła.

Daiyu spojrzała na niego.

– Mój kraj nie prowadzi żadnych gierek.

– Wiem o twoim kraju więcej niż ty - odparł. - Zhang kazał ci wziąć moduły i zostawić diamenty bez żadnej konfrontacji. Dostaję teraz pięćdziesiąt uncji kamieni, a drugie pięćdziesiąt po potwierdzeniu przez waszych naukowców, że w środku jest antymateria. Jak chcesz się targować, to proszę bardzo, ale każda minuta tutaj zwiększa ryzyko dla nas. Więc jeśli masz jakiś problem, to mów. A jeśli nie, to bierz towar i zamykamy sprawę, albo zrezygnuj z transakcji.

Zgromiła go wzrokiem, ledwo tłumiąc wściekłość.

– Jeśli kłamiesz, osobiście cię dopadnę.

– Nigdy byś mnie nie znalazła - odrzekł. - Ale bez obaw. Dostajecie to, o co prosiliście. A żebym miał pewność, że ja dostanę to, co chcę, Vargas poleci z wami.

– Zgoda - odpowiedziała. - Każ im to załadować i przynieść drugi moduł. Im szybciej stąd znikniemy, tym lepiej.

Joe'go i Paula popędzono naprzód. Pilot pomógł im dźwignąć moduł do helikoptera i przymocował go do podłogi. Emma dopilnowała, żeby ogniwo paliwowe i kable zasilające zostały mocno przypięte.

Poszli po drugi moduł i przynieśli go szybko.

Joe nie zmienił zdania na temat współpracy Emmy, ale im prędzej pozbyliby się chińskiej agentki i jej ludzi, tym wcześniej mógłby wrócić do planowania ucieczki. A zabierając ze sobą jednego z najgroźniejszych zbirów Urca, Chińczycy nieświadomie pomogliby w tym.

Po załadowaniu drugiego modułu na pokład czarny helikopter wystartował. Gdy tylko odleciał, Joe i Paul dostali nowy rozkaz: załadować jeden z pozostałych modułów do starej toyoty land cruiser, którą miała poprowadzić Emma.

Przypasała mocno moduł i ogniwo paliwowe.

– Skontaktuję się z Urkiem, jak tylko moduł znajdzie się bezpiecznie w powietrzu - powiedziała. - Obiecał, że wtedy was uwolni.

Joe wiedział, że tak nie będzie. I sądząc po głosie Emmy, ona też wiedziała.

– Poradziłbym ci, żebyś zapięła pas - odrzekł Joe - ale przypuszczam, że będziesz jechała ostrożnie.

Zrobiła smutną minę, zamknęła drzwi i zaczekała, aż jeden z ludzi Urca wsiądzie obok niej, żeby jej pilnować.

Joe się cofnął, kiedy silnik ożył. Wciąż pod strażą, on i Paul patrzyli, jak stary land cruiser odjeżdża ziemną drogą na południe.

Trzy z ośmiu modułów zabrano, cztery zostały w Nighthawku, jeden czekał na polanie na kupca.

Co ważniejsze, ubyło dwóch ludzi Urca. Dwóch najwyższych i najsilniejszych.

Kiedy jego i Paula prowadzono z powrotem na plażę, Joe zerknął na słońce. Zniżało się ku horyzontowi. Nadchodził czas działania.

50.

Gamay patrzyła ze swojego miejsca na grani. Była w pustynnym mundurze kamuflującym, głowę i szyję owinęła płową chustą maskującą. Trzymała zmodyfikowany karabin szturmowy Heckler & Koch G36 z wydłużoną lufą, silną lunetą i składanym dwójnogiem do dalekiego strzelania.

Broń pochodziła od entuzjasty strzelania do celu, którego spotkali w Cajamarce. Nie był to karabin snajperski, ale był lekki, celny i najlepszy, jaki mogli zdobyć w krótkim czasie.

Obserwowała przez lunetę przylot i odlot helikoptera, odjazd starej toyoty na południe i powrót Paula i Joe'go na plażę pod strażą.

Niedługo potem przyjechał biały jeep cherokee. Zaparkował na poboczu drogi i wysiadło z niego kilku mężczyzn. Mieli na sobie niebieskie kombinezony lotnicze. Porozmawiali chwilę z Urkiem i zaprowadzono ich do latającego dźwigu.

Gamay czuła, jak z każdą chwilą rośnie niebezpieczeństwo. Cokolwiek Urco kombinuje, zakładnicy wkrótce przestaną być mu potrzebni.

Podciągnęła rękaw kurtki. Kurt nie odzywał się od dawna. Gdyby to był ktoś inny, przypuszczałaby, że już utonął. Mimo to nie mogła czekać dużo dłużej.

– Dawaj, Kurt - szepnęła. - To nie czas na spóźnienie.

Przyjęła pozycję strzelecką i odsłoniła się bardziej, ale nie zauważyła, żeby ktoś jej szukał.

Wreszcie miniaturowy głośnik w słuchawce ożył.

– Gamay, tu Kurt.

– A mógłby być ktoś inny? - zapytała. - Cieszę się, że nie utonąłeś. Mnóstwo się wydarzyło, odkąd zamilkłeś. Wygląda na to, że Urco rozdziela materię w stanie mieszanym. Sprzedaje ją po kawałku. Chińczycy przylecieli po dwa moduły. Emma odjechała stąd land cruiserem z kolejnym.

– Gdyby chodziło o pieniądze, mógłby wymienić cenę i każdy z trzech zainteresowanych krajów zapłaciłby ją. Ale on chce, żebyśmy wszyscy

zapłacili krwią.

– Jak to?

– W jaskini, gdzie ukrywali się jego ludzie, znalazłem repliki ogniw paliwowych i niepełną skrzynkę semteksu, ale żadnego zapalnika. Domyślam się, że brakujące kostki plastiku są już rozmieszczone, najprawdopodobniej w ogniwach paliwowych.

– W ogniwach paliwowych - powtórzyła. - Ale jeśli je wysadzi...

– Wywoła katastrofę - powiedział Kurt. - A właśnie tego chce. Katastrofy dla Amerykanów, Rosjan i Chińczyków. Albo, co bardziej prawdopodobne, dla całego uprzemysłowionego świata.

– W jakim celu?

– W rewanżu - odrzekł Kurt. - Za to, co przemysłowe mocarstwa zrobiły pięćset lat temu plemionom południowoamerykańskim. I za to, co jego zdaniem nadal robią. Rozdzielając po swojemu, a potem detonując materię w stanie mieszanym, może zadać miażdżący cios Chinom, Europie, Ameryce i komukolwiek innemu, kogo wini za los tubylców. W większości świata może cofnąć industrializację o tysiąc lat, podczas gdy jego lud będzie żył bezpiecznie na swoich górskich pastwiskach bez techniki.

Gamay wysłuchała teorii Kurta.

– Chińczycy już się wynieśli - poinformowała. - Emma też zniknęła z widoku.

– Najpierw powstrzymamy Urca, a potem dotrzemy do nich.

Błysk światła zwrócił uwagę Gamay. Wiatr przyniósł monotonne wycie.

Spojrzała z powrotem przez lunetę. Dwaj mężczyźni w niebieskich kombinezonach lotniczych wciąż byli w air-cranie. Wirniki zaczęły się wolno obracać i odbijały słońce.

Zobaczyła, że prowadzące do Nighthawka liny znów zostały przymocowane, a ładownia zamknięta.

– Lepiej się pospiesz - doradziła. - Rosjanie chyba właśnie zamierzają zabrać resztę latającym dźwigiem.

– Chyba go słyszałem - odpowiedział Kurt. - Jestem już w drodze. Zaczekaj na mój sygnał, a potem wal. Najpierw zdejmij strażników Paula i Joe’go. Jak ich załatwisz, strzelaj do woli. Koś wszystkich, tylko nie ryzykuj trafienia Nighthawka. I pamiętaj, że facet w czarnym skafandrze nurkowym to ja.

51.

Kurt skończył wspinaczkę i ruszył przez górną część lądowiska na płaskowyżu, przemykając szybko od jednej kępy zarośli do drugiej.

Był w połowie drogi, gdy łatający dźwig wystartował, wzbijając wirujące tumany kurzu, które oślepiały każdego, kto był na tyle głupi, że miał otwarte oczy.

Kiedy nabrał wysokości, pociągnął te same stalowe liny, które były przyczepione do Nighthawka w wodzie. Wiły się po ziemi i unosiły wolno, aż się naprężyły i czarny statek kosmiczny oderwał się powoli od ziemi.

Dwie połączone ze sobą maszyny obróciły się i wzięły kurs na południowy wschód. Odleciały tak ostrożnie, że wydawały się prawie w ogóle nie poruszać.

Kiedy wszyscy na nie patrzyli i nikt nie mógł go usłyszeć, Kurt zaatakował. Skoczył na najbliższego z ludzi Urca, zwarł się z nim i powalił na ziemię. Krótka bójka się skończyła, gdy zadał mu nokautujący cios.

Chwycił jego radio.

– Jestem na polanie i mam broń. Strzelaj.

* * *

Gamay czekała na sygnał, obserwując strażników Paula i Joe'go. Nauczona w młodości strzelania przez ojca, całe życie miała do czynienia z bronią. I choć wolała unikać przemocy, w NUMA nieraz strzelała do napastników i sama bywała pod ostrzałem. Taką miała pracę. Ale kiedy wycelowała w ludzi na polanie, uświadomiła sobie, że czegoś takiego jeszcze nie robiła.

Dyskomfort zniknął, gdy jeden z mężczyzn wyciągnął pistolet i stanął za Joem.

Gamay zrobiła wydech i nacisnęła spust.

Karabin wypalił. Człowiek z pistoletem opadł na kolana i przewrócił się na

bok. Zanim dotknął ziemi, Gamay zmieniła cel i trafiła strażnika Paula.

Zobaczyła, jak pada, wpakowała mu jeszcze jedną kulę dla pewności i wzięła na muszkę trzeciego. Wszyscy już biegali w różne strony. Jej czwarty pocisk poleciał ku jednemu z nich. Nie wiedziała, czy piąty dosięgnął innego z ludzi Urca, który dał nura w wysoką trawę.

* * *

W dole na kamienistej plaży Joe usłyszał strzał karabinowy i pomyślał, że zabrzmiał jak wybawienie. Pociągnął i obrócił nową opaskę zaciskową na nadgarstkach. Nie była tak osłabiona, jak poprzednia, ale pracował nad tym.

Rozległ się drugi strzał, potem następny. Ludzie wokół padali martwi lub uciekali w bezpieczne miejsca, gdy Joe wreszcie rozerwał więzy.

Natychmiast chwycił kamień z ostrą krawędzią, który sobie upatrzył, i rzucił się w stronę Paula.

Oswobodził go szybkim cięciem. Cisnął kamień na bok i wyrwał pistolet z ręki martwego mężczyzny.

Wskazał grań skąd, jak przypuszczał, strzelała Gamay.

– Do podnóża urwiska.

– Dokąd się wybierasz?

– Poszukać Urca.

Paul odwrócił innego zabitego przez Gamay i zabrał mu broń.

– Chodźmy.

* * *

Kiedy Gamay strzelała z góry, Kurt działał cicho i szybko. Wyeliminował dwóch ludzi Urca, zdobył strzelbę i popędził z nią naprzód. Chciał dopaść Urca, ale jego ocalali ludzie utrudniali to.

Kurt zabił jednego z nich, gdy mężczyzna opróżniał cały magazynek w kierunku wzgórz w nadziei, że trafi snajpera.

Kiedy mijał biegiem trupa, przeładował strzelbę i wypalił do mężczyzny, który ukrył się w zaroślach. Strzał rozerwał krzaki i mężczyzna rozciągnął się na ziemi, zakrwawiony.

Kurt dobiegł do niego i wykopnął mu karabin z ręki.

– Gdzie jest Urco?

Mężczyzna wskazał drżącym palcem wykarczowaną ścieżkę.

Kurt zerknął w tamtą stronę i zobaczył, jak coś spada na nich z góry. Puścił się sprintem w bok i dał nura w trawę w momencie, gdy kostka semteksu eksplodowała.

Wybuch zadźwięczał mu w uszach, spłaszczył na chwilę pole zielonych źdźbeł i zasypał go ziemią. Ale nastąpił za daleko, żeby go zranić.

Mężczyzna, który wskazał Urca, nie miał tyle szczęścia.

Kurt już miał ruszyć dalej, gdy ktoś klepnął go w nogę.

Odwrócił się błyskawicznie z bronią gotową do strzału. Ale zamiast przeciwników, zobaczył uśmiechniętą twarz Joe'go Zavali. Paul Trout był tuż za nim.

– Jak na ducha, jesteś zaskakująco materialny - stwierdził Joe.

Kurt uśmiechnął się szeroko.

– I łatwo się do mnie podkraść - odrzekł. - Cieszę się, że was widzę. Wierzcie lub nie, ale chyba zwyciężamy, głównie dzięki strzelaniu Gamay.

– Będzie trudna we współżyciu po uratowaniu nas - powiedział Paul. - Ale warta tego.

– Ilu ich ubyło?

– Czterech - odrzekł Joe.

– Ja załatwiłem trzech - powiedział Kurt.

– Więc został tylko Urco - odparł Joe. - Wierz mi, że dokładnie ich liczyłem.

Kurt wskazał wyżej położony teren.

– Jest tam. Ale czuję, że obrzuci nas bombami, jeśli ruszymy na niego.

– Może Gamay trafiłaby go ze swojego stanowiska - zasugerował Paul.

Kurt wyciągnął radio, złożył Gamay meldunek i zapytał o sytuację.

– Jest na górze - potwierdziła. - Sam, ale nie bezbronny.

– Już posmakowaliśmy materiałów wybuchowych - powiedział Kurt. - Nie mam ochoty na powtórkę. Mogłabyś go trafić?

– Być może - odrzekła. - Ale jest pewien problem.

– Jaki?

– Wygląda na to, że on się tego spodziewa. Kuca za ostatnim modułem. I trzyma pistolet przystawiony do obudowy jak do żywego zakładnika.

W tym momencie rozległ się donośny głos Urca.

– Wystarczy tej przemocy - krzyknął. - Rzućcie broń, albo zniszczę nas wszystkich.

52.

Po słowach Urca na polu walki zapadła cisza. Kurt zerknął na Joe’go.

– Najwyraźniej nie zwyciężamy... jeszcze.

– Moglibyśmy go zaatakować z trzech stron - podsunął Joe.

– Lepiej, żeby nie spanikował.

Gamay odezwała się przez radio.

– Może udałoby mi się trafić go w głowę, gdyby się ruszył. Ale gdybym chybiła...

– Nawet gdybyś go trafiła, mógłby nacisnąć spust - odrzekł Kurt. Musieli spróbować czegoś innego. Wręczył Joe’mu radio. - Wdrapię się tam.

– Zastrzeli cię.

– Mam nadzieję - odparł Kurt. - A wtedy wy położycie go trupem.

Joe spojrzał na niego pytająco.

– Zawiadom Gamay - polecił Kurt. - Jak tylko oddalę się ścieżką w górę, wy dwaj ruszycie przez trawę. Postaram się go zagadać jak najdłużej.

Kurt wstał wolno. Uniósł oburącz strzelbę nad głowę jak żołnierz, który się poddaje. Trzymając ją wysoko, wyszedł z trawy, przeciął polanę i wspiął się krętą ścieżką.

Na wyżej położonym terenie zastał Urca przycupniętego za ostatnim modułem z pistoletem przystawionym do jednej z rur kriogenicznych.

Kurt odrzucił strzelbę, gdy tylko nawiązali kontakt wzrokowy.

– Austin - powiedział spokojnie Urco. - I to w znacznie lepszym stanie, niż się spodziewałem.

– Zawiedziony? - spytał Kurt.

– Zaskoczony. Vargas rzadko nie wykonuje zadania. I nie okłamuje mnie. Powiedział, że się wykrwawiasz na dnie jeziora.

– Nie złość się zbytnio na niego - odrzekł Kurt. - Rozciął pakiet czerwonej farby w mojej kamizelce. Na pewno myślał, że mnie głęboko dźgnął. Niezamierzone wprowadzenie w błąd. W przeciwieństwie do tego, co

przygotowałeś dla świata. Muszę ci przyznać, że niewielu ludzi miałoby odwagę manipulować trzema najpotężniejszymi państwami na Ziemi.

– Wykorzystałem okazję - odparł Urco. - Nic więcej.

Kurt pokręcił głową.

– Trochę za późno na fałszywą skromność, nie sądzisz? Pociągałeś za sznurki, a my tańczyliśmy. Chciałeś, żeby Nighthawk został wydobyty, i zrobiliśmy to dla ciebie. Potrzebowałeś kogoś do przechwycenia go dla siebie i nakłoniłeś Rosjan do zbudowania dwóch hipersonicznych bombowców do tego zadania. Kiedy potrzebowali pieniędzy, bo mieli ich za mało, wmanewrowałeś Chińczyków we współpracę z nimi. I dokonałeś tego tylko słowami. O ile się nie mylę, nie masz pieniędzy, władzy politycznej ani broni, a tylko genialny umysł.

Urco był za sprytny, żeby nie dostrzec pochlebstwa Kurta, ale również zbyt zarozumiały, żeby nie chłonąć każdego słowa.

– Walczyłem już z terrorystami, zagranicznymi rządami i nawet z miliarderami, którzy mieli do dyspozycji swoje prywatne armie - dodał Kurt. - I bardzo wątpię, że kiedykolwiek spotkałem niebezpieczniejszego człowieka. Gratuluję, Urco. A może powinienem nazywać cię Sokolnikiem?

Na dźwięk tego kryptonimu Urco uniósł podbródek, zaintrygowany. Jego wzrok stwardniał.

– Więc ty też wiesz to i owo. Gdzie usłyszałeś ten kryptonim?

– W rejestratorze głosu w kokpicie, który znaleźliśmy we wraku Blackjacka Jeden - odrzekł Kurt. - Ocalał, mimo że piloci nie. To ty byłeś w Blackjacku Dwa. Za twoją sprawą Nighthawk nagle odżył, kiedy Rosjanie myśleli, że został zestrzelony. I zignorowałeś ich wezwania, żebyś z powrotem załadował do systemu kod alfa. Dlatego film z La Jalca nagrał ktoś inny, prawą ręką. Bo ciebie tam nie było, żeby zrobić to samemu.

Urco popatrzył na Kurta i przytaknął.

– Genialny plan - przyznał Kurt. - Rozdzieliłeś dość informacji, żeby wodzić nas wszystkich za nos. Tylko do niedawna nie mogłem zrozumieć dlaczego?

– Chciwość plami nawet najczystsze serca - odpowiedział Urco.

Kurt zmusił go do mówienia. Prowadzili teraz rozmowę i Kurt zyskał przewagę. Zaczął wolno iść.

– Ty nie jesteś zachłanny - ciągnął. - Gdybyś był, mógłbyś się skontaktować z którymś z trzech mocarstw i zażądać przelania jakiejś ogromnej sumy na jakieś konto numerowe w zamian za podanie lokalizacji Nighthawka.

Ostatecznie tylko ty wiedziałeś, gdzie on jest. Ale nie zrobiłeś tego. Prowokowałeś nas, podpuszczałeś. Jak powiedziałeś tamtego wieczoru podczas naszej kolacji, przyjęcie nie może się zacząć, dopóki nie ma wszystkich gości. Nie sprzedałeś materii w stanie mieszanym, tylko ją rozdałeś poszukującym jej krajom.

Urca rozdrażniły oskarżenia Kurta.

– Dostałem zapłatę w klejnotach.

– To wszystko było grą - odparł Kurt. - Częścią twojego planu zemsty. Ale bogactwo nic ci nie da, kiedy świat ulegnie zniszczeniu. Wiem, o co ci chodzi. Widziałem w jaskini repliki ogniw paliwowych. Znalazłem twoje materiały wybuchowe.

Urco wydawał się zdenerwowany, że Kurt tyle odkrył. Trzymał pistolet przystawiony do modułu kriostatycznego, ale patrzył na Kurta.

– Po co ukrywać prawdę? - naciskał dalej Kurt. - To koniec. Albo twojego świata, albo naszego. Nadal chcesz udawać, że zrobiłeś to dla pieniędzy? To motywacja przemysłowca, konkwistadora, Pizarra, Kolumba i wszystkich innych Europejczyków, którzy przybyli do Nowego Świata. Chcesz dołączyć do ludzi, którzy zdziesiątkowali Inków i Chachapoya?

– Zdziesiątkowali? - powtórzył gniewnie Urco podniesionym głosem. - Ten termin oznacza zabicie jednego na dziesięciu. Europejczycy i ich plugastwo nie zostawili przy życiu dziewięciu na dziesięciu. Ich zarazy uśmierciły dziewięćdziesiąt pięć procent tubylców. Resztę zgwałcili i zniewolili. Skazili naszą krew swoją. Od trzech czwartych wieku nazywamy nazistowskie zbrodnie i stalinowskie czystki ludobójstwem, ale one były niczym w porównaniu z tym, co się działo tutaj!

Nagły wybuch Urca wytrącił go z równowagi, jak Kurt miał nadzieję.

Kurt podszedł bliżej.

– Nikt żyjący dzisiaj nie miał z tym nic wspólnego - powiedział.

– To się nadal dzieje! - krzyknął Urco. - Wskazuje się przeszłość, jakby zabójstwa i wysiedlenia niewinnych ludzi zdarzyły się raz i skończyły, ale to trwa nawet teraz. W każdej godzinie każdego dnia. Nie tylko tutaj czy w Amazonii, ale również w Afryce, Azji, australijskim Outbacku i zimnych rejonach Arktyki. Resztkom autochtonów zagrażają dzieci maszynerii. Nie ma nadziei na porozumienie. Jeśli uprzemysłowienie będzie się nadal rozprzestrzeniało jak wirus, wkrótce zabraknie miejsca na inne życie. Trzeba to powstrzymać. I ja to zrobię. A jest tylko jeden sposób.

– Jedna bomba na Amerykę, jedna na Chiny i jedna na kogoś innego, a reszta, zdecydowana większość, na Europę, żeby ją zamienić w piekło po przelocie nad nią rosyjskiego bombowca. Taki masz pomysł na zemstę?

– Na sprawiedliwość - odparował Urco. - Mocno spóźnioną. Oko za oko. Jedno ludobójstwo za drugie.

– Chyba nie myślisz, że się tu uchowasz?

– Żyjemy dzięki darom natury, jak wszystkie dzieci ziemi. Wy zdajecie się na siłę automatyki i mechaniczną moc. Poleganie na uprzemysłowieniu stanie się waszą zgubą. Bez działających urządzeń dzieci maszynerii będą głodowały i umierały z pragnienia, upału i zimna. Zniszczą się wzajemnie w walce o to, co pozostało. Dzieci ziemi wrócą po prostu do tego, co zawsze znały.

Urco zamilkł i rozmowa się skończyła.

Kurt przysunął się bliżej.

– Wystarczy - ostrzegł Urco. - Jeszcze jeden krok i zabiję nas wszystkich.

Odciągnął kurek pistoletu i odbezpieczył go. Los świata zależał teraz od reakcji człowieka, który dosłownie trząsł się z wściekłości.

– Nie sądzę - odparł Kurt.

– Nie prowokuj mnie - powiedział Urco. - Jestem gotów umrzeć.

– O, na pewno - odrzekł Kurt. - Ale twój plan... Nie przemyślałeś go. Nie możesz teraz nacisnąć spustu. Twoje pozostałe bomby są za blisko. Ta jest zbyt potężna. Tysiąc razy silniejsza od tamtej w Hiroszimie, może pięć tysięcy. Jeśli ją zdetonujesz, fala uderzeniowa i kula ognia dosięgną Rosjan w naszym ukradzionym helikopterze. To spowoduje drugą eksplozję. Połączone skutki tego unicestwią Emmę Townsend na drodze do Cajamarki i wywołają trzeci wybuch. Nawet jeśli Chińczycy zdołali jakoś umieścić swoje moduły w transportowcu dalekiego zasięgu, który leci do Azji, nie mogą być daleko. Na pewno nie w takiej odległości, żeby uniknąć skutków pojawienia się trzech małych słońc sto sześćdziesiąt kilometrów od nich. Ta sama fala uderzeniowa, której zamierzasz użyć przeciwko cywilizacji przemysłowej świata, strąci tamten samolot. Promienie gamma i impuls elektromagnetyczny spalą obwody i stopią moduł. Tak czy inaczej, twoja czwarta tykająca bomba eksploduje. Nastąpi kataklizm, ale to Ameryka Południowa najbardziej ucierpi w tej katastrofie i to „dzieci maszynerii” przybędą jej na pomoc.

Urco zacisnął zęby. Możliwe, że już to przemyślał. A może w ogóle nigdy tego nie rozważał? Ale teraz to zrozumiał.

Kurt zrobił następny krok. Musiał tylko zapobiec temu, że Urco

przypadkowo strzeli.

– Zostań, gdzie jesteś!

– To koniec, Urco!

– Nacisnę spust! - krzyknął Urco. - I będzie kataklizm. Dotknie was dużo bardziej niż mieszkańców dżungli, tundry czy dalekich równin.

Kurt był już tak blisko, że widział rozdęte nozdrza Urca i obłęd w jego oczach. Patrzył, jak kropla potu spływa po jego skroni, a knykcie bieleją na chwycie pistoletu.

– Został ci jeden ruch - przypomniał Kurt. - Masz jeden strzał. Albo w bombę... albo do mnie.

Urco trząsł się z wściekłości. Następna kropla potu spłynęła po jego twarzy. Zatrzymała się na moment na dole brody i skapnęła na moduł. Zamarzła natychmiast na lodowato zimnej rurze.

– Niech cię szlag! - krzyknął.

Poderwał pistolet do góry i wycelował w Kurta.

Kurt dał nura w bok, gdy dwa strzały zabrzmiały prawie jednocześnie. Jeden blisko, drugi daleko.

Pocisk karabinowy trafił Urca w żebra pod wyciągniętym ramieniem i odrzucił go w bok. Urco runął na ziemię, wciąż z pistoletem w dłoni. Joe wyrwał do przodu, wskoczył na niego i wytrącił mu broń, zanim ten spróbował znów strzelić.

Kurt spojrzał w górę z miejsca, gdzie wylądował. Urco chybił. Lufa przywarła na moment do oszronionego cylindrycznego modułu. Pospieszył pomóc Joe’mu.

– Szybko się wykrwawia - stwierdził Joe.

Usiłowali zatamować krwotok, ale pocisk przeszedł przez ciało. Uszkodził zbyt wiele narządów. Rozerwał zbyt wiele tkanek.

Kurt zrezygnował z próby uratowania Urca i starał się wydobyć z niego ostatnią odpowiedź.

– Umierasz - powiedział. - Nie zabieraj połowy świata ze sobą. Jak zatrzymać to, co puściłeś w ruch?

Urco popatrzył na niego tępo.

– Wrócimy tu. Pomożemy wam i innym. Nie mylisz się co do tego, co się działo i dzieje, ale najpierw musisz pomóc nam.

Urco spojrzał na Kurta niewidzącymi oczami.

– Prawie... ci wierzę - szepnął. - Za późno. Co się stało... to się... nie odstanie.

53.

Urco umarł, nie powiedziawszy nic więcej. Joe i Paul zebrali zabitych i dwóch ocalałych. Gamay przybiegła ze swojej kryjówki i objęła Paula.

– Wyrazy uznania dla twojego instruktora strzelania - powiedział Joe.

– Przekażę je mojemu ojcu - odrzekła i odwróciła się do Kurta. - To była gra na przetrzymanie.

– Uważałem, że włożył tyle wysiłku w swój plan, że zrobi wszystko, żeby go teraz nie zepsuć.

– A gdybyś się pomylił?

– Prosty rachunek - odparł. - Jeden zniszczony kontynent to lepiej niż cztery.

– Minimalnie - powiedziała.

– Nie będę się spierał - odrzekł Kurt.

– Jakiś pomysł, dokąd miał trafić ten ostatni moduł? - zapytał Paul.

– Słyszałem, jak ludzie Urca mówili coś o Rio - odpowiedział Kurt.

– Biorąc pod uwagę skalę wylesiania Amazonii, zniszczenie największego miasta na kontynencie w nadziei na powstrzymanie tego miałoby sens - uznał Joe. - Ale co teraz?

Kurt spochmurniał.

– Wygraliśmy bitwę, ale przegrywamy wojnę. Musimy ostrzec Chińczyków i Rosjan i skontaktować się z NSA.

Przetrząsnęli obóz i zrewidowali ludzi Urca w poszukiwaniu jakiegoś sprzętu łączności dalekiego zasięgu. Znaleźli tylko walkie-talkie, własne zniszczone telefony satelitarne i komputer Urca z wielką anteną satelitarną.

– Już to widziałem - oznajmił Paul po dwudziestu minutach prób. - To wielostopniowy program zabezpieczający. Nawet gdyby nam się udało przejść pierwszy poziom, to pewnie trzeba by się uporać z drugą warstwą szyfru, żeby uzyskać dostęp do łączności satelitarnej.

Przycisnęli dwóch ocalałych, ale nie wydobyli z nich żadnych informacji.

– Nie mamy na to czasu - powiedział Kurt. - Musimy to zrobić po staremu.

Osobiście.

– Mamy tylko jeden pojazd i trzy megabomby do przechwycenia - zauważył Joe.

– Będziemy musieli się rozdzielić - odrzekł Kurt. - Ty i ja ruszymy za Rosjanami. Paul, ty i Gamay weźmiecie tamtego jeepa cherokee i spróbujecie dogonić Emmę.

– Jest z nią uzbrojony strażnik - przypomniał Paul.

– To zajmiecie się nim.

– A co z Chińczykami? - zapytała Gamay. - Na pewno są już w powietrzu.

Kurt zerknął na zegarek. W tej chwili nie mogli z tym nic zrobić.

– Do Pekinu jest daleko. Może uda nam się wykombinować, jak rozbroić bomby i porozmawiać z nimi, zanim wylądują.

Nie tracąc czasu, zanieśli ostatni moduł ścieżką do wąskiej ziemnej drogi, gdzie czekał cherokee. Po załadowaniu go i przymocowaniu Paul i Gamay odjechali. Nie było pożegnań. Nie mieli czasu.

Po ich odjeździe Kurt i Joe natychmiast zajęli się pościgiem za Rosjanami. W pierwszej kolejności trzeba było ustalić, dokąd się udali.

– Polecieli prosto nad tamtą wąską przełęczą w grani i nie zmienili kursu - powiedział Joe - więc pewnie ich cel jest w tamtym kierunku. A biorąc pod uwagę ciężar Nighthawka i problemy ze sterowaniem, jakie miałem w czasie jego transportu, nie mogą być daleko.

– Chyba wiem, dokąd lecą - odrzekł Kurt. - Pamiętasz audio z katastrofy pierwszego bombowca? Pilot Blackjacka Jeden wpadł w panikę, kiedy Nighthawk zaczął się uwalniać. Krzyczał do Sokolnika, żeby wprowadził kody resetujące w Nighthawku. Wywoływał Blackjacka Dwa.

– A Sokolnikiem był Urco.

Kurt przytaknął.

– Co oznacza, że Blackjack Dwa się nie rozbił. Wylądował bezpiecznie i pewnie jest w pobliżu. Musimy tylko znaleźć najbliższe lotnisko polowe.

– Jest takie jedno - odparł Joe. - Jakieś jedenaście kilometrów stąd. Kiedy planowałem naszą trasę, widziałem je na mapie.

– To długa wędrówka - stwierdził Kurt. - Lepiej ruszajmy.

– Nie musimy iść - zaprzeczył Joe. - A przynajmniej nie przez całą drogę. Półtora kilometra od pasa startowego płynie rzeka. Możemy wziąć ponton. Zaoszczędzimy godziny.

54.

Jedenastokilometrowy lot latającego dźwigu będzie jego ostatnim, pomyślał major Timonowski z rosyjskich sił powietrznych. Wielki helikopter zmagał się z ładunkiem w rozrzedzonym górskim powietrzu. Zanim pokonali połowę drogi, zapaliły się żółte kontrolki temperatury silników. Ale z podwieszonym dziewięciotonowym Nighthawkiem Timonowski nie miał odwagi przyspieszyć.

– Świeci czerwona kontrolka silnika numer dwa - zameldował mechanik pokładowy.

– Co jest? - zapytał Timonowski.

– Opiłki metalu w misce olejowej. Napęd głównego wirnika się rozlatuje. Musimy posadzić maszynę.

Timonowski usłyszał napięcie w głosie mechanika, ale zignorował to.

– Jesteśmy już prawie na miejscu - odrzekł.

Widział przed sobą zarys pasa startowego. Stał na nim Blackjack Dwa, już bez siatki ochronnej i plandek, którymi owinął go Ptasznik. Na pasie startowym był też drugi samolot. Mały turbośmigłowiec.

Lekceważąc kontrolki ostrzegawcze, Timonowski przeprowadził pomarańczowy helikopter i ukradziony amerykański statek kosmiczny nad ostatnią linią drzew i zszedł w kierunku mocno ubitego pasa startowego. Człowiek na ziemi nadał do nich latarką wiadomość alfabetem Morse'a.

– Więc Ptasznik przynajmniej raz mówił prawdę - powiedział Timonowski. Po tylu kłamstwach i sztuczkach niemal spodziewał się amerykańskich agentów lub może Chińczyków. - Skontaktuj się z nimi na kanale niskiej częstotliwości.

Mechanik pokładowy wybrał właściwą częstotliwość i wdał się w szybką rozmowę.

– Chcą, żebyśmy posadzili Nighthawka na bombowcu - przekazał Timonowskiemu. - Utrzymamy się tak długo w powietrzu?

– Wolałbym go opuścić na bok pasa startowego, ale jak wylądujemy, to już się nie uniesiemy tym helikopterem.

– Tak myślałem - odrzekł mechanik. - Co mam im powiedzieć?

Timonowski nawet się nie zawahał.

– Zaryzykujemy.

Skręcił w stronę bombowca, zawisnął przy nim i obrócił helikopter. Przemieścił się wolno bokiem nad środkową część samolotu i zaczął opuszczać na niego amerykański statek kosmiczny.

Pierwsza próba się nie powiodła, bo wirujący podmuch od wirników wciąż obracał podwieszonym ładunkiem. Drugie podejście też nie wyszło.

– Nie dam rady utrzymać go prosto - oznajmił Timonowski.

– Musimy go posadzić - odparł mechanik. - Lada chwila stracimy przekładnię główną.

– Do trzech razy sztuka - powiedział Timonowski.

Tym razem ludzie z obsługi naziemnej pojawili się z tyłu bombowca. Chwycili Nighthawka gołymi rękami, opasali linami dziób i ogon i wspólnymi siłami powstrzymali jego ruch obrotowy. Z ich pomocą Timonowski naprowadził Nighthawka na pozycję i poczuł, jak ładunek uderzył lekko w opancerzony kadłub bombowca.

– Opuszczony i zabezpieczony - zameldował mechanik. - Zwalniam liny.

Odłączyły się ze słyszalnym trzaskiem. Latający dźwig wzniósł się szybko wśród ciemnego dymu z obudowy układu przeniesienia napędu.

Potworny zgrzyt zagłuszył ryk silników i Timonowski już wiedział, że stracili przekładnię główną.

– Trzymaj się! - krzyknął, odlatując od bombowca, Nighthawka i obsługi naziemnej.

Dymiący helikopter oddalił się resztkami mocy i zaczął spadać. Timonowski robił, co mógł, żeby nie stracić kontroli nad maszyną, ale straciła stabilność. Uderzyli w ziemię obok pasa startowego.

Prawa część podwozia się zgięła i latający dźwig się przewrócił. Wirniki zawadziły o ziemię i roztrzaskały się, ich kawałki poszybowały w drzewa.

Kiedy helikopter znieruchomiał na boku, Timonowski wyłączył silniki i zamknął dopływ paliwa. Odwrócił się i zobaczył, jak mechanik pokładowy wychodzi przez drzwi.

Zanim Timonowski odpiął pas i dogonił mechanika, otoczyło ich sześciu członków obsługi naziemnej. Jeden wypuszczał pianę z gaśnicy w kierunku

przedziału silnikowego. Wydobywał się stamtąd czarny dym, ale nie było płomieni.

– Diabelskie urządzenia - dobiegł głos z tłumu.

Major dostrzegł Konstantina Dawidowa. Rzadko można było go zobaczyć w terenie. Stary wiarus promieniał, gdy pospieszył naprzód.

– Diabelskie urządzenia? - zapytał major Timonowski. - Które?

– Helikoptery - wyjaśnił Dawidow. - Nienaturalne, głośne i brzydkie. Moim zdaniem prawie narzędzia tortur.

Major nie wiedział o długiej podróży Dawidowa „Carrier Pigeonem" z Kamczatki na krążownik „Wariag". Ale wolał nie kwestionować słów szefa.

– Skoro pan tak mówi.

– Tak uważam - odrzekł Dawidow. - Ale są przydatne.

– I mają ograniczenia - zauważył Timonowski. - Jak my. - Wskazał Blackjacka Dwa ze stojącym na nim dumnie Nighthawkiem. - Nie wystartujemy stąd. Lotnisko jest za krótkie. I drzewa za wysokie. Powiedziałem to Ptasznikowi.

– I posłuchał - odparł Dawidow. - Przywiozłem pomocnicze silniki rakietowe. Wykorzystamy je, wytniemy trochę tamtych drzew i wzniesiemy się bez problemu. Obsługa naziemna już montuje te silniki do bombowca.

Timonowski zmrużył oczy i zobaczył, jak obsługa naziemna przyczepia serdelkowate, podobne do pocisków rakietowych pojemniki do węzłów uzbrojenia pod skrzydłami bombowca. Operacja była skomplikowana.

– Wygląda na to, że Sokolnik pomyślał o wszystkim.

Dawidow przytaknął.

– Na to wygląda.

55.

Trasa Emmy do Cajamarki prowadziła przez szeroką dolinę, a potem przez wąską przełęcz. Droga najpierw była płaska i otoczona górami, ale za przełęczą zaczęła wyglądać jak tamta, którą wraz z Kurtem podążali w górę. Tylko teraz zapadał zmierzch i z każdą chwilą robiło się ciemniej.

Miała włączone długie światła, małe lampy przeciw - mgielne pod zderzakiem i dwa dodatkowe reflektory na dachu. Oświetlały drogę wystarczająco dobrze, ale przepaść za wąskim poboczem była ciemną otchłanią.

– Jak będzie po wszystkim, przeniosę się do Kansas - oznajmiła.

– A co to jest?

Pytanie zadał Reyes, strażnik, którego Urco z nią wysłał. Siedział na miejscu pasażera odwrócony w bok i trzymał w ręku pistolet kaliber dziewięć milimetrów.

Kiedy jechała za szybko lub za wolno, robił niezadowoloną minę i narzekał. Teraz najwyraźniej spisywała się dobrze, bo opierał się wygodnie, a beretta leżała na jego podołku, wycelowana mniej więcej w jej udo.

– Kansas - odrzekła - to bardzo płaska część Ameryki. Nie ma tam takich gór, jak tutaj, na które trzeba się wspinać, ani urwisk, z których można spaść.

Zmarszczył brwi.

– Mniejsza z tym - powiedziała. - Wyobrażam sobie, jak to brzmi dla kogoś, kto żyje tutaj.

Nie odezwał się, pochylił do przodu, żeby zerknąć na prędkościomierz, a potem znów oparł.

– Wyrabiamy się w czasie? - spytała.

Nie odpowiedział. Może tak, pomyślała.

– Urco nie musiał wysyłać cię ze mną.

– Mam dopilnować, żebyś dotrzymała obietnicy.

– A dlaczego miałabym nie dotrzymać? - zapytała na zakręcie. - To jedyne

rozsądne wyjście.

Wzruszył ramionami.

– A co w ogóle byś zrobił, gdybym odmówiła? Albo zmieniła zdanie?

Po prostu mówiła, rozmawiała podczas długiej jazdy w nadziei, że dostrzeże w niej człowieka, a nie cel. Ale trafiła w czuły punkt.

Zastrzeliłbym cię i pojechał dalej sam.

– Naprawdę? - spytała z udanym zaskoczeniem. - A potem co? Przekazałbyś moduł i powiedział moim kolegom, że jesteś dobrym samarytaninem, który zabrał go z pobocza drogi? I jak w ogóle byś ich znalazł beze mnie?

Odpowiedź przyszła jej do głowy, zanim skończyła zadawać pytanie.

– A, prawda, masz telefon - stwierdziła. - Mój telefon.

Prawie w tym samym momencie oboje uświadomili sobie, że coś zdradził.

Telefon mógł sprowadzić pomoc. Ściągnąć nad jezioro grupę ratunkową i oddziały wojskowe do otoczenia Urca i jego ludzi. Jej telefon mógł postawić całą sytuację na głowie.

– Zatrzymaj się - polecił.

– Nie ma potrzeby - odrzekła. - Wszystko gra. Jedźmy dalej.

– Zatrzymaj samochód!

Wszystko stało się błyskawicznie. Reyes znów krzyknął i wycelował pistolet w jej głowę. Uzmysłowiła sobie, że to może być jej jedyna szansa na zadziałanie i nacisnęła mocno hamulec. Nagła utrata prędkości odrzuciła jego wyciągnięte ramię do przodu. Uderzył ręką w deskę rozdzielczą i pistolet wypalił w przednią szybę.

Kiedy szkło się roztrzaskiwało, Emma zamachnęła się na niego prawym ramieniem. Rękę trzymała sztywno, palce wyprostowane. Kantem dłoni zdzieliła go w jabłko Adama.

Cios zmiażdżył tchawicę i Reyes upuścił pistolet.

Wcisnęła gaz do podłogi. Poleciał do tyłu, znów pozbawiony równowagi.

Kiedy się zwinął na siedzeniu, sięgnęła w dół po pistolet, żeby go porwać z podłogi. Musnęła go palcami, ale nie zdążyła podnieść, bo Reyes złapał za kierownicę i szarpnął mocno w prawo.

Toyota skręciła ostro i przewróciła się na bok. Przednia szyba wypadła. Stara terenówka sunęła ku krawędzi drogi i urwiska. Była do połowy nad przepaścią, gdy uderzyła przodem w sękate drzewo, które wyrastało ze stromego zbocza, i zatrzymała się.

Kolizja pozbawiła Emmę przytomności. Nie wiedziała, czy na sekundy,

minutę, czy na dłużej. Kiedy się ocknęła, leżała na boku, przygwożdżona kierownicą. Słyszała syk i widziała wokół parę z roztrzaskanej chłodnicy toyoty.

Reyes gdzieś przepadł. Przypuszczała, że został wyrzucony przez przednie okno bez szyby.

– To było głupie - stęknęła, zła na siebie i na niego, gdziekolwiek się podział.

Obróciła się, poczuła ukłucie bólu w żebrach i zobaczyła moduł. Pozostał na swoim miejscu, przypasany tak, jak był.

Wyciągnęła się i dosięgnęła panelu sterowania. Kiedy dotknęła palcami ekranu, rozświetlił się. Wszystkie wskaźniki miały zielony kolor. Zasilanie wciąż działało. Butle magnetyczne były nietknięte, system kriogeniczny całkowicie sprawny.

– Dzięki Bogu, że nie wybrali najtańszego oferenta - szepnęła.

Z oczywistych przyczyn moduły były wyjątkowo wytrzymałe i dobrze wykonane. Skonstruowano je tak, żeby przetrwały łata w kosmosie, promieniowanie, ekstremalne ciepło, zimno i ciśnienie, nie wspominając o turbulencjach i wibracjach podczas powrotu i lądowania, a nawet niewielkie uszkodzenie.

Na szczęście wypadek samochodowy nie okazał się bardziej szkodliwy niż takie warunki.

Emma musiała tylko wydostać się z land cruisera, znaleźć swojego strażnika i mieć nadzieję, że telefon w jego kieszeni ocalał.

Naparła na kolumnę kierowniczą, która się przemieściła przy uderzeniu w drzewo, i zdołała odepchnąć ją na tyle, że mogła oswobodzić nogi. Podkurczyła je i usiadła.

Toyota leżała na boku bez przedniej szyby, więc najłatwiej było wyjść przez otwór po niej. Siedząc na drzwiach kierowcy, Emma wyprostowała nogi do przodu i... trafiła nimi w próżnię.

Zamarła. Jej nogi dyndały, jakby siedziała na huśtawce lub jakieś półce. Spojrzała w dół. Pod kabiną była ziemia, ale kończyła się przy przednim słupku.

Pochyliła się do przodu i złapała pas bezpieczeństwa. Kiedy para z chłodnicy zaczęła się rozwiewać, reflektory na dachu przebiły ciemność i oświetliły ziemię sto metrów poniżej.

Land cruiser był już przechylony w dół. Przed upadkiem w przepaść chroniło go tylko sękate drzewo, na którym się zatrzymał.

Emma wciągnęła nogi z powrotem do kabiny i zmieniła pozycję, żeby wyjść górą. Ledwo słyszalny trzask pnia drzewa i lekkie przemieszczenie toyoty ostrzegły ją, że to zły pomysł. Znieruchomiała, zastanawiając się, jak długo drzewo wytrzyma.

56.

Kurt i Joe zrobili świetny czas. Pruli z szeroko otwartą przepustnicą i z prądem. Kilka skupisk małych bystrzyc nie sprawiło im dużego kłopotu i szybko pokonali dziewiętnaście kilometrów krętej rzeki - prawie jedenaście w linii prostej, które przeleciał Nighthawk.

– Bliżej nie dopłyniemy - oznajmił Joe, pamiętając mapę i czas podróży.

– Jestem gotowy - odrzekł Kurt. - Możemy zasuwać na piechotę.

Przebrał się wcześniej w zwykłe ubranie i obaj mieli na nogach buty. Gdy tylko Joe wprowadził ponton na brzeg, wyskoczyli i bardziej pobiegli, niż poszli.

Zapadła ciemność, ochłodziło się mocno i pojawiły się gwiazdy. Błyszczały w górze jak brylanty na czarnym aksamicie. Znajdując według nich drogę w kamienistym terenie, Kurt i Joe kierowali się na lotnisko polowe.

Kilka metrów za Joem Kurt poczuł ból w kolanach. Odezwały się stare kontuzje futbolowe.

– Na starość robisz się powolny - dociął mu Joe.

– Kiedy niektórzy z nas siedzieli cały dzień, ja pracowałem - odparował Kurt.

– W moich stronach unoszenie się na jeziorze w dętce nie jest uważane za pracę - odrzekł Joe.

– W zasadzie stworzyłem własny rodzaj ekstremalnego triathlonu - odparł Kurt. - Wpływanie pod wodospad, wspinaczka na urwisko, a teraz bieg długodystansowy pod górę w rozrzedzonym powietrzu na wysokości trzech tysięcy metrów.

– Pod wodospad? - zapytał Joe. - Nie mogłeś go ominąć?

– Próbowałem - przyznał Kurt. - To trudniejsze, niż się wydaje.

Joe się roześmiał.

– Mam nadzieję, że ten bieg się opłaci i nasz samolot nie odleciał.

Kurt też miał taką nadzieję. Nie mogli tego wiedzieć przed dotarciem na

miejsce, ale Kurt mieszkał blisko kilku baz lotniczych, kiedy służył w siłach powietrznych, i pamiętał, jak daleko niesie się huk silników wojskowych odrzutowców.

– Musieliby odlecieć, kiedy przepływaliśmy przez tamte bystrza, bo inaczej chybabyśmy usłyszeli start naddźwiękowego bombowca. Na pewno będą musieli użyć dopalaczy.

Buczenie nad płaskowyżem przerwało im rozmowę. Zwolnili, żeby posłuchać.

– Turbośmigłowiec - stwierdził Joe, odwracając się przodem do dźwięku.

Buczenie narastało i nabrało dziwnego brzmienia, kiedy włączył się drugi silnik.

– Mogli zmienić samolot - powiedział Kurt.

Bez wahania puścili się sprintem, skoncentrowani na odgłosie turbośmigłowca. Wciąż pędzili ku krawędzi pasa startowego, gdy mały samolot wzbił się w nocne niebo, skręcił na północny wschód i odleciał w ciemność.

– Jeśli się dostaniemy do latającego dźwigu - odezwał się Joe - to będziemy mogli skorzystać z radia i zawrócić ich, zanim znajdą się za wysoko.

Biegli dalej. Zatrzymali się na skraju lotniska, zdyszani, i opadli obok sosny, żeby się ukryć.

Latający dźwig leżał na boku i dymił.

– Radio pewnie ocalało - ocenił Joe. - Ale antena mogła się urwać.

Kurt wskazał drugi kształt w mroku, ciemny i groźny. Blackjack Dwa nadal był na ziemi z Nighthawkiem na szczycie kadłuba.

– Nie ustawiliby go tak starannie, gdyby mieli go zostawić.

57.

Paul jechał jeepem cherokee tak szybko, jak tylko pozwalała mu odwaga. Zważywszy na ładunek, który wiózł, stan drogi i zupełną ciemność bezksiężycowej nocy, prędkość sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę była ryzykowna.

Gamay siedziała obok niego, dzieląc uwagę między przenośne narzędzie zagłady i mapę, i wydawała się chcieć, żeby jechał szybciej.

– Mam nadzieję, że Emma jest tak ostrożna, jak my - powiedziała. - Z różnych przyczyn.

Paul widział wcześniej mapę. Wiedział, że to jest wyścig, którego nie mogą wygrać.

– Nie dogonimy jej. Ostatnie sześćdziesiąt pięć kilometrów do Cajamarki jest utwardzone i stosunkowo płaskie. Kiedy wjedzie na tamten odcinek, zostawi nas daleko z tyłu.

– Może udałoby się nam zatrzymać jakieś auto lub ciężarówkę - podsunęła Gamay. - Gdyby dopisało nam szczęście, ktoś mógłby mieć radio albo telefon.

– Tutaj to musiałby być telefon satelitarny - odrzekł Paul. - Ale może, jak się zbliżymy do miasta. - Zerknął na mapę. - Od południa będzie musiała przejechać przez większą część miasta, żeby dotrzeć na lotnisko. To może nam dać jakąś...

Przerwał mu krzyk Gamay:

– Paul, uważaj!

Podniósł wzrok. Na drodze leżało wygięte i połamane ciało mężczyzny. Paul nacisnął hamulec, ominął je i zatrzymał bezpiecznie samochód. Ciało zostało z tyłu, ale widok przed nimi był jeszcze bardziej zaskakujący. Jakiś przewrócony na bok pojazd wystawał przodem poza krawędź urwiska, utrzymywany w miejscu przez rozwidlony pień drzewa.

Paul ustawił selektor skrzyni biegów w pozycji parkowania i chwycił za klamkę drzwi. Kiedy je otworzył, poczuł na ręku dłoń Gamay.

– Nie jesteśmy na jakimś odludziu, Paul - przypomniała. - Nie mamy na to czasu.

Miała rację, ale tylko dlatego, że jeszcze sobie nie uświadomiła tego, co Paul.

– To Emma.

Gamay zabłysły oczy. Popatrzyła na przewrócony samochód i skinęła głową.

Wyskoczyli z cherokee i podbiegli do toyoty. Tkwiła przodem w pniu sękatego drzewa na zboczu, tył miała w powietrzu i lada chwila mogła się zsunąć w przepaść.

Silnik cykał i stukał, zewsząd wyciekały płyny. Równowaga pojazdu wydawała się tak niepewna, że Paul wolał niczego nie dotykać.

– Emma! - zawołał. - Jesteś tam?

– Halo?! - odpowiedział z samochodu kobiecy głos.

– Emma, tu Paul - krzyknął, przesuwając się wzdłuż boku toyoty. Kąt pojazdu i stan krawędzi urwiska uniemożliwiały dojście do przodu terenówki. - Jestem tutaj z Gamay. Wydostaniemy cię stamtąd.

– Dajcie sobie spokój ze mną - odparła Emma zdecydowanym tonem. - Wyjmijcie moduł. Wyciągnijcie go przez tył. To cud, że jeszcze się nie wyłączył. Ale wierzcie mi, że patrzę w otchłań. Jeśli spadniemy na dół, będzie po wszystkim.

Paul podszedł do tyłu toyoty i otworzył tylną klapę. Ustąpiła wolno i opornie, a jej ruch spowodował, że samochód się zakołysał.

– Jest mały problem - oznajmił Paul. - Jak wyjmiemy moduł, środek ciężkości przesunie się do przodu i jeśli to drzewo nie jest dużo mocniejsze, niż wygląda, samochód spadnie razem z tobą.

– Wiem - odrzekła Emma. - Długo o tym myślałam. Ale nie ma wyboru. Nie ma innego wyjścia. Za każdym razem, kiedy próbowałam się ruszyć, zsuwaliśmy się coraz niżej. Proszę, zabierzcie stąd tylko tę rzecz, zanim odjedziecie.

Emma mogła być gotowa stracić życie, ale Paul nie zamierzał się poddać.

– Potrzebujemy tylko więcej ciężaru z tyłu - powiedział. - Ważę co najmniej tyle, co moduł, i dwa razy więcej od ciebie. Jak wejdę na tylny zderzak...

– Problemem jest drzewo - przerwała mu Emma. - Już pęka na środku; dodatkowy ciężar może je złamać i spadniemy. Zabierzcie stąd tylko to cholerstwo i zostawcie mnie.

– Możemy wciągnąć toyotę z powrotem - wtrąciła się Gamay. - Użyjemy elastycznych lin, które trzymają nasz moduł, i kabli rozruchowych, które

znaleźliśmy z tyłu cherokee.

– To nie wystarczy, żeby podciągnąć do góry ponaddwutonowy samochód - odparł Paul. - Ale może wystarczyć, żeby nie zsunął się w dół.

– Tylko ktoś będzie musiał tam wejść i odczepić liny mocujące moduł - zauważyła Gamay.

– Ten ktoś już tam jest - przypomniał Paul. - Ona może poluzować wszystko, jak będzie wychodziła.

* * *

W środku toyoty Emma słuchała planu Paula. Musiałaby przejść przez siedzenia, odczepić nylonową linę, którą przywiązała niebezpieczny ładunek, i owinąć ją kilka razy wokół modułu. A potem wyczołgać się przez tylną klapę z końcami liny w rękach.

Brzmiało to wykonalnie. I uratowałoby ją przed podróżą, w którą nie chciała się udawać.

– Dam radę - oświadczyła.

Światło wokół niej się zmieniło, gdy Gamay ustawiła cherokee na pozycji. Nie ruszała się, kiedy Paul przymocowywał kable rozruchowe i elastyczne liny do przewróconego samochodu, a potem do przedniego zderzaka jeepa.

Czuła, jak przechył land cruisera maleje, gdy cherokee cofał się wolno i wszystko się naprężało.

Spojrzała w tył przez samochód. Paul stał w blasku światła.

– Dalej, dasz radę - powiedział.

Mimo odruchu, żeby wydostać się z zagrożonego pojazdu, Emmę sparaliżował strach. Wcześniej przez pół godziny siedziała w środku i nasłuchiwała trzasków i skrzypnięć drzewa i toyoty. Bezruch był jej jedyną ochroną i teraz bała się z niego zrezygnować.

Wzięła głęboki oddech, przygotowała się do tego, co musiała zrobić, i skinęła głową Paulowi.

– Idę.

Odwróciła się ku tyłowi samochodu. Zakołysał się lekko.

Znalazła miejsce na stopy, odepchnęła się i wspięła.

Tym razem toyota zaczęła się obsuwać.

Emma usłyszała trzask pękającego drzewa i poczuła walenie serca. Zobaczyła przez tylną klapę, jak Paul trzyma mocno za zderzak i ciągnie,

jakby to było przeciąganie liny.

Ruch spowolniał i ustał. Jedyny dźwięk wydawała strużka kamyków i piasku, które wysuwały się spod terenówki i spadały w dół zbocza.

– Dobra - powiedział Paul. - Naprzód.

Dotarła wolno do boku modułu.

– Teraz liny.

Odczepienie ich poszło łatwo. Rozwiązała je i owinęła wokół modułu i ogniwa paliwowego. Jedna pętla, druga i trzecia. Na tyle wystarczyła ich długość.

Zacisnęła je mocno, sprawdziła udźwig i spojrzała w kierunku Paula i Gamay.

– Gotowi?

– Zaczynaj - odrzekł Paul.

Emma wzięła głęboki oddech. Żeby dotrzeć do tylnej klapy, musiała użyć nóg. Ominęła moduł, postawiła stopy na oparciu siedzenia pasażera i odepchnęła się mocno.

Oparcie złożyło się do przodu.

Emma się obsunęła. Moduł też. Land cruiser pochylił się w dół pod większym kątem i usłyszała, jak drzewo pęka na środku. Złapała się pasa bezpieczeństwa, żeby nie wypaść z samochodu i znów popełzła w górę.

– Szybko! - krzyknęła Gamay.

Emma przyspieszyła, ile mogła.

Toyota zaczęła sunąć do przodu. Dwie z elastycznych lin pękły.

Emma wspinała się teraz pod kątem pięćdziesięciu stopni, każdy ruch pogarszał sytuację. Kiedy prawie dotarła na górę, Paul puścił zderzak i wyciągnął swoje długie ramiona. Spróbowała podać mu liny, ale zamiast je chwycić, zacisnął dłonie na jej nadgarstkach i wydostał ją.

Wylądowała na ziemi w momencie, gdy drzewo pękło na pół.

Odwróciła się i zobaczyła, jak toyota zsuwa się po zboczu w ciemność. Poderwała się i z całej siły pociągnęła liny.

Gdy tył land cruisera zniknął, moduł się oswobodził i spoczął na krawędzi ziemnej drogi. Z pomocą Paula i Gamay wciągnęła go bezpiecznie na płaski teren.

Trzask dobiegł z dołu, kiedy toyota uderzyła w małą skalną półkę i pokoziołkowała niżej.

Usiedli we troje, wciąż ściskając w dłoniach liny jak wykończeni zwycięzcy

zawodów w ich przeciąganiu.

Emma dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że Gamay nie było z nimi wcześniej.

– Co tu robisz?

– Przybyłam uratować chłopaków - odrzekła Gamay.

Nadal zdezorientowana, Emma podpełzła do boku modułu, żeby jeszcze raz sprawdzić wskazania. Mimo ostatniego uderzenia wciąż wszystko grało.

– Załadujmy to do samolotu i dostarczmy z powrotem do Stanów.

Nie - zaprotestował Paul. - Najpierw musimy wyjąć bombę.

58.

Kurt patrzył na pas startowy ze skraju lasu. Ledwo mógł uwierzyć w ich szczęście. Blackjack Dwa był jeszcze na ziemi, choć poruszający się tam i z powrotem punkt świetlny sugerował, że nie zostanie tam długo.

– Latarka - powiedział Joe. - Pewnie drugi pilot robi ostatnią kontrolę przed startem.

Nagle jedna z turbin bombowca ożyła z elektryzującym gwizdem. Dźwięk zmienił się w gardłowy ryk i niebieski ogień pojawił się za samolotem.

Rozbłysły dwie pary zintegrowanych lamp lądowania, startu i kołowania. Cztery oślepiająco jasne snopy światła oświetliły szeroki pas ziemi na wprost i tuż przed bombowcem.

– Musimy go zatrzymać - powiedział Kurt.

– Możemy się do niego łatwo dostać - odrzekł Joe. - Ale co potem?

– Pogadamy z nimi - odparł Kurt. - Wytłumaczymy im plan Urca i wyjaśnimy, co im grozi.

– A jak nas zignorują?

Kurt wyjął kostkę semteksu.

– Przekonamy ich sposobem Teddy'ego Roosevelta. Chodźmy.

Wyszli z lasu, najpierw ostrożnie, a potem przyspieszyli, gdy drugi z czterech silników bombowca zaczął pracować. Pilot na ziemi skończył prędko inspekcję i pobiegł w kierunku przedniej goleni podwozia i drabinki do wnętrza samolotu.

– Spóźnimy się na nasz lot - powiedział Joe i wysforował się naprzód, gdy drugi pilot zniknął w kadłubie maszyny.

Kurt poderwał się do sprintu, żeby nadążyć, ale zużył już tyle energii, że mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa.

Drabinka zaczęła się składać. Joe wskoczył na nią, aż zaskrzypiała pod jego ciężarem.

Kurt dobiegł do niej chwilę później, skoczył i chwycił się dolnego szczebla.

– Dodaj wchodzenie po drabince do swojego Ironmana - krzyknął Joe przez ryk silników.

Ręka za ręką, Kurt podciągnął się do góry i w końcu oparł kolano na najniższym szczeblu. Ledwo to zrobił, odrzutowiec ruszył.

Kolano mu się zsunęło i znów zawisnął na rękach. Za nim dwa z czterech silników ryczały pełną mocą. Ich prostokątne wloty wyglądały jak paszcze, gotowe go wchłonąć, gdyby spadł.

– Dawaj - przynaglił Joe. - Przestań się wygłupiać.

Kurt się podciągnął, oparł kolano na dolnym szczeblu i wdrapał się wyżej. Gdy tylko Joe mógł go dosięgnąć, wyciągnął się, złapał go za ramiona, szarpnął do góry i wciągnął do samolotu.

Uwolniona od ich ciężaru drabinka złożyła się do końca, właz się zamknął i uszczelnił.

Znaleźli się w ciemności. Bombowiec zawrócił pod wiatr, odpalił pozostałe silniki i zaczął się toczyć.

Podłoga przesunęła się im pod stopami, dziób uniósł i ogromna maszyna z ustawionym małym kątem skosu skrzydeł wzbiła się w powietrze.

– Naprawdę musimy popracować nad szybkością twojego sprintu - zawołał Joe.

– Mojego sprintu? - odkrzyknął Kurt. - Liczyłem, że przytrzymasz mi drzwi.

W szybie wejściowym było ciemno, słabe światło sączyło się tylko z wewnętrznego włazu powyżej. Było złowieszczo czerwone.

Joe sprawdził właz i pokręcił głową.

– Zaryglowany z drugiej strony.

59.

Reszta podróży do Cajamarki upłynęła bez przygód. Po drodze Paul i Gamay opowiedzieli Emmie, co ją ominęło, fundując jej prawdziwą karuzelę emocji. Wiadomość, że Kurt żyje, podniosła ją bardzo na duchu.

Ostatecznie liczyło się tylko to, żeby zapobiec eksplozjom bomb. Pierwszym krokiem było spotkanie na lotnisku z agentami NSA, Hurnsem i Rodriguezem.

– Mamy w samolocie dodatkowe ogniwa paliwowe - powiedział Hurns. - Czy ktoś mógł majstrować przy samych modułach?

Emma pokręciła głową.

– Są szczelnie zamknięte. Jakakolwiek próba ukrycia czegoś w środku wywołałaby reakcję materii w stanie mieszanym. Dlatego Urco zrobił repliki ogniw paliwowych.

– Więc musimy je tylko odłączyć i pozbyć się bomb.

– Tyle że te bomby są nam potrzebne - odparła Emma. - Chińczycy od dawna są w powietrzu. Jeśli Rosjanie mieli jakieś nieprawdopodobne szczęście, to też już lecą. Według tego, co Urco powiedział Kurtowi, bomby wybuchną, kiedy samoloty się zniżą. Jedyną nadzieją dla nich jest to, że dojdziemy, z jakim rodzajem detonatorów są połączone, jak i dlaczego eksplodują i, co najważniejsze, jak je rozbroić.

– W Cajamarce nie znajdziemy eksperta od bomb - zauważył Hurns.

– Wiem - odrzekła Emma. - Ale możemy się skontaktować z kimś takim. Potrzebny jest nam tylko przekaz wideo 4K i szybkie łącze internetowe. I ten ktoś przeprowadzi nas przez to krok po kroku.

– Gdzie chcecie to znaleźć o tej porze?

– Znamy pewne miejsce - odezwał się Paul - gdzie kawa nigdy się nie kończy i jest silny sygnał internetowy.

Po zamianie ogniw paliwowych i odlocie gulfstreama NSA Paul, Gamay i Emma pojechali z lotniska do miasta. Wykonano telefony, zorganizowano współpracę i ewakuowano budynki wokół kafejki internetowej.

Ulokowali się na zapleczu kafejki, skąd mogli przesyłać wideo do centrali NUMA w Waszyngtonie. Do obrony mieli tylko strzelbę kaliber 12 i żeliwny gar do gotowania zupy.

Emma rozebrała ogniwo paliwowe przed kamerą. W sali konferencyjnej NUMA śledzili to Rudi, Hiram, Priya i ekspert od bomb nazwiskiem Collin Kane, który mówił im, co robić dalej.

– Niech pani połączy tamten szary przewód z metalową nogą stołu - powiedział Kane. - Musi być uziemienie, żeby nie powstała iskra.

Emma wykonywała ostrożnie jego polecenia.

Paul i Gamay byli na zewnątrz sto metrów dalej i obserwowali przekaz wideo. Gdyby Emma wysadziła się w powietrze, wykorzystaliby to, co zobaczyli, i rozebrali następną bombę w nadziei, że nauczyli się czegoś na jej błędzie.

– Od czego mam zacząć?

– Musi pani sięgnąć do środka i spróbować wyjąć ładunek wybuchowy.

Uziemiła się, dotykając nogi stołu, sięgnęła do środka i położyła rękę na kostce semteksu. Wyciągnęła ją wolno i zatrzymała się w połowie drogi.

– Jest połączona z dwoma przewodami.

– Niech pani ich nie usuwa - ostrzegł Kane. - Najprawdopodobniej powodują natychmiastowe uzbrojenie i detonację ładunku, żeby zapobiec temu, co staramy się zrobić.

Zobaczyła, że przewody są wystarczająco długie, żeby wyciągnąć materiał wybuchowy bez ich odłączenia, i położyła go na stole.

– Co dalej?

– Niech pani odetnie ostrym nożem tyle semteksu, ile się da bez dotykania przewodów, i oddzieli każdy odkrojony kawałek od reszty. Jak pani to zrobi, wypróbujemy detonator.

Emma wzięła ostry nóż i wykonała polecenie. Miała wrażenie, że kroi jabłko.

Położyła kawałki możliwie daleko od siebie.

– Teraz będzie pani musiała wypróbować detonator - powiedział Kane.

– Jak?

– Widzę, że ma ekran dotykowy; niech pani w niego stuknie.

Emma to zrobiła i ekran się rozświetlił. Zmieniające się cyfry zniknęły i ukazało się pole do wpisania hasła.

Kane zasugerował kilka sposobów na obejście tego, ale wszystkie zawiodły.

Przy trzeciej próbie ekran się wyciemnił. Wyświetliły się dwie liczby - zielona 15 000, a druga 8000.

Nagle pierwsza liczba zaczęła maleć jak na odliczającym czas zegarze.

– Co się dzieje?

– Aktywowało się drugie zabezpieczenie - odparł Kane. - Odstraszające.

Emma patrzyła na ekran i stukała w niego, żeby przerwać odliczanie.

– Niech pani się tego pozbędzie - polecił Kane.

Emma wciąż próbowała zastopować odliczanie.

– Musi to pani zabezpieczyć.

– Jest wciąż połączone z obudową.

– Niech pani użyje strzelby - doradził.

Emma chwyciła broń, wycelowała w detonator i nacisnęła spust.

Pocisk kaliber dwanaście roztrzaskał delikatne urządzenie elektroniczne. Reszta semteksu i ogniwa paliwowego rozprysła się po pokoju. Eksplozja nie nastąpiła, ale pomieszczenie wypełnił gryzący dym.

Emma opuściła strzelbę i westchnęła.

– Gotowa do następnej próby? - zapytał Kane.

Przytaknęła.

– Bierzmy się do drugiej sztuki.

60.

Konstantin Dawidow siedział w fotelu drugiego pilota i obserwował, jak pilot i mechanik pokładowy robią swoje. Blackjack Dwa spisywał się bez zarzutu.

– Jak nasz ładunek? - zapytał.

Mechanik pokładowy spojrzał znad swojego pulpitu na monitory kamer skierowanych na Nighthawka.

– W porządku. Żadnych wibracji.

Wszyscy obawiali się powtórki tego, co się stało z Blackjackiem Jeden.

– Zmień kurs na trzy pięć zero - polecił Dawidow.

Major Timonowski zerknął na niego z lewego fotela.

– Trzy pięć zero? To kurs na Kubę. Myślałem, że zatankujemy nad Wenezuelą i polecimy do domu.

– Taki był pierwotny plan, ale ten samolot mnóstwo przeszedł od tamtej pory. Za duże ryzyko. Wylądujemy w Manzanillo. Będzie tam na nas czekał transportowiec antonow 124. Jest wystarczająco wielki, żeby pomieścić Nighthawka w środku. Tak będzie bezpieczniej. I Amerykanie nas nie zobaczą.

Pilot skinął głową i wykonał polecenie.

– Któryś z was był kiedyś na Kubie? - spytał Dawidow.

– Ja nie - zaprzeczył Timonowski.

Mechanik pokładowy pokręcił głową.

– Ja też nie. A pan?

– Wiele razy - odrzekł Dawidow. - Pierwszy raz, kiedy byłem młody. Wydaje się, że tysiąc lat temu.

Uśmiechnęli się. Dawidow z zadowoleniem zobaczył, że odżyli. Obaj wyglądali na tak zdołowanych, kiedy przybyli na lotnisko, że się zastanawiał, czy są zdolni do lotu. Sokolnik źle ich potraktował. Po powrocie do Moskwy trzeba będzie z tym coś zrobić. Na razie Dawidow chciał ich wynagrodzić za

dobrą robotę.

– Odpoczniecie dwa tygodnie w Hawanie. Potem przylecicie Blackjackiem Dwa do domu i wstawimy go do muzeum. Mam nadzieję, że kobiety i pogoda będą wam odpowiadały tak, jak mnie kiedyś.

– Nie zostanie pan z nami? - zapytał pilot.

– Nie. Przesiądę się do antonowa, żeby mieć pewność, że nasza zdobycz dotrze bezpiecznie do domu. Najwyższy czas doprowadzić tę operację do...

Dawidow urwał. Wydało mu się, że poczuł lekkie uderzenie w spód metalowej podłogi. Może dlatego, że zmienił pozycję. Ale drżenie się powtórzyło, a potem jeszcze raz.

Następowało co kilka sekund.

Zdjął tłumiące hałas słuchawki. Świst opływającego kadłub bombowca powietrza natychmiast stał się głośniejszy, ale głuche uderzenia też.

– Nighthawk jest dobrze przymocowany?

Mechanik pokładowy znów wszystko sprawdził.

– Tak. Nic się nie poluzowało, nie ma żadnego trzepotania. Wszystko jest w porządku.

Dawidow nadal badał drgania.

– Czujesz to?

– Co?

– Coś się odczepiło - odparł Dawidow, wyciągnął się i ściągnął słuchawki mechanikowi. - Posłuchaj.

Zmęczony mechanik pokładowy przechylił głowę na bok, wytężył przytępiony przez huk odrzutowców słuch i złowił uchem odgłos. Położył rękę na swoim pulpicie, przesunął nią w dół i dotknął podłogi.

– Coś w środku.

Dawidow też to wyczuł.

– Nie możemy sobie pozwolić na żadną awarię. Nie teraz.

Mechanik pokładowy sprawdził swój pulpit.

– Wszystko działa jak należy. To musi być coś, co nie ma czujnika. Rozejrzę się.

Wysunął się z pasów ramieniowych, wziął latarkę i podszedł do drzwi kokpitu. Otworzył je i wszedł do części ogonowej samolotu.

Dawidow poszedł za nim z własną latarką.

Maszyna była wielka, większa od amerykańskiego B-l, na którym ją wzorowano. Miała przepastną komorę bombową i niskie korytarze

techniczne.

Dawidow obserwował, jak mechanik sprawdza jeden panel inspekcyjny po drugim i zatrzymuje się na dłużej przy małym żurawiu załadowczym komory bombowej.

– I co?

Mechanik stał daleko w głębi samolotu. Odwrócił się i pokręcił głową.

Walenie się zbliżyło, Dawidow czuł je pod stopami.

– A co z podwoziem?

Obrócił się w poszukiwaniu otworu inspekcyjnego i usłyszał następne uderzenie, dużo głośniejsze niż wszystkie poprzednie. Nagle zobaczył, jak właz w podłodze otwiera się gwałtownie.

Skierował tam latarkę. Srebrzystowłosy mężczyzna wyłonił się z otworu. Trzymał w ręku duży pistolet, amerykański HK45.

– Na świętego Piotra! - wykrzyknął Dawidow.

– Nazywam się Austin - odrzekł mężczyzna i wspiął się na pokład. Za nim ukazał się drugi. - A to jest Zavala.

Dawidow znał ich nazwiska.

– NUMA.

Austin przytaknął. Zavala odrzucił na bok łom, którym wyważył właz, i dołączył do niego.

– Naprawdę powinniście mieć na zewnątrz klamkę - zażartował w amerykańskim stylu Austin. - Albo przynajmniej dzwonek.

– Co robicie w moim samolocie? - wypalił Dawidow.

– Chcemy was powstrzymać od popełnienia wielkiego błędu - odrzekł Austin.

Dawidowa ogarnął gniew, ale zdał sobie sprawę z nadarzającej się okazji. Amerykanie cały czas koncentrowali się na nim. Nie widzieli podkradającego się do nich z tyłu mechanika.

– To wy popełniliście błąd - krzyknął Dawidow.

Mechanik rzucił się na nich i zamachnął latarką. Zavala dostrzegł go w ostatniej chwili i zrobił unik. Wyprowadził szybki cios i powalił zmęczonego mechanika na ziemię.

Dawidow wykorzystał starcie, żeby puścić się pędem w stronę samolotu. Wpadł do kokpitu, odwrócił się i zatrzasnął drzwi. Zaryglowały się i uszczelniły.

– Co się stało? - krzyknął Timonowski.

Dawidow przywarł do drzwi i wyjrzał przez małego judasza pośrodku.
– Abordaż.

61.

Kurt pobiegł naprzód i załomotał w drzwi kokpitu bombowca. Joe przeszkodził mechanikowi pokładowemu w interwencji.

– Posłuchajcie - krzyknął Kurt. - Nie jesteśmy tu po to, żeby z wami walczyć. Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie.

Grubość drzwi i judasz pośrodku wskazywały, że są hermetyczne. Kurt miał nadzieję, że ludzie po drugiej stronie słyszą go w hałasie silników.

– Wy jesteście w niebezpieczeństwie - odkrzyknął czyjś głos.

– Wiem, co myślicie - ciągnął Kurt. - Wygraliście. Macie Nighthawka i materię w stanie mieszanym. Ale wierzcie mi, że to nie tak. Daliście się wykołować. To koń trojański. Sokolnik was oszukał. Nas wszystkich.

– Co wiesz o Sokolniku? - zabrzmiało przez interkom.

Kurt się odwrócił, zlokalizował interkom i nacisnął biały przycisk obok.

– Jest oszustem i mistrzem manipulacji. Wmanewrował was, nas i Chińczyków w rywalizację między sobą.

– Jasne - odparł nonszalancko głos. - To biznes. I ostatecznie przekazał nam to, co chcieliśmy.

– Nie - zaprzeczył Kurt. - To, co on chciał. Nighthawk to teraz jedna wielka bomba. Wystarczająco potężna, żeby zniszczyć pół Europy, a resztę cofnąć do epoki kamiennej. Wybuchnie, kiedy przekroczycie pewną wysokość, a potem zejdziecie niżej.

– Skąd to wiesz?

– Powiedział mi to, kiedy umierał.

– Wyznanie na łożu śmierci? Naprawdę myślisz, że w to uwierzę?

– Nie wyznanie, tylko przechwałka - poprawił Kurt. - Powiedział, że nie zdołamy tego zatrzymać. Że co się stało, to się nie odstanie.

Zapadło milczenie. Kurt zerknął za siebie na Joe’go i mechanika pokładowego.

Joe pokręcił lekko głową.

– Jeszcze nie zwyciężamy.

Kurt odwrócił się z powrotem do interkomu.

– Z kim rozmawiam?

– Nazywam się Konstantin Dawidow - odrzekł głos. - Jestem szefem Departamentu Pozyskiwania Środków Technicznych.

Szpieg, pomyślał Kurt. Złodziej.

– Posłuchaj, Dawidow. Jeśli Sokolnik chciał, żebyście mieli Nighthawka, to dlaczego po prostu nie zawiadomił was, kiedy się dowiedział, gdzie spadł? Znał lokalizację od początku.

– Bo chciał, żebyście go wydobyli dla niego - odparł Dawidow.

– Dlaczego? Podniesienie małego statku kosmicznego z dna płytkiego jeziora przerasta możliwości rosyjskiego ratownictwa morskiego?

– Trudność stanowiła lokalizacja - odpowiedział Dawidow. - Nasze statki nie są przystosowane do pokonywania gór.

– Nam wystarczyło czterech ludzi i jeden helikopter.

– Gratulacje - odrzekł Dawidow. - Ale to niczego nie dowodzi.

– On uwięził waszego pilota i mechanika pokładowego. Jaki mógł mieć powód?

Milczenie.

Kurt się odwrócił i spojrzał na Joe'go. Mechanik pokładowy był wyłączony z akcji. Wydawało się, że może być po ich stronie.

– Powiedz mu - przynaglił Kurt.

– To prawda - krzyknął mechanik. - Sokolnik cały czas kłamał.

– Nie będę słuchał zakładnika - odparł Dawidow.

– To przynajmniej przestańcie się wznosić - zawołał Kurt.

– Przykro mi - odrzekł Dawidow - ale masz opinię zawziętego i podstępnego. Daruj to sobie. Nie nakłonisz mnie do oddania wam Nighthawka.

– Wygląda na to, że perswazyjna część wieczoru się skończyła - stwierdził Joe.

Kurt przytaknął. Wyjął z kieszeni kostkę semteksu, którą zabrał z jaskini Urca. Uniósł ją do judasza, żeby Dawidow ją zobaczył.

– Wiesz, co to jest - powiedział. - Albo otworzysz te drzwi, albo je wysadzę.

– Rozwalisz samolot.

– To i tak się stanie.

Dawidow patrzył z kokpitu na materiał wybuchowy w ręku Amerykanina. Efekt rybiego oka w judaszu powiększał go, ale jego ilość wystarczyłaby aż

nadto. Było tylko jedno wyjście.

– Przygotuj maszynę do szybkiej dekompresji - polecił Timonowskiemu. - A potem otwórz komorę bombową.

– Zostaną wyssani z samolotu - odparł major. - A mechanik z nimi.

– I o to chodzi - przytaknął Dawidow.

– A jeśli Amerykanin ma rację? - zapytał pilot. - Sokolnik zabił mojego drugiego pilota i nic nie zrobił, kiedy Nighthawk miażdżył Blackjacka Dwa. Nic.

– Wykonać! - rozkazał Dawidow.

Timonowski popatrzył na niego i pokręcił głową.

– Więc sam to zrobię.

Dawidow rzucił się od hermetycznych drzwi do panelu sterowania komory bombowej.

62.
Centrala NUMA, Waszyngton

Rudi Gunn siedział w pokoju łączności NUMA z Hiramem Yaegerem, Priyą Kashmir i Collinem Kane'em. Pomieszczenie było teraz częścią globalnej sieci połączeń satelitarnych.

Jeden ekran pokazywał Pokój Sytuacyjny w Białym Domu, gdzie prezydent zwołał Radę Bezpieczeństwa. Drugi - Paula, Gamay i Emmę w kafejce internetowej w Cajamarce. Trzeci - centrum dowodzenia w bazie Vandenberg, gdzie czuwali pułkownik Hansen i Steve Gowdy. Na czwartym ekranie był przekaz z Chin, gdzie siedział nabzdyczony generał Zhang.

Podczas rozmowy pełnej sporów, zaprzeczeń i różnic zdań Rudi miał wrażenie, że jedzie pociągiem z pięcioma maszynistami w lokomotywie, z których żaden jej nie prowadzi.

Wreszcie grupa zdołała przejść do rzeczy. Zhang przyznał, że Chińczycy mają dwa moduły kriostatyczne z Nighthawka na pokładzie jednego ze swoich samolotów dalekiego zasięgu i podał kod jego transpondera.

Natychmiast podchwycono ten trop. Doprowadził dużo dalej, niż ktokolwiek się spodziewał.

– To na pewno odpowiedni samolot? - zapytał ktoś.

– HL-190 to doskonała maszyna - odrzekł Zhang. - Może pokonywać duże odległości z prędkością naddźwiękową.

Samolot był osiemset kilometrów na północny zachód od Hawajów. Leciał na wysokości piętnastu i pół tysiąca metrów z szybkością ponad tysiąca węzłów.

– Wiemy wszystko o HL-190 - powiedział Gowdy. - Odkąd wykradliście nam plany silników.

– I ulepszyliśmy je - odparł Zhang.

Szef sztabu prezydenta wtrącił się uspokajającym tonem.

– Panowie, musimy teraz współpracować, bo inaczej nie będzie się o co spierać. Panno Townsend, proszę wytłumaczyć, co pani odkryła.

– Rozebraliśmy obie bomby - odrzekła Emma. Stała spokojnie na ekranie, ale wyglądała na wykończoną. - W pierwszej o mało nie doszło do samodestrukcji, kiedy popełniliśmy błąd. Drugi detonator został zneutralizowany. Po oddzieleniu go od materiału wybuchowego natrafiliśmy na port USB do programowania go. Potem przejęli to Hiram i Priya.

Hiram odchrząknął.

– To połączenie odbiornika GPS z wysokościomierzem. Aktywuje się, gdy samolot przekracza pewną prędkość i wysokość. Eksploduje, kiedy z powrotem zejdzie poniżej określonej wysokości lub dolecą do celu.

– Jaka to prędkość i wysokość? - spytał generał Zhang.

– Sto dwadzieścia węzłów i osiem tysięcy metrów - odrzekł Hiram.

– Niestety, pański samolot już przekroczył jedno i drugie - dodała Priya.

Na ekranie Zhang przytaknął.

– Wiem. Jak to powstrzymamy?

– Pańscy ludzie będą musieli rozbroić bombę, zanim zaczną się zniżać.

– A nie można po prostu wyrzucić ogniwa paliwowego przez drzwi i mieć to z głowy? - dociekał Zhang.

– Nie - zaprzeczyła Emma. - System kriogeniczny i butle magnetyczne z materią w stanie mieszanym muszą mieć całkowicie stabilne zasilanie. Jakiekolwiek przepięcia lub oscylacje mogłyby być katastrofalne. Tu nie można po prostu wetknąć kabla do gniazdka zapalniczki.

– Niech pani mnie nie traktuje protekcjonalnie - warknął Zhang. - To nie moi ludzie sprowadzili na nas to nieszczęście.

– Ale próbowali to ukraść - odparowała Emma. - Gdyby nie przerwali lotu, materiał byłby już bezpieczny w podziemnych obiektach.

– Owszem - przytaknął Zhang. - Waszych.

Szef sztabu prezydenta znów interweniował.

– Bardzo proszę! To nie ma teraz znaczenia. Wszyscy mieliśmy wielkie szczęście, że moduły nie eksplodowały w Peru. I na nasze szczęście, generale Zhang, pański samolot jest jeszcze nad Pacyfikiem i nie schodzi do lądowania. To nam daje czas. Później możemy podyskutować, do kogo należy materia w stanie mieszanym. Ale najpierw trzeba rozbroić bombę bez uszkodzenia ogniwa paliwowego.

– Jak?

– Bardzo prosto. Jesteśmy gotowi do przesłania planów ogniwa paliwowego razem ze wszystkim, co wiemy o detonatorze, wymaganiach dotyczących

zasilania jednostki kriogenicznej i o konstrukcji pułapek Penninga. W zamian prosimy tylko, żeby pański samolot zmienił kurs na bardziej północny.

– Po co?

– Żeby w wypadku porażki pańskiej agentki eksplozja nastąpiła jak najdalej od cywilizacji.

– Może każę pilotowi skręcić w kierunku Kalifornii lub Hawajów - odparł gniewnie Zhang.

– Ostrzegam - włączył się pułkownik Hansen - że jeśli tamten samolot zboczy w stronę jakiegokolwiek lądu, czy to terytorium amerykańskiego, czy innego, zostanie zestrzelony.

Zhang pokręcił głową.

– Zbyt łatwo daje się pan sprowokować, pułkowniku. Oczywiście, że nie mam zamiaru tego zrobić. Prześlijcie informacje. Nie chcę się o to znów spierać.

– Najpierw niech pan przekieruje samolot - polecił szef sztabu prezydenta.

Zhang posłał mu miażdżące spojrzenie.

– W porządku.

Po tych słowach jego ekran pociemniał. Na czterech pozostałych łączach zapadło milczenie.

Pierwsza przerwała je Emma.

– A co z Rosjanami? - zapytała z ekranu. - Co z Kurtem i Joem? Odzywali się?

– Wiemy tylko tyle, że Blackjack Dwa i Nighthawk są w powietrzu - odrzekł pułkownik Hansen. - Na przekazie z satelity czterdzieści minut temu lotnisko polowe było puste. Wysłaliśmy AWACS-y z Pensacola i Corpus Christi na poszukiwania sygnatury radarowej bombowca. Kilka eskadr F-22 jest przygotowywanych do przechwycenia.

– Do przechwycenia? - powtórzyła Emma. - Po co?

– Dla naszego bezpieczeństwa - odparł Hansen. - Jeśli rosyjski rząd nam nie uwierzy i oni albo pilot postąpią pochopnie, tak jak przed chwilą groził Zhang... cóż, mamy do czynienia z samolotem hipersonicznym typu Stealth, który mógłby dolecieć z wybrzeża Ameryki Południowej do Atlanty w dwadzieścia minut. Nie możemy na to pozwolić. Toteż musimy go znaleźć pierwsi i być gotowi do działania, kiedy będziemy rozmawiali z Moskwą.

– Ale dlaczego mieliby postąpić pochopnie? - spytała.

Rudi wiedział dlaczego. Jak wszyscy w pokoju, w Białym Domu i w Vandenberg. Przypuszczał, że Emma łatwo by się domyśliła powodu, gdyby

nie była wykończona.

Wtrącił się.

– Bo prawie na pewno przekroczyli krytyczną prędkość i wysokość - wyjaśnił. - I w przeciwieństwie do tamtych w chińskim samolocie, załoga bombowca nie może rozbroić ładunków wybuchowych, bo nie ma fizycznej możliwości, żeby się dostać do Nighthawka.

Zrozumienie i smutek odmalowały się w wysokiej rozdzielczości na twarzy Emmy.

– Nie ma sposobu, żeby to zatrzymać - szepnęła pod nosem. - Piloci zginą. A jeśli Kurt i Joe są na pokładzie, to oni też.

63.

Odrzutowiec HL-190 był arcydziełem chińskiego przemysłu lotniczego. Pierwotnie miał służyć dygnitarzom do podróży po świecie, więc wnętrze zostało urządzone z klasą. Dzięki aktywnemu tłumieniu hałasu w kabinie panowała kompletna cisza. Supernowoczesna klimatyzacja z dwudziestoma czujnikami w całej maszynie utrzymywała temperaturę dwudziestu dwóch stopni Celsjusza i pięćdziesięciojednoprocentową wilgotność powietrza. Miękkie skórzane siedzenia i puszyste dywany zaprojektowano specjalnie dla decydentów.

Daiyu nie potrzebowała tego wszystkiego. Gdyby nie wyjątkowa prędkość samolotu, wolałaby wrócić do Szanghaju zwykłym wojskowym transportowcem.

Ku jej zaskoczeniu, osiłek, który towarzyszył jej od jeziora, wydawał się mieć podobne nastawienie. Urco nazywał go Vargasem. Facet był największym mięśniakiem w grupie. Gdyby był Chińczykiem, mieszkałby na wsi, pchał pług, załadowywał i rozładowywał zaprzężone w woły wozy, podnosząc ciężary, jakby nic nie ważyły.

Nie spał przez cały lot i zastanawiała się, czy to jego pierwsza podróż samolotem. Otwarte oczy wyraźnie go piekły i były lekko przekrwione, jakby wziął silny stymulant. Przez pięć godzin w powietrzu powiedział najwyżej tuzin słów.

Odezwał się dopiero wtedy, kiedy samolot zaczął skręcać w prawo.

– Dlaczego zmieniamy kurs?

– Pewnie omijamy złą pogodę - odrzekła, co nie było prawdopodobne, bo lecieli na wysokości piętnastu i pół tysiąca metrów, powyżej prawie wszystkich zjawisk pogodowych. - Chcesz drinka? Pomoże ci się odprężyć.

Wstała i podeszła do barku.

– Wino ryżowe? A może wolałbyś *gouqi jiu* z jagód goji?

Pokręcił głową.

– Wodę.

Dała mu butelkę vossa.

– Urco musi ci bardzo ufać, skoro wysłał cię samego po diamenty warte miliony dolarów. Co z nimi zrobicie? Chodzi mi o to, co on z nimi zrobi, bo oczywiście dostarczysz mu wszystkie, nie zatrzymasz nic dla siebie?

Pytania wynikały z połączenia nudy z efektami szkolenia. Instynktownie oddzielała niewolników od ich panów.

Wstał i spiorunował ją wzrokiem.

Wytrzymała jego spojrzenie bez drgnięcia powieki. Ruszył w głąb wyłożonego dywanem przejścia, przystanął przy oknie i wyjrzał. Przeszedł na drugą stronę samolotu i zrobił to samo.

Daiyu nie musiała wyglądać; wiedziała, że Vargas zobaczy tylko ciemność.

– Ile już przelecieliśmy? - spytał.

– Ponad połowę drogi. Powinieneś się przespać. Czas szybciej minie.

– Nie - burknął.

– Jak chcesz.

Interkom zadźwięczał.

– Daiyu, przyjdź do kokpitu. Generał Zhang chce z tobą rozmawiać.

Poszła w stronę dziobu, minęła Vargasa i zignorowała jego spojrzenie.

Weszła do kokpitu i zauważyła, że wciąż skręcają, coraz bardziej na północ. Wzięła od porucznika Wu słuchawki z mikrofonem.

– Daiyu - powiedział Zhang - muszę ci pogratulować postępu twojej misji. Napawasz mnie dumą.

Mówił strasznie ponurym tonem jak na kogoś, kto gratuluje.

– Dziękuję, panie generale, ale jak pan wie, to niepotrzebne - odrzekła. - Wykonuję rozkazy naszego państwa. To moja matka i ojciec, tak pan mnie uczył.

– Zgadza się - przytaknął generał. - I teraz nie z twojej winy jest ono w niebezpieczeństwie.

Powtórzył, czego się dowiedział od Amerykanów. Dwa razy zapytała, czy im wierzy. Dwa razy przyznał, że nie może mieć pewności, że mówią prawdę, ale nie widzi powodu, dlaczego mieliby kłamać.

– Nasi inżynierowie przestudiowali problem - dodał. - Nie znaleźli sposobu na bezpieczne zasilanie modułu kriostatycznego z instalacji elektrycznej samolotu. Rodzaj i napięcie prądu są inne. Będziesz musiała wyjąć materiał wybuchowy z ogniwa paliwowego bez uszkodzenia go.

– A potem?

– Wyrzucisz go z samolotu.

Łatwiej to było powiedzieć, niż zrobić, ale po dekompresji kabiny mogło się udać.

– Może być problem - zauważyła. - Kurier Urca. Możliwe, że zna plan. Wydaje się mocno przybity. Być może rozważa, co go czeka.

– Jak to męczennicy - odparł Zhang. - Pozbądź się go. Nie możemy ryzykować żadnej ingerencji.

– Zajmę się tym - obiecała.

Zhang się rozłączył. Porucznik Wu wziął z powrotem słuchawki z mikrofonem i zaproponował jej swój pistolet.

Pokręciła głową.

– Daj mi swój nóż.

Z nożem w rękawie otworzyła drzwi. Vargas stał za progiem.

Zaatakował pierwszy. Złapał ją dwiema rękami, podniósł z podłogi i cisnął w głąb przejścia.

Wylądowała, poderwała się i wpadła z powrotem do kokpitu.

Vargas już tam szalał. Rozdawał ciosy i walił głowami o ścianę. Zamachnął się potężnym prawym ramieniem, posłał porucznika Wu na ziemię i złamał mu kręgosłup swoją wielką stopą.

Chwycił drugiego pilota za szyję i skręcił mu kark.

Daiyu rzuciła się na niego z nożem wycelowanym w rdzeń kręgowy. Nawet przy jego masie takie dźgnięcie wyłączyłoby go z akcji. Nieznacznie minęła rdzeń z prawej strony i wepchnęła ostrze najgłębiej jak mogła. Obróciła je szybko i wyciągnęła.

Gorąca krew trysnęła z rany, ale olbrzym ledwo zareagował.

Odwrócił się, zdzielił ją na odlew w twarz i spróbował założyć jej duszenie. Zablokowała chwyt ramieniem. Zapobiegła zmiażdżeniu tchawicy, ale on zdobył przewagę.

Z siłą prasy hydraulicznej ścisnął jej szyję i ramię. Poczuła, jak łamie jej łokieć, i przeszył ją potworny ból. Zignorowała to i wbiła mu kolano w podbrzusze. Równie dobrze mogłaby walnąć w skalną ścianę.

Ledwo zareagował, przytrzymał ją mocno i sięgnął po jej upuszczony nóż. Obróciła się w desperackiej próbie uwolnienia, zobaczyła przed sobą martwe oczy porucznika Wu i przypomniała sobie, że proponował jej pistolet. Wyrzuciła wolną rękę w kierunku jego kurtki, zacisnęła palce na

karbonowym chwycie broni i...

Nóż wbił się w jej plecy.

Zesztywniała od ciosu. Poczuła, jak ostrze wysuwa się z ciała i znów w nie zagłębia. Drugie dźgnięcie było dużo mniej bolesne niż pierwsze. Trzecie ledwo poczuła. Zadygotała i osunęła się na podłogę.

Vargas stał niezgrabnie. Krwawił obficie z rany, której nie mógł dosięgnąć. To nie miało znaczenia. Wiedział, że zbliża się jego koniec - wiedział to od chwili startu znad jeziora. Zgodził się na to. Pomyślał, że przynajmniej umrze w chmurach, do których zawsze chcieli się wznieść jego przodkowie.

Wyciągnął nóż z pleców Daiyu, podszedł do rannego pilota i przycisnął mu zakrwawione ostrze do twarzy.

– Połącz się z nimi - powiedział. - Przekaż im, że zrobiła, co jej kazali, a potem wróć na kurs do Szanghaju.

– Ale...

– Rób, co mówię!

Z nożem przy oku, pilot wykonał polecenie Vargasa. Chiński generał powiedział szybko kilka słów, a potem spokojnie kazał im wrócić na kurs.

Vargas obserwował, jak pilot skręca samolotem. Urco pokazał mu na komputerze, czego szukać na monitorze.

Kiedy odrzutowiec znów wyrównał, Vargas się uśmiechnął i poderżnął gardło pilotowi.

Leżąc w kałuży krwi, Daiyu wszystko zrozumiała. Vargas podjął się samobójczej misji. I teraz pokonał dwie jedyne przeszkody na swojej drodze: ją i Zhanga. Ona umiera, a Zhang wierzy, że materiał wybuchowy i detonator zostały usunięte, i chińskie władze przyjmą samolot w Szanghaju z otwartymi ramionami.

Bomba eksploduje, kiedy się zniżą, i materia natychmiast zmiesza się z antymaterią.

Zabójcze przeciwieństwa, pomyślała. Yin i yang, które unicestwią się nawzajem. Zawsze uważała, że tak się stanie.

Tylko ona może zapobiec powstaniu niszczycielskiej mieszanki. Ale za kilka minut wykrwawi się na śmierć. Nawet jeśli uda jej się jakoś zabić Vargasa, nie zdoła się przeczołgać trzech metrów, a co dopiero rozebrać ogniwa paliwowego i rozbroić ładunku wybuchowego.

Zaczęła tracić zdolność widzenia, ale pozostałe zmysły jeszcze funkcjonowały i uświadomiła sobie, że trzyma coś w ręku. Pistolet Wu.

Wiedziała, co musi zrobić. Nie mogła powstrzymać eksplozji, ale mogła wybrać miejsce, gdzie ona nastąpi. Wybuch nad pełnym morzem nie spowodowałby takich szkód, jak nad jej ojczyzną.

Vargas stał z rękami na oparciu fotela pilota. Wycelowała mu w głowę i nacisnęła spust.

Trafiła. Krew opryskała przednią szybę.

Vargas zginął natychmiast i upadł do przodu. Jego ciężkie ciało wylądowało na kolumnie sterowej. Uderzenie wyłączyło autopilota, bo komputer błędnie zareagował, tak jakby kapitan z powrotem przejął wolant.

HL-190 zaczął się zniżać.

Daiyu z trudem rozróżniała wysokościomierz. Szybko zeszli poniżej piętnastu tysięcy metrów. Wskazania wciąż malały. Czternaście tysięcy pięćset... czternaście... trzynaście i pół...

64.

Kurt zobaczył przez judasz, jak Dawidow wykonuje nagły ruch w kierunku panelu sterowania. Podsłuchał wszystko i wiedział, co Dawidow planuje.

Nie było czasu na ostrzegawczy okrzyk, pozostało tylko działać. Kurt uniósł szybko HK45, wycelował przez drzwi w Dawidowa i dwa razy nacisnął spust.

Broń huknęła i pociski przeciwpancerne przebiły dwie warstwy stali. Jeden trafił mężczyznę w żebra, drugi w udo. Dawidow upadł na podłogę i zwinął się z bólu.

– Błagam cię - krzyknął Kurt do pilota - wyprostuj samolot i otwórz te drzwi.

Pilot odepchnął Dawidowa na bok, sięgnął ze swojego fotela do drzwi i odryglował je. Otworzyły się gwałtownie i Kurt wpadł do środka.

– Na jakiej wysokości jesteśmy?

– Dziesięciu i pół tysiąca metrów - odrzekł pilot.

– Za wysoko - stwierdził Kurt. - Prawie na pewno za wysoko.

Jakby na potwierdzenie jego słów, nagły blask rozświetlił czarne jak węgiel niebo za oknami kokpitu. Mienił się biało-purpurowo, a potem biało-niebiesko. Oślepiał jak bliskie błyskawice, ale był na razie tak daleko, że cały horyzont na zachodzie powoli ożył.

Kiedy łuna rozprzestrzeniła się wyżej i dalej, ustąpiła miejsca ciemniejszemu błękitowi, a potem zieleni podobnej do zorzy polarnej. Utworzyło się kłębowisko długich włókien, które wiły się i skręcały hipnotyzująco.

Nie towarzyszył temu żaden dźwięk ani fala uderzeniowa, ale radia wkrótce zaczęły piszczeć, a obrazy na monitorach komputerów wykrzywiły się dziwnie w prawo. Na panelu powyżej całe rzędy bezpieczników przerywały jeden po drugim obwody elektryczne.

Joe i mechanik pokładowy dołączyli do Kurta w kokpicie. Kiedy mechanik zaczął przywracać przepływ prądu, Joe wyjrzał przez okno.

– Co to jest? - zapytał z podłogi Dawidow. Nie został śmiertelnie ranny.

Dwuwarstwowe stalowe drzwi znacznie osłabiły siłę pocisków Kurta.

– Chiński samolot - odrzekł cicho Kurt.

– Chiński... - stęknął Dawidow.

– Mówiłem ci - powiedział Kurt. - On dał nam wszystkim zabójczy prezent.

Daleko za horyzontem, nad Pacyfikiem, kula ognia, jakiej jeszcze nie widział żaden człowiek, rozrosła się do stu, potem do dwustu, wreszcie do trzystu kilometrów, zanim w końcu zgasła.

Błyskawice wystrzeliły z morza ognia we wszystkich kierunkach. Powstała burza elektromagnetyczna, promienie gamma natychmiast zjonizowały górne warstwy atmosfery. Z oceanu momentalnie wyparowała ilość wody zdolna wypełnić jezioro Erie. Płomienie i fala uderzeniowa utworzyły w Pacyfiku okrągłe wklęśnięcie o głębokości sześćdziesięciu metrów.

Kiedy fala uderzeniowa osłabła i powierzchnia oceanu się wyrównywała, wgłębienie zalał krąg ogromnych fal, które zderzyły się i odbiły od siebie.

Kilka tysięcy kilometrów dalej Kurt, Joe i Rosjanie widzieli tylko refleksy tego wszystkiego. Tak zwane echo świetlne przeniknęło przez tysiące kilometrów atmosfery i zostało zniekształcone przez krzywiznę Ziemi. Ale żaden z pięciu mężczyzn na pokładzie rosyjskiego bombowca nie mógł oderwać od tego oczu.

– Coś musiało pójść nie tak - stwierdził Joe. - Nie mogli już dolecieć do Chin.

Kurt pomógł Dawidowowi wstać i usiąść na składanym siedzeniu. Rana jego klatki piersiowej była rozległa, ale nie głęboka; trafienie w nogę nie uszkodziło tętnicy udowej.

– Jak daleko stąd to było? - zapytał Dawidow.

– Jakieś osiem tysięcy kilometrów - ocenił Joe. - Mniej więcej.

– Żeby nas dosięgnąć z takiej odległości... - zaczął Dawidow i urwał.

– Chińczycy mieli na pokładzie dwie sztuki - powiedział Kurt. - Prawie pięćdziesiąt kilogramów materii w stanie mieszanym. My transportujemy dwa razy tyle.

Dawidow przytaknął i ścisnął krawędź siedzenia.

– Dlaczego? Po co ktoś miałby tego chcieć? Co Rosja mu zrobiła?

– Eksplozja nie nastąpi nad Rosją - odrzekł Kurt - tylko podczas przelotu nad Europą.

Wytłumaczył resztę tego, co wiedzieli. Dawidow wydawał się coraz bardziej zaszokowany.

– Musimy skorzystać z waszego systemu łączności - oznajmił Kurt - żeby się

skontaktować z naszymi ludźmi i dowiedzieć, czy można jakoś zapobiec powtórce tego, co właśnie widzieliście.

65.

Nawiązanie kontaktu z kimkolwiek w bombowcu okazało się trudne. Wszystkie satelity nad Pacyfikiem przestały działać, i choć lecieli nad Morzem Karaibskim, skutek uboczny był taki sam. Sieci telekomunikacyjne padły, a większość czynnych zachodnich środków łączności była przeciążona, bo starano się ocenić rozmiar szkód.

W końcu połączyli się z rosyjskim satelitą telekomunikacyjnym nad Atlantykiem i przez komercyjną centralę telefoniczną w Polsce z pokojem łączności NUMA.

– Na jakiej wysokości jesteście? - zapytał natychmiast Rudi Gunn.

– Dziesięciu i pół tysiąca metrów - odrzekł Kurt.

Sygnał był słaby z powodu jonizacji atmosfery i różnic między sprzętem rosyjskim a NUMA, ale Kurt wyraźnie usłyszał milczenie.

– Za wysoko - stwierdził, nie czekając, aż powie mu to Rudi.

– Wiemy. Jakie mamy możliwości?

– Żadnych - odparł Rudi.

Kurt spodziewał się tego. Wymienił spojrzenia z pozostałymi mężczyznami w kokpicie.

– Domyślaliśmy się. Skręcimy daleko nad morze. Macie dla nas jakiś odpowiedni kurs?

– Mamy - przytaknął Rudi. - Wybraliśmy na środku Atlantyku miejsce najbardziej oddalone od jakiegokolwiek lądu. Wszystkie samoloty dostały rozkaz opuszczenia tamtego rejonu i jak najszybszego wylądowania. Statki też mają stamtąd jak najprędzej odpłynąć, choć dla wielu z nich to nie będzie miało znaczenia.

– Nie dolecimy nad środek Atlantyku - wtrącił się major Timonowski. - Nie wystarczy nam paliwa.

– To bombowiec międzykontynentalny - zauważył Joe.

– Musieliśmy zmniejszyć jego ciężar, żeby nie zawadzić o drzewa.

Zrzuciliśmy tam trzydzieści osiem tysięcy litrów.

– Ile przelecimy na tym, co mamy? - zapytał Kurt.

– Osiemset kilometrów - obliczył Timonowski. - Albo niewiele więcej.

– A co z tankowaniem w powietrzu? - spytał Joe. - Usłyszeliśmy w rejestratorze głosu z kokpitu Blackjacka Jeden, że mieliście zatankować niedaleko Caracas.

– Taki był pierwotny plan - potwierdził Dawidow - ale kiedy przechwycenie się nie udało, latająca cysterna dostała rozkaz powrotu do Rosji. Mieliśmy wylądować na Kubie. Zaczęlibyśmy schodzić w dół za dwadzieścia minut.

– Moglibyśmy zatankować z amerykańskiego samolotu cysterny?

– Używamy innego paliwa - odparł Timonowski. - Do naddźwiękowych silników strumieniowych.

Kurt spojrzał na mapę. Byli w połowie drogi między Kolumbią a Kubą. Zasięg ośmiuset kilometrów nie wystarczyłby w żadnym kierunku.

– Nie oddalimy się od cywilizacji na tyle, żeby było dobrze - powiedział. - Musimy wymyślić coś innego.

– Przed Nighthawkiem jest wiatrochron - podsunął desperacko Joe. - Gdybyśmy zwolnili do minimalnej prędkości lotu...

Major Timonowski pokręcił głową.

– Tu nie ma wyłazu na szczyt kadłuba.

– A gdybyśmy zrobili dekompresję samolotu i wycięli dziurę w poszyciu?

– Jest z tytanu - odparł Dawidow. - Podwójnej grubości. Nawet gdyby nam się udało, nie ma szans na to, co rozważacie. Żebyśmy nie wiem co robili, nie zdołalibyśmy was uchronić przed zdmuchnięciem z powierzchni samolotu przez pęd powietrza. Nie dotarlibyście do ładowni.

– Gdyby nam się udało wyciąć wyjście z samolotu, to może również wejście od spodu do Nighthawka - nie ustępował Joe.

Nie wiedzieli, że są połączeni również z Białym Domem, Vandenberg i kafejką w Cajamarce. Uświadomił im to głos Emmy.

– Nie wetniecie się do Nighthawka od spodu - powiedziała. - Cała konstrukcja jest odporna na ciepło i wstrząsy podczas powrotu na Ziemię. Nawet gdybyście mieli palnik acetylenowy, nie dostaniecie się do środka.

Kurt się lekko uśmiechnął. Dziwne, pomyślał. W takiej sytuacji? Ale cieszył się, że przynajmniej ona i Troutowie są bezpieczni.

– A gdybyśmy wykorzystali pełny ciąg naddźwiękowych silników strumieniowych? - zasugerował. - Zamiast oszczędzać paliwo, osiągnęlibyśmy

maksymalną prędkość i wysokość. Jak wysoko może się wznieść ten bombowiec?

– Na trzydzieści sześć i pół tysiąca metrów - odrzekł Timonowski.

– Problemem są promienie gamma - powiedział Rudi. - Im wyżej się wzniesiecie, tym większy będzie zasięg zniszczeń. Przy tej wysokości będzie mniej szkód materialnych, ale promieniowanie, fala uderzeniowa i impuls elektromagnetyczny obejmą szesnaście razy większą powierzchnię. Symulacja, którą przeprowadziliśmy, sugeruje, żebyście zeszli w dół z maksymalną szybkością. Zniszczenia skoncentrują się w jednej strefie, ale i tak będzie źle.

– Jak bardzo? - zapytał Kurt.

– Tamta eksplozja nastąpiła tysiąc sto kilometrów od Hawajów. Zarejestrowały ją sejsmografy na całym świecie. Na Hawajach zapadła ciemność. Na Aleutach też. We wszystkich krajach nad Pacyfikiem. Prawdopodobnie powstaną tsunami i gorąca fala uderzeniowa. Gdybyśmy mieli tam jakieś satelity, to pewnie na większości wybrzeży zobaczylibyśmy pożary i szkody jak po dużym trzęsieniu ziemi, ale mieliśmy szczęście, że to było tak daleko. Większość promieniowania i niszczycielskiej energii rozproszyła się przed dotarciem do lądu.

Kurt popatrzył na twarze wokół niego. Rosjanie i Amerykanin byli spokojni i zrezygnowani.

– Wiecie, jak daleko możemy dolecieć - powiedział Kurt. - Podajcie nam lokalizację, kiedy będziecie ją mieli. Na razie postaramy się zaoszczędzić jak najwięcej paliwa.

Kiedy Kurt to mówił, major Timonowski ustawił maksymalnie ekonomiczny tryb lotu. Skos skrzydeł zmalał, ciąg silników osłabł. Bombowiec wzniósł się i zwolnił jak statek przy spotkaniu z wysoką leniwą falą.

Jaki spokój, pomyślał Kurt. Prawdziwa cisza przed burzą.

66.

Emma stała w kafejce internetowej i czuła, jak kolana uginają się pod nią. Kurt i Joe zginą, a eksplozja spowoduje potworne zniszczenia na dużym obszarze obu Ameryk i Karaibów.

– To się nie może stać - szepnęła.

Usiadła na podłodze i spróbowała odetchnąć, ale nie mogła nabrać powietrza do płuc.

– To się nie może stać - powtórzyła.

Gamay podeszła do niej.

– Oddychaj wolno - przynagliła. - Hiperwentylujesz.

Łzy spływały po twarzy Emmy.

– Zabiłam ich wszystkich - powiedziała. - Kurta, Joe'go i sto milionów innych ludzi.

– To nie twoja wina.

Rozpacz Emmy natychmiast przerodziła się w gniew.

– Brałam w tym udział! - warknęła.

Wiedziała, o co chodzi Gamay, ale nie chciała słuchać, że wszystko będzie dobrze. Nie wierzyła w to.

– Oni transportują dwa razy więcej materii w stanie mieszanym, niż było w chińskim samolocie. Nawet ze środka Morza Karaibskiego fala uderzeniowa dotrze do połowy południa. Wszyscy od Houston do Tampy spłoną, zostaną napromieniowani lub utoną w trzydziestometrowej fali. Razem z połową Meksyku, Ameryką Środkową i wszystkimi żywymi istotami na każdej z wysp Karaibów.

Gamay tylko patrzyła na nią. Nie miała co powiedzieć.

Emma wstała i odwróciła się. Wolałaby umrzeć, niż być świadkiem tego, co miało się stać, ale jej upór zwyciężył.

– Nie pogodzę się z tym - oświadczyła. - Nie ma mowy!

Odgrodziła się od życzliwości Gamay i zmusiła swój zmęczony umysł z

powrotem do działania. Musi być jakiś sposób. Musi!

Przeanalizowała właściwości materii w stanie mieszanym i konstrukcję modułów kriostatycznych w poszukiwaniu jakiejś szansy, że przetrwają w razie wybuchu semteksu. Ale nie było żadnego znanego sposobu na powstrzymanie reakcji; tylko temperatura zera bezwzględnego mogła zapobiec wzajemnemu unicestwieniu się materii i antymaterii.

Krążyła po pokoju i szukała rozwiązania. Nagromadzone w niej napięcie eksplodowało, kiedy przez nieuwagę wpadła na stolik. W przypływie wściekłości popchnęła go przez pokój. Sunął z zadziwiającą łatwością, w końcu się przewrócił i pozostawił rysę na pomalowanej betonowej podłodze.

Emma przystanęła i popatrzyła na długie białe zadrapanie na niebieskim tle. Wyglądało jak smuga kondensacyjna na błękitnym niebie.

Paul zrobił krok w jej kierunku.

– Stój - powiedziała, nie patrząc w jego stronę.

Coś przyszło jej do głowy.

Smuga kondensacyjna... Skroplona para wodna... Kryształki lodu za lecącym wysoko samolotem.

Ta myśl uderzyła ją z taką siłą, że o mało nie upadła.

– Jest sposób - szepnęła. - Jest sposób!

Odwróciła się gwałtownie.

– Dajcie Rudiego z powrotem na linię. Muszę porozmawiać z Kurtem. Natychmiast. Póki jeszcze jest czas.

67.

W pokoju łączności NUMA zapanował chaos. W obliczu prawie pewnej katastrofy wszystkie agencje rządowe skupiły się na koordynacji wysiłków w celu zminimalizowania szkód.

Wysyłano rozkazy, mobilizowano wojsko. Ludzi kierowano do podziemnych schronów. Robiono wszystko, co uznano za wykonalne w ciągu dwóch godzin.

Zamknięto drogi w kierunku południowym. Samolotom polecono odlecieć jak najdalej na północ i wylądować w ciągu dwóch godzin. Przekazano informacje krajom Ameryki Środkowej i Południowej, choć nie było możliwości udzielenia im pomocy i każdy musiał radzić sobie sam.

W tym zamęcie Emma nie mogła uzyskać połączenia. Wszystkie linie były zajęte, satelity telekomunikacyjne niedostępne. Nikt nie miał czasu jej słuchać, wszyscy byli zbyt zaabsorbowani wysyłaniem rozkazów i wydawaniem poleceń.

Wszyscy z wyjątkiem Priyi, która pojawiła się cicho w tle. Uważała, że będzie bezpieczna, ale rano zorientowała się, że nie zdoła się skontaktować ze swoją rodziną w Londynie. Postanowiła wysłać do nich mejla, zanim stanie się najgorsze.

Kiedy usiadła do komputera, pulsująca ikona poinformowała ją, że ma pilną wiadomość. Przysłał ją Paul Trout: Emma uważa, że może być inny sposób, żeby zapobiec katastrofie. Musimy porozmawiać z Rudim i Działem Dynamiki Lotu NASA, ale nie możemy się z nimi połączyć.

* * *

– Rudi - powiedziała i przywołała go gestem.

Rudi zajmował się pięcioma różnymi sprawami i słuchał dwóch innych pracowników.

– Rudi! - krzyknęła.

Odwrócił się.

– Emma chce z tobą rozmawiać. Mówi, że może być sposób na uniknięcie katastrofy!

W zimnym i ciemnym kokpicie bombowca Kurt koncentrował się na każdym zniekształcanym przez zakłócenia słowie.

– Pamiętasz, jak ci mówiłam o projekcie „Dedal”? - zapytała Emma. - Planowaliśmy wykorzystać niewielkie wybuchy jądrowe do napędu w głębokim kosmosie. Uważaliśmy, że moglibyśmy rozpędzić statek kosmiczny do prawie jednej dziesiątej prędkości światła. Eksplozje następowałyby za statkiem, fala uderzeniowa trafiałaby w płytę napędową na jego rufie i popychała go do przodu bez uszkadzania go. Moim zdaniem możemy zrobić coś podobnego z Nighthawkiem, wykorzystując materię w stanie mieszanym. Nie będzie jednej dużej eksplozji, tylko długi ciąg mniejszych. Jeśli przepuścimy odpowiednią ilość materii w stanie mieszanym przez oryginalny wlot, nastąpi wybuch energii i powstanie stała fala, która wyniesie Nighthawka z powrotem w kosmos przed kolejną eksplozją.

– Ale czy materia w stanie mieszanym nie eksploduje natychmiast, gdy znajdzie się w powietrzu? - spytał Kurt.

– Dopóki pozostanie wystarczająco zimna, to nie. W jej obecnym stanie opuści kolektor, mając 2,7 kelwinów. Temperatura powietrza na wysokości trzydziestu sześciu i pół kilometra to jakieś sześćdziesiąt dwa stopnie Celsjusza poniżej zera. To wciąż dwieście dziesięć kelwinów za dużo, i materia w stanie mieszanym zareaguje w niecałe pół sekundy, ale ponieważ Nighthawk będzie leciał z prędkością sześciu tysięcy czterystu kilometrów na godzinę, to dzięki tej półsekundowej zwłoce nie dojdzie do rozerwania go, tylko zrobi się dość przestrzeni do powstania fali.

Kurt słuchał uważnie i wyobrażał to sobie.

– Fali?

– Szybkiej i potężnej - odrzekła Emma.

– Max i zespół Działu Dynamiki Lotu NASA zrobili obliczenia - wtrącił się Hiram. - To mogłoby się udać.

Kurt się uśmiechnął. Major Timonowski i drugi pilot skinęli głowami.

– Jeszcze nie zginęliśmy - powiedział Joe. - Nie wyobrażacie sobie, jaki jestem szczęśliwy.

Nawet Dawidow uśmiechał się mimo bólu.

– Jeśli przeżyjemy, butelka dwudziestoletniej szkockiej dla każdego z was.

– Co mamy zrobić? - zapytał przez radio Kurt.

– Musicie osiągnąć bombowcem jego maksymalną prędkość i wysokość, a potem odczepić Nighthawka - wyjaśniła Emma. - Załadujcie ponownie do systemu sterowania kod alfa i wprowadźcie polecenia, które zaraz wam przyślemy.

– Nie brzmi to zbyt skomplikowanie - stwierdził Kurt. - Gdzie jest haczyk?

– Anteny Nighthawka są na jego szczycie. Muszą tam być, bo inaczej spaliłyby się podczas powrotu na Ziemię. A to oznacza, że będziecie musieli być powyżej niego i przed nim.

– Co oznacza, że w nas też uderzy fala.

– Moglibyśmy spróbować użyć satelity Sił Powietrznych - odrzekła. - Ale jest taka jonizacja atmosfery, że...

– Nie - przerwał jej Kurt, ucinając dyskusję. - Mamy tylko jeden strzał. Musi być celny.

Joe pokazał mu uniesiony kciuk. Dawidow przytaknął z zapałem.

– *Da* - zgodził się major Timonowski.

Mechanik pokładowy też skinął głową i włączył antenę paraboliczną, której użyli przeciwko Nighthawkowi tydzień temu. Po kilku sprawdzeniach odwrócił się do Kurta.

– Jesteśmy gotowi.

Bombowiec osiągnął prędkość naddźwiękową i wzniósł się powyżej dwudziestu czterech tysięcy metrów w kilka minut. Wtedy odpalił naddźwiękowe silniki strumieniowe.

Przyspieszenie wcisnęło Kurta w oparcie siedzenia. Słuchał, jak Timonowski podaje liczbę Macha i wysokość. Joe umiał pilotować, więc zajmował miejsce drugiego pilota. Kurt i Dawidow siedzieli za nimi na składanych siedzeniach, a mechanik pokładowy na stanowisku dowodzenia, jak Sokolnik kilka dni temu.

– Trzydzieści sześć tysięcy metrów - poinformował Timonowski. - Maksymalna wysokość i prędkość za pięć... cztery... trzy...

– Odczepiam Nighthawka - oznajmił mechanik pokładowy.

Żeby uniknąć losu Blackjacka Jeden, przyjęli paraboliczny tor lotu i pozbyli się Nighthawka na krótko przed szczytem łuku.

– Nighthawk w powietrzu - zameldował mechanik pokładowy. - Stabilizator nietknięty.

Kiedy Nighthawk został wystarczająco daleko z tyłu, Timonowski zajął bombowcem pozycję powyżej bezzałogowego statku kosmicznego i przed nim.

– Odległość trzy kilometry - zawiadomił mechanik. - Inicjuję kod alfa.

Za naciśnięciem przycisku informacja została wysłana. Czekali. Wreszcie przyszła odpowiedź.

– Nighthawk działa - powiedział mechanik pokładowy. - Przekazuję nowe polecenia.

Kiedy Kurt obserwował, jak pozostali wykonują swoje zadania, sprawdził własne pasy bezpieczeństwa i złapał się uchwytu obok składanego siedzenia. Nie mógł zrobić nic więcej.

– Nighthawk potwierdza odbieranie i przetwarzanie poleceń - zameldował z podnieceniem mechanik. - Inicjacja za trzydzieści sekund. Wszystkie systemy sprawne. - Odwrócił się do Timonowskiego. - Wynośmy się stąd.

Timonowski przechylił bombowiec w skręcie i oddalił się od kursu Nighthawka. Musiał zmieniać kierunek stopniowo, bo lecieli z ogromną szybkością, ale im większa odległość dzieliła obie maszyny, tym większą mieli szansę na przeżycie, gdy uderzy fala.

Silniki bombowca wytwarzały potężny ciąg. Kurt czuł, jak przeciążenie wciska go w oparcie siedzenia. Wysilił się, żeby spojrzeć na zegarek. Sekundnik okrążał pomarańczową tarczę. Każde tyknięcie wydawało się wiecznością. W końcu czas minął.

Rozbłysk niebieskiego światła wypełnił niebo. Kurt zamknął oczy, ale wciąż widział blask.

– Trzymajcie się! - krzyknął Joe.

Fala uderzeniowa dotarła do bombowca. Mimo ich prędkości i rosnącej odległości od Nighthawka, samolot został uniesiony do góry i popchnięty naprzód.

– Nie walcz z tym - mruknął Kurt.

Timonowski posłuchał i poleciał z falą, zamiast się jej przeciwstawiać. Mimo to bombowcem miotało, obwody w kokpicie się spaliły, kadłub odkształcił po dziesięciu sekundach, lewe skrzydło zgięło, samolot obrócił się do góry podwoziem i wszedł w nurkowanie.

* * *

Niewidoczny z wnętrza bombowca Nighthawk wykonał dokładnie polecenie i wyrzucił za siebie maleńki strumień antymaterii. Reakcja była prawie natychmiastowa, ale zamiast jednego wielkiego rozbłysku, ciąg setek, a potem tysięcy błysków rozświetlił nocne niebo. Na czele tego rozprzestrzeniającego się niebieskiego światła mały czarny statek latający pędził w kosmos z prędkością, która uśmierciłaby załogę.

* * *

Eksplozja światła wyglądała z ziemi jak żarzące się koliste fale na stawie. Każdy krąg tworzył następny, aż powstał szalony kalejdoskop blasku, który mknął w górę i na wschód.

Z dołu trudno było ogarnąć to spojrzeniem. Nikt, kto patrzył na to gołym okiem, nie nadążał wzrokiem za wirującym światłem, kiedy się wydłużało i rozciągało, zanim zniknęło w oślepiającym błysku wysoko nad Ziemią.

Eksperyment się powiódł. W ciągu trzech minut Nighthawk przebył prawie osiem tysięcy kilometrów, osiągając prędkość blisko dwustu siedemdziesięciu dwóch tysięcy kilometrów na godzinę, i stał się najszybszym zbudowanym przez człowieka obiektem wszech czasów.

Wciąż przyspieszał, gdy gorąco i wibracje katastrofalnie uszkodziły jeden z modułów, ale nastąpiło to tak daleko od powierzchni Ziemi, że skończyło się tylko niesamowitym pokazem fajerwerków na nocnym niebie.

* * *

Mężczyźni w kokpicie spadającego bombowca nie widzieli tego; rzucało nimi niemiłosiernie i lecieli w przeciwnym kierunku.

Kurtem miotało to w jedną, to w drugą stronę. Był przekonany, że samolot rozpadnie się lada moment. Jakimś cudem wytrzymał, mimo że jedno skrzydło się urwało i stracił większość ogona.

Wkrótce zdali sobie sprawę, że pikują. Blask sztucznego słońca oświetlił na chwilę Ziemię i morze daleko w dole.

Zniżali się korkociągiem jak Blackjack Jeden, spadali z nieba jak mewa ze złamanym skrzydłem.

Wirowanie dezorientowało. Utrata ciśnienia groziła omdleniem. Kurt pamiętał długie opadanie drugiej załogi, kiedy odzywał się tylko komputer.

– Musimy się katapultować! - krzyknął do Timonowskiego.

Pilot nie odpowiedział. Wciąż był przypięty do swojego fotela, ale z każdym ruchem samolotu rzucało nim do przodu i do tyłu jak szmacianką lalką.

– Joe, trzeba stąd znikać!

Z Joem działo się to samo, co z Timonowskim. Dawidow wyglądał na przytomnego, ale zbyt słabego, żeby się ruszyć. Mechanik pokładowy wisiał w pasach z głęboko rozciętym czołem.

Kurt nie miał pojęcia, na jakiej są wysokości i co będzie, jeśli się katapultują, ale widział wrak drugiego bombowca na dnie morza. Wiedział, że nie przeżyją takiego uderzenia.

Rozejrzał się dookoła za dźwignią katapulty. Wszystko było opisane po rosyjsku. W końcu dostrzegł czerwony drążek z dwoma pomarańczowymi paskami.

Sięgnął do niego.

Chwycił go.

I jednym mocnym pociągnięciem szarpnął go w górę i opuścił.

Eksplozja zatrzęsła samolotem, płomienie otoczyły kokpit i zapadła ciemność.

68.

Emma przyleciała do Waszyngtonu pięć dni po „wydarzeniu”, jak to nazywali. Podróż zajęła jej tyle czasu, bo w dużej części świata panował chaos. Połowa satelitów i większość systemów telekomunikacyjnych padła, lotami kierowano ręcznie i większość samolotów transportowała pomoc humanitarną na Pacyfik.

Kiedy wreszcie wylądowała w stolicy, zobaczyła, że telefony stacjonarne chwilowo znów są w modzie, bo dwieście osób stało w kolejce do trzech czynnych automatów.

Darowała sobie czekanie. Znalazła taksówkę i pojechała do NSA. Po złożeniu tam długiego raportu poszła przez miasto do NUMA, gdzie zastała Rudiego, Hirama i Priyę.

Mieli przed sobą staromodne papierowe mapy. Różne rejony były zakreślone na zielono, żółto i czerwono.

– Jaka sytuacja? - spytała.

– Nigdzie nie jest nawet w przybliżeniu tak źle, jak mogłoby być - odrzekł Rudi. - Najbardziej ucierpiały Hawaje i Aleuty, ale szkody materialne są minimalne. W Waikiki uderzyło prawie pięciometrowe tsunami, ale większa fala poszła na zachód. Jak na ironię, Japonię osłoniło chińskie wybrzeże, ale ponieważ przygotowywali się do tego od trzęsienia ziemi i tsunami w Tohoku kilka lat temu, byli w pogotowiu.

Nasłuchiwała meldunków od kilku dni. Ulżyło jej.

– Jestem zaskoczony, że NSA dała ci odetchnąć - powiedział Hiram. - Myślałem, że każą ci pracować na okrągło nad materią w stanie mieszanym, którą przywiozłaś do domu.

– To bardzo kontrowersyjna sprawa - odrzekła. - Chyba chcą wysłać wszystko z powrotem w kosmos.

– Ironia losu - stwierdził Rudi.

– W każdym razie, mam już z tym spokój. Odeszłam. Od godziny jestem

oficjalnie bezrobotna.

– Naprawdę? - zapytał Rudi. - Zechcesz nam pomóc?

Wskazał biurko.

– A co robicie?

– Szukamy Kurta, Joe’go i Rosjan - wyjaśniła Priya.

Emma spojrzała na mapę wschodniej części Morza Karaibskiego.

– Marynarka Wojenna i Straż Przybrzeżna są trochę zajęte transportowaniem zaopatrzenia do krajów nad Pacyfikiem, więc postanowiliśmy sami się do tego zabrać - wytłumaczył Rudi. - Mamy środki NUMA, prywatne samoloty i wyczarterowane łodzie. Te rejony sprawdzamy. A to są inne ewentualne strefy poszukiwań.

– Ale jak dotąd nic - powiedziała.

Rudi pokręcił głową.

Emma usiadła.

– Pomogę, na ile będę mogła. Wolę nie myśleć, jak tam cierpią, odpędzają rekiny i umierają z pragnienia.

– Są twardzi i dobrze wyszkoleni - odparł Rudi. - Na pewno nie mają z tym problemu.

69.

Kurt zmrużył oczy od oślepiającego blasku południowego słońca.

– Oszuści - powiedział ponuro. - Pełno was.

Zniesmaczony, rzucił swoje karty na płaski kawałek drewna, który zastępował stół do pokera.

Naprzeciwko niego Dawidow uśmiechnął się szeroko i wziął ze środka autentyczny garniec złota.

– Zapewniam, że grałem uczciwie - odrzekł.

– Szef szpiegów, który nie kantuje? - odezwał się z boku stołu Joe. - Wątpię.

– Dokładnie - przytaknął Dawidow. - Nie moja wina, że zmarnowałeś wszystkie swoje żetony.

Kurt wyciągnął się do tyłu. Siedzieli na nieskazitelnie białej piaszczystej plaży, turkusowe Morze Karaibskie omywało brzeg. Wśród niewielu rzeczy mieli ponton, talię kart, prawie pustą już butelkę dwudziestoletniej szkockiej i milion dolarów w rosyjskich złotych monetach, które Dawidow przywiózł na wypadek, gdyby Sokolnik próbował dalej windować cenę.

Przeżyli katapultowanie z bombowca, bo w przeciwieństwie do myśliwców, miał on wyrzucany cały kokpit w balistycznej kapsule powrotnej. Wylądowali w morzu, wyhamowani przez trzy wielkie spadochrony, i przesiedli się do gumowej tratwy ratunkowej. Po dniu wiosłowania dopłynęli do wyspy i rozbili mały obóz.

Rozpalili dwa ogniska. Jedno sygnałowe, drugie do podgrzewania wody w prowizorycznym odsalaczu konstrukcji Joe’go. Co godzinę mieli kilka kubków. Aż nadto. Choć żaden z nich nie chciał ani kropli, dopóki pili szkocką.

Kurt upolował parę ryb długim ostrym patykiem. Wypatroszyli je, upiekli i zjedli z apetytem.

Od tamtej pory nie mieli nic do roboty poza piciem, graniem w karty i czekaniem, aż ktoś ich uratuje. Złote monety służyły za żetony. Wszyscy dostali po równo, ale Kurtowi zostało ostatnie dziesięć.

– Następne rozdanie - zarządził. - Ale tym razem z wierzchu talii.

Dawidow się uśmiechnął i przetasował ją.

W oczekiwaniu na swoje karty Kurt wziął butelkę szkockiej, uniósł ją do ust i opuścił z powrotem.

– Chyba słyszę łódź - oznajmił.

– Niemożliwe - odparł Timonowski. - Po prostu próbujesz się wykręcić od gry.

Wbrew wątpliwościom Rosjanina odgłos narastał, aż w końcu sześciometrowa fiberglasowa motorówka okrążyła cypel i wpłynęła do pustej zatoczki. Kierowała się prosto na nich i ognisko sygnałowe i przybiła do brzegu kilka metrów od stołu pokerowego.

Młody mężczyzna w czerwonej koszulce polo i białych szortach wyskoczył zza steru na piasek.

– Co panowie tu robią? - zapytał urzędowym tonem, który nie pasował do jego stroju i śpiewnego karaibskiego akcentu.

– Przegrywamy pieniądze w pokera - odrzekł Kurt.

Pozostali się roześmiali. Młody człowiek wydawał się zbity z tropu.

– Tu nie wolno przebywać - oznajmił. - To teren prywatny.

– Nie mieliśmy wyboru - odparł Joe. - Nasz samolot się rozbił, katapultowaliśmy się i wylądowaliśmy tutaj.

– Ale dlaczego zostaliście po tej stronie wyspy? - spytał mężczyzna.

Kurt, Joe i Rosjanie popatrzyli na siebie zdezorientowani.

– Druga strona jest bardziej gościnna? - zapytał Dawidow.

– Miałbym taką nadzieję - odrzekł mężczyzna. - Jest tam hotel Ritz-Carlton.

Kurt spojrzał na Joe’go i wybuchnął śmiechem. Wyspa miała w poprzek kilka kilometrów, jej środek zajmowały wzgórza i wydmy. Wyglądała na zupełnie bezludną. W nocy było na niej kompletnie ciemno; ani śladu cywilizacji.

– W tamtym hotelu nie ma światła? - spytał Kurt.

– Wysiadło po wielkim błysku na niebie.

– Aha - powiedział Kurt. - To nasza wina.

Joe i Rosjanie znów się roześmiali, ale mężczyzna w czerwonym polo nie wydawał się rozbawiony.

Kurt wyciągnął dłoń ze swoimi ostatnimi złotymi monetami.

– Zapłacę dziesięć tysięcy dolarów za rejs do tamtego Ritza.

Joe podniósł rękę jak na licytacji.

– I drugie dziesięć tysięcy za zawiadomienie wszystkich, że pan nas znalazł na morzu.

– Dobry pomysł - przyznał Kurt. - Wart tego.

Mężczyzna patrzył na nich jak na wariatów. Ich opalenizna, niechlujny wygląd, podarte ubrania i prawie pusta butelka szkockiej utwierdzały go w przekonaniu, że są stuknięci, ale nie mógł ich tu zostawić.

Zignorował złoto, najwyraźniej uważając, że jest fałszywe, i ruszył z powrotem do swojej łodzi.

– Chodźcie - powiedział. - Zabiorę was tam, ale pokoje są drogie. Mogą chcieć od was zapłaty z góry.

Kiedy wsiedli do motorówki, Kurt uśmiechnął się chytrze. Miał szkocką, a Joe, Dawidow, Timonowski i mechanik pokładowy złoto.

– Na pewno coś da się załatwić.